

JOHN FOWLES

Kolekcjoner

Kiedy przyjeżdżała z internatu, widywałem ją czasami codziennie, ponieważ ich dom stał dokładnie naprzeciwko skrzydła ratusza. Bywały dni, kiedy razem z młodszą siostrą wielokrotnie wychodziła i wracała, często w towarzystwie młodych mężczyzn, co mi się oczywiście nie podobało. Jeśli tylko mogłem oderwać się na chwilę od teczek i rejestrów, stawałem przy oknie i patrzyłem przez szybę na drugą stronę ulicy; czasami udawało mi się ją zobaczyć. Wieczorem zaznaczałem to w swoim dzienniku obserwacyjnym, początkowo literą X, a potem – kiedy poznałem już jej imię – literą M. Wiele razy widziałem ją też na mieście. Raz stałem tuż za nią w kolejce w bibliotece publicznej przy Crossfield Street. Nie spojrzała na mnie, ale ja obserwowałem tył jej głowy i długi warkocz, który sięgał niemal do pasa. Bardzo jasny, jedwabisty jak kokon motyla. Czasami nosiła go z przodu, a czasami z tyłu. Czasami upinała do góry. Tylko raz, zanim stała się moim gościem, miałem zaszczyt widzieć ją z rozpuszczonymi włosami. Były tak piękne jak włosy syreny, aż mnie замуrowało.

Innym razem pojechałem w wolną sobotę do Muzeum Przyrody; wracaliśmy tym samym pociągiem. Siedziała na ukos ode mnie, o trzy rzędy dalej, i czytała książkę, więc mogłem ją obserwować przez trzydzieści pięć minut. Patrząc na nią, zawsze czułem się, jakbym miał pochwycić jakiś rzadki okaz, podchodząc go ostrożnie, na wstrzymanym oddechu. Na przykład szlaczkonია siarecznika. Zawsze myślałem o niej w ten sposób, jak o czymś nieuchwytnym i rzadkim. I bardzo szlachetnym. Nie tak jak o innych, nawet o tych ładnych. Jak o czymś przeznaczonym dla prawdziwego znawcy.

Tego roku, kiedy jeszcze chodziła do szkoły, nie wiedziałem, kim Jest; tylko tyle, że jej ojcem jest doktor Grey. Podśluchałem też jakąś rozmowę na zebraniu Sekcji Owadów, że jej matka pije. Kiedyś słyszałem jej matkę w sklepie, mówiła pretensjonalnym głosem i od razu można było poznać, że należy do typu pijących, przez ten krzykliwy makijaż i tak dalej.

A potem w lokalnej gazecie była wiadomość, że zdobyła stypendium i że jest bardzo zdolna, a jej imię okazało się równie piękne jak Ona sama. Miranda. Dowiedziałem się, że studiuje w Londynie sztuki piękne. Ten artykuł w gazecie naprawdę wiele zmienił. Jakby zbliżył nas do siebie, chociaż oczywiście nie znaliśmy

się w potocznym rozumieniu tego słowa.

Nie umiem tego wytłumaczyć, ale kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, wiedziałem, że w grę wchodzi tylko ona. Oczywiście, że nie jestem szalony i zdawałem sobie sprawę, że to jedynie marzenia, i na zawsze pozostałyby marzeniami, gdyby nie pieniądze. Śniłem o niej na jawie. Wymyślałem różne historie, że ją poznałem, dokonałem czegoś, co wzbudziło jej podziw, ożeniłem się z nią i tak dalej. Nic zdrożnego – to się nie zdarzyło nigdy przed tym, co wyjaśnię później.

Ona rysowała, a ja zajmowałem się swoją kolekcją (w tych marzeniach). Zawsze kochała mnie i moją kolekcję, rysowała ją i kolorowała; pracowaliśmy razem w pięknym nowoczesnym domu, w wielkim pokoju z olbrzymimi oknami, gdzie odbywały się też spotkania Sekcji Owadów, podczas których byliśmy parą uroczych gospodarzy, nie milczeliśmy uparcie, jak ja to zwykle robię w obawie przed palnięciem jakiegoś głupstwa. Ona niezmiennie piękna z tymi swoimi włosami jasnoblonde i szarymi oczami, i oczywiście Wszyscy inni mężczyźni zieleniejący z zazdrości.

Moje marzenia o niej nie były zbyt przyjemne jedynie wtedy, kiedy widywałem ją w towarzystwie pewnego młodzieńca, hałaśliwego faceta z typu takich, co to chodzili do prywatnej szkoły i jeżdżą sportowymi samochodami. Raz stałem za nim w banku Barclays, żeby wpłacić pieniądze, i słyszałem, jak mówił: może być w piątkach. A dowcip polegał na tym, że realizował czek na dziesięć funtów. Oni wszyscy się tak zachowują. Widywałem czasami, jak wsiadała do jego samochodu, albo ich oboje w samochodzie na mieście. W takie dni stawałem się opryskliwy dla kolegów w biurze, a wieczorami nie stawiałem literki X w moim dzienniku obserwacji entomologicznych (tak było, zanim pojechała do Londynu, bo potem rzuciła tego faceta). W takie dni miewałem niedobre marzenia. Ona płakała, a jeszcze częściej klęczała. Kiedyś nawet pozwoliłem sobie marzyć o tym, że uderzyłem ją w twarz, tak jak zrobił jeden facet w sztuce telewizyjnej. Może wtedy to wszystko się zaczęło.

Mój ojciec zginął w wypadku samochodowym. Miałem wtedy dwa lata. To było w 1937 roku. Był pijany, ale ciocia Annie zawsze twierdziła, że to matka doprowadziła go do picia. Nigdy mi nie powiedzieli, co się naprawdę stało, jednak matka odeszła wkrótce potem i zostawiła mnie z ciocią Annie. Chodziło jej tylko o łatwe życie. Kuzynka Mabel powiedziała mi (byliśmy wtedy dziećmi i pokłóciliśmy się), że matka była ulicznicą i odeszła z cudzoziemcem. Byłem głupi, bo poszedłem do cioci Annie i zapytałem ją o to wprost, więc jeżeli tylko było coś do ukrycia, to oczywiście ukryła to przede mną. Teraz jest mi wszystko jedno; jeśli matka jeszcze żyje, nie mam ochoty

się z nią spotykać. Zupełnie mnie to nie obchodzi. Ciocia Annie zawsze dawała do zrozumienia, że to niewielka strata, i całkowicie się z nią zgadzam.

Więc ciocia Annie i wujek Dick wychowali mnie razem ze swoją córką Mabel. Ciocia Annie jest starszą siostrą mojego ojca.

Wujek Dick zmarł, kiedy miałem piętnaście lat. W 1950 roku. Pojechaliśmy nad zalew Tring na ryby. Jak zwykle, odszedłem ze swoją siatką i przyborami. Kiedy zachciało mi się jeść, wróciłem na miejsce, gdzie zostawiłem wuja. Zostałem tam gromadę ludzi. Myślałem, że złowił jakiegoś olbrzyma. Ale wuj dostał wylewu. Zawieźli go do domu, ale już nigdy nie wypowiedział żadnego słowa ani nie rozpoznał naprawdę nikogo z nas.

Dni, które spędziliśmy razem – właściwie niezupełnie razem, bo ja zawsze odchodziłem łapać motyle, a on siedział przy swoich wędkach, ale zawsze razem jedliśmy obiad i razem odbywaliśmy podróż – te dni (poza tymi, o których opowiem) należały niewątpliwie do najlepszych w moim życiu. Kiedy byłem dzieckiem, ciocia Annie i Mabel odnosiły się z pogardą do moich motyli; ale wujek Dick zwykle stał w mojej obronie. Zawsze podziwiał dobry zestaw okazów. Podobnie jak ja zachwycał się transformacją gąsienicy, przyglądał się, jak owad delikatnie rozprostowuje skrzydełka, by je wysuszyć i wypróbować. Pozwalał mi trzymać słoiki z gąsienicami w swojej komórce. Kiedy dostałem nagrodę hobbystów za kolekcję perłowców, podarował mi funta pod warunkiem, że nie powiem cioci Annie. Nie będę się dłużej nad tym rozwodził, ale on był dla mnie jak ojciec. Więc kiedy wziąłem do ręki ten czek, właśnie o nim pomyślałem. I oczywiście o Mirandzie. Kupiłbym mu najlepsze wędkę, najlepszy sprzęt i wszystko, czego by zapragnął. Ale nie takie było przeznaczenie.

Wypełniałem kupon piłkarskiego totka od tego tygodnia, w którym skończyłem dwadzieścia jeden lat. Co tydzień stawiałem pięć szylingów na tę samą kombinację. Stary Tom i Crutchley, moi koledzy z wydziału podatków od nieruchomości, a także niektóre koleżanki, zakładali spółkę i stawiali dużo pieniędzy. Ciągłe mnie namawiali, żebym się do nich przyłączył, ale wolałem działać w pojedynkę. Nigdy nie lubiłem ani starego Toma, ani Crutchleya. Stary Tom to lizus, ciągle gędzi o władzach lokalnych i podlizuje się panu Williamsowi, szefowi wydziału skarbowego. Crutchley to świntuch i sadysta, nigdy nie przepuszcza okazji, żeby zakpić z moich zainteresowań, zwłaszcza w obecności koleżanek. „Fred wygląda na zmęczonego, pewnie spędził upojny weekend z bielinkiem kapustnikiem”, mawiał zwykle. „Kim była owa rusalka osetnik,

z którą cię widziałem wczoraj wieczorem?” Wywoływało to domyślne uśmieški starego Toma i chichoty Jane, dziewczyny Crutchleya z wydziału oczyszczania miasta, która ciągle przesiadywała w naszym pokoju. Jane była kompletnym przeciwieństwem Mirandy. Nigdy nie znosiłem wulgarnych kobiet, zwłaszcza młodych. Więc, jak już mówiłem, wypełniałem kupon sam.

Czek opiewał na sumę: siedemdziesiąt trzy tysiące dziewięćdziesiąt jeden funtów, kilka szylingów i jeden pens. Zadzwoiłem do pana Williama, jak tylko ludzie z totka potwierdzili we wtorek, że wszystko w porządku. Wiedziałem, że był zły, że tak odchodzę, chociaż najpierw powiedział, że bardzo się cieszy, że na pewno wszyscy się cieszą, ale oczywiście wiedziałem, że to nieprawda. Sugerował nawet, żebym zainwestował w pięcioprocentową pożyczkę magistracką! Niektórzy ludzie w ratuszu tracą wszelkie poczucie proporcji.

Zrobiłem dokładnie tak, jak poradzili mi faceci z totka, to znaczy natychmiast przeniosłem się do Londynu z ciocią Annie i Mabel, żeby przeczekać, aż ucichnie całe zamieszanie. Wysłałem staremu Tomowi czek na pięćset funtów i poprosiłem, żeby podzielił się z Crutchleyem i resztą. Nie odpowiedziałem na ich dziękczynne listy. Było jasne, że uważali mnie za skąpca.

Jedyną łyżkę dziegciu w beczce miodu stanowiła Miranda. Była akurat w domu, miała ferie w szkole sztuk pięknych i widziałem ją rano w ową pamiętną sobotę. Przez cały czas pobytu w Londynie, kiedy ani przez chwilę nie przestawaliśmy wydawać pieniędzy, myślałem, że już nigdy więcej jej nie zobaczę. Potem przychodziło mi do głowy, że przecież jestem bogaty i stanowią dobry materiał na męża, potem uświadamiałem sobie, że to śmieszne, bo ludzie pobierają się tylko z miłości, zwłaszcza dziewczyny takie jak Miranda. Chwilami zdawało mi się nawet, że o niej zapomnę. Ale nie zapomina się dlatego, że tak się chce, to się po prostu zdarza. Tylko że mnie się nie zdarzyło.

Jeśli ktoś jest zachłanny i niemoralny, jak większość ludzi dzisiaj, to pewnie może się dobrze bawić, kiedy trafi mu się dużo pieniędzy. Mogę jednak powiedzieć, że nigdy nie byłem taki; w szkole ani razu mnie nie ukarano. Ciocia Annie należy do sekty nonkonformistów, nigdy nie zmuszała mnie, żebym chodził do kaplicy czy coś takiego, ale zostałem wychowany w odpowiedniej atmosferze, chociaż wujek Dick czasami potajemnie wpadał do pubu. Po wielu awanturach ciocia Annie pozwoliła mi palić papierosy po powrocie z wojska, ale nigdy tego nie pochwałała. Nawet kiedy mieliśmy te wszystkie pieniądze, powtarzała bez przerwy, że wydawanie jest

niezgodne z jej zasadami. Mabel wypominała jej to, kiedy zostawały same, co kiedyś podsłuchałem; zresztą powiedziałem, że to moje pieniądze i moje sumienie, ciocia Annie może więc wydawać tyle, ile chce, a jeśli nie chce, może nie wydawać nic. Poza tym nonkonformiści nie mówią nic o przyjmowaniu prezentów.

Zmierzam do tego, że kiedy byłem w korpusie płatniczym, zwłaszcza w Niemczech, upiłem się trochę raz czy dwa, ale nigdy nie miałem do czynienia z kobietami. Przed Mirandą nigdy nawet nie myślałem wiele o kobietach. Wiem, że nie mam tego, czego szukają dziewczyny, wiem też, że tacy faceci jak Crutchley, którzy wydają mi się po prostu prymitywni, nie najgorzej sobie radzą. Spojrzenia, jakimi obrzucały go niektóre dziewczyny w ratuszu, były naprawdę obrzydliwe. On ma tę jakąś prymitywną zwierzęcość, której mnie zabrakło już przy urodzeniu. (I cieszę się z tego, ponieważ uważam, że gdyby było więcej ludzi podobnych do mnie, świat byłby lepszy.)

Kiedy się nie ma pieniędzy, zawsze się wierzy, że ich posiadanie zmieniłoby wszystko. Nie oczekiwałem więcej, niż mi się należało, żadnej przesady, ale w hotelu od razu widać było, że darzą nas jedynie pozornym respektem, niczym więcej; w gruncie rzeczy gardzili nami, ponieważ mieliśmy te pieniądze i nie bardzo wiedzieliśmy, co z nimi zrobić. Za moimi plecami w dalszym ciągu traktowali mnie jak zwykłego urzędnika. Szastanie pieniędzmi nic nie pomagało. Wystarczyło się odezwać lub wykonać jakiś gest, a wychodziło szydło z worka. Niemal słyszałem, jak mówili: „Nie próbujcie nas nabierać, wiemy, kim jesteście, czy nie lepiej wrócić tam, skąd przyszliście?”

Pamiętam taki wieczór, kiedy poszliśmy na kolację do eleganckiej restauracji. Była na liście, którą dali nam faceci z totka. Jedzenie bez zarzutu, ale naprawdę nie odczułem jego smaku z powodu spojrzeń, jakimi nas obrzucano, i sposobu, w jaki traktowali nas usłużni cudzoziemscy kelnerzy i wszyscy inni; cała restauracja wydawała się patrzeć na nas z góry, ponieważ nie odebraliśmy takiego wychowania jak oni. Któregoś dnia czytałem artykuł o istniejącej ciągle różnicy klas – mógłbym coś na ten temat powiedzieć. Moim zdaniem cały Londyn stworzony jest dla ludzi, którzy potrafią zachowywać się jak uczniowie prywatnej szkoły, i nigdzie nie można pójść, jeśli się nie ma wrodzonych manier i odpowiednio pretensjonalnego głosu. Mam tu oczywiście na myśli Londyn bogatych, czyli WestEnd.

Jednego wieczoru – było to już po wizycie w eleganckiej restauracji i czułem się przygnębiony – powiedziałem cioci Annie, że mam ochotę się przejść, i poszedłem na

spacer. Nagle zdałem sobie sprawę, że chciałbym mieć kobietę, to znaczy chciałbym móc sobie powiedzieć, że miałem kobietę, więc zadzwoniłem pod numer, który dał mi jakiś facet podczas ceremonii wręczania czeku: „Jeżeli będzie pan miał ochotę na, no, wie pan na co”. Kobieta oznajmiła: „Jestem zajęta”, wtedy zapytałem, czy zna jakieś inne numery, i podała mi dwa. Wziąłem taksówkę i pojechałem pod drugi z tych adresów. Nie powiem, co się zdarzyło, poza tym, że byłem do niczego. Tak się zdenerwowałem, próbowałem udawać, że doskonale wiem, o co chodzi, a ona się oczywiście zorientowała; była stara i okropna, okropna. Podwójnie okropna, bo i strasznie wyglądała, i tak samo się zachowywała. Była pospolita, zużyta. Jak okaz, którego nie warto brać. Pomyślałem sobie, gdyby mnie tak zobaczyła Miranda. Jak już powiedziałem, starałem się, ale byłem do niczego, zresztą nie starałem się znowu tak bardzo.

Nie jestem prymitywnym chamem, nigdy nie byłem, zawsze miałem, jak to mówią, wyższe aspiracje. Crutchley mawiał, że w dzisiejszych czasach, żeby coś osiągnąć, trzeba się rozpychać. Mówił też: „Popatrzcie na starego Toma, co mu przyszło z jego lizusostwa”. Crutchley zachowywał się bardzo poufale, za bardzo, moim zdaniem. Chociaż sam doskonale wiedział, komu warto się podlizywać, na przykład panu Williamsowi. „Więcej życia, Clegg”, powiedział mi kiedyś pan Williams, kiedy jeszcze pracowałem w wydziale informacji. „Interesantom podoba się uśmiech czy drobny żarcik od czasu do czasu – powiedział – nie wszyscy zostaliśmy obdarzeni takimi zdolnościami jak Crutchley, ale wszyscy możemy próbować”. To mnie naprawdę rozwścieczyło. Mogę śmiało powiedzieć, że miałem kompletnie dosyć ratusza, i tak zamierzałem odejść.

Mogę udowodnić, że się nie zmieniłem, ale trochę już dawała mi się we znaki ciocia Annie, przede wszystkim dlatego, że zaczęły mnie interesować pewne książki, które można kupić w Soho, książki z nagimi kobietami i tak dalej. Mogłem schować pisma, ale były takie książki, które chciałem kupić, i nie mogłem tego zrobić w obawie, żeby nie wpadły jej w ręce. Zawsze chciałem fotografować, więc oczywiście od razu kupiłem najlepszy aparat, Leicę z teleobiektywem i wszystkimi dodatkami. Głównie chodziło mi o zdjęcia żywych motyli, jakie robił sławny pan S. Beaufoy, ale często, kiedy szedłem łapać motyle, natykałem się na różne rzeczy, nikt by nie uwierzył, co wyczyniają parki w miejscach, w których, zdawałoby się, powinny wykazać więcej rozsądku, więc chodziło mi o takie zdjęcia.

Naturalnie, historia z tą kobietą jeszcze dodatkowo mnie przygnębiła, nie

mówiąc o innych powodach. Ciocia Annie, na przykład, uparła się popłynąć statkiem do Australii, żeby zobaczyć swojego syna Boba i wuja Steve'a, swojego młodszego brata, i jego rodzinę. Chciała, żebym z nią pojechał, ale, jak już mówiłem, nie miałem najmniejszej ochoty przebywać dłużej z cicią Annie i z Mabel. Nie to, żebym ich nienawidził, ale gdy byłem w ich towarzystwie, wszyscy od razu wiedzieli, z kim mają do czynienia, znacznie wyraźniej niż gdy byłem sam. Nie ulegało wątpliwości, że to bardzo pospolite osoby, które nigdy nie wyjeżdżały z domu. Oczekiwały, na przykład, że będziemy wszędzie chodzili razem, a jeśli przypadkiem udało mi się spędzić godzinę osobno, to spodziewały się, że opowiem, co robiłem. W dzień po tym, o czym już wspomniałem, powiedziałem im po prostu, że nie wybieram się do Australii. Przyjęły to nie najgorzej, pewnie zdążyły uświadomić sobie, że to w końcu moje pieniądze.

Po raz pierwszy udałem się na poszukiwanie Mirandy w kilka dni po odprowadzeniu cici Annie na statek do Southampton, czyli dokładnie 10 maja. Wróciłem do Londynu. Nie miałem żadnych konkretnych planów; powiedziałem cici Annie i Mabel, że może pojedę za granicę, ale nie byłem tego pewny. Cioce Annie naprawdę się wystraszyła i w przeddzień wyjazdu wieczorem odbyła ze mną poważną rozmowę, żebym się tylko nie żenił, to znaczy zanim ona pozna narzeczoną. Mówiła dużo o tym, że to moje pieniądze i moje życie, i o tym, jaki byłem hojny i tak dalej, ale od razu wiedziałem, że naprawdę bała się, że mógłbym się ożenić z jakąś dziewczyną i wtedy one straciłyby te pieniądze, których zresztą i tak się wstydzily. Nie mam do niej pretensji, to całkiem naturalne zachowanie, zwłaszcza jeśli ma się córkę, która jest kaleką. Sądzę, że takie osoby jak Mabel powinno się bezboleśnie usypiać, ale to nie należy do rzeczy.

Myślałem (i nawet kupiłem w tym celu najlepszy dostępny w Londynie sprzęt), że pojedę w takie miejsca, gdzie można znaleźć rzadkie gatunki i odmiany, i skompletuję przyzwoitą kolekcję. To znaczy, że pojedę gdzieś, zostanę tam tak długo, jak będę miał ochotę, i będę chodził łapać motyle i fotografować. Jeszcze przed ich wyjazdem brałem lekcje jazdy i kupiłem specjalną furgonetkę.

Było tyle różnych gatunków, które chciałem mieć w swojej kolekcji, na przykład pazia, rzadkie odmiany perłowców, jak przepłatka atalia, a także modraszkę ariona czy czarnego ogończyka. Okazy, z którymi większość kolekcjonerów styka się jedynie raz w życiu. A były jeszcze i ćmy. Myślałem, że może nimi też się zajmę.

Staram się wytłumaczyć, że ona stała się moim gościem całkiem

niespodziewanie, nie było to coś, co zacząłem planować w chwili, gdy pojawiły się pieniądze.

Oczywiście, kiedy się już pozbyłem cioci Annie i Mabel, kupiłem wszystkie te książki, na które miałem ochotę. Nie wiedziałem w ogóle, że takie rzeczy istnieją i, prawdę mówiąc, napełniały mnie obrzydzeniem, Pomyślałem sobie, że oto tkwię tutaj w pokoju hotelowym razem z tym wszystkim i jest to zupełnie niepodobne do moich marzeń o nas obojgu, o mnie i Mirandzie. Nagle zorientowałem się, że myślę o niej tak, jakby zupełnie zniknęła z mojego życia, jakbyśmy nie mieszkali w odległości zaledwie kilku mil (w owym czasie przeprowadziłem się już do hotelu na Paddington). Zresztą dotychczas nie miałem zbyt wiele czasu, żeby odkryć, gdzie mieszka. Okazało się to łatwe. Znalazłem Szkołę Sztuk Pięknych im. Slade'a w książce telefonicznej i pewnego ranka czekałem przed szkołą w furgonetce. Ta furgonetka to był jedyny prawdziwy luksus, jaki sobie zafundowałem. Z tyłu miała specjalne pomieszczenie, gdzie można było zainstalować podnoszone łóżko polowe. Kupiłem ją, by zmieścić cały potrzebny sprzęt, kiedy już zacznę jeździć po kraju. Myślałem także, że jeśli kupię furgonetkę, to nie będę musiał ciągle wozić cioci Annie i Mabel, jak wróca. Nie kupiłem jej w celu, do jakiego posłużyła. Cały pomysł zrodził się nagle, niemal jak błysk geniuszu.

Pierwszego ranka nie widziałem Mirandy, ale na drugi dzień nareszcie ją zobaczyłem. Wyszła z całą grupą studentów, przeważnie młodych mężczyzn. Serce waliło mi mocno, ogarnęły mnie mdłości. Miałem aparat gotowy do zdjęcia, ale zabrakło mi odwagi.

Wyglądała tak samo jak dawniej, chodziła lekkim krokiem, bo zawsze nosiła buty na płaskim obcasie, więc nie kołysała się tak jak większość dziewczyn. Kiedy się poruszała, nie myślała wcale o mężczyznach. Jak ptak. Przez cały czas rozmawiała z młodym brunetem, krótko ostrzyżonym, z niewielką grzywką, który wyglądał jak prawdziwy artysta. Było ich sześcioro, ale kiedy ona i ten chłopak przeszli na drugą stronę ulicy, wysiadłem z furgonetki i poszedłem za nimi. Nie oddalili się zbyttnio, weszli do barku kawowego.

Nagle, nie wiem dlaczego, też tam wszedłem, jakby coś mnie wciągnęło do środka, niemal wbrew mojej woli. Kawiarnia była pełna studentów, artystów i im podobnych, prawie wszyscy wyglądali jak bitnicy. Pamiętam jakieś dziwne rzeczy i twarze na ścianach. Chyba miały być afrykańskie.

Z powodu tłoku i hałasu poczułem się tak zdenerwowany, że w pierwszej chwili

jej nie zauważyłem. Siedziała w drugim pomieszczeniu, w głębi. Zająłem stółek przy barze, skąd mogłem ją obserwować. Nie śmiałem spoglądać zbyt często w tamtą stronę, a światło w drugim pomieszczeniu nie było najlepsze.

I nagle stanęła tuż obok mnie. Udawałem, że czytam gazetę, więc nie zauważyłem, kiedy wstała. Poczułem, jak mi czerwienieje twarz, wpatrywałem się w słowa gazety, ale nie mogłem czytać. Nie odważyłem się rzucić nawet ukradkowego spojrzenia – stała tak blisko, że niemal mnie dotykała. Miała sukienkę w granatowo-białą kratkę, ramiona gołe i opalone, włosy rozpuszczone na plecach.

– Jenny, mój aniele, jesteśmy bez grosza, daj dwa papierosy – poprosiła. Dziewczyna przy barze powiedziała coś w rodzaju „znowu!”, a ona na to „jutro, przysięgam”, a potem „dziękuję”, kiedy dziewczyna podała jej dwa papierosy. W ciągu pięciu sekund było po wszystkim, znowu siedziała z tym młodym człowiekiem. Dźwięk głosu przemienił ją z dziewczyny ze snów w realną osobę. Nie umiem powiedzieć, co specjalnego było w jej głosie. Oczywiście, był to głos osoby wykształconej, ale nie pretensjonalny ani przymilny, nie zebrała ani nie domagała się papierosów, po prostu poprosiła o nie ze swobodą, która nie przypominała o różnicy klas. Można by powiedzieć, że mówiła tak samo, jak się poruszała.

Zapłaciłem niemal natychmiast, wróciłem do furgonetki i do hotelu Cremorne, do swojego pokoju. Byłem głęboko poruszony. Częściowo dlatego, że musiała prosić o papierosy, bo nie miała pieniędzy, a ja miałem sześćdziesiąt tysięcy funtów (dziesięć dałem cioci Annie), które gotów byłem złożyć u jej stóp – na to właśnie miałem ochotę. Czulem, że gotów bym zrobić wszystko, żeby ją poznać, żeby jej sprawić przyjemność, żeby zostać jej przyjacielem, żeby móc obserwować ją otwarcie, zamiast szpiegować z ukrycia. O moim stanie świadczy fakt, że włożyłem do koperty pięć banknotów pięćfuntowych, zaadresowałem „Panna Miranda Grey, Szkoła Sztuk Pięknych im. Slade’a” – tylko że oczywiście nie wysłałem. Zrobiłbym to, gdybym mógł widzieć jej twarz w chwili, gdy będzie otwierała kopertę.

Tego dnia po raz pierwszy zafundowałem sobie marzenie, które stało się rzeczywistością. Zaczynało się od tego, że zaatakował ją mężczyzna, a ja podbiegłem i wyratowałem ją. A potem ja w jakiś sposób stałem się atakującym mężczyznę, tyle że nie zrobiłem jej krzywdy; porwałem ją i wywozłem furgonetką do domu na odludziu, i tam trzymałem w przyjemnej niewoli. Stopniowo poznawała mnie i przywiązywała się do mnie, a marzenie przekształciło się w sen o tym, jak mieszkamy w ładnym nowoczesnym domu, po ślubie, mamy dzieci i tak dalej.

Ta wizja mnie prześladowała. Nie pozwalała mi zasnąć w nocy, a w dzień kazała zapominać o tym, co robię. Nie wyprowadzałem się z hotelu Cremorne. Marzenie przestało być marzeniem, zacząłem udawać, że tak właśnie się stanie (oczywiście, byłem przekonany, że tylko udaję), obmyślałem więc sposoby i środki – wszystko, co będę musiał przygotować, zaplanować i jakoś zrealizować. Myślałem, że nigdy nie uda mi się jej poznać w normalny sposób, ale jeżeli będzie jakiś czas przebywała ze mną, dostrzeże moje dobre strony, zrozumie. Zawsze towarzyszyła mi ta myśl, że ona zrozumie.

Zacząłem czytywać lepsze gazety i z tych samych powodów poszedłem do Galerii Narodowej i do Tatę. Nie bardzo mi się podobało, przypominało mi trochę gabloty z cudzoziemskimi okazami w Sali Entomologicznej Muzeum Historii Naturalnej, były piękne, ale nie znane; chodziło mi o to, że nie znałem ich tak, jak okazów brytyjskich. Ale poszedłem, żeby móc z nią rozmawiać, żeby nie wydać się ignorantem.

W jednej z niedzielnych gazet zauważyłem ogłoszenie wydrukowane dużymi literami w dziale „domy na sprzedaż”. Nie szukałem niczego takiego, ale to ogłoszenie przykuło mój wzrok, kiedy przewracałem strony. Z DAŁA OD DZIAŁAJĄCEGO NA NERWY TŁUMU. Po prostu.

Stary dom, położony w uroczym, odludnym miejscu, duży ogród, godzina jazdy samochodem z Londynu, dwie mile od najbliższego miasteczka... i tak dalej.

Następnego ranka pojechałem zobaczyć dom. Zadzwoiłem do agenta handlu nieruchomościami w Lewes i umówiłem się, że ktoś będzie na mnie czekał na miejscu. Kupiłem mapę hrabstwa Sussex. To właśnie dają pieniądze. Usuwają przeszkody.

Spodziewałem się zobaczyć ruinę. Dom wyglądał na stary, nie ma dwóch zdań, czarne belki, białe mury i stare kamienne płytki. Stał osobno. Kiedy podjechałem, wyszedł agent. Spodziewałem się kogoś starszego, ten był w moim wieku, typ absolwenta prywatnej szkoły, robiący głupie uwagi, które miały być dowcipne, jak gdyby sprzedawanie czegokolwiek było poniżej jego godności, a handlowanie domami różniło się od pracy w sklepie. Od razu mnie zniechęcił, bo okazał się bardzo wścibski. Pomyślałem jednak, że skoro już przyjechałem tak daleko, mogę równie dobrze obejrzeć dom. Pokoje nie były szczególnie ładne, ale doskonale wyposażone w nowoczesne urządzenia, elektryczność, telefon i tak dalej. Właścicielem był jakiś emerytowany admirał marynarki czy ktoś taki, który zmarł, potem następny nabywca umarł niespodziewanie i dlatego dom wystawiono na sprzedaż.

Dalej twierdzę, że nie pojechałem tam z zamiarem przekonania się, czy istnieją warunki do przyjęcia sekretnego gościa. Nie umiem powiedzieć, jakie miałem zamiary.

Po prostu nie wiem. To, co robimy, zamazuje to, co robiliśmy przedtem.

Facet chciał wiedzieć, czy dom ma być tylko dla mnie. Wyjaśniłem, że dla ciotki. Powiedziałem prawdę, że chcę jej zrobić niespodziankę, kiedy wróci z Australii.

A co myślę o cenie, dopytywał się dalej.

– Wszedłem właśnie w posiadanie olbrzymiej sumy pieniędzy – powiedziałem, żeby go zatkać. Przy tych słowach schodziliśmy z góry, po obejrzeniu wszystkiego, jak myślałem. Miałem właśnie powiedzieć, że nie tego szukam, że dom jest za mały, żeby jeszcze bardziej go zatkać, kiedy on oświadczył: – No, to już wszystko, nie licząc piwnic.

Trzeba było wyjść tylnym wyjściem, obok którego znajdowały się drzwi. Agent wyjął klucz spod doniczki. Elektryczność nie działała, ale miał z sobą latarkę. Poza zasięgiem słońca było zimno, wilgotno, nieprzyjemnie. W dół prowadziły kamienne stopnie. Na dole poświecił latarką wkoło. Ktoś pobielił ściany, ale musiało to być dawno temu, farba miejscami poodchodziła, mury wyglądały jak nakrapiane.

– Przebiega pod całym domem – wyjaśnił – no i jest jeszcze to.

Zaświecił latarką i zobaczyłem drzwi w kącie ściany naprzeciwko schodów. Znajdowała się tam kolejna duża piwnica, do której prowadziły cztery wysokie stopnie, była niższa, a sufit miała trochę łukowaty, jak pomieszczenia, które można czasami zobaczyć pod kościołem. Stopnie schodziły ukośnie w jeden kąt, więc pokój jakby uciekał.

– Idealne miejsce na orgie – zauważył.

– Do czego to służyło? – zapytałem, ignorując jego głupkowate dowcipy.

Powiedział, że według ich przypuszczeń wiąże się to z odizolowanym położeniem domu. Trzeba było magazynować duże ilości jedzenia. A może była to tajna kaplica rzymskokatolicka. Potem jeden z elektryków wyjaśnił, że była tu kryjówka przemytników, z okresu kiedy jeździli z Newhaven do Londynu.

Wyszliśmy na górę i na zewnątrz. Kiedy zamknął drzwi i włożył klucz pod doniczkę, wydawało się, że piwnica w ogóle nie istnieje.

To były dwa światy. I tak już zostało. Czasami budziłem się i to wszystko wydawało się snem, dopóki znowu nie zszedłem na dół.

Agent spojrział na zegarek.

– Jestem zainteresowany – powiedziałem. – Bardzo zainteresowany. – Byłem tak zdenerwowany, że spojrzał na mnie zdumiony, a ja powiedziałem: – Zdaje mi się, że kupię. – Tak po prostu. Mnie samego to zaskoczyło, ponieważ przedtem zawsze chciałem coś współczesnego, co nazywają nowoczesnym. Nie starą rudere na odludziu.

Agent stał osłupiały, zaskoczony tym, że chciałem kupić, a pewnie i tym, że w ogóle miałem pieniądze, bo wszyscy tak przeważnie reagowali.

Potem odjechał z powrotem do Lewes. Musiał skontaktować się z kimś, kto także interesował się tym domem, więc powiedziałem, że zostanę w ogrodzie, żeby wszystko jeszcze raz przemyśleć przed podjęciem ostatecznej decyzji.

Był to ładny ogród, przylegał do pola, na którym wtedy rosła lucerna, wspaniała rzecz dla motyli. Pole dochodzi do wzgórza (na północy). Na wschód, po obu stronach drogi biegnącej z doliny do Lewes, rośnie las. Na zachodzie rozciągają się pola. Około trzy czwarte mili w dół stoku wzgórza znajduje się gospodarstwo, najbliższej położone zabudowania. Na południe roztacza się wspaniały widok, tyle że zasłania go frontowy żywopłot i jakieś drzewa. Jest także porządny garaż.

Wróciłem do domu, wyjąłem klucz i ponownie zszedłem do piwnicy. Głębsza piwnica musiała się znajdować pięć albo sześć stóp pod ziemią. Panująca tu wilgoć sprawiała, że ściany przypominały mokry las w zimie. Nie widziałem dobrze, bo miałem tylko zapalniczkę. Atmosfera wydawała się trochę przerażająca, ale nie jestem typem przesądnym.

Ktoś może powiedzieć, że miałem szczęście, bo od razu znalazłem odpowiedni dom, ale i tak prędzej czy później bym coś znalazł. Miałem pieniądze i byłem zdenerwowany. Zabawne, Crutchley nazywał to „siłą przebicia”. Nie przebijałem się w ratuszu, to mi nie odpowiadało. Ale chciałbym widzieć, jak Crutchley zorganizowałby to, co ja zorganizowałem ostatniego lata, i jak by to przeprowadził. Nie miałem zamiaru się przechwalać, ale to nie była drobnostka.

Któregoś dnia przeczytałem w gazecie (w rubryce „Powiedzenie dnia”): „Czym woda jest dla ciała, tym cel dla umysłu”. Moim skromnym zdaniem, to bardzo prawdziwe. Kiedy Miranda stała się celem mojego życia, okazało się, że jestem równie dobry jak każdy inny.

Musiałem zapłacić pięćset funtów więcej niż w ogłoszeniu, bo podobno byli inni chętni. Wszyscy mnie obdzierali ze skóry. Mierniczy, budowlaniec, malarze, meblarze z Lewes, którym powierzyłem urządzenie domu. Nie przejmowałem się tym;

dlaczego miałbym się przejmować, pieniądze nie stanowiły problemu. Dostawałem długie listy od ciotki Annie, na które odpisywałem, podając jej sumy odpowiadające połowie tego, co naprawdę zapłaciłem.

Zaangażowałem elektryka, żeby przeprowadził przewody do piwnicy, hydraulicy zainstalowali zlew i doprowadzili wodę. Dałem im do zrozumienia, że zamierzam zająć się stolarką i fotografią i urządzę sobie pracownię w piwnicy. Nie kłamałem, trzeba było wykonać wiele robót stolarskich. Zrobiłem też trochę zdjęć, których nie mógłbym zanieść do wywołania. Nic szczególnie nieprzyzwoitego. Po prostu pary.

W końcu sierpnia robotnicy się wynieśli, a ja się wprowadziłem. Początkowo czułem się jak we śnie. Ale to wkrótce minęło. Nie było tak spokojnie, jak oczekiwałem. Przyszedł człowiek, który chciał się zajmować ogrodem, podobno dotychczas zawsze to robił, i zachowywał się bardzo nieprzyjemnie, kiedy mu odmówiłem. Potem zjawił się pastor z miasteczka i musiałem potraktować go niegrzecznie. Powiedziałem, że chcę, żeby mnie zostawiono w spokoju, jestem nonkonformistą, nie chcę mieć do czynienia z miasteczkiem, więc wyszedł bardzo nadęty. Potem zjawili się różni właściciele sklepików objazdowych w furgonetkach i musiałem ich odprawić. Wyjaśniłem, że kupuję wszystko w Lewes.

Kazałem też rozłączyć telefon.

Wkrótce nauczyłem się zamykać frontowe wejście; była to tylko żelazna furtka, ale miała zamek. Raz czy dwa dostrzegłem spoglądających przez furtkę handlarzy, ale wkrótce ludzie chyba zrozumieli. Zostawili mnie w spokoju i mogłem kontynuować swoją pracę.

Przez miesiąc lub dłużej przygotowywałem plan. Cały czas byłem sam, korzystne okazało się to, że nie miałem naprawdę żadnych przyjaciół. (Nie można określić ludzi z ratusza jako przyjaciół, nie tęsknili za mną, mnie też ich nie brakowało.)

Dawniej często wykonywałem jakieś drobne roboty dla ciotki Annie. Nauczył mnie tego wujek Dick. Całkiem nieźle radziłem sobie ze stolarką i tak dalej, więc naprawdę bardzo ładnie urządziłem dolne pomieszczenie, chociaż to ja sam tak twierdzę. Po osuszeniu piwnicy wyłożyłem ją kilkoma warstwami filcowej izolacji i przyjemną jasnopomarańczową wykładziną podłogową (kolor pogodny) pasującą do ścian (pomalowanych na biało). Kupiłem łóżko i komodę. Stół, fotel i tak dalej. W kącie umieściłem parawan, a za nim umywalnię i połowę toaletę wraz ze wszystkimi

akcesoriami – stworzyło to niemal osobny pokoik. Kupiłem też inne rzeczy, jak skrzynie i mnóstwo książek o sztuce, a także kilka powieści, żeby całość wyglądała przytulniej, co mi się zresztą udało osiągnąć. Nie ryzykowałem obrazów, mogła mieć bardzo wyrobiony gust.

Problemem oczywiście pozostawały nadal drzwi i hałas. Wejście do jej pokoju stanowiła stara dębowa futryna, nie było jednak drzwi, musiałem więc dopasować drzwi i to było moje najtrudniejsze zadanie. Pierwsze drzwi były do niczego, ale drugie już okazały się lepsze. Nawet mężczyzna nie zdołałby ich wyłamać, a co dopiero taka drobna istota jak ona. Zrobione były z dwucalowego wysuszonego drewna i obite blachą, żeby nie mogła dostać się do drewna. Ważyły tonę i niełatwo było zawiesić je na zawiasach, ale dokonałem tego. Na zewnątrz zamocowałem dziesięciocalowe rygle. Następnie zrobiłem bardzo mądrą rzecz. Ze starego drewna wykonałem coś w rodzaju półki na książki, tyle że zamierzałem trzymać tam różne przybory i narzędzia; umocowałem to do zewnętrznej strony drzwi. Na pierwszy rzut oka całość sprawiała wrażenie wnęki wypełnionej półkami. Dopiero po usunięciu tego urządzenia ukazywały się prawdziwe drzwi. Dodatkowo jeszcze tłumilo to dźwięki. Założyłem także rygiel z zamkiem na wewnętrznej stronie drzwi do piwnicy, żeby nikt mi nie przeszkadzał. I alarm. Taki najprostszy, tylko na noc.

W pierwszej piwnicy zainstalowałem niewielką kuchenkę i wszystkie inne urządzenia. Nie miałem pewności, czy nie będzie w pobliżu jakichś ciekawskich, a wyglądałoby podejrzanie, gdybym ciągle nosił tace zjedzeniem w górę i w dół. Nie martwiłem się tym zbytnio, bo tył domu wychodził na pola i lasy. Zresztą ogród z dwóch stron otoczony był murem, a pozostałe dwie odgradzał żywopłot, przez który trudno było cokolwiek zobaczyć. Sytuacja niemal idealna. Myślałem, żeby przeprowadzić schody bezpośrednio z góry, ale byłoby to bardzo kosztowne, a poza tym nie chciałem wzbudzać podejrzeń. W dzisiejszych czasach nie można ufać robotnikom, są zbyt wścibscy.

Przez cały czas nie brałem tego wszystkiego poważnie. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale tak było. Oczywiście, mówiłem sobie, nigdy tego nie zrobię, to tylko udawanie. Zresztą gdybym nie miał tyle wolnego czasu i tych wszystkich pieniędzy, nie doszłoby nawet do tego udawania. Moim zdaniem wielu ludzi, którzy mogą sprawiać wrażenie szczęśliwych, zrobiliby to samo co ja albo coś podobnego, gdyby tylko mieli czas i pieniądze. Chodzi mi o to, że ulegliby temu, od czego teraz się odzegnują. „Władza deprawuje”, mówił zawsze jeden z moich nauczycieli. A pieniądze

to władza.

Zrobiłem jeszcze coś, kupiłem mianowicie dla niej mnóstwo ubrań w sklepie w Londynie. Poszedłem do takiego sklepu, w którym zauważyłem ekspedientkę tego wzrostu co Miranda. Podałem kolory, w jakich zawsze widywałem Mirandę, i kupiłem wszystko to, czego, jak mi powiedzieli, dziewczyna może potrzebować. Opowiedziałem historyjkę o przyjaciółce z północy, której ukradziono bagaże i której chciałem zrobić niespodziankę i tak dalej. Chyba nie uwierzyli mi w sklepie, ale byłem dobrym klientem – wydałem tego ranka prawie dziewięćdziesiąt funtów.

Potrafiłem spędzić całą noc na obmyśleniu środków ostrożności. Siadywałem w jej pokoju i zastanawiałem się, w jaki sposób mogłaby uciec. Pomyślałem sobie, że może być obznajomiona z elektrycznością, dzisiaj można się po dziewczynach spodziewać wszystkiego, więc zawsze nosiłem buty na gumowej podeszwie, nigdy nie dotknąłem kontaktu, zanim mu się dokładnie nie przyjrzałem. Sprawilem sobie specjalny piec do spalania wszystkich śmieci z jej pokoju. Wiedziałem, że żadna rzecz należąca do niej nie może opuścić progów domu. Nie ma mowy o pralni. Zawsze można głupio wpaść.

W końcu pojechałem z powrotem do hotelu Cremorne w Londynie. Przez wiele dni wypatrywałem jej na próżno. To był bardzo denerwujący okres, ale nie dawałem za wygraną. Nie brałem z sobą aparatu fotograficznego, wiedziałem, że to zbyt ryzykowne. Chodziło mi o większą stawkę niż przypadkowa uliczna migawka. Dwa razy poszedłem do baru kawowego. Raz spędziłem tam prawie dwie godziny udając, że czytam książkę, ale ona się nie pojawiła. Przychodziły mi do głowy szalone pomysły: może umarła, a może przestała studiować sztuki piękne. I nagle jednego dnia zobaczyłem ją, kiedy wysiadałem z metra na stacji Warren Street (nie chciałem, żeby furgonetka stała się zbyt znana). Wysiadała z pociągu, który nadjechał z kierunku północnego, na przeciwległym peronie. Nietrudno było ją wyśledzić. Wyszedłem za nią ze stacji i zobaczyłem, że kieruje się w stronę swojego college'u. Przez następne dni obserwowałem stację metra. Może nie zawsze wracała do domu metrem, bo nie widziałem jej przez dwa dni, ale na trzeci dzień zobaczyłem, jak przechodzi przez ulicę i zmierza w stronę stacji. W ten sposób dowiedziałem się, skąd przyjeżdżała. Z Hampstead. Powtórzyłem tam swoje obserwacje. Następnego dnia czekałem, aż wyjdzie ze stacji, i szedłem za nią przez jakieś dziesięć minut wzdłuż małych uliczek, aż do miejsca jej zamieszkania. Minąłem dom, do którego weszła, zapamiętałem jego numer, a na końcu uliczki przeczytałem jej nazwę.

Był to dobrze przepracowany dzień.

Wyprowadziłem się z hotelu Cremorne trzy dni wcześniej i co noc przenosiłem się gdzie indziej, żeby zatrzeć ślady. Łóżko w furgonetce miałem przygotowane, czekały także sznury i szaliki. Zamierzałem użyć chloroformu, którym posłużyłem się kiedyś w zatruwacze. Dał mi go jeden facet z laboratorium. Chloroform nie traci mocy w miarę upływu czasu, ale dla pewności postanowiłem mieszać go z odrobiną czterochlorku węgla, znanego jako CTC, który można kupić bez trudu.

Jeździłem po Hampstead i dokładnie przestudiowałem plany tej dzielnicy w atlasie Londyn od A do Z, opracowałem także trasę szybkiego wyjazdu do Fosters. Wszystko było gotowe. Mogłem więc zająć się obserwacją, a kiedy nadarzy się okazja – zadziałać. W tym okresie postępowałem naprawdę dziwnie, z góry przewidziałem wszystko, jakbym przez całe życie nic innego nie robił. Jakbym był tajnym agentem albo detektywem.

Zdarzyło się to wreszcie dziesięć dni później, jak to się czasem dzieje z motylami. Mam na myśli to, że czasem człowiek idzie na miejsce, w którym można się spodziewać jakiegoś rzadkiego okazu, ale żaden taki okaz się nie pojawia. A innym razem, kiedy się go nie szuka, rzadki okaz siada na kwiat tuż przed nosem człowieka, jakby podany na tacy.

Tego wieczoru stałem jak zwykle przed stacją metra, furgonetkę zaparkowałem kawałek dalej na bocznej ulicy. Dzień był piękny, ale parny, i rzeczywiście skończył się burzą i deszczem. Stałem w drzwiach sklepu naprzeciwko stacji i dostrzegłem ją wychodzącą schodami na ulicę akurat w momencie, kiedy zaczęło lać. Zobaczyłem, że nie ma płaszcza od deszczu, jedynie pulower. Pobieгла za róg do głównego wejścia na stację. Przeszedłem przez ulicę, wokół kłębiły się tłumy ludzi. Stała w budce telefonicznej. Potem wyszła i zamiast jak zwykle skierować się pod górę, poszła inną ulicą. Poszedłem za nią, myśląc, że wszystko na nic. Nie mogłem pojąć, co zamierza zrobić. Nagle skręciła w boczną uliczkę i weszła do kina. Widocznie dzwoniła do domu, żeby powiedzieć, że przeczeka w kinie największą ulewę. Zrozumiałem, że to daje mi szansę, chyba że ktoś po nią przyjdzie. Kiedy weszła na salę, sprawdziłem, jak długo trwa film. Dwie godziny. Zaryzykowałem, a może po prostu chciałem dać losowi szansę, żeby mi przeszkodził. Poszedłem do restauracji na kolację. Potem postawiłem furgonetkę w takim miejscu, z którego mogłem obserwować kino. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, mogła przecież być z kimś umówiona na ten film. To znaczy, czułem, że nie mam na nic wpływu, jakby porwał mnie wodosпад: mogłem się o coś

rozbić, ale mogłem też przepłynąć.

Dokładnie po dwóch godzinach wyszła z kina. Sama. Deszcz już niemal ustał, niebo było zachmurzone, zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Obserwowałem, jak szła zwykłą swoją trasą pod górę. Wyminąłem ją i podjechałem do miejsca, przez które – o czym wiedziałem – będzie musiała przejść. Tutaj ulica, przy której mieszkała, odchodziła półkolem od innej ulicy. Po jednej stronie rosły drzewa i krzewy, a po drugiej stał ogromny dom w wielkim ogrodzie. Wyżej były inne domy, także bardzo duże. Początkowo droga Mirandy prowadziła przez jasno oświetlone ulice.

W grę wchodziło tylko to jedno miejsce.

Wewnątrz kieszeni prochowca przyszyłem plastikową torebkę, do której włożyłem chloroform, CTC i tampon, dzięki czemu tampon ten stale był wilgotny i świeży. Klapkę kieszeni opuściłem na dół, żeby nie wydobywał się zapach, ale w ciągu sekundy mogłem tampon wyciągnąć.

Na ulicy pojawiły się dwie stare kobiety z parasolkami (znowu zaczęło padać) i szły pod górę w moim kierunku. Tego tylko mi było potrzeba, wiedziałem, że ona zaraz nadejdzie, o mało nie poniechałem wówczas całego zamiaru. Pochyliłem się na wszelki wypadek, a kobiety minęły mnie tak zajęte rozmową, że pewno nie zauważyły nawet furgonetki. W tej dzielnicy wszędzie parkowały samochody. Upłynęła minuta. Wysiadłem i otworzyłem tył furgonetki. Wszystko zaplanowałem dokładnie. Ona już się zbliżała. Nie zauważyłem jej wcześniej, dopiero z odległości dwudziestu jardów. Szła szybkim krokiem. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby wieczór był pogodny. Ale drzewami targał porywisty wiatr. I nagle znalazła się na chodniku tuż obok mnie. Zabawne, nuciła coś pod nosem.

– Przepraszam, czy wie pani coś o psach? – zapytałem. Zatrzymała się zdumiona. – Dlaczego pan pyta?

– To straszne, ale właśnie jednego przejechałem. Wyskoczył znienacka. Nie wiem, co z nim zrobić. Jeszcze żyje. – Spojrzałem w głąb furgonetki, bardzo zatroskany.

– Biedna psina – powiedziała.

Zbliżyła się do mnie, żeby zajrzeć do furgonetki. Dokładnie tak, jak się spodziewałem.

– Nie krwawi – powiedziałem – ale nie może się ruszać.

W tym momencie obeszła otwarte tylne drzwi, a ja się cofnąłem, jakbym chciał ułatwić jej zajrzenie do środka. Pochyliła się, żeby lepiej widzieć; rozejrzałem się

wokół, nikogo nie widać, i wtedy ją złapałem. Nie wydała żadnego dźwięku, tak ją zaskoczyłem, wyjąłem z kieszeni tampon i trzymałem go przy jej nosie i ustach, przyciągnąłem ją do siebie, czułem wyziewy chloroformu. Broniła się jak szalona, ale nie starczyło jej siły, była znacznie drobniejsza, niż przypuszczałem. Wydobywała z siebie coś w rodzaju bulgotania. Rozejrzałem się ponownie i pomyślałem, że to koniec, ona zacznie się opierać, a wtedy albo będę musiał zrobić jej krzywdę, albo uciec. Gotów byłem się zmyć. I wtedy nagle – zwiotczała, teraz jedynie ją podtrzymałem, bez używania przemocy. Częściowo wepchnąłem ją do furgonetki, otworzyłem drugą połowę drzwi, wskoczyłem do środka, wciągnąłem ją za sobą i lekko zamknąłem drzwi. Położyłem ją na łóżko. Była moja. Nagle poczułem szalone podniecenie. Wiedziałem już, że mi się udało. Najpierw zakneblowałem jej usta, potem ją przywiązałem, bez pośpiechu, bez paniki, wszystko tak, jak zaplanowałem. Wgramoliłem się na siedzenie kierowcy. Wszystko razem nie trwało nawet minuty. Pojechałem w górę ulicy, wolno i spokojnie, nie spiesząc się, po czym skręciłem na upatrzone miejsce na Hampstead Heath. Tam znowu przeszedłem na tył furgonetki, związałem ją jak należy, używając szalików i tak dalej, żeby się nie pokaleczyła ani nie uderzyła o nic, ale także aby uniemożliwić jej krzyki. Nadal była nieprzytomna, ale oddychała, tak jakby miała katar, więc wiedziałem, że wszystko w porządku.

W pobliżu Redhill zjechałem z głównej drogi, tak jak uprzednio zaplanowałem, zatrzymałem się na nie uczęszczanej bocznej drodze i poszedłem na tył furgonetki, żeby jej się przyjrzeć. Położyłem latarkę w takim miejscu, żeby dawała wystarczające światło. Ona już się obudziła. Jej oczy wydawały się bardzo duże, nie robiły wrażenia przestraszonych, raczej dumnych, jakby postanowiła, że nie okaże strachu, w każdym razie nie za wszelką cenę.

– Proszę się nie bać, nie zrobię pani krzywdy – powiedziałem. Nie przestawała wpatrywać się we mnie.

To było krępujące. Nie wiedziałem, co powiedzieć, zapytałem: – Czy dobrze się pani czuje, czy nie pani nie potrzeba? – ale to zabrzmiało głupio. Naprawdę chodziło mi o to, czy nie musi wyjść.

Zaczęła potrząsać głową. Zrozumiałem, że uwierają knebel.

– Jesteśmy w kompletnej głuszy – powiedziałem – krzyki nie mają sensu, jeśli zacznie pani krzyczeć, natychmiast włożę knebel z powrotem, zrozumiała pani?

Skinęła głową, więc rozwiązałem szalik. Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, podciągnęła się do góry, przekreśliła się na bok i zwymiotowała. To było straszne.

Czułem zapach chloroformu i rzygowin. Nie powiedziała ani słowa. Tylko jęknęła. Straciłem głowę. Nie wiedziałem, co robić. Nagle poczułem, że musimy jak najszybciej znaleźć się w domu, więc z powrotem założyłem jej knebel. Opierała się, słyszałem pod szalikiem słowa „nie, nie, nie”; to było straszne, ale zmusiłem się, żeby to zrobić, bo wiedziałem, że tak będzie najlepiej. Wróciłem za kierownicę i pojechaliśmy dalej.

Dojechaliśmy na miejsce chwilę po wpół do jedenastej. Wjechałem do garażu, wyszedłem, żeby sprawdzić, czy nic się nie wydarzyło podczas mojej nieobecności, chociaż niczego takiego się nie spodziewałem. Nie chciałem jednak wszystkiego zepsuć przez drobne niedopatrzenie. Zszedłem do jej pokoju, wszystko tam było w należytym porządku, niezbyt duszno, ponieważ drzwi zostawiłem otwarte. Przedtem spałem tam jedną noc, żeby się przekonać, czy jest dosyć powietrza. Było dosyć. Znajdowało się tam wszystko, co jest potrzebne do zrobienia herbaty i tak dalej. Pokój wyglądał bardzo komfortowo i przytulnie.

Nareszcie nadszedł więc wielki moment. Poszedłem do garażu i otworzyłem tylne drzwi furgonetki. Podobnie jak poprzednia część operacji i ten etap przebiegł zgodnie z planem. Rozwiązałem pasy, posadziłem ją, oczywiście nogi dalej miała związane. Przez chwilę wierzgała, więc uprzedziłem, że jeżeli się nie uspokoi, będę musiał znowu uciec się do chloroformu i CTC (które jej pokazałem), ale jeżeli zachowa spokój, nie zrobię jej krzywdy. To poskutkowało. Podniosłem ją, nie była tak ciężka, jak się spodziewałem, zniosłem na dół bez trudu; szamotaliśmy się przez chwilę w drzwiach do pokoju, ale niewiele mogła osiągnąć. Położyłem ją na łóżku. Dokonało się.

Była bardzo blada, na granatowym pulowerze została część wymiotów, wyglądała naprawdę okropnie, ale w jej oczach nie widziałem strachu. To dziwne, ale po prostu wpatrywała się we mnie w oczekiwaniu.

Powiedziałem: – To jest pani pokój. Jeśli będzie mnie pani słuchać, nie stanie się pani żadna krzywda. Krzyki nie mają sensu. Na zewnątrz nikt nie usłyszy, zresztą nigdy nie ma tu w pobliżu nikogo, kto mógłby usłyszeć. Teraz panią zostawię, tu są herbatniki i kanapki (kupiłem je na Hampstead), może pani sobie zrobić herbatę albo kakao. Wrócę jutro rano.

Widziałem, że chciała, żebym zdjął knebel, ale nie miałem zamiaru tego zrobić. Rozwiązałem jej tylko ręce i natychmiast się wycofałem. Usiłowała wyszarpnąć knebel, ale zdążyłem wcześniej zamknąć i zaryglować drzwi. Słyszałem, jak krzyczała: „Proszę wrócić!” I jeszcze raz, ale niezbyt głośno. Potem próbowała otworzyć drzwi,

ale też niezbyt usilnie. Potem zaczęła walić w drzwi czymś twardym. Myślę, że szczotką do włosów. Nie było to zbyt głośne, ale na wszelki wypadek zamocowałem fałszywą półkę i wiedziałem, że na zewnątrz nic nie będzie słycać. Spędziłem godzinę w pierwszej piwnicy. Nie było to konieczne, w jej pokoju nie znajdowało się nic takiego, czym mogłaby wyłamać drzwi, nawet gdyby miała dość siły. Kupiłem plastikowe kubki i spodeczki, aluminiowy czajnik do herbaty, sztuce i tak dalej.

W końcu poszedłem na górę i położyłem się do łóżka. Nareszcie była moim gościem i tylko to się liczyło. Długo nie mogłem zasnąć, myśląc o wszystkim. Nie miałem całkowitej pewności, czy furgonetka nie naprowadzi na ślad, ale przecież były setki takich furgonetek; niepokoiły mnie naprawdę tylko te dwie kobiety, które przeszły obok.

Leżałem tak, myśląc o niej, leżącej równie bezsennie na dole. Oddałem się przyjemnym marzeniom o tym, jak schodzę na dół i pocieszam ją; byłem podniecony, może posunąłem się trochę za daleko w moich marzeniach, ale nie zaniepokoiło mnie to naprawdę, wiedziałem, że moja miłość jest jej warta. A potem zasnąłem.

Później zawsze mi powtarzała, jaki to okropny czyn popełniłem i jak bardzo powinienem się starać, żeby to sobie dokładnie uświadomić. Mogę tylko powiedzieć, że tamtego wieczoru byłem bardzo szczęśliwy, jak już wspominałem, tak jakbym dokonał bardzo śmiałego czynu, jak wejście na Everest czy działania na terytorium nieprzyjaciela. Odczuwałem tak wielkie szczęście, ponieważ miałem jak najlepsze zamiary. Ona tego nigdy nie potrafiła zrozumieć.

Podsumowując, muszę stwierdzić, że tamtego wieczoru zrobiłem najlepszą rzecz w życiu (prócz wygranej w totka, oczywiście). Jakbym ponownie schwytał modraszka mazarina albo perłowca mniejszego. Chcę powiedzieć, że było to coś, co może się zdarzyć jedynie raz w życiu, a często się nie zdarza w ogóle; coś, o czym się marzy, nie mając naprawdę żadnych nadziei na spełnienie.

Nie potrzebowałem budzika, obudziłem się wcześniej. Zszedłem do piwnicy, zamykając za sobą drzwi. Wszystko dokładnie zaplanowałem. Zapukałem do jej drzwi i zawołałem: – Proszę wstać – odczekałem dziesięć minut, dopiero potem odsunąłem rygle i wszedłem. Przyniosłem jej torebkę, którą oczywiście uprzednio przeszukałem. Nie mogła się posłużyć niczym oprócz pilnika do paznokci i maszynki do golenia; oba te przedmioty skonfiskowałem.

Palilo się światło, ona stała przy fotelu. Była kompletnie ubrana i znowu wpatrywała się we mnie bez żadnych oznak strachu; naprawdę nie brakowało jej

bezczelności. To dziwne, ale wcale nie wyglądała tak, jak ją zawsze pamiętałem. Oczywiście, nigdy przedtem nie widziałem jej z tak bliska.

– Mam nadzieję, że pani dobrze spała.

– Gdzie jesteśmy? Kim pan jest? Dlaczego pan mnie tu przywiózł? – Powiedziała to bardzo spokojnie, bez cienia gwałtowności.

– Nie mogę pani powiedzieć.

– Domagam się natychmiastowego uwolnienia. To wprost niesłychane.

Staliśmy tak, patrząc na siebie.

– Proszę się odsunąć. Wychodzę stąd. – I szła prosto na mnie, w kierunku drzwi. Aleja nawet nie drgnąłem. Przez moment myślałem, że mnie zaatakuje, ale widać musiała uznać, że byłoby to głupie. Byłem absolutnie zdeterminowany, w żadnym razie nie mogłaby zwyciężyć. Zatrzymała się tuż przede mną i poleciała: – Proszę się usunąć.

– Nie może pani jeszcze wyjść – powiedziałem. – Proszę mnie nie zmuszać do ponownego użycia siły.

Obrzuciła mnie zimnym, wyniosłym spojrzeniem i odwróciła się.

– Nie mam pojęcia, za kogo pan mnie bierze. Jeżeli bierze mnie pan za córkę jakiegoś bogacza i spodziewa się wysokiego okupu, to czeka pana poważny zawód.

– Wiem, kim pani jest. Nie chodzi o pieniądze.

Nie wiedziałem, co powiedzieć z powodu podniecenia, że nareszcie się tu znalazła, ona, we własnej osobie. Bardzo byłem zdenerwowany. Chciałem przyglądać się jej twarzy, jej cudownym włosom, całej drobnej i uroczej postaci, ale nie mogłem, bo tak się we mnie wpatrywała. Nastąpiło dziwne milczenie.

Nagle powiedziała jakby oskarżycielskim tonem: – A czy ja przypadkiem pana nie znam?

Zacząłem się czerwienić, nic nie mogłem na to poradzić; tego nie przewidziałem, nigdy nie przypuszczałem, że może mnie znać.

– Ratusz – oznajmiła powoli.

– Nie wiem, o co pani chodzi.

– Zapuścił pan wąsy.

Dalej nie mam pojęcia, skąd wiedziała. Mogła mnie widzieć parokrotnie w mieście, może nawet czasami widywała mnie z okien domu; o tym nie pomyślałem, byłem zupełnie skołowany.

– Pana zdjęcie było w gazecie.

Nienawidziłem, kiedy mnie rozszyfrowywano, nie wiem dlaczego, zawsze usiłowałem jakoś się wytłumaczyć, to znaczy wymyślić jakąś wyjaśniającą historyjkę. Nagle dostrzegłem wyjście.

– Wypełniam tylko polecenia – powiedziałem.

– Polecenia? Czyje polecenia?

– Nie mogę pani powiedzieć.

Nie przestawała wpatrywać się we mnie. I trzymała się na odległość, a jakże, pewnie spodziewała się, że ją zaatakuję.

– Czyje polecenia? – zapytała znowu.

Usiłowałem pomyśleć o kimś. Nie wiem dlaczego, przyszło mi do głowy jedyne nazwisko, które mogła znać. Pan Singleton, dyrektor oddziału banku Barclays. Wiedziałem, że jej ojciec ma tam konto. Widywałem go tam wielokrotnie, kiedy chodziłem do banku, widziałem, jak rozmawiał z panem Singletonem.

– Polecenia pana Singletona – powiedziałem.

Robiła wrażenie szczerze zaskoczonej, więc szybko brnąłem dalej. – Nie powinienem pani tego mówić, gdyby się dowiedział, zabiłby mnie.

– Pan Singleton? – zapytała, jakby poprzednio zawiódł ją słuch.

– On jest inny, niż pani sądzi.

Nagle usiadła na poręczy fotela, jakby to wszystko przekraczało jej siły. – Chce mi pan wmówić, że porwał mnie pan na polecenie Singletona?

Skinąłem głową.

– Ależ ja znam jego córkę. On jest... och, to szaleństwo.

– Pamięta pani dziewczynę z Penhurst Road?

– Jaką dziewczynę?

– Tę, co zginęła trzy lata temu.

Sam to wymyśliłem. Tego ranka mój umysł pracował naprawdę szybko. Tak mi się wydawało.

– Musiałam być wtedy w szkole. Co się z nią stało?

– Nie wiem. Poza tym, że on to zrobił.

– Co zrobił?

– Nie wiem. Nie wiem, co się z nią stało. Ale cokolwiek to było, on to zrobił.

Nigdy więcej o niej nie słyszano.

Nagle zapytała: – Czy ma pan papierosa?

Bardzo niezręcznie wyjąłem z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę,

podszedłem i podałem jej. Nie wiedziałem, czy powinienem przypalić jej papierosa, ale wydawało mi się to głupie.

Powiedziałem: – Nic pani nie jadła.

Trzymała papierosa w palcach jak prawdziwa dama. Zdążyła już wyczyścić pulower. Powietrze było ciężkie.

Nie zwróciła najmniejszej uwagi na moje stwierdzenie. Dziwne, ale nie miałem wątpliwości, że wie o moich kłamstwach.

– Twierdzi pan, że Singleton jest maniakiem seksualnym i porywa dziewczęta, a pan mu w tym pomaga?

– Nie mam wyboru. Ukradłem pieniądze z banku, poszedłbym do więzienia, gdyby się to wydało, on mnie tym szantażuje, rozumie pani.

Przez cały czas wpatrywała się we mnie. Miała olbrzymie, wyraziste oczy, pełne ciekawości, zawsze poszukujące odpowiedzi. (Ale nie wścibskie, ma się rozumieć.)

– Wygrał pan masę pieniędzy, prawda?

Wiedziałem, że moje opowieści nie bardzo trzymały się kupy. Oblewałem się potem, byłem bardzo zaniepokojony.

– Więc dlaczego nie zwrócił pan tych pieniędzy do banku? Ile to było? Siedemdziesiąt tysięcy funtów? Chyba nie ukradł pan aż tyle? A może po prostu pomaga mu pan dla przyjemności?

– Są jeszcze inne rzeczy, których nie mogę pani powiedzieć. On ma nade mną władzę.

Wstała, ręce trzymała w kieszeniach spódnicy. Dla odmiany wpatrywała się przez chwilę w swoje odbicie w lustrze (metalowym, oczywiście, nie szklanym).

– Co on zamierza mi zrobić?

– Nie wiem.

– Gdzie jest teraz?

– Zjawi się, mam nadzieję.

Przez chwilę nic nie mówiła. Wydawało się, że nagle przyszło jej do głowy coś nieprzyjemnego, jakby, na przykład, wszystko to, co powiedziałem, było prawdą.

– To z pewnością jego dom w Suffolk.

– Tak – powiedziałem, uważając, że jestem bardzo sprytny.

– On nie ma domu w Suffolk – wyjaśniła zimno.

– Tego pani nie wie – powiedziałem, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonywająco.

Zamierzała coś powiedzieć, ale czułem, że muszę położyć kres jej pytaniom; nie miałem pojęcia, że jest taka bystra. Nie tak jak normalni ludzie.

– Przeszedłem zapytać, co pani chce na śniadanie. Może być zupa mleczna, jajka i tak dalej.

– Nie chcę żadnego śniadania. Ten koszmarny pokoik. I środek usypiający! Co to było?

– Nie wiedziałem, że spowoduje wymioty. Naprawdę.

– Pan Singleton powinien był panu wyjaśnić. – Nie ulegało wątpliwości, że nie uwierzyła w tę historyjkę. Po prostu była złośliwa.

Zapytałem pospiesznie: – Czy chce pani kawę czy herbatę? – a ona powiedziała: – Kawę, jeśli pan najpierw wypije trochę – więc zostawiłem ją i poszedłem do zewnętrznej piwnicy. Zanim zamknąłem drzwi, powiedziała: – Zostawił pan zapalniczkę.

– Mam drugą. (Wcale nie miałem.)

– Dziękuję.

Zabawne, ale prawie się uśmiechnęła.

Zrobiłem neskę, zaniósłem, ona patrzyła, jak wypilem trochę, potem sama wypila. Przez cały czas zadawała pytania, nie, to ja przez cały czas czułem, że może zadać pytanie, że zniecka zada takie pytanie, którym będzie próbowała mnie skompromitować. Jak długo ma tu zostać, dlaczego jestem dla niej taki uprzejmy. Wymyślałem odpowiedzi, ale wiedziałem, że wypadały słabo, przy niej niełatwo było wymyślać coś na poczekaniu. W końcu powiedziałem, że idę po zakupy, i poprosiłem, żeby mi powiedziała, czego chce. Obiecałem, że kupię wszystko, czego będzie chciała.

– Wszystko? – zapytała.

– W granicach rozsądku – powiedziałem.

– Tak panu polecił Singleton?

– Nie, to moja inicjatywa.

– Chcę tylko odzyskać wolność. – Nie mogłem z niej wydobyć nic więcej. To straszne, ale nagle przestała się odzywać, więc musiałem ją zostawić.

W czasie obiadu nadal nie chciała rozmawiać. Ugotowałem obiad w zewnętrznej piwnicy i zaniósłem jej. Ale prawie nic nie zjadła. Znowu próbowała mnie naciągnąć, żebym ją wypuścił, zimna jak lód, ale nie dałem się nabrać.

Kolacji też prawie nie tknęła. Wieczorem poszedłem do niej i usiadłem przy drzwiach. Przez jakiś czas paliła papierosa z zamkniętymi oczami, jakby męczył ją mój

widok.

– Zastanawiałam się. Wszystko, co mi pan opowiedział o Singletonie, to bajki. Nie wierzę w to. Przede wszystkim, on nie jest takim typem. A gdyby nawet był, nie wziąłby pana do pomocy. Nie poczyniłby tych wszystkich fantastycznych przygotowań.

Nic nie powiedziałem. Nie mogłem nawet na nią spojrzeć.

– Zadał pan sobie wiele trudu. Te wszystkie ubrania, książki o sztuce. Dziś po południu obliczyłam ich wartość. Czterdzieści trzy funty. – Zdawało się, że mówiła do siebie. – Jestem pańskim więźniem, ale chciałby pan, żebym była więźniem szczęśliwym. Są więc dwie możliwości: jest pan członkiem gangu i trzyma mnie pan tu dla okupu albo w grę wchodzi coś innego.

– Nie jestem. Powiedziałem już pani.

– Wie pan, kim jestem. Więc musi pan wiedzieć, że mój ojciec nie jest bogaty. Nie może tu chodzić o okup.

Czułem się niesamowicie słuchając, jak sobie to wszystko przemyślała.

– Pozostaje więc tylko seks. Pan chce coś ze mną zrobić. – Obserwowała mnie.

Co za stwierdzenie. Zupełnie mnie zaskoczyło.

– Wcale nie o to chodzi. Zachowam cały należny szacunek. Nie jestem takim typem. – Zabrzmiało to bardzo obcesowo.

– A więc musi pan być szalony – powiedziała. – Oczywiście, w miły, łagodny sposób. – Odwróciła się. – Przyznaje pan, że historia z Singletonem nie jest prawdziwa?

– Chciałem panią poinformować delikatnie – powiedziałem.

– Poinformować o czym? – zapytała. – O gwałcie? O morderstwie?

– Nigdy nic takiego nie powiedziałem. – Wydawało się, że stale zmusza mnie do przyjmowania postawy obronnej. W moich marzeniach działo się zawsze na odwrót.

– Dlaczego tu jestem?

– Chcę, żeby była pani moim gościem.

– Pańskim gościem!

Wstała, obeszła fotel, oparła się o jego plecy, nie spuszczać ze mnie wzroku. Zdjęła granatowy pulower, miała na sobie ciemnozieloną sukienkę w kratkę, przypominającą fartuszek uczniowski, pod spodem białą bluzkę rozpiętą pod szyją. Włosy splotła w warkocz. Miała uroczą twarz. Robiła wrażenie bardzo dzielnej. Nie

wiem dlaczego, wyobraziłem sobie nagle, że siedzi na moich kolanach, zupełnie nieruchoma, a ja głaszczę jej miękkie jasne włosy, rozpuszczone tak, jak często później je widywałem.

Nagle powiedziałem: – Kocham panią, to mnie doprowadza do szaleństwa.

– Rozumiem. – Jej głos był dziwnie poważny. Wtedy już na mnie więcej nie spojrzała.

Wiem, że to bardzo staroświeckie powiedzieć kobiecie, że się ją kocha; nie miałem wtedy najmniejszego zamiaru tego zrobić. W moich marzeniach zawsze pewnego dnia patrzyliśmy sobie w oczy, całowaliśmy się i nie padały przez dłuższy czas żadne słowa. Facet zwany Nobbym w Służbie Płatniczej Królewskich Sił Lądowych utrzymywał, że nigdy nie należy mówić kobiecie, że się ją kocha. Nawet jeżeli to prawda. Jeżeli już trzeba powiedzieć „kocham cię”, należy to mówić żartem. Nobby twierdził, że wtedy kobiety nie dają człowiekowi spokoju. Należy udawać niedostępnego. Zabawne, powtarzałem sobie przedtem tysiące razy, że nie mogę jej tego powiedzieć, muszę pozwolić, żeby to wyszło jako naturalny odruch z obu stron. Ale kiedy miałem ją u siebie, traciłem głowę i często mówiłem to, czego powiedzieć nie zamierzałem.

Nie chodzi mi o to, że powiedziałem jej wszystko. Powiedziałem, że pracowałem w ratuszu, że widywałem ją i myślałem o niej, i o tym, jak się zachowywała, i jak się poruszała, i ile dla mnie znaczyła. Powiedziałem o tym, jak dostałem pieniądze, i wiedziałem, że mimo to ona nie będzie chciała mnie znać, i o tym, że czułem się samotny. Kiedy skończyłem, siedziała na łóżku, wpatrując się w dywan. Nie odzywaliśmy się do siebie przez bardzo długą chwilę. Słysząc było tylko warkot wentylatora w zewnętrznej piwnicy.

Czułem się zawstydzony. Zarumieniłem się.

– Uważa pan, że trzymając mnie w niewoli, skłoni mnie pan do pokochania go?

– Chcę, żeby mnie pani poznała.

– Dopóki tu jestem, będzie pan dla mnie po prostu porywaczem. Czy pan zdaje sobie z tego sprawę?

Wstałem. Nie chciałem już dłużej z nią przebywać.

– Chwileczkę – powiedziała, podchodząc do mnie. – Dam panu moje słowo. Naprawdę rozumiem. Niech mnie pan puści. Nikomu o tym nie powiem i nic się nie stanie.

Po raz pierwszy obrzuciła mnie przyjaznym spojrzeniem. Mówiło „zaufaj mi”,

równie wyraźnie jak słowa. Uśmiezek wokół podniesionych na mnie oczu. Pełna zapachu.

– Może pan to zrobić. Możemy zostać przyjaciółmi. Mogłabym panu pomóc.

Nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Jeszcze nie jest za późno.

Nie umiem powiedzieć, co odczuwałem, po prostu musiałem od niej wyjść, naprawdę sprawiała mi przykrość. Więc zamknąłem drzwi i zostawiłem ją samą. Nawet nie powiedziałem dobranoc.

Nikt tego nie zrozumie, wszyscy pomyślą, że porwałem ją w wiadomych celach. Czasami, kiedy przeglądałem książki, zanim się pojawiła, sam tak myślałem, a zresztą nie wiem. Dopiero kiedy się pojawiła, wszystko się zmieniło, nie myślałem już o książkach ani o tym, żeby mi pozowała. Takie rzeczy napawały mnie obrzydzeniem, ponieważ wiedziałem, że dla niej też byłyby obrzydliwe. Miała w sobie coś tak miłego, że nie można było być dla niej niemiłym; nie ulegało zresztą wątpliwości, że oczekiwała takiego właśnie zachowania. Chodzi mi o to, że w jej obecności inne rzeczy wydawały się brudne. Nie przypominała kobiet, których się nie szanuje, więc człowiek nie zwraca uwagi na swoje postępowanie; wzbudzała szacunek, więc trzeba było uważać.

Niewiele spałem tej nocy, bo wstrząśnięty byłem obrotem spraw. Już pierwszego dnia tyle naopowiadałem, a jej obecność powodowała, że czułem się jak głupiec. Chwilami myślałem, że zejdę na dół i odwiozę ją z powrotem do Londynu, tak jak sobie życzyła. Sam mógłbym wyjechać za granicę. Ale wtedy przypominała mi się jej twarz i warkocz, układający się trochę ukośnie, i sposób, w jaki stała, i jak się poruszała, i jej piękne wyraziste oczy. Wiedziałem, że nie będę mógł tego zrobić.

Przy śniadaniu – tego ranka zjadła trochę zupy mlecznej i wypila kawę, ale nie rozmawialiśmy przez cały czas – była już ubrana, a łóżko zasłała inaczej niż przedtem, musiała więc w nim spać. W każdym razie zatrzymała mnie, kiedy wychodziłem.

– Chciałabym z panem porozmawiać. Niech pan usiądzie. Usiadłem na krześle przy schodach.

– Niech pan posłucha, to jest szaleństwo. Jeżeli rzeczywiście mnie pan kocha w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie może pan chcieć mnie tutaj trzymać. Widzi pan, że jestem nieszczęśliwa. Brak tu powietrza, w nocy nie ma czym oddychać, obudziłam się z bólem głowy. Umrę, jeżeli będzie mnie pan tu długo przetrzymywał. – Robiła wrażenie naprawdę zaniepokojonej.

– To nie będzie trwało długo. Obiecuję.

Wstała, stanęła przy komódce i wpatrywała się we mnie.

– Jak się pan nazywa? – zapytała.

– Clegg – odpowiedziałem.

– A jak panu na imię?

– Ferdynand.

Obrzuciła mnie szybkim, nie dowierającym spojrzeniem.

– To nieprawda – powiedziała. Przypomniałem sobie, że mam w marynarce portfel ze złotymi inicjałami, więc jej pokazałem. Nie mogła wiedzieć, że F oznaczało Fryderyka. Zawsze podobało mi się imię Ferdynand, jeszcze zanim ją poznałem. Brzmi tak jakoś cudzoziemsko i dystygowanie. Wujek Dick czasami mnie tak nazywał, w żartach (lord Ferdynand Clegg, markiz inspektorów) – mawiał.

– To czysty zbieg okoliczności – powiedziałem.

– Pewnie nazywają pana Ferdie. Albo Ferd.

– Zawsze Ferdynand.

– Słuchaj, Ferdynandzie, nie wiem, co we mnie widzisz. Nie wiem, dlaczego jesteś we mnie zakochany. Może mogłabym się w tobie zakochać w jakimś innym miejscu. Ja... – wydawało się, że nie wie, co powiedzieć, była to dla niej niezwykła sytuacja – .. ja lubię łagodnych, miłych mężczyzn. Ale nie mogłabym się w tobie zakochać w tym pokoju; tutaj nie mogłabym się zakochać w nikim. W żadnym wypadku.

– Chcę cię tylko poznać – odpowiedziałem.

Przez cały czas siedziała na komodzie, obserwując, jakie wrażenie wywierają na mnie jej słowa. Więc nabrałem podejrzeń. Wiedziałem, że to próba.

– Nie możesz porywać ludzi po to, żeby ich poznać!

– Bardzo chcę cię poznać. Nie miałbym na to najmniejszej szansy w Londynie. Nie jestem mądry i tak dalej. Nie należę do twojej klasy. Za nic na świecie nie pokazałabyś się ze mną w Londynie.

– To niesprawiedliwe. Nie jestem snobką. Nie cierpię snobów. Nie uprzedzam się do ludzi.

– Nie potępiam ciebie – powiedziałem.

– Nienawidzę snobizmu. – Mówiła z wielką gwałtownością.

Potrafiła wypowiadać pewne słowa z wyjątkową mocą, szczególnie je podkreślać. – Niektórzy z moich najlepszych przyjaciół w Londynie należą do... do

klasy, którą określa się jako klasę pracującą. Pochodzą z rodzin robotniczych. Po prostu nie przywiązujemy do tego wagi.

– Na przykład Peter Catesby – powiedziałem. (To było nazwisko tego młodzieńca ze sportowym samochodem.)

– Peter! Nie widziałam go od miesiący. To matoł ze średniej klasy z przedmieścia.

Ciągle miałem przed oczami tę scenę, jak wsiadała do jego wystrzałowego MG. Nie wiedziałem, czy mogę jej ufać.

– Pewnie piszą już o tym we wszystkich gazetach.

– Nie sprawdzałem.

– Możesz na długie lata iść do więzienia.

– Będzie warto. Warto będzie iść na dożywocie – powiedziałem.

– Obiecuję, przysięgam, że jeżeli mnie wypuścisz, nikomu nie powiem. Wymyślę jakąś historyjkę. Będę się z tobą spotykała tak często, jak będziesz chciał, tak często, jak tylko będę mogła, kiedy nie będę pracowała. Nikt poza nami nigdy się o tym nie dowie.

– Nie mogę – powiedziałem. – Nie teraz. – Czułem się jak okrutny władca, kiedy ona mnie tak błagała.

– Jeżeli mnie teraz wypuścisz, zacznę cię podziwiał. Pomyślę: miał mnie w swoich rękach, ale okazał się rycerski, zachował się jak prawdziwy dżentelmen.

– Nie mogę – powiedziałem. – Nie proś. Proszę, nie proś o to.

– Pomyślę, że naprawdę warto znać kogoś takiego. – Obserwowała mnie, przycupnąwszy na komodzie.

– Teraz muszę iść – powiedziałem. Wyszedłem tak szybko, że przewróciłem się na najwyższym stopniu. Zeskoczyła z komody i stała, patrząc na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Proszę – powiedziała. Bardzo łagodnie i miło. Trudno było się oprzeć.

Przypominało to chwytanie pożądanego okazu w dwa palce, z braku siatki (zawsze szło mi to bardzo dobrze): trzeba wolniutko podejść z tyłu i już się go ma, tyle że trzeba chwycić za tułów i motyl trzepocze się w rękę. To było trudniejsze niż posługiwanie się zatrutą igłą. A tutaj trudności się podwajały, ponieważ nie chciałem jej zabić, w żadnym wypadku tego nie chciałem.

Często rozwodziła się nad tym, jak nienawistne są jej różnice klas, ale mnie nigdy nie potrafiła zrozumieć. Ludzi zdradza sposób wyrażania się, a nie to, co mówią.

Wystarczyło tylko poobserwować jej eleganckie zachowanie, by zorientować się od razu, jak została wychowana. Nie była tak pretensjonalna jak inni, ale jednak to w niej tkwiło. Szczególnie rzucało się w oczy, kiedy robiła się wobec mnie sarkastyczna i niecierpliwa, bo nie potrafiłem się należycie wysłowić albo zrobiłem coś nie tak. „Przestań myśleć o różnicy klas”, mawiała. Jak bogacz mówiący biedakowi, żeby przestał myśleć o pieniądzach.

Nie mam jej tego za złe, pewnie jej niektóre szokujące słowa i postęпки miały mi udowodnić, że wcale nie jest taka dystygowana, ale jednak była. Kiedy wpadała w złość, dosiadała tego swojego konika i traktowała mnie nie lepiej niż inni.

Zawsze istniała między nami różnica klas.

Tamtego ranka pojechałem do Lewes. Między innymi dlatego, że chciałem zobaczyć gazety. Kupiłem wszystkie. W każdej była jakaś wzmianka. W niektórych brukowcach były nawet długie teksty, dwa zamieściły zdjęcia. Dziwnie się czułem, czytając te wiadomości. Znalazłem tam rzeczy, o których wcześniej nie wiedziałem.

„Zaginęła długowłosa studentka sztuk pięknych, Miranda Grey, lat 20, która w ubiegłym roku zdobyła prestiżowe stypendium najlepszej londyńskiej Szkoły Sztuk Pięknych im. Slade’a. W czasie roku akademickiego mieszkała przy Hamnett Rd NWS pod numerem 29, u swojej ciotki, panny Vanbrugh-Jones, która wczoraj późnym wieczorem powiadomiła policję. Miranda zatelefonowała we wtorek po zajęciach, że idzie do kina i wróci do domu zaraz po ósmej. Od tej pory nikt jej nie widział”.

Przy jej wielkim zdjęciu umieszczono podpis: „Czy widziałeś tę dziewczynę?”

Inna gazeta bardzo mnie ubawiła.

„W ostatnich miesiącach mieszkańców Hampstead coraz bardziej niepokoją bandy zmotoryzowanych »wilków«. Pierś Broughton, kolega ze studiów i bliski przyjaciel Mirandy, powiedział mi w kawiarni, do której często ją zabierał, że w dniu swego zniknięcia Miranda sprawiała wrażenie zadowolonej i umówili się, że dzisiaj pójdą razem na wystawę. Pierś oświadczył: »Miranda zna Londyn. Na pewno nie skorzystałaby z propozycji podwiezienia do domu i tak dalej. Bardzo się o nią niepokoję«.

Przedstawiciel szkoły im. Slade’a powiedział nam: »Jest to jedna z najbardziej obiecujących studentek drugiego roku. Mamy nadzieję, że za jej zniknięciem kryje się jakiś najzupełniej niewinny powód. Młodzi ludzie o uzdolnieniach artystycznych często miewają kaprysy«.

Tajemnica nadal pozostaje nie wyjaśniona.

Policja prosi osoby, które widziały Mirandę we wtorek wieczorem, które słyszały lub zauważyły coś podejrzanego w rejonie Hampstead, o skontaktowanie się z najbliższym komisariatem”.

Podali informację, jak była ubrana i tak dalej, zamieścili także zdjęcie. Inna gazeta informowała, że policja zamierza przeszukać stawy, na Hampstead Heath. Jeszcze inna pisała o Piersie Broughtonie i o tym, że byli z Miranda nieoficjalnie zaręczeni. Zastanawiałem się, czy to ten bitnik, z którym ją widziałem. Któraś z gazet podawała: „Jest to jedna z najbardziej lubianych studentek, wyjątkowo uczynna”. Wszędzie pisano, że Miranda jest bardzo ładna. Było dużo zdjęć. Gdyby była brzydka, najpewniej skończyłoby się na dwóch liniijkach na ostatniej stronie.

W drodze powrotnej zatrzymałem się na poboczu drogi i przeczytałem wszystkie gazety. Nie wiem, dlaczego dało mi to poczucie władzy. Ci wszyscy poszukujący ludzie, podczas gdy ja jeden znam odpowiedź. Jadąc do domu, zdecydowałem, że nic jej nie powiem.

Tak się złożyło, że kiedy wróciłem, zapytała mnie przede wszystkim o gazety. Czy było coś o niej? Powiedziałem, że nie sprawdzałem i nie mam zamiaru tego robić. Nie interesują mnie gazety, bo drukują same bzdury. Nie nalegała.

Nigdy nie pozwoliłem jej zajrzeć do gazet. Nigdy nie pozwoliłem na radio ani telewizję. Któregoś dnia, jeszcze zanim się w ogóle pojawiła, czytałem książkę Sekrety gestapo, wszystko o torturach i tak dalej, jakie musieli stosować w czasie wojny, i o tym, że jedną z pierwszych rzeczy, do których musi się przyzwyczaić więźniów, jest brak wiadomości ze świata zewnętrznego. Chodzi o to, że nie dopuszczali do więźniów żadnych wiadomości, nie pozwalali im nawet rozmawiać ze sobą, i w ten sposób więźniowie byli kompletnie odcięci od swego dawnego świata. I to ich załamywało. Oczywiście ja nie chciałem jej złamać tak jak gestapo łamało swoich więźniów. Uznałem jednak, że lepiej będzie odciąć ją od świata zewnętrznego, bo wtedy będzie musiała więcej myśleć o mnie. Więc mimo jej licznych próśb nigdy nie pozwoliłem na czytanie gazet ani słuchanie radia. Na początku nie chciałem, żeby czytała o tym, co robi policja i w ogóle, bo to by ją tylko przygnębiło. Można by powiedzieć, że była to z mojej strony niemal uprzejmość.

Tego wieczoru ugotowałem na kolację mrożony groszek i mrożonego kurczaka w białym sosie. Zjadła i wydawało się, że jej smakuje. Potem zapytałem, czy mogę chwilę zostać.

– Jeżeli chcesz – powiedziała. Siedziała na łóżku, z koca zrobiła poduszkę,

opierała plecy o ścianę, a nogi podwinęła pod siebie.

Przez chwilę paliła papierosa i przeglądała jeden z albumów, który jej kupiłem.

– Czy wiesz coś o sztuce? – zapytała.

– Nic, co by można nazwać wiedzą.

– Tak przypuszczałam. Gdybyś wiedział cokolwiek, nie uwięziłbyś niewinnej osoby.

– Nie widzę związku – powiedziałem.

Zamknęła książkę. – Opowiedz mi o sobie. Powiedz, jak spędzasz wolny czas.

– Jestem entomologiem. Kolekcjonuję motyle.

– Naturalnie. Pamiętam, że wspominali o tym w gazecie. Teraz ja jestem częścią twojej kolekcji.

Wydawało się, że ją to bawi, więc powiedziałem: – W pewnym sensie tak.

– Nie, nie w pewnym sensie. Dosłownie. Przyszpiliłeś mnie w tym pokoiku, możesz tu przychodzić i napawać się mną.

– Nie myślę o tym w ten sposób.

– Czy wiesz, że jestem buddystką? Nienawidzę pozbawiania życia. Nawet owadów.

– A jednak zjadłaś kurczaka – powiedziałem. Tym razem ją przyłapałem.

– Ale pogardzam sobą. Gdybym była lepsza, zostałabym wegetarianką.

– Gdybyś mnie poprosiła, żebym przestał zbierać motyle, zrobiłbym to – powiedziałem. – Zrobiłbym wszystko, o co byś mnie poprosiła.

– Poza tym, by mi pozwolić odfrunąć.

– Wolałbym o tym nie mówić. To do niczego nie prowadzi.

– W każdym razie nie potrafiłabym szanować kogoś, a zwłaszcza mężczyzny, który robiłby wszystko po to, żeby mi się przypodobać. Chciałabym, żeby postępował tak, jak uważa za słuszne.

Zawsze kiedy chciała mi dokuczyć, wyglądało to tak, że rozmawialiśmy o czymś z pozoru całkiem niewinnym i ni stąd, ni zowąd zaczynała mi docinać. Nie odezwałem się.

– Jak długo tu będę?

– Nie wiem. To zależy.

– Od czego?

Nic nie powiedziałem. Nie mogłem.

– Od tego, czy się w tobie zakocham?

Jakby wbijała mi szpilki.

– Bo jeżeli tak, to będę tutaj aż do śmierci. Nie odpowiedziałem.

– Wyjdź stąd – poleciła. – Wyjdź i przemyśl to.

Następnego ranka podjęła pierwszą próbę ucieczki. Nie zaskoczyła mnie kompletnie, ale była to dla mnie nauczka. Zjadła śniadanie i powiedziała, że łóżko się chwieje, ta noga od ściany, z prawej strony w głębi. – Myślałam, że się zarwie – powiedziała – pewnie obluzowała się nakrętka. – Jak idiota podszedłem, żeby jej pomóc, a wtedy znienacka popchnęła mnie mocno, akurat w chwili gdy byłem pochylony, i przemknęła obok. Wbiegła po schodach z szybkością błyskawicy. Byłem na to przygotowany, otwarte drzwi przytrzymał specjalny haczyk i klin, który usiłowała wykopać, kiedy rzuciłem się za nią. Odwróciła się i pobiegła, wołając: „Pomocy, pomocy, pomocy”, na szczycie schodów dopadła zewnętrznych drzwi, które oczywiście były zamknięte. Szarpała je, waliła rękami, nie przestając wrzeszczeć, ale w tym momencie schwyciłem ją. Nienawidziłem tego, ale akcja była konieczna. Jedną ręką przytrzymałem ją w talii, drugą zatkałem usta i zaciągnąłem na dół. Kopała i wrywała się, ale naturalnie była zbyt drobna; ja może nie jestem siłacz, ale nie należę też do słabeuszy. W końcu osłabła i puściłem ją. Przez chwilę stała nieruchomo, nagle podskoczyła i uderzyła mnie w twarz. Nie zaboląło, ale szok był naprawdę nieprzyjemny, bo zdarzyło się to w najmniej spodziewanej chwili i to po tym, kiedy okazałem umiarkowanie w sytuacji, w której inni mogliby stracić głowę. Następnie weszła do swojego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Miałem ochotę pójść tam i rozmówić się z nią, ale wiedziałem, że była zła. W jej wzroku błyszczała prawdziwa nienawiść. Więc zaryglowałem drzwi i umocowałem półki.

Teraz z kolei postanowiła się nie odzywać. Przy obiedzie nie powiedziała słowa, kiedy oświadczyłem, że gotów jestem puścić w niepamięć to, co się wydarzyło. Obrzuciła mnie tylko bardzo pogardliwym spojrzeniem. To samo powtórzyło się wieczorem. Kiedy przyszedłem po naczynia, podała mi tacę i odwróciła się. Wyraźnie dała do zrozumienia, że nie życzy sobie, żebym został. Myślałem, że jej to przejdzie, ale następnego dnia było jeszcze gorzej. Nie tylko się nie odzywała; przestała też jeść.

– Proszę, nie rób tego – powiedziałem. – To nie ma sensu. Ale nie powiedziała ani słowa, nawet na mnie nie spojrzała. Następnego dnia było to samo. Nie jadła, nie odzywała się.

Czekałem, kiedy włoży coś z rzeczy, które jej kupiłem, ale ciągle chodziła w białej bluzce i kraciastej zielonej sukni bez rękawów. Zacząłem się naprawdę

niepokoić, nie wiedziałem, jak długo ludzie mogą wytrzymać bez jedzenia. Wydawała mi się blada i osłabiona. Cały czas siedziała na łóżku, odwrócona plecami, i wyglądała tak żałośnie, że nie wiedziałem, co robić.

Następnego dnia na śniadanie zaniósłem jej kawę, grzanki, zupę mleczną i marmoladę. Nie wniosłem tego od razu, żeby najpierw poczuła zapachy.

Potem powiedziałem: – Nie oczekuję, że mnie naprawdę zrozumiesz, nie oczekuję, że mnie pokochasz, chcę tylko, żebyś próbowała mnie zrozumieć w miarę swoich możliwości i żebyś próbowała chociaż trochę mnie polubić, jeśli możesz.

Nie poruszyła się.

– Zawrzyjmy umowę – zaproponowałem. – Powiem ci, kiedy będziesz mogła odejść, ale pod pewnymi warunkami.

Nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziałem. Wiedziałem przecież, że nigdy nie będę mógł jej wypuścić. A jednak nie było to czyste kłamstwo. Często myślałem, że ona odejdzie, tak jak się umówiliśmy, bo w końcu obietnica to obietnica i tak dalej. A czasami wiedziałem, że nie mogę jej wypuścić.

Odwróciła się i patrzyła na mnie. Była to pierwsza oznaka życia od trzech dni.

– Moje warunki są takie, że będziesz jadła i rozmawiała ze mną tak jak na początku i nie będziesz podejmowała prób ucieczki – powiedziałem.

– Na to ostatnie nigdy się nie zgodzę.

– A dwa pierwsze? – zapytałem. (Pomyślałem, że nawet gdyby obiecała nie próbować ucieczki, i tak będę musiał zachować środki ostrożności, więc ten warunek był pozbawiony sensu.)

– Nie powiedziałaś, kiedy.

– Za sześć tygodni. Znowu się odwróciła.

– A więc pięć tygodni – powiedziałem po chwili.

– Zostanę tu przez tydzień i ani dnia dłużej.

– Na to nie mogę się zgodzić – powiedziałem, a ona znowu się odwróciła. Potem zaczęła płakać. Widziałem, jak drgały jej ramiona, miałem ochotę do niej podejść, zbliżyłem się trochę do łóżka, ale obróciła się tak gwałtownie, jakby się spodziewała, że ją zaatakuję. Oczy miała pełne łez. Mokre policzki. Naprawdę bardzo mnie poruszyło, kiedy zobaczyłem ją w takim stanie.

– Proszę, bądź rozsądna. Teraz wiesz, czym jesteś dla mnie. Czyż nie widzisz, że nie po to przygotowałem to wszystko, żebyś została jeszcze tylko tydzień?

– Nienawidzę cię, nienawidzę.

– Dam ci moje słowo – powiedziałem. – Kiedy przyjdzie czas, będziesz mogła odejść zgodnie z własną wolą.

Nie chciała o tym słyszeć. Zabawne, ale kiedy tak siedziała zapłakana i wpatrywała się we mnie, jej twarz była cała różowa. Myślałem, że znowu mnie zaatakuje, wyglądało na to, że miała ochotę. Ale zaczęła wycierać oczy. Potem zapaliła papierosa. I powiedziała: – Dwa tygodnie.

– Ty mówisz dwa, ja mówię pięć. Zgodzę się na miesiąc. Będzie to 14 listopada. Po chwili milczenia powiedziała: – Cztery tygodnie miną 11 listopada.

Niepokoilem się o nią, pragnąłem to zakończyć, więc powiedziałem: – Mam na myśli miesiąc kalendarzowy, ale możemy się zgodzić na dwadzieścia osiem dni. Podaruję ci dodatkowe trzy dni.

– Bardzo dziękuję. – Oczywiście, powiedziała to z sarkazmem.

Podąłem jej kubek kawy, który przyjęła.

– Ja też mam pewne warunki – zaczęła, zanim wypła kawę. – Nie mogę być przez cały czas tutaj. Potrzebne mi świeże powietrze i światło dzienne. Od czasu do czasu muszę się wykąpać. Muszę mieć jakieś przybory do rysowania. Muszę mieć radio i adapter. Potrzebne mi są różne rzeczy z apteki. Muszę jeść owoce i surówki. I muszę mieć trochę ruchu.

– Jeżeli pozwolę ci wyjść na zewnątrz, uciekniesz – powiedziałem.

Usiadła prosto. Musiała przedtem trochę udawać, bo zmieniła się zbyt szybko. – Czy wiesz, co znaczy zwolnienie warunkowe?

– Tak – odpowiedziałem.

– Możesz mnie wypuścić warunkowo. Obiecuję, że nie będę ani krzyczała, ani próbowała uciec.

– Zjedz śniadanie, a ja się nad tym zastanowię.

– Nie! To nie są wygórowane żądania. Jeżeli ten dom rzeczywiście leży na uboczu, nie istnieje żadne ryzyko.

– Że na uboczu, to nie ma wątpliwości – odparłem. Ale nie mogłem podjąć decyzji.

– Więc znowu zaczynam strajk głodowy. – Odwróciła się tyłem; naprawdę wywierała na mnie presję, jak to mówią.

– Oczywiście, możesz dostać przybory do rysowania. Wystarczyło mi to tylko powiedzieć. I adapter. I jakie tylko zechcesz płyty i książki. To samo dotyczy jedzenia. Powiedziałem ci, wystarczy, żebyś poprosiła. O wszystkie rzeczy tego typu.

– A świeże powietrze? – Ciągłe jeszcze odwrócona była tyłem.

– To zbyt niebezpieczne.

Nastąpiła cisza, równie wymowna jak słowa, toteż w końcu ustąpiłem.

– Może wieczorem. Zobaczę.

– Kiedy? – W tym momencie zwróciła się w moją stronę.

– Będę musiał się zastanowić, I będę musiał cię zwięzać.

– Ale przecież będę na zwolnieniu warunkowym.

– Albo się godzisz, albo nie.

– Kąpiel?

– Mógłbym coś wymyślić.

– Chcę się wykąpać w prawdziwej wannie. Przecież na górze musi być wanna.

Dużo myślałem o tym, jak bardzo chciałbym jej pokazać mój dom i całe wyposażenie. Częściowo dlatego, że chciałem ją zobaczyć w moim domu; naturalnie w marzeniach zawsze była ze mną na górze, a nie na dole w piwnicy. Taki już jestem, że działam czasami pod wpływem impulsu, podejmując ryzyko, na które inni by się nie odważyli.

– Zobaczę – powiedziałem. – Będę musiał wszystko przygotować.

– Jeżeli dam ci słowo, nie złamię go.

– Jestem tego pewien. I na tym stanęło.

Wydawało się, że to jakby oczyściło atmosferę. Później szanowałem ją jeszcze bardziej, a ona mnie. Przede wszystkim przygotowała spis rzeczy, których potrzebowała. Musiałem znaleźć specjalny sklep w Lewes i kupić papier do rysowania, rozmaite ołówki i inne przybory, sepię, chiński tusz i pędzle ze specjalnego włosia, różnych rozmiarów i określonych marek. Potem rzeczy z apteki: dezodoranty i tak dalej. Niebezpieczne było kupowanie tego, czego najwyraźniej nie potrzebowałem dla siebie, ale podjąłem ryzyko. Spisała też produkty żywnościowe, domagała się ziarnistej kawy, mnóstwa owoców, jarzyn i zieleniny – szczególnie się przy tym upierała. W każdym razie później niemal codziennie robiła listę zakupów; mówiła mi też, jak mam co ugotować, zupełnie jak żona pozbawiona przez chorobę możliwości ruchu. W Lewes byłem bardzo ostrożny, nigdy nie chodziłem dwa razy z rzędu do tego samego sklepu, żeby nie pomyśleli, że kupuję za dużo jedzenia jak na jedną osobę. Zawsze mi się wydawało, że wszyscy się domyślają, iż mieszkam sam.

Tego dnia kupiłem gramofon. Bardzo prosty, ale muszę powiedzieć, że ona wydawała się zadowolona. Nie chciałem, żeby się zorientowała, że nie wiem nic o

muzyce, ale zobaczyłem płytę z jakimś orkiestrowym wykonaniem Mozarta, więc ją kupiłem. To był dobry zakup, podobała jej się ta płyta, a tym samym ja zyskałem w jej oczach. Któregoś dnia, znacznie później, kiedy słuchaliśmy tej płyty, rozplakała się. Znacząco, miała wilgotne oczy. Potem powiedziała, że on był umierający, kiedy to pisał, i wiedział o tym. Dla mnie brzmiało to zupełnie tak samo jak wszystko inne, ale oczywiście ona była muzykalna.

Następnego dnia znowu powróciła do sprawy kąpieli i świeżego powietrza. Nie wiedziałem, co robić, poszedłem na górę do łazienki, żeby to przemyśleć, ale niczego jej nie obiecałem. Okno łazienki wychodziło na daszek nad drzwiami do piwnicy. Na tyły domu, co było bezpieczniejsze. W końcu zabiłem to okno deskami za pomocą trzycalowych śrub, żeby nie mogła dawać sygnałów świetlnych ani wyjść na zewnątrz. Chociaż mało prawdopodobne, żeby ktoś znalazł się na tyłach domu późnym wieczorem.

To załatwiało sprawę łazienki.

Następnie, wyobrażając sobie, że ona jest ze mną, przeszedłem z dołu na górę, żeby wyszukać niebezpieczne miejsca. Pokoje na dole miały wewnętrzne drewniane okiennice, łatwo było je zamknąć (potem założyłem przy nich kłódki), nie mogła więc zwrócić na siebie niczyjej uwagi; chroniło to też od przygodnych podglądaczy. Upewniłem się, że w kuchni noże są pochowane i tak dalej. Pomyślałem o wszystkim, co mogłaby wykorzystać, próbując ucieczki, i w końcu uznałem, że nie ma niebezpieczeństwa.

Po kolacji znowu zaatakowała mnie w sprawie kąpieli. Pozwoliłem, żeby zaczęła się dąsać, i wtedy powiedziałem: – Dobrze, zaryzykuję, ale jeżeli złamiesz obietnicę, zostaniesz tutaj.

– Nigdy nie łamię obietnic.

– Czy dasz mi słowo honoru?

– Daję ci słowo honoru, że nie będę próbowała uciekać.

– Ani dawać znaków.

– Ani dawać znaków.

– Muszę cię związać.

– To mi ubliża.

– Nie dziwiłbym się, gdybyś nie dotrzymała słowa – powiedziałem.

– Aleja... – Nie dokończyła, wzruszyła jedynie ramionami i odwróciła się, wyciągając ręce za siebie. Miałem przygotowany szalik, żeby złagodzić ucisk sznura,

związałem ją ciasno, ale nie na tyle, żeby to sprawiało ból. Miałem zamiar od razu ją zakneblować, ale najpierw kazała mi zabrać rzeczy do prania, wybrała też (co sprawiło mi przyjemność) ubranie z tego, co dla niej kupiłem.

Niosłem jej rzeczy i szedłem pierwszy po schodach zewnętrznej piwnicy; ona czekała, aż otworzę drzwi, i weszła na górę dopiero, kiedy jej poleciłem, upewniwszy się przedtem, czy nikogo nie ma w pobliżu.

Oczywiście było bardzo ciemno, ale bezchmurnie, na niebie kilka gwiazd. Ująłem ją mocno za rękę i pozwoliłem postać przez pięć minut. Słyszałem, jak głęboko oddycha. Było to bardzo romantyczne, jej głowa sięgała akurat mojego ramienia.

– Słyszysz, że jesteśmy daleko od wszystkiego – powiedziałem.

Kiedy nadeszła pora (musiałem ją ciągnąć siłą), weszliśmy przez kuchnię i jadalnię do holu, a potem po schodach do łazienki.

– W drzwiach nie ma zamka – powiedziałem – w ogóle nie możesz ich zamknąć, bo zablokowałem je gwoździem, ale nie będę ci przeszkadzał pod warunkiem, że dotrzymasz obietnicy. Zostanę tutaj.

Na podeście piętra przygotowałem krzesło.

– Teraz rozwiążę ci ręce, jeżeli obiecasz, że nie zdejmiesz knebla. Potwierdź skinieniem głowy.

Zrobiła tak, więc rozwiązałem jej ręce. Rozcierała je przez chwilę, pewnie głównie po to, żeby mi dokuczyć, a potem weszła do łazienki.

Wszystko odbyło się bez problemów. Słyszałem, jak brała kąpiel, pluskała się i tak dalej, całkiem normalnie, ale doznałem szoku, kiedy wyszła. Nie miała knebla. To był jeden powód szoku. A drugim była zmiana w jej wyglądzie, w nowym ubraniu i z mokrymi włosami, które opadały na ramiona. Jej rysy nabrały miękkości, robiła nawet wrażenie młodszej, co nie znaczy, że kiedykolwiek wyglądała brzydko czy nieprzyjemnie. Musiałem mieć głupią minę, byłem zły z powodu knebla, ale nie potrafiłem tego okazać, bo wyglądała tak cudownie.

Zacząła mówić bardzo szybko.

– Słuchaj, to strasznie uwierało. Dałam ci przecież słowo. I znowu ci daję. Jeżeli chcesz, możesz mi to znowu założyć. Ale gdybym miała taki zamiar, już dawno mogłam krzyknąć.

Podawała mi knebel, ale w jej spojrzeniu było coś takiego, że nie mogłem go znowu założyć. Powiedziałem: – Ręce wystarczą. – Miała na sobie swoją zieloną tunikę i jedną z kupionych przeze mnie bluzek; domyślałem się też, że musi mieć pod

spodem nową bieliznę.

Związałem jej ręce za plecami.

– Przykro mi z powodu mojej podejrzliwości – powiedziałem. – Chodzi o to, że jesteś wszystkim, co nadaje mojemu życiu sens. – Wiem, że to nie był odpowiedni moment na mówienie czegoś takiego, ale kiedy tak stała tam przede mną, było to ponad moje siły.

– Gdybyś odeszła, chyba bym z sobą skończył.

– Powinieneś pójść do lekarza. Nic nie odpowiedziałem.

– Chciałabym ci pomóc.

– Myślisz, że jestem szalony, dlatego że to zrobiłem. Nie jestem szalony. Tylko po prostu nie mam nikogo innego. Nigdy nie chciałem znać nikogo prócz ciebie.

– To najgorszy rodzaj choroby. – W tym momencie odwróciła się, a działo się to wszystko, podczas gdy wiązałem jej ręce. Spojrzała w dół. – Żal mi ciebie.

Nagle zmieniła ton i zapytała: – A co z praniem? Wyprałam kilka rzeczy. Czy mogę je powiesić na zewnątrz? Czy też jest tu gdzieś pralnia?

– Wysuszę je w kuchni – powiedziałem. – Nie możesz nic posłać do pralni.

– I co teraz?

Rozejrzała się wokół. Czasami było w niej coś psotnego, nie ulegało wątpliwości, że tylko szukała pretekstu, żeby się przyczepić, ale w przyjemny sposób. Jakby się przekomarzała.

– Czy nie zamierzasz pokazać mi domu?

Uśmiechała się, po raz pierwszy naprawdę się uśmiechała. Nie mogłem nie odpowiedzieć na to uśmiechem.

– Już późno – powiedziałem.

– Jak stary jest ten dom? – zapytała, jakby w ogóle mnie nie dosłyszała.

– Nad drzwiami jest kamień z datą 1621.

– Ten dywan ma nieodpowiedni kolor. Tu powinna być raczej jakaś plecionka z rogoży czy coś takiego. A te obrazy – co za koszmar!

Przeszła wzdłuż podestu, żeby się im przyjrzeć. Bardzo sprytnie.

– Wystarczająco dużo kosztowały – powiedziałem.

– Cena nie jest najważniejsza.

Wprost trudno mi opisać, jak dziwne wydawało się to, że stoimy tak obok siebie. I ona robi krytyczne uwagi jak typowa kobieta.

– Czy mogę obejrzeć pokoje?

Nie byłem sobą, nie mogłem się oprzeć pokusie, więc stawałem z nią na progu i pokazywałem kolejne pokoje, ten przygotowany dla cioci Annie i ten dla Mabel, jeśli wróciłyby kiedykolwiek, no i mój. Miranda bardzo dokładnie obejrzała każdy z nich. Zasłony naturalnie były zaciągnięte, a ja stałem tuż przy niej, czuwając nad tym, by jej coś nie przyszło do głowy.

– Wynająłem firmę, żeby to wszystko urządziła – powiedziałem, kiedy stanęliśmy na progu mojego pokoju.

– Jesteś bardzo skrupulatny.

Dostrzegła jakieś stare obrazki motyli, które kupiłem w antykwariacie. – To wybrałem sam – powiedziałem.

– To jedyna przyzwoita rzecz.

No i proszę, chwaliła mnie – i muszę przyznać, że sprawiło mi to przyjemność.

– Jak tu spokojnie. Nasłuchiwałam odgłosu samochodów. Myślę, że jesteśmy w północnym Essex. – Wiedziałem, że to podstęp, bo obserwowała mnie.

– Odgadłaś prawidłowo – powiedziałem, udając zaskoczenie. Znienacka oświadczyła: – To zabawne, powinnam przecież dygotać ze strachu. Ale z tobą czuję się bezpieczna.

– Nigdy ci nie zrobię krzywdy. Chyba że mnie do tego zmusisz.

Nagle było tak, jak sobie wymarzyłem, poznawaliśmy się wzajemnie, ona zaczynała dostrzegać mnie takim, jakim jestem naprawdę.

– Powietrze było cudowne. Nie potrafisz sobie nawet tego wyobrazić. Nawet powietrze tutaj. Jest wolne. Wprost przeciwnie niż ja.

I oddaliła się, więc musiałem pójść za nią na dół. W holu zapytała:

– Czy mogę tu zajrzeć? – Jak już ryzykować, to ryzykować, pomyślałem. Zresztą okiennice były zamknięte, a zasłony zasunięte. Weszła do dużego pokoju, obchodziła go w koło i przyglądała się wszystkiemu z bliska, a ręce ciągle miała związane z tyłu. To naprawdę było komiczne.

– Jakież to śliczny pokój. To zbrodnia, żeby umieścić tutaj te wszystkie rupiecie. Takie ohydy! – Nawet kopnęła jedno z krzesel. Pewnie sprawiałem wrażenie obrażonego, bo powiedziała: – Musisz przecież widzieć, że to nie pasuje! Te koszarne kinkiety i – nagle je zauważyła – te porcelanowe kaczki, no, tego już za wiele!

– Spojrzała na mnie z prawdziwą złością, a potem znowu na kaczki.

– Bolał mnie ręce. Czy nie mógłbyś dla odmiany związać je z przodu?

Jak to mówią, nie chciałem psuć nastroju; nie widziałem zresztą powodu, żeby jej odmówić. Ledwie rozwiązałem sznury (byłem przygotowany na kłopoty), odwróciła się i wyciągnęła ręce przed siebie, żebym je związał, co też zrobiłem. I wtedy mnie zaskoczyła. Podeszła do kominka, nad którym wisały trzy dzikie kaczki, po trzydzieści szylingów każda, w mgnieniu oka ściągnęła je z haczyków i cisnęła na palenisko. Rozprysły się w kawałeczki.

– Bardzo serdecznie dziękuję – powiedziałem z sarkazmem.

– Dom tak stary jak ten ma własną duszę. Nie można wieszać takich koszmarów w tak pięknym i starym pokoju, w którym mieszkały liczne pokolenia. Czy ty tego nie czujesz?

– Nie mam żadnego doświadczenia w urządzaniu domów – powiedziałem.

Obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem i przeszła obok mnie do pokoju naprzeciwko, który nazywałem jadalnią, chociaż ludzie ze sklepu meblowego mówili o nim „pokój wielofunkcyjny”.

Został częściowo przystosowany do mojej pracy. Znajdowały się w nim moje trzy gabloty, które natychmiast zauważyła.

– Czy pokażesz mi współofiary?

Oczywiście niczego bardziej nie pragnąłem. Wyciągnąłem jedną czy dwie najciekawsze szuflady zawierające okazy tego samego gatunku, po prostu żeby jej pokazać.

– Kupiłeś je?

– Ależ skąd – zaprotestowałem. – Wszystkie albo schwytane, albo wyhodowane przeze mnie i przeze mnie wyeksponowane. Od początku do końca.

– Bardzo ładnie ułożone.

Pokazałem jej szufladę z modraszками, miałem piękny okaz var, ceroneus adonis i kilka var, tithonus, które jej wskazałem. Mój var, ceroneus jest lepszy od wszystkiego, co mają w Muzeum Historii Naturalnej. Byłem dumny, że mogę jej coś powiedzieć.

Nigdy nie słyszała o odmianach – aberracjach.

– Są bardzo piękne. Ale smutne.

– Wszystkiemu można przypisać smutek – powiedziałem.

– Ale to ty jesteś sprawcą tego smutku! – Patrzyła na mnie z drugiej strony szuflady. – Ile motyli zabiłeś?

– Widzisz przecież.

– Nie. Myślę o tych wszystkich motylach, które powstałyby z tych, gdybyś pozwolił im żyć. Myślę o tym żywym pięknie, które uśmierciłeś.

– Tak nie można mówić.

– Nawet nie dzielisz tego z nikim. Kto je ogląda? Jesteś prawdziwym skąpcem, przechowujesz całe to piękno w szufladach.

Byłem naprawdę bardzo rozczarowany; cała ta jej przemowa wydawała mi się wyjątkowo głupia. Jaką różnicę dla gatunku może zrobić tuzin okazów?

– Nienawidzę naukowców – powiedziała. – Nienawidzę ludzi, którzy kolekcjonują rzeczy, klasyfikują je, nadają im nazwy, a potem o nich zapominają. Tak właśnie postępują ze sztuką. Nazywają malarza impresjonistą, kubistą i tym podobnie, a potem odkładają go do szuflady i nie widzą w nim więcej żywego, indywidualnego twórcy. Doceniam jednak, że pięknie poukładałeś te motyle.

Znowu próbowała być miła.

– Robię także zdjęcia – powiedziałem po chwili.

Miałem kilka fotografii lasu za domem i ujęcie morza rozbijającego się o skały w Seaford, naprawdę ładne. Sam zrobiłem powiększenia. Rozłożyłem je na stole, żeby mogła zobaczyć.

Przyjrzała się zdjęciom, ale nie przerwała milczenia.

– Nie są nadzwyczajne – powiedziałem. – Robię je od niedawna.

– Są martwe. – Obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem z ukosa. – Nie mówię tego akurat o tych zdjęciach. Dotyczy to wszystkich fotografii. Kiedy coś narysujesz, to żyje, kiedy to samo sfotografujesz – umiera.

– To jest jak zapis – powiedziałem.

– Tak. Suchy i martwy. – Chciałem się z nią posprzeczać, ale mówiła dalej: – To całkiem niezłe zdjęcia, jak na zdjęcia.

– Chciałbym zrobić kilka twoich zdjęć – powiedziałem po chwili milczenia.

– Dlaczego?

– Jesteś fotogeniczna, jak to się mówi.

Spojrzała na podłogę, potem podniosła wzrok na mnie i powiedziała: – Dobrze. Jeśli chcesz. Jutro.

To mnie podekscytowało. Sytuacja naprawdę ulegała zmianie. W tym momencie zdecydowałem, że już pora zejść na dół. Nie oponowała zbyt, po prostu wzruszyła ramionami, pozwoliła sobie założyć knebel i wszystko przebiegło pomyślnie, tak jak przedtem.

Kiedy zeszedliśmy na dół, zażądała herbaty (specjalnej chińskiej, którą kupiłem na jej polecenie). Zdjąłem knebel. Wyszła do zewnętrznej piwnicy (ręce nadal miała związane); interesowała się tym, gdzie gotuję dla niej posiłki i tak dalej. Nic nie mówiliśmy, było bardzo przyjemnie. W czajniku gotowała się woda, a ona była ze mną. Oczywiście, nie spuszczałem z niej oczu. Kiedy herbata była gotowa, zapytałem, czy mam pełnić honory domu.

– To jest okropne powiedzenie.

– Co w nim takiego strasznego?

– Przypomina te dzikie kaczkę. Jest takie zjełczałe, martwe, jest... najbardziej drobnomieszczańskie. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę!

– To może lepiej ty pełnij honory domu – powiedziałem. Dziwne, ale w tym momencie uśmiechnęła się, jakby miała zamiar wybuchnąć śmiechem, rozmyśliła się, odwróciła i poszła do swojego pokoju, a ja za nią z tacą. Nalała herbatę, ale nie uległo wątpliwości, że coś ją rozzłościło, widać to było wyraźnie. Nawet na mnie nie spojrziała.

– Nie miałem zamiaru cię urazić – powiedziałem.

– Nagle pomyślałam o mojej rodzinie. Dziś wieczorem nie będą się wesoło śmiać przy herbacie.

– Cztery tygodnie.

– Nie przypominaj mi o tym!

Była taka jak każda kobieta. Zaskakująca. W jednej chwili się uśmiechała, a w następnej wymyślała.

– Jesteś obrzydliwy. I sprawiasz, że ja staję się taka sama.

– Już niedługo.

Wtedy powiedziała coś, czego nigdy nie słyszałem z ust kobiety. Naprawdę był to dla mnie szok.

– Nie lubię takich słów – powiedziałem. – To ohydne. I wtedy ona to powtórzyła, wykrzyczała to do mnie. Czasem nie potrafiłem nadażyć za jej nastrojami.

Następnego dnia była taka jak zwykle, chociaż nie przeprosiła mnie. Na schodach leżały stłuczone oba wazony. Jak zawsze była już ubrana i czekała na mnie, kiedy wszedłem ze śniadaniem.

Przede wszystkim chciała wiedzieć, czy pozwolę jej zobaczyć światło dzienne. Powiedziałem, że pada deszcz.

– Dlaczego nie mogę pochodzić w zewnętrznej piwnicy? Potrzebuję ruchu.

Posprzeczaaliśmy się na ten temat, jak zwykle. W końcu uzgodniliśmy, że jeśli chce spacerować tam w ciągu dnia, musi mieć zakneblowane usta. Nie mogę ryzykować, że ktoś znajdzie się przypadkiem na tyłach domu, chociaż było to mało prawdopodobne, bo zawsze zamykałem furtkę frontową i drzwi od garażu. Wieczorem wystarczą tylko związane ręce. Powiedziałem, że nie mogę obiecać więcej niż jedną kąpiel tygodniowo. I nic w sprawie światła dziennego. Przez chwilę myślałem, że znowu zaczniesz się dąsać, ale już wtedy chyba docierało do niej, że dąsanie na nic się nie zda, więc przyjęła moje warunki.

Może okazałem się zbyt surowy, może trochę z tym przesadziłem. Ale trzeba zachować ostrożność. Na przykład podczas weekendów w okolicy panował wzmożony ruch. W pogodne niedziele co pięć minut przejeżdżał koło domu samochód. Obok Fosters pojazdy często zwalniały, niektóre nawet cofały się, żeby ludzie mogli się lepiej przyjrzeć; niektórzy byli na tyle bezczelni, że wpychali przez furtkę aparaty i robili zdjęcia. Toteż w weekendy nie pozwalałem jej opuszczać pokoju.

Pewnego dnia, gdy jechałem do Lewes, zatrzymał mnie mężczyzna w samochodzie. Czy jestem właścicielem domu? Należał do tych przerafinowanych typów, co to mówią, cedząc słowa. Takich, co to są przyjaciółmi szefa. Gadał masę o domu i o tym, że pisze jakiś artykuł do czasopisma; pytał, czy pozwolę mu obejrzeć dom i zrobić zdjęcia, a szczególnie chciał rzucić okiem na księżą kaplicę.

– Tu nie ma żadnej kaplicy – powiedziałem.

– Ależ, drogi panie, to fantastyczne, wymienia się ją w historii hrabstwa. W dziesiątkach książek.

– Chodzi panu o to miejsce w piwnicy – powiedziałem, jakbym dopiero teraz się zorientował. – Tam nie ma dojścia. Zostało zamurowane.

– Ale to zabytkowy budynek. Takich rzeczy nie można robić.

– Ciągle tam jest. Tyle że nie można jej zobaczyć. To zostało zrobione, zanim ja się sprowadziłem.

Chciał obejrzeć wewnątrz. Wyjaśniłem, że się spieszę, nie mam czasu. To przyjedzie jeszcze raz. – Proszę mi tylko powiedzieć, kiedy. – Do tego nie mogłem dopuścić. Oświadczyłem, że mam wiele podobnych prośb. Nie przestawał węszyć, zaczął mi nawet grozić, że przyjedzie ze specjalnym nakazem obejrzenia domu, że poprą go ludzie z Ochrony Zabytków (kimkolwiek są); był naprawdę bezczelny, a równocześnie lizusowski. Oczywiście blefował od początku do końca, ale musiałem się liczyć z takimi sytuacjami.

Tego wieczoru zrobiłem zdjęcia. Zwyczajne, ona czytająca książkę. Wyszły zupełnie dobrze.

Pewnego dnia, mniej więcej w tym samym czasie, narysowała mój portret, jakby w rewanżu. Musiałem siedzieć na krześle i wpatrywać się w kąt pokoju. Po półgodzinie podarła rysunek, zanim zdążyłem ją powstrzymać. (Często coś darła, pewnie to artystyczny temperament.)

– Mnie by się podobał – powiedziałem. Nawet mi nie odpowiedziała, poleciła tylko, żebym się nie ruszał.

Od czasu do czasu przerywała milczenie. Głównie wypowiadała uwagi pod moim adresem.

– Bardzo trudno uchwycić podobieństwo. Jesteś tak pozbawiony rysów. Wszystko w tobie jest nijakie. Mam na myśli ciebie jako modela, nie jako osobę.

Później powiedziała: – Nie jesteś brzydki, ale na twojej twarzy maluje się mnóstwo brzydkich przyzwyczajęń. Najgorsza jest dolna warga. Ona cię zdradza. – Na górze spojrzałem w lustro, ale nie mam pojęcia, o co jej chodziło.

Czasami, ni z tego, ni z owego, zadawała śmieszne pytania.

Na przykład: – Czy wierzysz w Boga?

– Nie bardzo – odpowiedziałem.

– Odpowiedź musi brzmieć „tak” albo „nie”!

– Nie myślę o tym. Nie wydaje mi się to ważne.

– To właśnie ty jesteś naprawdę uwięziony w piwnicy.

– A ty wierzysz? – zapytałem.

– Oczywiście, że wierzę, jestem ludzką istotą. Kiedy zacząłem coś mówić, kazała mi przestać.

Narzekła na światło. – To jest sztuczne oświetlenie. Nigdy nie mogę przy nim rysować. Ono kłamie.

Wiedziałem, do czego zmierza, więc trzymałem gębę na kłódkę. Potem znowu – może nie było to pierwszego ranka, kiedy mnie rysowała, nie pamiętam już, którego dnia – nagle powiedziała: – Jesteś szczęśliwy, że nie masz rodziców. Moi są razem tylko ze względu na mnie i na siostrę.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Mama mi powiedziała. I ojciec. Moja matka to ścierka. Paskudna, pełna ambicji drobnomieszczańska ścierka. Do tego jeszcze pije.

– Słyszałem o tym.

– Nigdy nie mogłam zaprosić do domu przyjaciół.

– Przykro mi – powiedziałem. Rzuciła mi przenikliwe spojrzenie, ale nie starałam się być złośliwy. Powiedziałem jej o tym, że mój ojciec pił, i o mojej matce.

– Mój ojciec jest słabym człowiekiem, ale bardzo go kocham. Wiesz, co mi kiedyś powiedział? Że nie wie, w jaki sposób dwoje tak złych rodziców mogło wyprodukować tak wspaniałe córki. Tak naprawdę, to miał na myśli moją siostrę. Ona jest autentycznie zdolna.

– Ty jesteś autentycznie zdolna. Zdobyłaś ważne stypendium.

– Ja dobrze rysuję. Mogę zostać niezłą malarką, ale nigdy naprawdę wielką. W każdym razie tak mi się zdaje.

– Nie możesz tego przewidzieć.

– Nie jestem wystarczająco egocentryczna. Jestem kobietą. Potrzebuję jakiegoś oparcia. – Nie wiem, dlaczego nagle zmieniła temat i zapytała: – Jesteś pedałem?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałem. Naturalnie zarumieniłem się przy tym.

– Nie ma się czego wstydzić. Wielu porządnych mężczyzn jest pedałami. Ty chcesz we mnie znaleźć oparcie, czuję to. Pewnie z powodu matki. Szukasz matki.

– Nie wierzę w te wszystkie opowieści.

– Nigdy nie będziemy dobrą parą. Oboje szukamy oparcia.

– We mnie możesz mieć oparcie finansowe.

– A ty we mnie każde inne? Niech Bóg zachowa! – A po chwili, wyciągając rękę z rysunkiem, powiedziała: – Proszę.

Był naprawdę dobry, podobieństwo mnie zdumiało. Zdawało się, że wyglądam bardziej dostojnie, lepiej niż w rzeczywistości.

– Czy zgodziłabyś się to sprzedać? – zapytałem.

– Nie myślałam o tym, ale zgoda. Dwieście gwinei.

– Dobrze.

Znowu obrzuciła mnie przenikliwym spojrzeniem.

– Dałbyś mi za to dwieście gwinei?

– Tak. Ponieważ ty to narysowałaś.

– Oddaj mi to. – Podałem jej rysunek i zanim się zdążyłem zorientować, przedarła go.

– Proszę cię, nie rób tego – powiedziałem. Zatrzymała się, ale rysunek był już do połowy przedarty.

– Ależ to jest niedobre, niedobre, niedobre. – I nagle rzuciła we mnie

rysunkiem. – Proszę bardzo. Wsadź go do szuflady razem z motylami.

Podczas następnej wizyty w Lewes kupiłem jej jeszcze trochę płyt – wszystko, co mogłem znaleźć Mozarta, ponieważ wydawało się, że go lubi.

Innym razem narysowała miskę z owocami. Zrobiła około dziesięciu rysunków, porozpinała je na parawanie i poprosiła, żebym wybrał najlepszy. Powiedziałem, że wszystkie są piękne, ale nalegała, więc zaryzykowałem jeden.

– Ten jest najgorszy – oświadczyła. – To typowy rysunek zdolnego studenta szkoły sztuk pięknych. Jeden z nich jest dobry.

Wiem o tym. Sto razy lepszy od wszystkich pozostałych. Jeżeli znajdziesz go za trzecim podejściem, podaruję ci go, kiedy stąd odejdziesz. Jeśli ci się nie uda, musisz mi zapłacić dziesięć gwinei.

Nie zwracając uwagi na docinki, zgadywałem trzykrotnie, za każdym razem źle. Ten, który był rzekomo taki dobry, wydawał się nie dokończony. Nie wiadomo było, jakie przedstawia owoce, i w dodatku wszystko jakby się chwiało.

– Tutaj jestem o krok od powiedzenia czegoś o owocach. Nie mówię tego, ale czuje się, że mogłabym to zrobić. Czy tego nie widzisz?

– Prawdę mówiąc, nie.

Przyniosła album z obrazami Cezanne'a.

– Popatrz. – Wskazała na kolorową reprodukcję talerza z jabłkami. – Nie tylko mówi tu wszystko o tych jabłkach, ale o wszystkich możliwych jabłkach. Wszystko o formie i kolorze.

– Wierzę ci na słowo – powiedziałem. – Wszystkie twoje rysunki są ładne.

Ledwie na mnie spojrzała.

– Ferdynandzie. Powinni ci dać na imię Kaliban.

Trzy albo cztery dni po pierwszej kąpieli była bardzo niespokojna. Po kolacji chodziła tam i z powrotem po zewnętrznej piwnicy, przysiadła na łóżku, wstawała. Oglądałem rysunki, które zrobiła tego popołudnia. Kopie obrazów z albumów o sztuce, bardzo dobre, jak mi się wydawało, bardzo podobne.

Nagle zapytała: – Czy nie moglibyśmy pójść na spacer? Warunkowo?

– Ale jest mokro. I zimno – powiedziałem. Był drugi tydzień października.

– Oszaleję w tym zamknięciu. Nie możemy przejść się po Ogrodzie?

Podeszła do mnie blisko, czego na ogół unikała, i wyciągnęła ręce przed siebie. Nosila teraz włosy przewiązane granatową wstążką, którą zapisała mi na liście zakupów. Jej włosy zawsze były piękne. Nigdy nie widziałem piękniejszych. Czasem

czułem nieodpartą pokusę, by ich dotknąć. Po prostu pogłaskać, poczuć pod palcami. Zakładanie knebla stwarzało taką okazję.

Wyszliśmy więc. Noc była dziwna, księżyc za chmurami, które się przesuwały, ale prawie nie czuło się wiatru. Ona przez kilka chwil po prostu głęboko wciągała powietrze. Wziąłem ją z szacunkiem za rękę i poprowadziłem ścieżką między murem a trawnikiem. Minęliśmy żywopłot z ligustru i weszliśmy do warzywnika na końcu ogrodu, gdzie rosły też drzewa owocowe. Jak już wspominałem, nigdy nie ogarniały mnie zdrożne chęci, żeby wykorzystać sytuację, zawsze zachowywałem się wobec niej z należytych respektem (dopóki nie zrobiła tego, co zrobiła); ale może sprawiły to ciemności, może ten nasz spacer, może to, że wyczuwałem pod materią rękawa jej rękę – dość, że naprawdę miałem ochotę wziąć ją w ramiona i pocałować. Prawdę mówiąc, cały drżałem. Musiałem się odezwać, żeby nie stracić głowy.

– Nie uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że czuję się bardzo szczęśliwy, prawda? – Oczywiście, nie mogła odpowiedzieć.

– Ponieważ uważasz, że niczego nie odczuwam należycie, nie wiesz, że odczuwam bardzo głęboko, tylko nie umiem tego wyrazić tak jak akty.

– To, że nie umie się wyrazić swoich uczuć, nie oznacza, że nie są głębokie. – Przez cały czas szliśmy pod ciemnymi gałęziami drzew.

– Proszę tylko o to, żebyś zrozumiała, jak bardzo cię kocham, jak bardzo ciebie potrzebuję, jak głębokie jest to uczucie.

– Czasami – mówiłem – kosztuje mnie to bardzo dużo wysiłku. – Nie zamierzałem się przechwalać, chciałem jednak, żeby się przez chwilę zastanowiła, jak postąpiliby inni mężczyźni na moim miejscu, gdyby mieli ją w swej mocy.

Doszliśmy do trawnika po drugiej stronie, a potem z powrotem do domu. Słysząc było nadjeżdżający samochód, zbliżył się, przejechał drogą za domem. Trzymałem ją mocno.

Znaleźliśmy się przed drzwiami do piwnicy. – Czy chcesz zrobić jeszcze jedno okrążenie? – zapytałem.

Ku mojemu zdumieniu pokręciła przecząco głową.

Zaprowadziłem ją z powrotem na dół. Kiedy zdjąłem knebel i rozwiązałem jej rękę, powiedziała: – Napiłabym się herbaty. Proszę, zrób herbatę. Zamknij drzwi, ja zostanę tutaj.

Przygotowałem herbatę. Kiedy tylko zszedłem na dół i nalałem do filiżanek, odezwała się: – Chciałabym coś powiedzieć. Trzeba to powiedzieć.

Słuchałem.

– Chciałeś mnie pocałować, tam w ogrodzie, prawda?

– Przepraszam – powiedziałem. Jak zwykle, zacząłem się rumienić.

– Przede wszystkim chcę ci podziękować, że tego nie zrobiłeś, ponieważ nie życzę sobie, żebyś mnie całował. Zdaję sobie sprawę, że jestem na twojej łasce, zdaję sobie też sprawę, że na szczęście dla mnie jesteś wyjątkowo przyzwoity akurat pod tym względem.

– To się więcej nie powtórzy – powiedziałem.

– O tym właśnie chciałam porozmawiać. Jeżeli to się zdarzy znowu, a być może coś jeszcze gorszego. I jeśli będziesz musiał poddać się temu. Chciałabym jednak, żebyś mi coś obiecał.

– To się więcej nie powtórzy.

– Nie rób tego w sposób brzydki. To znaczy, nie uderz mnie tak mocno, żebym straciła przytomność, nie usypiaj mnie znowu chloroformem ani nic takiego. Nie będę się opierać, pozwolę ci zrobić, co będziesz chciał.

– To się więcej nie powtórzy. Zapomniałem się. Nie potrafię, tego wytłumaczyć.

– Problem polega jedynie na tym, że jeśli kiedykolwiek zrobisz coś takiego, już nigdy, przenigdy nie będę mogła cię szanować. I już nigdy więcej się do ciebie nie odezwę. Rozumiesz? – Nie mógłbym oczekiwać niczego innego – powiedziałem. Byłem już wtedy czerwony jak burak.

Wyciągnęła rękę. Uścisnąłem ją. Nie mam pojęcia, jak wyszedłem z pokoju. Tego wieczoru zupełnie straciłem równowagę.

Codziennie powtarzało się to samo: schodziłem na dół między ósmą a dziewiątą, robiłem jej śniadanie, opróżniałem kubły, czasami rozmawialiśmy chwilę, podawała mi listę potrzebnych zakupów (w niektóre dni zostawałem w domu, ale na ogół wyjeżdżałem, głównie z powodu świeżych warzyw i mleka, które tak lubiła), prawie każdego przedpołudnia po powrocie z Lewes sprzątałem dom, potem szykowałem dla niej obiad, później zwykle trochę rozmawialiśmy albo ona słuchała płyt, które kupiłem, albo ja przyglądałem się, jak rysuje; nie wiem, dlaczego popołudniową herbatę robiła sobie zawsze sama i jakoś doszliśmy do milczącego porozumienia, że wtedy nie jesteśmy razem. A potem była kolacja i po kolacji na ogół rozmawialiśmy przez chwilę. Czasami witała mnie chętnie, zazwyczaj domagała się spaceru w zewnętrznej piwnicy. Czasami pozbywała się mnie zaraz po kolacji.

Fotografowałem ją, kiedy tylko mi na to pozwoliła. Ona też zrobiła mi kilka zdjęć. Sfotografowałem ją w wielu pozach, przyzwoitych oczywiście. Chciałem, żeby ubrała się w specjalne rzeczy, ale było mi głupio prosić ją o to. „Nie rozumiem, po co ci te wszystkie zdjęcia – mówiła zawsze. – Widujesz mnie codziennie”.

Tak że naprawdę nic się nie działo. Były po prostu te wszystkie wieczory, kiedy siedzieliśmy razem i wydawało się niemożliwe, że to miałyby się kiedykolwiek skończyć. Jak byśmy byli jedyną parą na świecie. Nikt nigdy nie zrozumie, jacy byliśmy szczęśliwi, to znaczy ja byłem szczęśliwy, ale chwilami miałem wrażenie, że gdyby tylko się nad tym zastanowiła, też doszłaby do takiego wniosku, bez względu na to, co wygadywała. Mógłbym przesiedzieć całą noc, po prostu patrząc na nią, obserwując kształt jej głowy i sposób, w jaki rozsypywały się jej włosy, układające się w szczególną, tak pełną wdzięku krzywiznę, niby ogon jaskółki. Przypominały welon lub obłok, leżały luźno i nieporządnie na jej ramionach jak jedwabne nitki, a wyglądały tak cudownie. Chciałbym znaleźć słowa, żeby to opisać, jak zrobiłby to poeta czy artysta. Kiedy włosy opadały zbyt do przodu, odrzucała je takim prostym, naturalnym ruchem. Czasami chciałem jej powiedzieć: „Proszę, zrób to jeszcze raz, pozwól włosom opaść i odrzuć je do tyłu”. Tylko że, oczywiście, to byłoby głupie. Wszystko, co robiła, odznaczało się taką samą delikatnością. Nawet przewracanie stron w książce. Wstawanie, siadanie, picie, palenie, wszystko. Nawet jeśli wykonywała czynności powszechnie uważane za brzydkie, jak ziewanie czy przeciąganie się, to nadawała im piękno. Prawda polegała na tym, że nie mogła zrobić nic brzydkiego. Była zbyt piękna.

Zawsze też była niezwykle czysta. Pachniała słodko i świeżo, nie tak jak inne kobiety, które mógłbym tu wymienić. Nienawidziła brudu tak samo jak ja, chociaż ze mnie się wyśmiewała. Powiedziała mi kiedyś, że dążenie do absolutnej czystości jest oznaką szaleństwa. Jeżeli tak, to oboje musieliśmy być szaleni.

Oczywiście, wszystko to miało nie tylko jasne strony; najlepszy dowód, że wielokrotnie próbowała uciekać. Na szczęście nigdy nie przestawałem być czujny.

Raz o mało mnie nie przechytrzyła. Była diabelnie sprytna. Kiedy wszedłem do niej, wymiotowała i wyglądała naprawdę strasznie. Pytałem raz po raz, co się stało, ale ona leżała bez słowa, jakby cierpiała bóle.

– To ślepa kiszka – wydukała wreszcie.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– W nocy myślałam, że umrę. – Zdawała się mówić z największym trudem.

Powiedziałem, że może być wiele innych przyczyn.

Odwróciła się twarzą do ściany i wyszeptała tylko: – O Boże!

Kiedy minął mi szok, pomyślałem, że może po prostu udawać.

Po chwili siedziała zgięta wół, jakby w paroksyzmie bólu; spojrzała na mnie i powiedziała, że obieca wszystko, ale że musi ją zbadać lekarz. Albo muszę odwieźć do szpitala.

– To koniec ze mną. Wszystko im powiesz.

– Obiecuję, obiecuję – powtarzała. Naprawdę przekonywająco. Nie ulega wątpliwości, że nie brakowało jej talentów aktorskich.

– Zrobię ci herbaty – powiedziałem. Potrzebowałem czasu do namysłu. Ona znowu zgięła się wół.

Na podłodze pełno było rzygowin. Pamiętałem, jak ciocia Annie mówiła, że ślepa kiszka może zabić. W zeszłym roku miał to samo chłopiec od sąsiadów i ciocia Annie powiedziała, że czekali zbyt długo. Była tego pewna od początku; to cud, że chłopiec nie umarł.

Musiałem więc coś zrobić.

– Dalej przy drodze jest dom z telefonem – powiedziałem. – Pobiegnę tam.

– Zawieź mnie do szpitala. To dla ciebie bezpieczniejsze.

– Co za różnica – powiedziałem takim tonem, jakby naprawdę ogarnęła mnie rozpacz. – To już koniec. Żegnaj. Spotkamy się w sądzie.

Ja też potrafiłem grać. Wybiegłem z pokoju na pozór bardzo poruszony. Zostawiłem otwarte drzwi do niej i drzwi zewnętrznej piwnicy na górze. Tam na nią czekałem.

I rzeczywiście, zjawiała się w minutę później. Nie bardziej chora niż ja. Nie stwarzała żadnych problemów, spojrzała na mnie i z powrotem zeszła na dół. Zrobiłem groźną minę, żeby ją trochę przestraszyć.

Nastroje zmieniały się u niej tak szybko, że często nie mogłem nadążyć. Lubiała, żebym z trudem podążał za nią (kiedyś powiedziała: biedny Kaliban, zawsze w tyle za Mirandą), czasami nazywała mnie Kalibanem, czasami Ferdynandem. Czasami bywała nieprzyjemna i złośliwa. Wyśmiewała się ze mnie i przedrzeźniała, wprawiała mnie w rozpacz i zadawała pytania, na które nie mogłem odpowiedzieć. A innym razem potrafiła być naprawdę pełna współczucia; miałem wrażenie, że rozumie mnie jak nikt od czasów wujka Dicka. W takich momentach mogłem pogodzić się ze wszystkim.

Pamiętam mnóstwo drobiazgów.

Pewnego dnia wyjaśniała mi tajemnice jakichś obrazów – bo należało się nastawić właśnie na to, że odkryje się jakaś tajemnica, tajemnicę proporcji i harmonii, jak to nazywała. Siedzieliśmy z książką między nami, a ona mówiła o obrazach. Siedzieliśmy na łóżku (na dzień nakrywała je narzutą i kładła poduszki, które kazała mi przywieźć), blisko siebie, ale nie dotykając się. Po wydarzeniach w ogrodzie starałem się tego przestrzegać. I właśnie tego wieczoru powiedziała: – Nie bądź taki sztywny, jeżeli swoim rękawem dotkniesz mojego, to cię przecież nie zabije.

– W porządku – powiedziałem, ale nie poruszyłem się.

Wtedy ona się poruszyła, tak że zetknęły się nasze barki i przedramiona. A przez cały czas nie przestawała mówić o obrazie, na który patrzyliśmy. Myślałem, że w ogóle nie zwraca uwagi na to, że się dotykamy, ale po kilku dalszych stronach spojrziała na mnie.

– Nie słuchasz.

– Owszem, słucham.

– Nie, nie słuchasz. Myślisz o tym, że mnie dotykasz. Jesteś okropnie napięty. Rozluźnij się.

Nic nie pomogło, byłem coraz bardziej napięty. Wstała. Miała na sobie wąską niebieską spódniczkę, którą jej kupiłem, luźny czarny pulower i białą bluzkę. W tych kolorach naprawdę było jej do twarzy. Stała naprzeciwko mnie i po chwili powiedziała: – O Boże.

Potem podeszła do ściany i zaczęła walić pięścią. Robiła to czasami.

– Mam przyjaciela, który całuje mnie przy każdym spotkaniu, ale nic nie chce przez to powiedzieć, jego pocałunki są bez znaczenia. Wszystkich obdarza pocałunkami. Stanowi twoje przeciwieństwo. Ty nie masz z nikim najmniejszego kontaktu, a on ma kontakt ze wszystkimi. Obaj jesteście tak samo chorzy.

Uśmiechnąłem się, zazwyczaj traktowałem uśmiech jako rodzaj obrony, kiedy zaczynała mnie atakować.

– Nie zasłaniaj się tym upiornym uśmiechem.

– Niewiele więcej mogę zrobić. Ty masz zawsze rację.

– Ale ja wcale nie chcę zawsze mieć racji. Powiedz mi, że się mylę.

– Ale masz rację – powiedziałem. – Wiem, że masz.

– Och, Ferdynandzie! – wykrzyknęła. A potem jeszcze powtórzyła dwa razy, Ferdynandzie, Ferdynandzie, jakby się równocześnie modliła i jakby udawała kogoś,

kto bardzo cierpi, więc nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, a ona nagle spoważniała albo też udawała powagę.

– To wcale nie drobiazg. To straszne, że nie potrafisz traktować mnie jak przyjaciela. Zapomnij o mojej płci. Rozluźnij się.

– Spróbuję – powiedziałem. Ale nie chciała już przy mnie usiąść, oparła się o ścianę i zaczęła czytać inną książkę.

A kiedy indziej, działo się to na dole, po prostu zaczęła krzyczeć. Bez żadnego powodu. Zawieszałem właśnie na ścianie jej rysunek i chciałem mu się przyjrzeć, ona siedziała na łóżku i nagle zaczęła wrzeszczeć. Ten krzyk mroził krew w żyłach; obróciłem się gwałtownie i wypuściłem z rąk taśmę klejącą; wtedy się roześmiała.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Miałam ochotę pokrzyczeć – wyjaśniła. Nie dało się przewidzieć jej zachowania.

Zawsze krytykowała mój sposób myślenia. Pamiętam, że pewnego dnia powiedziała: – Wiesz, co robisz? Wiesz, jak deszcz pozbawia wszystko koloru? To właśnie robisz z językiem angielskim. Zamazujesz wszystko już w chwili, gdy otwierasz usta.

To tylko jeden z wielu przykładów tego, jak mnie traktowała.

Innego dnia dobrała się do mnie z powodu swoich rodziców. Od dawna dręczyła mnie tym, jak to umierają z niepokoju i jaki jestem podły, że nie zgadzam się ich zawiadomić. Powiedziałem, że nie mogę ryzykować. Ale kiedyś po kolacji zaproponowała:

– Powiem ci, jak to zrobić bez najmniejszego ryzyka. Włóż rękawiczki. Kup papier listowy i koperty u Woolworthsa. Podyktuj mi list. Jedź do najbliższego dużego miasta i wyślij stamtąd. Nie mogą wpaść na twój ślad. Papier może pochodzić z każdego sklepu Woolworthsa w całym kraju.

Tak mnie tym zadręczała, że pewnego dnia posłuchałem jej i kupiłem papier i koperty. Wieczorem dałem jej kartkę papieru i kazałem pisać.

– „Jestem bezpieczna i nie grozi mi niebezpieczeństwo” – dyktowałem.

Pisząc te słowa, powiedziała: – To straszna angielszczyzna, ale trudno.

– Pisz to, co mówię – poleciłem i dyktowałem dalej: – „Nie próbujcie mnie odnaleźć, to niemożliwe”.

– Nie ma rzeczy niemożliwych. – Bezczelna jak zwykle.

– „Opiekuje się mną przyjaciel” – kontynuowałem, potem oznajmiłem: – To

już wszystko, podpisz się.

– A nie mogę napisać „Pozdrowienia od pana Clegga”?

– Bardzo zabawne – powiedziałem. Napisała coś jeszcze i oddała mi kartkę.

Przeczytałem: „Do zobaczenia wkrótce, całuję”, i na dole: „Nanda”.

– Co to jest? – zapytałem.

– Moje dziecinne imię. Będą wiedzieli, że to ode mnie.

– Wolę Miranda – powiedziałem. To było dla mnie najpiękniejsze imię. Kiedy zaadresowała kopertę, włożyłem do niej kartkę, ale na szczęście zajrzałem do środka. Na dnie koperty znajdował się papierek nie większy niż pół bibułki papierosowej. Nie wiem, w jaki sposób to zrobiła, ale musiała mieć tę karteczkę wcześniej i teraz wsunęła ją do koperty. Rozwinąłem kartkę i spojrzałem na Mirandę. Zachowała się naprawdę bezczelnie. Odchyliła się do tyłu na krześle i patrzyła na mnie. Napisała bardzo drobnymi literami, ostro zatemperowanym ołówkiem, ale pismo było czytelne. Nie przypominało tamtego listu:

„T.M. Porwał mnie szaleniec. F. Clegg, urzędnik z ratusza, który wygrał w totka. Więziona w piwnicy, samotny dom, szalowany drewnem, na zewnątrz data 1621, pagórkowata okolica, dwie godziny od Londynu. Na razie bezpieczna. Przerażona. M”.

Byłem naprawdę wściekły i zaskoczony, nie wiedziałem, co robić. W końcu zapytałem: – Jesteś przerażona? – Nic nie odpowiedziała, skinęła jedynie głową.

– Ale co ja takiego zrobiłem? – spytałem.

– Nic. Dlatego właśnie jestem przerażona.

– Nie rozumiem.

Spojrzała w dół.

– Czekam, kiedy coś zrobisz.

– Już obiecałem i jeszcze raz obiecuję – powiedziałem. – Jesteś nadęta i obrażona, bo ja nie ufam twojemu słowu; nie rozumiem, dlaczego nie miałoby się to odnosić i do mnie.

– Przepraszam.

– Ufałem ci. Myślałem, że zdajesz sobie sprawę z mojej dobroci. Ale nie pozwolę się wykorzystywać. Nic mnie nie obchodzi twój list.

Włożyłem list do kieszeni.

Zapanowało długie milczenie, wiedziałem, że mi się przygląda, ale sam nie zamierzałem nawet na nią spojrzeć. Nagle wstała, stanęła przede mną i położyła mi

ręce na ramionach, więc musiałem na nią spojrzeć, zmusiła mnie, żebym spojrział w dół, prosto w jej oczy. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale kiedy była szczerą, mogłaby wyciągnąć ze mnie duszę, stawałem się w jej rękach jak wosk.

– Teraz zachowujesz się jak mały chłopiec. Zapominasz, że trzymasz mnie tutaj siłą. Przyznaję, że to dość łagodna siła, ale i tak przerażająca.

– Dopóki nie złamiesz danego słowa i ja słowa dotrzymam – powiedziałem. Oczywiście zarumieniłem się.

– Ale przecież nie dałam ci słowa, że nie będę próbowała ucieczki, prawda?

– Żyjesz tylko myślą o tej chwili, kiedy zobaczysz mnie po raz ostatni. Dalej jestem po prostu nikim, co?

Wykonała półobrót. – Marzę o tym, żeby po raz ostatni zobaczyć ten dom, nie ciebie.

– I do tego szaleńcem. Czy myślisz, że szaleniec traktowałby cię tak jak ja? Powiem ci, co zrobiłby szaleniec. Do tej pory już dawno by cię zabił. Jak ten facet Christie. Pewnie spodziewasz się, że rzucę się na ciebie z nożem czy coś takiego (tego dnia naprawdę miałem jej dosyć). Jak możesz być tak tępa? Dobrze, uważasz mnie za nienormalnego, ponieważ trzymam cię tutaj. Może jednak nie jestem nienormalny. Ale mogę cię zapewnić, że byłoby dużo więcej takich przypadków, gdyby więcej ludzi miało pieniądze i czas. I tak jest ich więcej, niż można by przypuszczać. Policja o tym wie, ale jak powiedziałem, liczby są tak duże, że nie mają odwagi ich ogłosić. Wpatrywała się we mnie. Jakbyśmy byli zupełnie sobie obcy. Musiałem wyglądać dziwnie, nigdy jeszcze tyle nie mówiłem.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała. – Boję się tego, o czym sam nawet nie wiesz, że w tobie tkwi.

– Na przykład czego? – zapytałem. Ciągle jeszcze byłem zły.

– Nie wiem. To się gdzieś czai w tym domu, w tym pokoju, w całej tej sytuacji, i tylko czeka, żeby wyskoczyć. W jakiś sposób oboje jesteśmy na to narażeni.

– To tylko gadanie.

– Wszyscy chcemy tego, czego nie możemy mieć. Przyzwoitość istoty ludzkiej polega na zaakceptowaniu tego faktu.

– Wszyscy bierzemy to, co możemy dostać. A jeśli przez większość życia nie mieliśmy wiele, staramy się to nadrobić przy najbliższej nadarzającej się okazji. Oczywiście, ty nie masz o tym pojęcia.

Wtedy uśmiechnęła się do mnie tak, jakby była o wiele ode mnie starsza. –

Potrzebne ci leczenie psychiatryczne.

– Jedyne leczenie, jakie mi potrzebne, to twój przyjazny stosunek do mnie.

– Ależ ja cię traktuję jak przyjaciela – zapewniła. – Czy tego nie widzisz?

Zapanowało długie milczenie, które przerwała.

– Nie uważasz, że to trwa już wystarczająco długo?

– Nie – powiedziałem.

– Nie wypuścisz mnie już teraz?

– Nie.

– Mógłbyś mnie związać i zakneblować i zawieźć do Londynu. Nikomu nie pisnę słowa.

– Nie.

– Ale chyba chcesz coś ze mną zrobić?

– Po prostu chcę być z tobą. Przez cały czas.

– W łóżku?

– Mówiłem ci, że nie.

– Ale chciałbyś?

– Wolałbym o tym nie mówić. Wtedy się zamknęła.

– Nie pozwalam sobie myśleć o tym, o czym wiem, że jest złe – powiedziałem.

– Uważani, że to nie wypada.

– Ty jesteś niesamowity.

– Dziękuję.

– Jeżeli pozwolisz mi odejść, będę chciała cię znowu zobaczyć, ponieważ bardzo mnie zainteresowałeś.

– Tak jak wizyta w zoo? – zapytałem.

– Chciałabym spróbować cię zrozumieć.

– To ci się nigdy nie uda. (Mogę się tu przyznać, że bardzo mi się podobała ta strona rozmowy dotycząca tajemniczego mężczyzny. Czułem, że to jej uświadamia, że jednak nie wie wszystkiego najlepiej.)

– Nie wiem, czy w ogóle powinnam.

I nagle uklękła przede mną, unosząc w górę ręce i dotykając nimi czubka głowy. Trzykrotnie powtórzyła ten orientalny ukłon.

– Czy tajemniczy wielki władca przyjmie pokorne przeprosiny nędznej niewolnicy?

– Zastanowię się nad tym.

– Pokorna niewolnica bardzo żałuje niegrzecznego listu. Musiałem się roześmiać, ona potrafiła odegrać wszystko. Pozostała na kolanach z rękami na podłodze, nagle spoważniała i obrzuciła mnie tym swoim spojrzeniem.

– Więc wyślesz list?

Kazałem jej poprosić jeszcze raz i poddałem się. O mało nie popełniłem największego błędu w życiu.

Następnego dnia pojechałem do Londynu. Jak głupiec powiedziałem jej, że jadę, a ona dała mi listę rzeczy do kupienia. Bardzo długą (potem się zorientowałem, że chodziło o zajęcie mi czasu). Miałem kupić specjalny zagraniczny ser, pojechać do sklepu w Soho, gdzie sprzedawali jej ulubioną niemiecką kielbasę, kupić jakieś płyty i ubrania, i jeszcze inne rzeczy. Chciała, żebym kupił obrazy jakiegoś malarza, koniecznie właśnie tego. Czuję się naprawdę szczęśliwy, na niebie nie było ani jednej chmurki. Myślałem, że zapomniała o tych czterech tygodniach, no, może nie tyle zapomniała, ile zrozumiała, że będę chciał więcej. To się nazywa życie w krainie marzeń.

Wróciłem dopiero po południu i oczywiście najpierw zszedłem na dół, żeby ją zobaczyć. Od razu wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Wcale nie okazała zadowolenia na mój widok i nawet nie spojrzała na żadną z zakupionych rzeczy.

Wkrótce się zorientowałem, że chodziło o cztery kamienie, które obluzowała, pewnie po to, żeby zrobić tunel. Na schodach był gruz. Bez trudu wyjąłem jeden kamień. Ona przez cały czas siedziała na łóżku i nie patrzyła w moją stronę. Pod spodem też były kamienie, więc nie miało to znaczenia. Ale przejrzałem jej grę – kielbasa, te specjalne obrazy i tak dalej. Całe to nabieranie.

– Próbowalaś uciec – powiedziałem.

– Zamknij się! – krzyknęła. Zacząłem szukać narzędzia, którym się posłużyła. Nagle coś przeleciało obok i spadło na podłogę. Był to stary sześciocalowy gwóźdź; nie mam pojęcia, jakim sposobem wpadł jej w ręce.

– Po raz pierwszy zostawiłem cię samą na tak długo – powiedziałem. – Już nie mogę ci ufać.

Odwróciła się bez jednego słowa, okropnie się przestraszyłem, że znowu zacznie głodówkę, więc na nic nie nalegałem. Zostawiłem ją. Potem zaniósłem kolację. Nie odzywała się, więc wyszedłem. Następnego dnia znowu zachowywała się normalnie, chociaż nic nie mówiła, poza jednym słowem na temat ucieczki, która niemal się udała; już nigdy potem o niej nie wspominała. Zauważyłem nieprzyjemne

zadrapanie na jej nadgarstku, skrzywiła się z bólu, kiedy wzięła do ręki ołówek, żeby rysować.

Nie wysłałem listu. W pewnych sprawach policja jest cholernie sprytna. Brat faceta, którego znałem w ratuszu, pracował w Scotland Yardzie. Wystarczyła im odrobina kurzu, żeby zidentyfikować miejsce, skąd pochodzi i w ogóle.

Oczywiście, kiedy mnie o to zapytała, zrobiłem się czerwony, powiedziałem, że sprawił to jej brak zaufania do mnie i tak dalej. Zdawała się to akceptować. Nie był to może najlepszy sposób potraktowania jej rodziców, ale z tego, co o nich mówiła, nie wyglądali na takich znowu wspaniałych. A zresztą nie można myśleć o wszystkich. Najpierw sprawy najważniejsze, jak to mówią.

Tak samo postąpiłem z pieniędzmi, które kazała mi wysłać na ruch przeciwko bombie wodorowej. Napisałem czek i pokazałem jej, ale go nie wysłałem. Domagała się dowodu wpłaty, ale powiedziałem, że wysłałem pieniądze anonimowo. Zrobiłem to (znaczy napisałem czek), żeby poprawić jej samopoczucie, nie widzę jednak sensu marnowania pieniędzy na coś, w co się nie wierzy. Wiem, że ludzie bogaci wysyłają datki, ale moim zdaniem tylko po to, żeby zobaczyć swoje nazwisko w druku albo przechytrzyć urząd finansowy.

Przed każdą kąpielą musiałem na nowo przyśrubowywać deski. Nie chciałem zostawiać ich w oknie przez cały czas. Wszystko poszło dobrze. Raz kąpała się bardzo późno (o jedenastej), więc zanim weszła do łazienki, wyjąłem knebel. Noc była bardzo wietrzna, prawdziwy huragan. Kiedy zeszliśmy z góry, chciała posiedzieć w dużym pokoju (zrugła mnie za nazywanie go bawialnią), oczywiście ze związanymi rękami. Nie widziałem niebezpieczeństwa więc włączyłem elektryczny kominek (powiedziała, że imitacja polan to zupełne dno, że powinienem palić prawdziwe drewno, więc później się o nie postarałem). Spędziliśmy tam jakiś czas, ona się działała na dywanie i suszyła świeżo umyte włosy, a ja naturalnie obserwowałem ją. Miała na sobie spodnie, które jej kupiłem, wyglądała bardzo atrakcyjnie, poza czerwonym szalikiem cała na czarno. Przez cały dzień przed myciem miała włosy splecione w dwa warkoczyki, jedną z moich największych przyjemności stanowiło co dzieńne obserwowanie jej uczesania. Ale przed kominkiem rozpuściła włosy, tak podobały mi się najbardziej.

Po chwili wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju, bardzo niespokojna. Powtarzała słowo „znudzona”. Wciąż i wciąż odnowa. To brzmiało zabawnie przy tym szalejącym za oknem wietrze i tak dalej.

Nagle zatrzymała się naprzeciwko mnie.

– Zabaw mnie. Zrób coś.
– Ale co? – zapytałem. – Zdjęcia? – Nie chciała jednak robić zdjęć.
– Nie wiem, śpiewaj, tańcz, wszystko jedno.
– Nie umiem śpiewać. Ani tańczyć.
– Opowiedz mi wszystkie zabawne historie, jakie znasz.
– Nie znam żadnych – powiedziałem. To była prawda. Nic mi nie przychodziło do głowy.

– Niemożliwe! Zawsze sądziłam, że każdy mężczyzna musi znać jakieś nieprzyzwoite dowcipy.

– Nawet gdybym znał, też bym ci nie powiedział.

– Dlaczego nie?

– Są przeznaczone dla mężczyzn.

– A jak myślisz, o czym rozmawiają kobiety? Założę się, że znam więcej nieprzyzwoitych dowcipów niż ty.

– To by mnie nie dziwiło.

– Przypominasz rtęć. Trudno cię schwycić.

Odsunęła się, zniecierpliwiona złapała poduszkę z krzesła, odwróciła się i kopnęła ją prosto na mnie. Oczywiście, to mnie zaskoczyło, wstałem, a wtedy ona zrobiła to samo z następną poduszką i jeszcze następną, która nie dosięgła celu i strąciła miedziany czajnik z bocznego stolika.

– Uspokój się.

– Wyjdź, ciężki żółwiu – krzyknęła (podejrzewam, że był to jakiś cytat z literatury). W każdym razie niemal w ułamku sekundy złapała dzbanek stojący na kominku i rzuciła we mnie, zdaje się, że krzyknęła „łap”, ale nie złapałem i dzbanek rozbił się o ścianę.

– Spokojnie – powiedziałem.

Poleciał jednak kolejny dzbanek. Przez cały czas się śmiała, nie było w jej zachowaniu nic złośliwego, robiła wrażenie rozbrykanego dziecka. Koło okna wisiał ładny zielony talerz z wypukło wytłoczonym domkiem: zdjęła go i stłukła. Nie wiem, dlaczego, zawsze lubiłem ten talerz i nie podobało mi się, że go stłukła, więc krzyknąłem naprawdę ostrym tonem: – Przestań!

Dotknęła kciukiem nosa, wykonała ordynarny gest i wywalila język. Zachowywała się jak uliczny urwis.

– Powinnaś być trochę mądrzejsza – powiedziałem.

– Ty powinieneś być mądrzejszy. – Nie ulegało wątpliwości, że wyśmiewa się ze mnie. – Przejdź, proszę, na tę stronę, bo chciałabym dostać się do tych pięknych talerzy za tobą. – Chodziło o dwa talerze przy drzwiach. – Chyba że wolałbyś sam je stłuc.

– Przestań – powtórzyłem. – Już dosyć!

Nagle znalazła się za kanapą, kierując się w stronę talerzy, stałem między nią a drzwiami, próbowała przemknąć pod moją ręką, ale złapałem ją.

Wtedy zaszła w niej nagła odmiana.

– Puść mnie – powiedziała zupełnie spokojnie. Oczywiście nie posłuchałem, myślałem, że znowu żartuje.

Niespodziewanie powtórzyła „puść” tak nieprzyjemnym głosem, że posłuchałem od razu. Odeszła i usiadła blisko ognia.

Po chwili powiedziała: – Przynieś szczotkę, pozamiatam.

– Zrobię to jutro.

– Chcę sama posprzątać. – Bardzo rozkazująco.

– Ja to zrobię.

– To twoja wina.

– Oczywiście.

– Jesteś najlepszym znanym mi przykładem drobnomieszczańskiego bezguścia.

– Naprawdę?

– Owszem. Pogardzasz prawdziwą burżuazją za jej snobizm, afektowaną wymowę, maniery. Czy nie tak? Ale zastępujesz to wszystko jedynie obrzydliwą odmową przyzwolenia na brzydkie myśli, brzydkie uczynki czy jakiegokolwiek zdrożne zachowanie. Czy zdajesz sobie sprawę, że wszystkie wielkie osiągnięcia w historii sztuki, wszystkie wielkie sprawy w życiu to właśnie to, co ty nazywasz nieprzyzwoitym, i że zazwyczaj zrodziły się z uczuć, które określiłbyś jako zdrożne? Z namiętności, miłości, nienawiści, prawdy. Czy wiesz o tym?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Owszem, wiesz. Dlaczego ciągle używasz tych idiotycznych słów: nieprzyzwoity, przyjemny, ładny, odpowiedni? Przypominasz starą pannę, która uważa, że małżeństwo jest nieprzyzwoite i że wszystko prócz filiżanek ze słabą herbatą w dusznym, zagraconym pokoju pachnie nieprzyzwoitością. Dlaczego odbierasz życiu całą witalność? Dlaczego zabijasz całe piękno?

– Nigdy nie miałem twoich przywilejów. Dlatego.

– Możesz się zmienić, jesteś młody, masz pieniądze. Możesz się uczyć. A ty co robisz? Miałeś takie marzenie, rodzaj marzenia, przy którym onanizują się młodzi chłopcy, i wychodzisz z siebie, żeby być dla mnie miłym, żebyś nie musiał przyznać przed samym sobą, że to całe przetrzymywanie mnie tutaj jest nieprzyzwoite, nieprzyzwoite, ohydne...

Przerwała niespodziewanie. – To nie ma sensu – powiedziała. – Równie dobrze mogłabym mówić po grecku.

– Rozumiem. Nie jestem wykształcony.

– Jesteś taki głupi. Przewrotny. – Niemal krzyczała. – Masz pieniądze. Prawdę mówiąc, nie jesteś głupi, mógłbyś stać się, kim tylko chcesz. Musiałbyś tylko otrząsnąć się z przeszłości. Musiałbyś zabić w sobie swoją ciotkę i dom, w którym mieszkałeś, i ludzi, z którymi przebywałeś. Musiałbyś stać się nową istotą.

Wysunęła twarz w moją stronę, jakby mówiła o czymś, co mógłbym zrobić bez trudu, gdybym tylko chciał.

– Akurat – powiedziałem.

– Zastanów się, co mógłbyś zrobić. Mógłbyś... mógłbyś zbierać obrazy. Powiedziałabym ci, czego szukać, poznałabym cię z ludźmi, którzy nauczyliby cię kolekcjonowania dzieł sztuki. Pomyśl o tych wszystkich ubogich artystach, którym mógłbyś pomóc. Zamiast masakrować motyle jak głupkowaty uczeń.

– Wielu bardzo mądrych ludzi kolekcjonuje motyle.

– Och, co to znaczy mądrych? Czy to są istoty ludzkie?

– Co masz na myśli? – zapytałem.

– Jeżeli musisz o to pytać, nie mogę ci udzielić odpowiedzi. Potem powiedziała: – Zawsze zdaje się kończyć na tym, że zniżam się do twojego poziomu. Nienawidzę tego. To przez ciebie. Zawsze opuszczam się o stopień niżej, niż mogę pójść.

Czasami tak mnie traktowała. Oczywiście wybaczyłem jej, chociaż wtedy sprawiło mi to przykrość. Chodziło jej o kogoś zupełnie innego niż ja, kogoś, kim nigdy nie mógłbym się stać. Przez całą noc po tym, jak powiedziała, że mógłbym zbierać obrazy, myślałem o tym. Widziałem siebie jako kolekcjonera obrazów, jako właściciela wielkiego domu o ścianach zawieszonych obrazami, widziałem ludzi, którzy przychodzili je oglądać. Oczywiście, była tam też Miranda. Ale przez cały czas wiedziałem, że to głupie, że nie będę nigdy kolekcjonował niczego prócz motyli. Obrazy nic dla mnie nie znaczą. Nie robiłbym tego z własnej woli, więc nie miałyby

sensu. Ona tego nigdy nie zrozumie.

Narysowała jeszcze wiele innych moich portretów, zupełnie dobrych, choć było w nich coś, co mi się nie podobało, nie przejmowała się zbytnio podobieństwem, raczej tym, co nazywała moim wewnętrznym charakterem, więc czasami rysowała mi nos tak zadarty, że można się było na niego nadziać, a usta cienkie i nieprzyjemne, to znaczy bardziej niż w rzeczywistości, bo wiem przecież, że nie jestem piękną. Nie śmiałem nawet myśleć o tym, że cztery tygodnie dobiegną końca, nie miałem pojęcia, co się stanie; myślałem, że będziemy się spierać, ona zacznie się dąsać i zmuszę ją do zostania przez następne cztery tygodnie – to znaczy, zdawało mi się, że mam nad nią jakąś władzę, że zrobi to, co zechcę. Naprawdę żyłem z dnia na dzień. To znaczy, nie miałem żadnego planu. Po prostu czekałem. Pewnie spodziewałem się, że przyjdzie policja. Jednej nocy miałem straszny sen, że już przyszli i że musiałem ją zabić, zanim weszli do jej pokoju. To wydawało się moim obowiązkiem, a miałem do dyspozycji jedynie poduszkę. Uderzałem ją tą poduszką bez końca, a ona się śmiała, aż skoczyłem na nią i przygniotłem. Leżała nieruchomo, a kiedy odjąłem poduszkę, roześmiała się, bo tylko udawała, że nie żyje. Obudziłem się złany potem, po raz pierwszy śniło mi się, że kogoś zabijam.

Zacząła mówić o odejściu na kilka dni przed upływem terminu. Powtarzała, że nikomu nic nie powie, i musiałem, oczywiście, potwierdzić, że jej wierzę, ale wiedziałem, że nawet gdyby chciała dotrzymać słowa, to w końcu policja albo rodzice i tak wszystko by z niej wyciągnęli. Mówiła o tym, jak to zostaniemy przyjaciółmi, jak będzie mi pomagała wybierać obrazy, jak pozna mnie z różnymi ludźmi i jak będzie się mną zajmowała. W tym okresie była dla mnie bardzo miła, ale przecież nie zachowywała się tak bez powodu.

Wreszcie nadszedł fatalny dzień (10 listopada, 11 miał być dniem jej uwolnienia). Kiedy tylko zaniósłem kawę, zapytała, czy możemy urządzić wieczorem przyjęcie z tej okazji.

– A co z gośćmi? – zapytałem żartem, choć nie muszę chyba dodawać, że nie czułem się specjalnie radośnie.

– Tylko ty i ja. Ponieważ... no, przeszliśmy przez to, prawda? A potem powiedziała: – Ale na górze, w twojej jadalni? Zgodziłem się na to. Nie miałem wyboru.

Dała mi listę rzeczy, które miałem kupić w eleganckich delikatesach w Lewes, i zapytała, czy nie kupiłbym również sherry i butelki szampana, a ja oczywiście

obiecałem. Nigdy nie widziałem jej tak podekscytowanej. Chyba ja też byłem podekscytowany. Nawet wtedy. To, co ona czuła, odczuwałem i ja.

Żeby ją rozśmieszyć, powiedziałem, że stroje wieczorowe, oczywiście. A ona: – Szkoda, że nie mam żadnej sukni. Muszę mieć więcej gorącej wody, żeby umyć włosy.

– Kupię ci suknię. Podaj mi tylko, tak jak przedtem, jaki kolor i tak dalej, a ja zobaczę, co się da zrobić w Lewes.

Zabawne, przecież tak się pilnowałem, i proszę, co mi się przydarzyło, znowu się rumieniłem. Ona jednak uśmiechnęła się.

– Wiedziałaś, że to Lewes. Na jednej z poduszek została metka. Chciałabym czarną suknię, albo nie, w kolorze biszkoptu albo kamienia... podeszła do pudła z farbami i mieszała kolory tak jak przedtem, kiedy poprosiła o specjalny szalik przed moim wyjazdem do Londynu. – Taki kolor, a sukienka musi być prosta, długa do kolan, takie rękawy (narysowała je) albo bez rękawów, coś takiego albo takiego. – Zawsze lubiłem, kiedy rysowała. Robiła to tak szybko, płynnie, miało się wrażenie, że nie może się doczekać, żeby wszystko narysować.

Oczywiście tego dnia daleko mi było do szczęścia. Jakie to podobne do mnie, żeby nie mieć żadnego planu. Nie wiem, czego się spodziewałem. Nawet nie wiem, czy nie miałem zamiaru dotrzymać umowy, chociaż została na mnie wymuszona, a wymuszone obietnice nie są obietnicami, jak to się mówi.

Naprawdę to pojechałem do Brighton i po obejrzeniu mnóstwa sklepów zobaczyłem tę sukienkę w małym sklepiku; widać było, że to prawdziwa klasa, najpierw nie chcieli jej sprzedać bez miary, chociaż rozmiar był odpowiedni. Wracając do zaparkowanej furgonetki, minąłem sklep jubilerski i nagle przyszło mi do głowy, że prezent mógłby jej zrobić przyjemność, mógłby także ułatwić sytuację, gdyby przyszło co do czego. Na kawałku czarnego aksamitu leżał naszyjnik z szafirem i diamentem, pamiętam, że był w kształcie serca – to znaczy, ułożyli naszyjnik na wystawie tak, żeby nadać mu kształt serca. Wszedłem do sklepu, naszyjnik kosztował trzysta funtów, o mało od razu nie wyszedłem, ale zatriumfowała bardziej hojna część mojej natury. W końcu miałem przecież pieniądze. Ekspedientka przymierzyła naszyjnik, wyglądał naprawdę ładnie i kosztownie. „To są niewielkie kamienie, ale bardzo czyste – mówiła – wiktoriański wyrób”. Przypomniałem sobie, jak Miranda wspomniała kiedyś, że bardzo lubi wiktoriańskie rzeczy, więc to zadecydowało. Oczywiście, były kłopoty z czekiem. Najpierw kobieta nie chciała go przyjąć, ale zmusiłem ją, żeby zadzwoniła do mojego banku, i zaraz zmieniła śpiewkę. Gdybym odezwał się odpowiednio

afektowanym głosem i przedstawił się jako lord Muck czy ktoś taki, to założę się, że... ale nie miałem czasu na takie rzeczy.

Dziwne, jak jeden pomysł prowadzi do drugiego. Kiedy kupowałem naszyjnik, zobaczyłem pierścionki i to nasunęło mi pomysł, żeby ją poprosić o rękę. Gdyby odmówiła, oznaczałoby to, że muszę ją zatrzymać. To byłoby wyjście. Wiedziałem, że się nie zgodzi, więc kupiłem pierścione. Całkiem ładny, chociaż nie bardzo drogi. Ale chodziło przecież o gest.

Kiedy wróciłem do domu, umyłem naszyjnik (nie podobało mi się, że dotykał skóry innej kobiety) i schowałem tak, żebym mógł go wydobyć w odpowiedniej chwili. Następnie wykonałem wszystkie przygotowania według jej wcześniejszych instrukcji. Kwiaty, butelki na bocznym stoliku, wszystko jak w wielkim hotelu. Nie zaniedbałem oczywiście normalnych środków ostrożności. Umówiliśmy się, że zejść po nią na dół o siódmej. Po przywiezieniu zakupów miałem się z nią nie widzieć, zupełnie jak przed ślubem.

Postanowiłem, że tym razem pozwolę jej wejść na górę bez knebla i bez więzów. Podejmę to ryzyko, ale będę ją bacznie obserwował, mając w pogotowiu chloroform i CTC na wypadek, gdyby pojawiły się kłopoty. Na przykład gdyby ktoś zapukał do drzwi, mógłbym posłużyć się tamponem i szybko przenieść ją do kuchni związaną i zakneblowaną, a dopiero potem otworzyć.

Więc o siódmej zszedłem na dół, ubrany w najlepszy garnitur i koszulę, a także w nowy krawat, który właśnie kupiłem. Padał deszcz, co mi bardzo odpowiadało. Kazała mi czekać około dziesięciu minut. Kiedy ją zobaczyłem, można mnie było przewrócić uderzeniem piórka! Przez chwilę myślałem, że to nie ona, tak bardzo się zmieniła. Była mocno uperfumowana francuskimi perfumami, które jej dałem. Po raz pierwszy, odkąd przebywała ze mną, zrobiła makijaż, włożyła nową suknię, która naprawdę wyjątkowo jej pasowała: była to kremowa, bardzo prosta, ale elegancka sukienka bez rękawów i z dużym dekoltem, niezbyt dziewczęcy fason, wyglądała w niej jak prawdziwa kobieta. Włosy upięła do góry, jak nigdy przedtem, naprawdę elegancko. Nazywała to empire. Wyglądała jak modelka z czasopisma, naprawdę zdumiało mnie, jak bardzo mogła się odmienić, kiedy tego chciała. Pamiętam, że jej oczy też wyglądały inaczej, podkreśliła je czarnymi liniami, więc robiły wrażenie bardzo wyrafinowanych. Wyrafinowane, to właśnie najlepsze słowo. Oczywiście czułem się przy niej niezręcznie i nijako. Dokładnie tak, jakbym obserwował wylaniającego się z kokonu motyla, którego musiałem za chwile zabić. Chodzi mi o to,

że pod wpływem piękna miesza się człowiekowi w głowie, nie wiadomo, co dalej robić, co się powinno robić.

– I jak? – zapytała, obracając się w koło, żeby mi się pokazać.

– Bardzo ładnie.

– To wszystko? – Spojrzała na mnie spod brwi. Wyglądała naprawdę wspaniale.

– Pięknie – powiedziałem. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć, chciałem tylko patrzeć na nią przez cały czas, ale nie mogłem. Ja też czułem się trochę przestraszony.

Chodzi mi o to, że wydawaliśmy się oddaleni od siebie bardziej niż kiedykolwiek. I nabierałem coraz większej pewności, że nie mogę jej pozwolić odejść.

– No to co, idziemy na górę?

– Bez sznurków? Bez knebla?

– Już za późno na to – powiedziałem. – Wszystko skończone.

– Myślę, że to, co robisz dzisiaj i co zrobisz jutro, będzie jednym z najwspanialszych wydarzeń w twoim życiu.

– I jednym z najsmutniejszych. – Nie mogłem się powstrzymać od tej uwagi.

– Nieprawda. To początek nowego życia. I nowego ciebie. – Wzięła mnie za rękę i poprowadziła na górę po stopniach.

Lał deszcz, więc wykonała tylko jeden głęboki wdech, zanim weszła do kuchni i przez jadalnię do bawialni.

– Bardzo przyjemnie.

– Zdawało mi się, że według ciebie to słowo nic nie znaczy.

– Niektóre rzeczy są przyjemne. Czy mogę dostać kieliszek sherry? – Nalałem każdemu z nas po kieliszku. Staliśmy tak, a ona mnie rozśmieszyła, bo udawała, że pokój pełen jest ludzi, kiwała do nich ręką i opowiadała mi o nich, a im mówiła o moim nowym życiu, a potem nastawiła płytę, jakąś rzewną melodię. Wyglądała bardzo pięknie. Była tak zmieniona, jej oczy promieniały życiem. Zapach francuskich perfum wypełniający cały pokój, sherry i ciepło od kominka, w którym płonęły prawdziwe polana – wszystko to sprawiło, że udało mi się zapomnieć o tym, co będę musiał zrobić później. Opowiadałem nawet jakieś głupie dowcipy. W każdym razie ona się śmiała.

Wypiła jeszcze jeden kieliszek, a potem przeszliśmy do drugiego pokoju, gdzie przy jej miejscu położyłem prezent, co od razu zauważyła.

– To dla mnie?

– Rozpakuj i zobacz – powiedziałem.

Rozwinęła papier, ukazało się pudełeczko z granatowej skóry, nacisnęła guzik i nie wypowiedziała ani słowa. Wpatrywała się w naszyjnik.

– Czy to prawdziwe kamienie? – Wydawała się przerażona, naprawdę przerażona.

– Oczywiście. Kamienie są niewielkie, ale bardzo dobrej jakości.

– Są cudowne – powiedziała i wyciągnęła w moją stronę rękę z pudełkiem. – Nie mogę ich przyjąć. Rozumiem, wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego mi je ofiarowałeś, i bardzo to cenię, ale... nie mogę ich przyjąć.

– Chcę, żebyś przyjęła – powiedziałem.

– Ale... Ferdynandzie, jeśli młody mężczyzna daje dziewczynie taki prezent, może to oznaczać tylko jedno.

– Co? – zapytałem.

– Ludzie mają plugawe myśli.

– Chciałbym, żeby to należało do ciebie. Proszę cię.

– Założę je na wieczór. Będę udawała, że są moje.

– Są twoje.

Obeszła stół z pudełkiem w ręku.

– Załóż mi naszyjnik. Jeśli ofiarowujesz dziewczynie biżuterię, tak właśnie musisz postąpić.

Stała tuż obok, obserwowała mnie, potem odwróciła się, a ja wziąłem klejnoty i założyłem jej na szyję. Miałem trudności z zapięciem naszyjnika, ręce mi drżały, po raz pierwszy dotykałem jej skóry, nie licząc dłoni. Pachniała tak ładnie, że mógłbym stać przy niej przez cały wieczór. Zupełnie jakby scena z reklamy nagle stała się rzeczywistością. Wreszcie wykonała obrót i patrzyła na mnie.

– Ładnie wygląda?

– Skinąłem tylko głową, nie mogłem mówić. Chciałem powiedzieć coś przyjemnego, jakiś komplement.

– Czy chciałbyś, żebym pocałowała cię w policzek?

Nic nie powiedziałem, ale ona położyła mi ręce na ramionach, uniosła się trochę na palcach i pocałowała mnie w policzek. Musiał jej się wydawać gorący; byłem już wystarczająco czerwony, by służyć za podpałkę na ognisko.

Jedliśmy kurczaka na zimno i inne rzeczy, otworzyłem szampana i było bardzo przyjemnie, aż mnie to zaskoczyło. Żałowałem, że nie kupiłem drugiej butelki, piło się

z przyjemnością. Chociaż dużo się śmialiśmy, ona była naprawdę dowcipna, znowu rozmawiała z ludźmi, których wcale w pokoju nie było i tak dalej.

Po kolacji przygotowaliśmy oboje kawę w kuchni (oczywiście, bacznie ją obserwowałem) i zanieśliśmy do bawialni, gdzie puszczałyśmy płyty jazzowe, które dla niej kupiłem. Siedzieliśmy razem na sofie.

A potem bawiliśmy się w szarady, ona odgrywała sylaby, a ja miałem zgadywać, co znaczą. Nie byłem dobry ani w jednym, ani w drugim, ani w odgrywaniu, ani w zgadywaniu. Pamiętam, że jednym ze słów, które miałem odgadnąć, był „motyl”. Powtarzała to raz po raz, a ja nie mogłem zgadnąć. Powiedziałem „samolot”, a potem wymieniłem wszystkie ptaki, jakie tylko przyszły mi do głowy, aż wreszcie ona padła na krzesło i powiedziała, że jestem beznadziejny. Potem były tańce. Usiłowała nauczyć mnie jive'a i samby, ale ponieważ wiązało się to z dotykiem jej, byłem tak zmieszany, że ani rusz nie mogłem uchwycić rytmu. Musiała naprawdę uważać mnie za tępaka.

Potem chciała się na chwilę oddalić. Nie bardzo mi to odpowiadało, ale zdawałem sobie sprawę, że nie mogę oczekiwać, by zeszła na dół. Musiałem jej pozwolić pójść na górę, a sam stałem na schodach i uważałem, czy nie próbuje jakichś sztuczek ze światłem (nie założyłem desek, to był mój błąd). Okno znajdowało się wysoko.

Gdyby próbowała przez nie uciec, musiałbym usłyszeć, dzieliła je duża odległość od ziemi. W każdym razie wyszła bardzo szybko i zobaczyła mnie na schodach.

– Nie możesz mi zaufać? – Powiedziała to trochę opryskliwie.

– Nie w tym rzecz. Wróciliśmy do bawialni.

– A w czym?

– Gdybyś teraz uciekła, mogłabyś powiedzieć, że cię więziłem. Ale jeśli odwiozę cię do domu, mogę powiedzieć, że cię uwolniłem. Wiem, że to głupie – dodałem. Oczywiście, trochę udawałem. To była bardzo trudna sytuacja.

Spojrzała na mnie i zaproponowała: – Porozmawiajmy. Chodź tutaj i usiądź koło mnie. Podeszedłem i usiadłem.

– Co będziesz robił, kiedy stąd odejdziesz?

– Nie myślę o tym.

– Czy będziesz chciał dalej się ze mną widywać?

– Oczywiście.

– Czy naprawdę przeniesiesz się do Londynu? Zrobimy z ciebie nowoczesnego młodzieńca, z którym znajomość każdemu wyda się interesująca.

– Będziesz się mnie wstydziła w towarzystwie swoich przyjaciół.

To wszystko było nierealne. Wiedziałem, że ona udaje tak samo jak ja. Bolała mnie głowa. Wszystko rozwijało się nie tak.

– Mam bardzo dużo przyjaciół. A wiesz dlaczego? Ponieważ nigdy się ich nie wstydzę. Są bardzo różni. Ty na pewno nie będziesz wśród nich najbardziej niezwykły. Jeden z nich jest kompletnie niemoralny. Ale jest wspaniałym malarzem, więc mu wybaczymy. A on się tego nie wstydzi. Musisz i ty to osiągnąć. Przestać się wstydzić. Pomogę ci. Jeśli się postarasz, to nie będzie trudne.

Wydawało się, że to odpowiednia chwila. W każdym razie nie mogłem tego dłużej znieść.

– Proszę cię, wyjdź za mnie – powiedziałem. W kieszeni miałem przygotowany pierścionek.

Nastąpiła cisza.

– Wszystko, co mam, należy do ciebie.

– Małżeństwo znaczy miłość.

– Niczego nie oczekuję. Nie spodziewam się, że będziesz robiła cokolwiek, na co nie masz ochoty. Możesz robić, co chcesz, studiować sztuki piękne i tak dalej. Nie będę od ciebie niczego wymagał, niczego poza tym, żebyś oficjalnie została moją żoną i mieszkała ze mną w jednym domu.

Siedziała, wpatrując się w dywan.

– Możesz mieć swoją sypialnię i codziennie zamykać się w niej na klucz – powiedziałem.

– Ależ to straszne! Nieludzkie! My się nigdy nie zrozumiemy. Mamy zupełnie odmienne serca.

– Mimo wszystko ja mam serce.

– Ja uważam, że wszystko jest albo piękne, albo nie. Czy ty to rozumiesz? Nie myślę o tym, czy jest dobre, czy złe. Tylko piękne albo brzydkie. Wiele przyjemnych rzeczy uważam za brzydkie, a wiele paskudnych za piękne.

– Bawisz się słowami – powiedziałem. Ona tylko wpatrywała się we mnie, potem uśmiechnęła się, wstała i podeszła do ognia. Była naprawdę piękna. Ale zamknięta w sobie. Pełna poczucia wyższości.

– Pewnie jesteś zakochana w tym Piersie Broughtonie – powiedziałem.

Chciałem ją trochę poruszyć. I rzeczywiście, to ją naprawdę zaskoczyło.

– Skąd wiesz o nim?

Powiedziałem, że pisali o tym w gazecie. Pisali, że są nieoficjalnie zaręczeni.

Od razu wiedziałem, że to nieprawda. Roześmiała się tylko.

– To ostatni mężczyzna, za którego bym wyszła. Już prędzej wyszłabym za ciebie.

– A więc dlaczego to nie mogę być ja?

– Ponieważ nie mogę poślubić mężczyzny, jeżeli nie mam poczucia, że należę do niego całkowicie. Mój umysł musi należeć do niego, moje serce, moje ciało. Tak jak on musi należeć do mnie.

– Ja należę do ciebie.

– Nic podobnego! To angażuje dwie osoby. Jedną, która daje, drugą, która przyjmuje ten dar. Nie należysz do mnie, ponieważ nie mogę cię zaakceptować. Nie mogę ci ofiarować nic w zamian.

– Ja nie chcę wiele.

– Wiem, że nie chcesz. W każdym razie nie więcej, niż mam do ofiarowania. To, jak wyglądam, jak się poruszam, jak mówię. Ale we mnie jest jeszcze coś więcej. I tego nie mogę ci dać, bo cię nie kocham.

– A więc to zmienia całą sytuację, prawda?

Wstałem, w głowie mi pulsowało. Od razu wiedziała, o co mi chodziło, wyczytałem to na jej twarzy, udawała jednak, że nie rozumie.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, co mam na myśli.

– Wyjdę za ciebie. Wyjdę za ciebie, kiedy tylko zechcesz.

– Ha, ha, ha.

– Czyż nie tego ode mnie oczekiwałeś?

– Uważasz pewnie, że ja nie orientuję się w tym, że potrzeba świadków i tak dalej.

– No więc?

– Nie mam do ciebie za grosz zaufania.

Patrzyła na mnie w taki sposób, że przyprawiało mnie to o mdłości. Jakbym nie był człowiekiem. Nie chodziło nawet o pogardę. Po prostu jakbym był przybyszem z kosmosu. Niemal fascynującym.

– Myślisz, że nie dostrzegam tych twoich uwodzicielskich gier?

- Ferdynandzie – powiedziała tylko. Niemal błagalnie. Kolejna sztuczka.
- Przestań mnie podpuszczać.
- Obiecałeś, nie możesz nie dotrzymać słowa. – Mogę zrobić, co mi się podoba.
- Ale ja nie wiem, czego ty ode mnie chcesz. Jak mogę ci udowodnić, że jestem twoją przyjaciółką, skoro nie dajesz mi szansy?
- Zamknij się.

I nagle zaczęła działać, byłem na to przygotowany, wiedziałem, że to musi nastąpić, nie byłem jednak przygotowany na odgłos samochodu na zewnątrz. Dokładnie w chwili, gdy samochód zbliżał się do domu, wyciągnęła nogę; jakby chciała ją ogrzać, i nagle wykopała płonąca główńię z kominka na dywan, w tym samym momencie zaczęła krzyczeć i podbiegła do okna, a kiedy zobaczyła, że okiennice zamknięte są na kłódkę, rzuciła się do drzwi. Ale ja znalazłem się tam pierwszy. Nie zdążyłem wziąć chloroformu z szuflady, bo najważniejsza była szybkość. Obróciła się, zaczęła mnie drapać i wbijać mi paznokcie w skórę, przez cały czas nie przestawała krzyczeć, ale nie byłem w nastroju skłaniającym do łagodności, więc schwyciłem ją mocno za ramiona i zatkałem ręką usta. Szarpała się, gryzła i kopała, ale zdążyłem już popaść w panikę. Złapałem ją za ramiona i pochyliłem nad szufladą, w której znajdowało się plastikowe pudełko. Zorientowała się, o co chodzi, usiłowała się wyrwać. Udało mi się jednak wyciągnąć tampon i zaaplikować jej. Oczywiście przez cały czas nie przestawałem nasłuchiwać. Obserwowałem też polano, tliło się niebezpiecznie, dym wypełniał pokój. Jak tylko straciła przytomność, puściłem ją i poszedłem zgasić ogień. Poląłem go wodą z wazonu. Musiałem działać naprawdę szybko, postanowiłem zanieść ją na dół, położyłem na łóżku, pobiegłem na górę, żeby sprawdzić, czy nie grozi niebezpieczeństwo pożaru i czy nikogo nie ma w pobliżu.

Bardzo ostrożnie otworzyłem frontowe drzwi, ale nie było nikogo, wszystko wydawało się w porządku.

Potem znowu zszedłem na dół.

Dalej była nieprzytomna, leżała na łóżku. Przedstawiała naprawdę niezły widok, suknia kompletnie zsunięta z jednego ramienia. Nie wiem dlaczego to mnie podnieciło, nasunęło mi różne pomysły, kiedy obserwowałem ją tak leżącą nieprzytomnie. Jak bym jej udowodnił, kto tu naprawdę jest panem. Jedno ramię miała zupełnie odsłonięte, widać też było, gdzie kończy się pończocha. Nie wiadomo dlaczego, przypomniał mi się amerykański film, który kiedyś widziałem (a może było to czasopismo), o facecie, który zabrał do domu pijaną dziewczynę, rozebrał ją i

położył do łóżka; nic zdrożnego, tylko tyle, a ona obudziła się w jego piżamie.

Więc zrobiłem to samo. Zdjąłem jej suknię i pończochy, ale zostawiłem niektóre części garderoby, tylko stanik i to drugie, żeby nie pójść na całego. Wyglądała naprawdę pięknie, mając na sobie tylko te paski niczego, jak nazywała je ciocia Annie. (Mówiła, że dlatego coraz więcej kobiet dostaje raka.) Jakby była ubrana w bikini.

To była okazja, na którą czekałem. Wziąłem aparat i zrobiłem kilka zdjęć. Zrobiłbym więcej; ale zaczęła się poruszać, więc musiałem pozbierać rzeczy i szybko wyjść.

Zaraz zacząłem wywoływać film i robić odbitki. Wyszły naprawdę ładnie. Nie tyle artystyczne, ile interesujące.

Tej nocy w ogóle nie spałem, byłem w takim stanie! Chwilami myślałem, że znowu zejść na dół, zastosuję tampon i zrobię więcej zdjęć, do tego się doprowadziłem! Naprawdę nie jestem taki, ale tego wieczoru wpłynęło na mnie to wszystko, co się wydarzyło i całe to napięcie. Poza tym szampan nie działa na mnie najlepiej. Wystąpił tu tak zwany splot okoliczności.

Sytuacja nigdy już nie była taka jak dawniej, po tym wszystkim, co się zdarzyło. Dowodziło to poniekąd, że nigdy nie moglibyśmy być naprawdę razem, ona nigdy nie mogłaby mnie zrozumieć, pewnie sama powiedziała, że ja nigdy jej nie rozumiałem ani nie mógłbym zrozumieć.

Kiedy myślałem później o tym, jak ją rozebrałem, uświadomiłem sobie, że nie było w tym nic złego, mało kto zachowałby nad sobą kontrolę, ograniczając się tylko do zdjęć; to był prawie punkt na moją korzyść.

Zastanawiałem się, co zrobić. Uznałem, że najlepiej napisać list:

„Bardzo mi przykro z powodu wczorajszego wieczoru. Pewnie myślisz, że nigdy nie będziesz mogła mi przebaczyć. Powiedziałem, że nigdy nie użyję siły, jeśli nie będę do tego zmuszony. Chyba zgodzisz się, że swoim zachowaniem zmusiłaś mnie do tego. Proszę, zrozum, że zrobiłem tylko to, co było konieczne. Zdjąłem ci sukienkę, bo obawiałem się, że znowu będziesz wymiotować.

Zważywszy na okoliczności, zachowałem się z należyтым szacunkiem. Proszę, docień to, że nie posunąłem się tak daleko, jak mógłby zrobić ktoś inny na moim miejscu.

Nie powiem nic więcej. Poza tym, że muszę mieć cię tutaj jeszcze trochę dłużej. Pozostaję z poważaniem...” itd.

Nie umieściłem żadnego nagłówka. Nie mogłem się zdecydować, jak mam ją

nazywać, „Droga Mirando” wydawało się zbyt poufałe.

Zszedłem na dół i zaniósłem jej śniadanie. Było tak, jak się spodziewałem. Siedziała na krześle, wpatrując się we mnie, powiedziałem „dzień dobry”, ale nie odpowiedziała. Zapytałem, czy chce płatki kukurydziane czy ryżowe, ale dalej bez słowa wpatrywała się we mnie. Więc po prostu zostawiłem śniadanie na tacy razem z listem i czekałem na zewnątrz. A kiedy wróciłem, nie ruszyła niczego, nie otworzyła ust, dalej siedziała i wpatrywała się we mnie. Wiedziałem, że zaczynanie rozmowy nie ma sensu, była na mnie bardzo poważnie obrażona.

Zachowywała się tak przez kilka dni. O ile mogłem się zorientować, piła tylko wodę. Co najmniej raz dziennie, kiedy znosiłem jedzenie, które konsekwentnie odrzucała, próbowałem ją przekonać. Jeszcze raz dołączyłem list i tym razem przeczytała go, to znaczy był podarty, więc musiała mieć go w ręku. Próbowałem wszystkiego, przemawiałem łagodnie, udawałem gniew, rozgoryczenie, błagałem ją, ale wszystko na nic. Przeważnie siedziała plecami do mnie, jakby w ogóle mnie nie słyszała. Kupowałem najlepsze rzeczy, jak kontynentalne czekoladki, kawior, wszystko, co można było dostać w Lewes, ale nawet ich nie tknęła.

Zaczynałem się naprawdę niepokoić. Ale pewnego ranka, kiedy wszedłem do jej pokoju, stała przy łóżku plecami do mnie, jednak usłyszawszy mnie, obróciła się i powiedziała „dzień dobry”. Dziwnym tonem. Pełnym złości.

– Dzień dobry – odpowiedziałem. – Przyjemnie znowu słyszeć twój głos.

– Prawda? Ale to nie będzie trwało. Przyjdzie czas, kiedy pomyślisz, że wolałbyś nigdy przedtem go nie słyszeć.

– To się dopiero okaże.

– Zabiję cię. Uświadomiłam sobie, że pozwoliłbyś mi zagłodzić się na śmierć. To bardzo do ciebie podobne.

– Pewnie w ciągu ostatnich dni nie przynosiłem ci żadnego jedzenia?

Na to nie mogła odpowiedzieć, więc tylko wpatrywała się we mnie swoim dawnym zwyczajem.

– Nie więzisz już dłużej mnie. Teraz więzisz śmierć.

– W każdym razie zjedz śniadanie.

Od tej pory jadła normalnie, ale nie było już tak jak przedtem.

Prawie nic nie mówiła, a jeśli już się odzywała, to bardzo opryskliwie i sarkastycznie, była na ogół w tak złym humorze, że siedzenie w jej pokoju nie wchodziło w grę. Jeżeli kiedykolwiek zostałem chociaż minutę dłużej, niż wymagała

konieczność, kazała mi się wynosić. Pewnego dnia przyniosłem talerz pełen dobrej fasoli na grzankach, którym rzuciła prosto we mnie. Miałem ochotę wytargać ją porządnie za uszy. Mniej więcej w tym okresie zaczynałem mieć kompletnie dosyć tej całej sprawy, to nie miało najmniejszego sensu, próbowałem wszystkiego, ale ona ciągle miała mi za złe tamten wieczór. Znaleźliśmy się jakby w sytuacji bez wyjścia.

I wtedy pewnego dnia poprosiła o coś. Nabrałem zwyczaju wychodzenia od niej zaraz po kolacji, zanim mogła zacząć na mnie krzyżeć, ale tego dnia powiedziała: – Poczekaj chwilę. Chcę się wykapać.

– Dzisiaj to niemożliwe – odparłem. Nie byłem na to przygotowany.

– Jutro?

– Nie widzę przeszkód. Warunkowo.

– Dam ci słowo – powiedziała nieprzyjemnym, twardym głosem. Wiedziałem, ile warte jest jej słowo.

– Chciałabym też pochodzić po piwnicy. – Wyciągnęła ręce do przodu, związałem je. Dotykałem jej po raz pierwszy od wielu dni. Jak zwykle usiadłem na schodkach prowadzących z zewnętrznej piwnicy na górę, a ona chodziła w tę i z powrotem tym swoim śmiesznym krokiem. Wiał silny wiatr, słyhać było tylko odgłos jej kroków i wicher na górze. Przez jakiś czas nie odzywała się, ale nie wiem dlaczego, miałem pewność, że chce coś powiedzieć.

– Czy cieszysz się życiem? – zapytała znienacka.

– Nie bardzo – odpowiedziałem. Zachowywałem ostrożność. Przeszła w tę i z powrotem jeszcze cztery czy pięć razy. Potem zaczęła coś nucić.

– To ładna melodia – powiedziałem.

– Podoba ci się?

– Tak.

– Więc mnie już się przestała podobać. Przemierzyła jeszcze ze dwa razy piwnicę.

– Mów do mnie.

– O czym?

– O motylach.

– Co o motylach?

– Dlaczego je kolekcjonujesz. Odzieje znajdujesz. No, dalej, mów.

Może się to wydać dziwne, ale zacząłem mówić, a kiedy tylko przestawałem, ona powtarzała: „No, dalej, mów”. Musiałem mówić z pół godziny, aż wreszcie

przystanęła i powiedziała: „Dosyć”. Weszła z powrotem do swojego pokoju, rozwiązałem jej ręce i od razu usiadła na łóżku, plecami do mnie. Zapytałem, czy chce herbaty, nie odpowiedziała, i nagle zdałem sobie sprawę, że płacze. Naprawdę oddziaływało to na mnie, kiedy płakała, nie mogłem znieść myśli, że jest taka nieszczęśliwa. Podeszedłem bliżej i poprosiłem: „Powiedz mi, czego chcesz, kupię ci wszystko”. Ona jednak obróciła się w moją stronę, rzeczywiście zapłakana, ale teraz oczy jej rzucały płomienie. Wstała, podeszła do mnie ze słowami: „Wynoś się, wynoś się, wynoś się”. To było straszne. Robiła wrażenie kompletnie szalonej.

Następnego dnia zachowywała się bardzo spokojnie. Ani słowa. Zabiłem okno deskami i przygotowałem wszystko, a ona zaraz po spacerze (który tym razem odbył się w absolutnym milczeniu) była zupełnie gotowa. Więc ją zakneblowałem i związałem, zaprowadziłem na górę, wzięła tę swoją kąpiel, wyszła i od razu wyciągnęła ręce przed siebie, żebym je związał, i pozwoliła zakneblować sobie usta.

Zawsze wychodziłem pierwszy z kuchni, dla pewności trzymałem ją, ale z kuchni prowadził stopień, sam się kiedyś na nim przewróciłem, więc może dlatego, kiedy ona się przewróciła, wydawało się to naturalne, podobnie jak naturalne wydawało się, że wszystkie szczotki, butelki i inne rzeczy, które niosła w ręczniku (ręce miała związane z przodu, więc zawsze nosiła rzeczy wysoko przed sobą) rozsypały się z hałasem na ścieżce. Podniosła się z niewinną miną, pochyliła, żeby rozetrzeć sobie kolana, a ja jak kompletny głupiec ukląknęłam i zacząłem zbierać jej rzeczy. Oczywiście trzymałem ją za szlafrok, ale spuściłem ją z oczu, co okazało się fatalne.

W następnym momencie poczułem straszne uderzenie. Na szczęście nie trafiło dokładnie w głowę, spadło z całą siłą na ramię, a właściwie na obojczyk. W każdym razie upadłem na bok, częściowo dlatego, żeby uniknąć kolejnego ataku. Straciłem równowagę i nie mogłem dosięgnąć jej rąk, chociaż ciągle trzymałem ją za szlafrok. Widziałem, że trzyma coś w rękach i nagle zorientowałem się, że była to podręczna siekiera. Używałem jej rano w ogrodzie, bo wiatr poprzedniego wieczoru ułamał gałąź jednej starej jabłoni. W ułamku sekundy uświadomiłem sobie, że wreszcie popełniłem błąd. Zostawiłem siekiere na parapecie kuchennego okna i musiała ją tam wypatrzeć. Jeden błąd i wszystko stracone.

Przez chwilę byłem na jej łasce, to cud, że mnie nie zabiła.

Uderzyła jeszcze raz, zdążyłem unieść rękę tylko do połowy, poczułem tnący cios na skroni, zakreśliło mi się w głowie, zdawało się, że natychmiast bluznęła krew.

Nie mam pojęcia, jak to zrobiłem, pewnie wiedziony instynktem, ale wierzgnąłem nogami w bok, przekręciłem się i ona upadła na bok, niemal na mnie, słyszałem, jak siekiera uderzyła o kamień.

Porwałem ją i odrzuciłem na trawę, a potem schwyciłem Mirandę za rękę, zanim zdążyła rozwiązać knebel, bo o to jej chodziło. Opierała się, ale tylko przez kilka sekund, musiała dojść do wniosku, że to nie ma sensu, miała okazję i nie wykorzystała jej. Nagle przestała walczyć, przeprowadziłem ją przez drzwi i na dół. Byłem brutalny, czułem się bardzo źle, krew zalewała mi twarz. Wepchnąłem ją do pokoju, obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem, zanim zatrzasnąłem i zaryglowałem drzwi. Nie przejmowałem się ani kneblem, ani więzami. To będzie dla niej nauczka, pomyślałem.

Na górze poszedłem się umyć. O mało nie zemdlałem, kiedy zobaczyłem się w lustrze, cała twarz we krwi. Miałem jednak szczęście, siekiera nie była bardzo ostra, ześliznęła się z mojej głowy. Rana była obrzydliwie poszarpana, ale niegłęboka. Długo siedziałem, przykładając szmatkę do zranionego miejsca. Nigdy nie przypuszczałem, że potrafię tak dobrze znieść widok krwi, tego wieczoru naprawdę sam sobie sprawiłem niespodziankę.

Oczywiście, byłem tym wszystkim rozgoryczony. Gdybym nie czuł się trochę nieswojo, nie wiem, do czego mógłbym się posunąć. To była ta ostatnia kropla, jak to się mówi, i przyszły mi do głowy pewne pomysły. Nie mam pojęcia, co mógłbym zrobić, gdyby dalej zachowywała się tak jak poprzednio. Ale teraz i tak nie ma to już żadnego znaczenia.

Następnego ranka zszedłem na dół, ciągle z bólem głowy, byłem gotów potraktować ją naprawdę ostro, ale zdumiałem się niepomierne, kiedy na mój widok poderwała się z miejsca i zapytała, jak się czuję. Z tonu jej głosu wywnioskowałem, że próbowała być inna. Dobra. Łagodna.

– Mam szczęście, że żyję – powiedziałem.

Była bardzo blada. I poważna. Wyciągnęła ręce przed siebie; uwolniła się od knebla, ale musiała spać ze sznurami (była jeszcze w szlafroku). Rozwiązałem ją.

– Pokaż mi tę ranę.

Cofnąłem się, przez nią zrobiłem się bardzo nerwowy.

– Nie mam nic w rękach. Czy przemyłeś ranę?

– Tak.

– Wydezynfekowałeś?

– Wszystko w porządku.

Wzięła buteleczkę dettolu, wylała trochę na watę i znowu podeszła do mnie.

– O co ci teraz chodzi? – zapytałem.

– Chcę to przemyć. Usiądź”. Usiądź. – Powiedziała to takim tonem, że nie było wątpliwości, o co jej chodzi. Zabawne, czasami nie ulegało wątpliwości, że nie może kłamać.

Bardzo delikatnie zdjęła plaster i opatrunek. Czuję, jak drgnęła na widok rany, która nie wyglądała zbyt ładnie, ale przemyła ją starannie i znowu założyła opatrunek.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem.

– Ogromnie mi przykro, że zrobiłam to... co zrobiłam. Chciałabym ci podziękować, że się nie zrewanżowałaś. Miałaś do tego pełne prawo.

– To nie przychodzi łatwo, kiedy się tak zachowujesz.

– Nie chcę o niczym rozmawiać. Chcę tylko powiedzieć, że mi przykro.

– Przyjmuję twoje przeprosiny.

– Dziękuję.

Wszystko bardzo formalnie, ona zaczęła jeść śniadanie, a ja czekałem na zewnątrz. Kiedy zapukałem, żeby się przekonać, czy mogę posprzątać, była już ubrana, a łóżko porządnie posłane. Zapytałem, czy chce czegoś, ale nie chciała. Powiedziała, że mam sobie kupić maść TCP, i podała mi tacę z cieniem uśmiechu. Nie było to dużo, ale oznaczało wielką zmianę. Dla tego niemal warto było dostać w głowę. Tego ranka byłem naprawdę szczęśliwy.

Jakby znowu weszło słońce.

Przez następne dwa albo trzy dni nie było ani dobrze, ani źle. Niewiele się odzywała, ale nie była ani zgorzkniała, ani złośliwa. A potem pewnego dnia po śniadaniu poprosiła, żebym usiadł tak jak bywało na początku, bo chciałyby mnie rysować. Chodziło jej po prostu o pretekst do rozmowy.

– Chciałabym, żebyś mi pomógł – zaczęła.

– Mów dalej – zachęciłem.

– Mam przyjaciółkę, w której zakochał się młody człowiek.

– I co dalej? – zapytałem. Przerwała rysowanie, pewnie żeby obserwować, jak wpadam w pułapkę.

– Jest w niej tak bardzo zakochany, że ją porwał. Więzi ją.

– Co za zbieg okoliczności.

– Prawda? No więc ona chciałaby odzyskać wolność, ale nie chciałaby go

zranić. I nie wie, co ma robić. Co byś jej poradził?

- Cierpliwość.
- Co musi się zdarzyć, zanim ten młody człowiek ją uwolni?
- Wszystko może się zdarzyć.
- Dobrze. Przestańmy grać w ciuciubabkę. Powiedz, co muszę zrobić, żeby odzyskać wolność.

Nie mogłem odpowiedzieć. Pomyślałem, że gdybym powiedział „zostać ze mną na zawsze”, znaleźlibyśmy się z powrotem w punkcie wyjścia.

- Małżeństwo nie wchodzi w grę. Nie możesz mi ufać.
- Jeszcze nie.
- A gdybym poszła z tobą do łóżka? Przerwała rysowanie. Nie odpowiadałem.
- A więc?
- Nie przypuszczałem, że jesteś taka – powiedziałem.

– Usiłuję po prostu odkryć twoją cenę. – Tak jakby rozpytywała o wady i zalety nowej pralki.

- Wiesz, czego chcę.
- Ależ właśnie tego nie wiem.
- Dobrze wiesz.
- O Boże! Słuchaj. Odpowiedz po prostu „tak” lub „nie”. Czy chcesz iść ze mną do łóżka?

- Nie w takiej sytuacji, w jakiej jesteśmy teraz.
- A w jakiej sytuacji jesteśmy?
- Wydawało mi się, że to ty jesteś mądra.

Wciągnęła głęboko powietrze. Lubilem troszkę ją nabierać.

– Myślisz, że szukam tylko sposobu ucieczki? I że cokolwiek zrobię, to tylko w tym celu? Czy tak?

- Tak – powiedziałem.
- A gdybyś czuł, że robię to z innego powodu? Ponieważ cię lubię. Czy po prostu dla zabawy. Czy wtedy byś chciał?
- To, o czym mówisz, mogę kupić w Londynie, kiedy tylko zechcę.

Trochę ją to przymknęło. Znowu zaczęła rysować. Po chwili powiedziała: – Nie sprowadziłeś mnie tutaj dlatego, że uważasz mnie za pociągającą seksualnie.

- Uważam, że jesteś bardzo pociągająca. Najbardziej.
- Przypominasz chińskie puzderko – oznajmiła. I kontynuowała rysowanie.

Więcej już nie rozmawialiśmy. Ja wprawdzie próbowałem, ale powiedziała, że to psuje pozę.

Wiem, co niektórzy pomyślą. Uznają moje zachowanie za dziwne. Wiem, że większość mężczyzn myślałaby tylko o wykorzystaniu sytuacji, a takich okazji było mnóstwo. Mogłem się posłużyć tamponem. Zrobić, co chcę. Ale ja nie jestem taki, zdecydowanie nie. Przypominała gąsienicę, która potrzebuje trzech miesięcy na wykarmienie, a próbuje to zrobić w ciągu kilku dni. Wiedziałem, że nic dobrego z tego nie wyniknie, zawsze jej się tak spieszyło. Dzisiaj ludzie chcą mieć wszystko, zaledwie zdążą o czymś pomyśleć, już chcieliby mieć to w rękę, ale ja jestem inny, staroświecki. Lubię myśleć o przyszłości i pozwalać sytuacji rozwijać się w czasie, powoli, jak należy. Tylko spokojnie, jak mawiał wujek Dick, kiedy przychodziła mu duża ryba.

Ona nigdy nie rozumiała, że mnie chodziło o to, żeby mieć. Wystarczyło mieć ją w pobliżu. Nie trzeba było nic robić. Chciałem tylko ją mieć, nareszcie bezpieczną.

Minęły dwa czy trzy dni. Nigdy nie mówiła wiele, ale pewnego dnia po obiedzie powiedziała: – Jestem więźniem do końca życia, prawda?

Wiedziałem, że po prostu miała ochotę mówić, więc się nie odezwałem.

– Czy nie lepiej, żebyśmy znowu zostali przyjaciółmi?

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Chciałabym się wykąpać dziś wieczorem.

– Dobrze.

– Czy moglibyśmy potem posiedzieć na górze? To przez ten pokój. Oszaleję, jeśli nie zmienię otoczenia.

Powiedziałem, że zobaczę.

W rzeczywistości napaliłem w kominku i wszystko przygotowałem. Upewniłem się, czy nie będzie mogła czegoś schwycić i rzucić się na mnie. Nie mogłem udawać, że ufam jej jak dawniej.

Poszła na górę wziąć tę swoją kąpiel i wszystko przebiegło jak zwykle. Kiedy wyszła, związałem jej ręce, ale nie założyłem knebla, i szedłem za nią na dół. Zauważyłem, że zużyła sporo francuskich perfum, upięła włosy do góry tak jak poprzednio, włożyła fioletowo-białą podomkę, którą jej kupiłem. Chciała się napić sherry, którego nigdy nie dokończyliśmy (zostało jeszcze pół butelki), nałalem, a ona stanęła przy kominku i spoglądała w dół na płonące polana. Wyciągała kolejno gołe stopy, żeby je ogrzać. Staliśmy tak, popijając sherry, i nic nie mówiliśmy, ale ona rzuciła mi kilka takich dziwnych spojrzeń, jakby wiedziała o czymś, o czym ja nie

wiedziałem, i to mnie wprawiło w zdenerwowanie.

Wypiła następny kieliszek w ciągu sekundy i poprosiła o jeszcze jeden.

– Siadaj – powiedziała, więc usiadłem na wskazanym miejscu na sofie. Przez chwilę mi się przyglądała. Potem stanęła przede mną, bardzo zabawnie, spoglądała na mnie w dół i przestępowała z nogi na nogę. I nagle, buch, usiadła mi na kolanach. To mnie kompletnie zaskoczyło. W jakiś sposób udało jej się objąć moją głowę rękami i już za chwilę całowała mnie w usta. A potem położyła głowę na moim ramieniu.

– Nie bądź taki sztywny – powiedziała.

Ogarnęło mnie osłupienie. Tego się najmniej spodziewałem.

– Obejmij mnie – powiedziała. – Tak. Czy to nie jest przyjemne? Jestem ciężka? – I znowu oparła mi głowę na ramieniu, podczas gdy moja ręka spoczywała na jej talii. Była ciepła i pachnąca, muszę powiedzieć, że podomka rozchyliła się bardzo mocno powyżej kolan, ale ona zdawała się nie zwracać na to uwagi, po prostu wyciągnęła nogi na sofie.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Jesteś taki napięty. Rozluźnij się. Nie ma się czym przejmować – w każdym razie próbowałem, ona leżała nieruchomo, wiedziałem jednak, że coś tu jest nie w porządku.

– Dlaczego mnie nie pocałujesz?

Wtedy wiedziałem, że o coś chodzi. Nie wiedziałem tylko, co robić, pocałowałem ją w czubek głowy.

– Nie tak.

– Nie chcę – powiedziałem.

Siedziała na moich kolanach nieruchomo i wpatrywała się we mnie.

– Nie chcesz?

Odwróciłem wzrok, co nie było łatwe, bo oplatała moją głowę związanymi rękami. Nie wiedziałem, co powiedzieć, żeby ją powstrzymać.

– Dlaczego nie? Wyśmiewała się ze mnie.

– Mogę posunąć się za daleko – powiedziałem.

– Ja też.

Wiedziałem, że się śmiała, znowu ze mnie kpiła.

– Wiem, kim jestem.

– Kim jesteś?

– Nie takim typem, jak lubisz.

– Czy nie wiesz, że bywają chwile, kiedy każdy mężczyzna staje się atrakcyjny?
Co? – Dała mi w głowę kuksańca, jakbym był głupi.

– Nie wiedziałem.

– No to już wiesz.

– Chodzi o to, do czego to może doprowadzić.

– Nie obchodzi mnie, do czego to może doprowadzić. Jaki ty jesteś powolny. –
I nagle, ni z tego, ni z owego, znowu mnie całowała, poczułem nawet jej język.

– Nie jest ci przyjemnie?

Oczywiście musiałem powiedzieć „tak, przyjemnie”. Nie wiedziałem, o co jej naprawdę chodziło, co wprawiało mnie w dodatkowe zdenerwowanie, poza tym, że i tak byłem zdenerwowany z powodu całowania i tych innych rzeczy.

– No, dalej, spróbuj.

Odwróciła moją głowę i musiałem to zrobić. Jej usta były bardzo przyjemne. Bardzo miękkie.

Wiem, że byłem słaby. Powinienem być z miejsca jej powiedzieć, żeby przestała być obrzydliwa. Byłem bardzo słaby. Jakby pociągało mnie to wbrew mojej woli.

Znowu oparła głowę, tak że nie mogłem zobaczyć jej twarzy.

– Czy jestem pierwszą dziewczyną, którą kiedykolwiek całowałeś?

– Nie bądź głupia.

– Rozluźnij się. Przestań się denerwować, przestań się wstydić.

Odwróciła się i znowu mnie całowała, oczy miała zamknięte. Oczywiście, wypila trzy kieliszki sherry. Zaczęło mnie to wprawiać w pewien stan, a zawsze przypuszczałem (na podstawie tego, co usłyszałem w wojsku), że dżentelmen zachowuje kontrolę aż do odpowiedniego momentu, i po prostu nie wiedziałem, co robić. Obawiałem się, że ona poczuje się dotknięta, więc usiłowałem usiąść w postawie bardziej wyprostowanej, kiedy odsunęła swoje usta.

– Co się stało? Czy sprawiam ci ból?

– Tak – powiedziałem.

Wtedy zeszła z moich kolan, zdjęła jakoś ręce, którymi oplatała moją głowę, ale dalej siedziała bardzo blisko.

– Czy nie rozwiążesz mi rąk?

Wstałem, byłem bardzo zmieszany, musiałem podejść do okna i udawać, że poprawiam coś przy zasłonach, a ona przez cały czas obserwowała mnie spoza oparcia kanapy, na której uklękała.

– Ferdynandzie, o co chodzi?

– O nic – powiedziałem.

– Nie ma się czego bać.

– Nie boję się.

– Więc wróć tutaj. Zgaś światło. Wystarczy nam kominek. Zrobiłem tak, jak mówiła, zgasilem światło, ale stałem dalej przy oknie.

– Chodź tutaj. – Bardzo przymilnie.

– To nie w porządku. Ty tylko udajesz.

– Czyżby?

– Wiesz, że tak jest.

– Dlaczego nie przyjdiesz sprawdzić?

Nie poruszyłem się i cały czas wiedziałem, że to poważny błąd. Następnie ona stanęła przy kominku. Już nie czułem się podniecony. Wewnątrz byłem zupełnie zimny. To była niespodzianka.

– Chodź i usiądź tutaj.

– Dobrze mi tu.

Nagle podeszła do mnie, ujęła moją dłoń w obie dłonie i pociągnęła mnie do ognia.

Pozwoliłem jej na to. Kiedy staliśmy już przy kominku, wyciągnęła rękę do przodu i spojrzała na mnie takim wzrokiem, że rozwiązałem sznury. Od razu podeszła bliżej i znowu mnie pocałowała, a żeby to zrobić, musiała wspiąć się na palce.

A potem zrobiła coś naprawdę szokującego.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, cofnęła się o krok, rozpięła podomkę, pod którą nie miała nic. Była zupełnie naga. Obrzuciłem ją tylko przelotnym spojrzeniem, stała tak uśmiechnięta czekając, można to było wyczuć, żebym wykonał jakiś ruch. Podniosła rękę i zaczęła rozpuszczać włosy. Zachowywała się specjalnie prowokująco, stojąc tak nago w świetle kominka. Nie mogłem w to uwierzyć, a raczej musiałem uwierzyć, ale nie chciałem przyznać, że to właśnie o to chodzi.

To było straszne, czułem się chory i drżący, najchętniej znalazłbym się na końcu świata. Było nawet gorzej niż z prostytutką, tamtej nie szanowałem, ale w przypadku Mirandy wstyd stawał się nie do zniesienia.

Staliśmy tak oboje, ona tuż przede mną, potrząsała głową, rozpuszczając włosy, a ja odczuwałem coraz większe zażenowanie. Następnie podeszła do mnie i zaczęła mi zdejmować marynarkę, potem krawat, wreszcie rozpięła po kolei guziki mojej koszuli.

Byłem w jej rękach jak wosk. Zaczęła ściągać mi koszulę.

Przez cały czas myślałem „skończ z tym, skończ z tym, to jest złe”, ale byłem za słaby. W następnej chwili byłem nagi, ona mnie obejmowała, przywierała do mnie, ale ciągle czułem napięcie, zupełnie jakbym to był jakiś inny ja i inna ona. Wiedziałem, że nie zachowuję się normalnie, nie robiłem tego, czego po mnie oczekiwano, ona robiła takie rzeczy, o których nawet nie będę mówił, poza tym że nigdy bym się tego po niej nie spodziewał. Leżała obok mnie na sofie i tak dalej, ale ja byłem cały skręcony w środku.

Zrobiła ze mnie ostatniego durnia. Wiem, co sobie myślała; myślała, że to dlatego byłem zawsze taki pełen szacunku. Chciałem to zrobić, chciałem jej pokazać, że mogę to zrobić, żeby udowodnić, że naprawdę okazywałem jej szacunek. Chciałem, żeby wiedziała, że mógłbym to zrobić, i wtedy powiedziałbym jej, że nie mam zamiaru, bo to jest poniżej mojej i jej godności, bo jest po prostu obrzydliwe.

Leżeliśmy tak przez chwilę nieruchomo i czułem, że ona mną pogardza, bo byłem nienormalny.

W końcu wstała z sofy, uklękła obok mnie i głaskała mnie po głowie.

– To się zdarza wielu mężczyznom i nie ma znaczenia. Słuchając jej, można by pomyśleć, że miała nie wiem jakie doświadczenie.

Podeszła z powrotem do kominka, włożyła podomkę i usiadła, przyglądając mi się. Wyjaśniłem, że wiedziałem o tym, że nigdy nie będę mógł tego zrobić. Opowiedziałem długą historię, żeby wzbudzić jej litość, ale były to same kłamstwa. Nie wiem, czy uwierzyła, że chociaż odczuwam miłość, nigdy nie mogę tego zrobić. I dlatego właśnie musiałem ją zatrzymać.

– Ale czy dotykanie mnie nie sprawia ci najmniejszej przyjemności? Wydawało się, że pocałunki sprawiały ci przyjemność.

Powiedziałem: – To dzieje się poza etapem pocałunków.

– Nie powinnam była wprawiać cię w stan takiego szoku.

– To nie twoja wina. Nie jestem taki jak inni. Nikt tego nie rozumie.

– Ja rozumiem.

– Tylko marzę o tym. Ale to nigdy nie może stać się rzeczywistością.

– Jak Tantal. – Wyjaśniła, kto to był.

Przez dłuższy czas zachowała spokój. Miałem ochotę zastosować tampon. Zanieść ją na dół i skończyć z tym. Chciałem zostać sam.

– Który lekarz powiedział ci, że nigdy nie będziesz mógł tego zrobić?

– Zwykły lekarz. (Powiedziałem jej same kłamstwa. Nigdy, oczywiście, nie byłem u żadnego lekarza.)

– Psychiatra?

– W wojsku – wyjaśniłem. – Psychiatra.

– Jakiego rodzaju marzenia snułeś w związku ze mną?

– Różne.

– Ale nie seksualne?

Nie mogła przestać. Nigdy nie zostawiała niczego w spokoju.

– Trzymałem cię w ramionach. To wszystko. Spaliśmy obok siebie, a na zewnątrz szalał wiatr albo deszcz i tak dalej.

– Czy chciałbyś teraz tego spróbować?

– To nic nie pomoże.

– Jeżeli chcesz, chętnie to zrobię.

– Wolałbym, żebyś tego w ogóle nie zaczynała. Milczała tak długo, że wydawało się to wiecznością.

– Jak ci się zdaje, dlaczego to zrobiłam? Tylko po to, żeby uciec?

– Nie z miłości.

– Mam ci powiedzieć? – Wstała. – Musisz sobie zdać sprawę, że dzisiejszego wieczoru wyrzekłam się wszystkich moich zasad. Żeby uciec, niewątpliwie. Myślałam o tym. Ale naprawdę chcę ci pomóc. Musisz w to uwierzyć. Chciałam ci udowodnić, że seks to pewien rodzaj czynności, jak wszystko inne. Nie ma w nim nic nieprzyzwoitego, po prostu dwoje ludzi bawi się swoimi ciałami. Jak taniec. Jak gra. – Myślała, zdaje się, że powinienem się odezwać, ale ja pozwoliłem jej mówić. – Robię dla ciebie coś, czego nie robiłam nigdy dla żadnego mężczyzny. I wydaje mi się, że... że coś mi jesteście winien.

Oczywiście, przejrzałem jej grę. Bardzo zręcznie owijała to, co chciała powiedzieć, w płątaninę słów. Potrafiła niemal człowieka przekonać, że naprawdę jest jej coś winien, jakby to nie ona zaczęła całą sprawę.

– Proszę, powiedz coś.

– Co?

– Choćby to, że w ogóle zrozumiałeś, o czym mówię.

– Zrozumiałem.

– Tylko tyle?

– Nie mam ochoty na rozmowę.

– Trzeba mi było to powiedzieć wcześniej. Mogłeś mi przerwać na samym początku.

– Próbowałem. Uklękła na wprost kominka.

– To niesamowite. Jesteśmy bardziej niż kiedykolwiek od siebie oddaleni.

– Nienawidziłaś mnie przedtem. Teraz pewnie także mną pogardzasz.

– Lituję się nad tobą. Żal mi ciebie, że jesteś taki, jaki jesteś, i lituję się nad tobą, ponieważ nie widzisz, jaka ja jestem.

– Doskonale widzę, jaka jesteś. Nie wyobrażaj sobie, że tego nie widzę.

Zabrzmiało to opryskliwie, ale miałem dosyć. Szybko rozejrzała się dokoła i pochyliła się, zakrywając twarz rękami. Pewno udawała, że płacze. W końcu powiedziała bardzo spokojnym głosem:

– Proszę, zaprowadź mnie na dół.

Zeszliśmy więc na dół. Kiedy byliśmy już w środku i zbierałem się do wyjścia po rozwiązaniu jej rąk, odwróciła się i powiedziała:

– Staliśmy przed sobą nago. I nie moglibyśmy bardziej się od siebie oddalić.

Kiedy wyszedłem, byłem zupełnie oszalały. Nie umiem tego wytłumaczyć. Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Ciągłe wracał do mnie ten obraz, jak stałem i leżałem zupełnie rozebrany, jak się zachowałem i co ona musiała pomyśleć. Widziałem też, jak ona leży tam na dole i naśmiewa się ze mnie. Za każdym razem, kiedy o tym pomyślałem, zdawało mi się, że całe moje ciało się czerwieni. Pragnąłem, żeby ta noc nigdy się nie skończyła. Chciałem, żeby już zawsze panowała ciemność.

Długie godziny chodziłem po pokoju na górze. W końcu wyprowadziłem furgonetkę i pojechałem nad morze, naprawdę szybko, było mi zupełnie wszystko jedno, co się stanie.

Byłem wtedy zdolny do wszystkiego. Mogłem ją zabić. Wszystko, co zrobiłem później, spowodowała ta właśnie noc.

Zupełnie jakby ona była głupia, po prostu głupia. Naturalnie, w rzeczywistości nie była wcale głupia, po prostu nie wiedziała, jak należy mnie kochać. A mogła mi sprawić przyjemność tyloma rzeczami!

Była taka jak wszystkie kobiety, myślenie ukierunkowane tylko w jedną stronę.

Już nigdy więcej nie czułem dla niej szacunku. Przez wiele dni przyprawiało mnie to o wściekłość.

Ponieważ mogłem to zrobić.

Te zdjęcia (zrobiłem je wtedy, kiedy użyłem tamponu); czasami je oglądałem.

Mogłem to robić bez pośpiechu. One przynajmniej nie reagowały.

Ona nigdy o tym nie wiedziała.

Więc zszedłem na dół następnego ranka i wszystko było tak, jakby tamto nigdy się nie zdarzyło. Ona nie powiedziała na ten temat ani słowa, ja też nie. Zniosłem jej śniadanie, oznajmiła, że nie potrzebuje niczego z Lewes, wyszła do zewnętrznej piwnicy pospacerować, a potem z powrotem ją zamknąłem i wyszedłem.

Trochę się przespałem.

Wieczorem było inaczej.

– Chciałabym z tobą porozmawiać.

– Słucham.

– Próbowałam wszystkiego. Zostaje mi j jż tylko jedna próba. Znowu podejmę głodówkę. Nie będę jadła, dopóki nie pozwolisz mi odejść.

– Dziękuję za ostrzeżenie.

– Chyba że...

– A więc jest jakieś chyba.

– Chyba że dojdziemy do porozumienia.

Zdawała się czekać. – Jeszcze nie słyszałem, o co chodzi – powiedziałem.

– Gotowa jestem pogodzić się z tym, że nie pozwolisz mi odejść od razu. Ale nie mogę się zgodzić na to, żeby nadal przebywać w tym pokoju. Chcę być więziona na górze. Potrzebuję dziennego światła i trochę świeżego powietrza.

– Tak po prostu – powiedziałem.

– Tak po prostu.

– Pewnie poczynając od dzisiejszego wieczoru?

– Jak najszybciej.

– I powinienem prawdopodobnie wezwać stolarza, malarzy i tak dalej.

W tym momencie westchnęła, zaczynało do niej docierać.

– Nie bądź taki, bardzo cię proszę, nie bądź taki. – Obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem. – Cały ten sarkazm. Nie chciałam ci dokuczyć.

To nie miało sensu, zniszczyła cały romans, udowodniła, że jest taka sama jak inne kobiety, już jej nie szanowałem, nie pozostawało nic, co dałoby się szanować. Znałem jej numery, w chwili kiedy tylko znajdzie się na górze, to już jakby jej prawie nie było.

Pomyślałem jednak, że nie życzę sobie znowu tych sztuczek z niejedzeniem, więc lepiej było grać na zwłokę.

– Jak szybko? – spytałem.

– Mógłbyś mnie trzymać w jednej sypialni. Możesz zabić okna deskami. Tam bym spała. Może czasem pozwoliłbyś mi posiedzieć przy otwartym oknie, gdybyś mnie związał i zakneblował. To wszystko, o co proszę.

– To wszystko? Co sobie ludzie pomyślą na widok tych pozabijanych deskami okien?

– Wolę zagłodzić się na śmierć, niż pozostać tutaj. Trzymaj mnie na górze na łańcuchach. Obojętne. Ale daj mi trochę świeżego powietrza i dziennego światła.

– Zastanowię się nad tym.

– Nie, teraz.

– Zapominasz, kto tu rządzi.

– Teraz.

– Teraz nie mogę ci powiedzieć. To wymaga zastanowienia.

– Bardzo dobrze. Więc jutro rano. Albo powiesz mi, że mogę pójść na górę, albo nie tknę żadnego jedzenia. A to będzie zwykłe morderstwo. – Naprawdę była podniecona i gotowa na wszystko.

Odwrociłem się na pięcie i wyszedłem.

Przemyślałem to wszystko w nocy. Wiedziałem, że potrzebuję czasu, musiałem udawać, że gotów jestem to zrobić. Zachować odpowiednie pozory, jak to się mówi.

Pomyślałem też, co będę mógł zrobić, kiedy sytuacja dojrzeje.

Następnego ranka po zejściu na dół powiedziałem jej, że wszystko przemyślałem, rozumiem jej punkt widzenia, zastanowiłem się nad tym i tak dalej. Można by przerobić jeden pokój, ale to zajmie mi tydzień. Spodziewałem się, że zacznie się dąsać, ale przyjęła to bez problemu.

– Jeżeli jest to kolejna próba zwodzenia mnie, zacznę głodować. Uprzedzam cię!

– Od jutra się tym zajmę – obiecałem. – Potrzebuję dużo drewna i specjalne sztaby. Znalezienie tego może mi zająć dzień lub dwa.

Obrzuciła mnie znajomym nieprzyjaznym spojrzeniem. Wziąłem kubek do wylania.

Od tej pory żyliśmy w zgodzie, tyle że ja przez cały czas udawałem. Niewiele rozmawialiśmy, ale nie była opryskliwa. Pewnego wieczoru chciała się wykąpać i zobaczyć, jakie przygotowania porobiłem w pokoju. Spodziewałem się tego, zgromadziłem więc trochę drewna i ułożyłem je tak, jakbym rzeczywiście robił coś z

oknem (była to sypialnia wychodząca na tyły domu). Powiedziała, że chce tam mieć jedno z tych starych rzeźbionych krzeseł (zupełnie jak za dawnych czasów, znowu prosiła mnie o coś), kupiłem takie krzesło następnego dnia i zaniósłem na dół, żeby jej pokazać. Nie chciała go mieć tam na dole, musiałem z powrotem zanieść je na górę. Powiedziała, że na górze nie chce niczego, co miała na dole (chodziło o meble). To było bardzo łatwe. Kiedy obejrzała pokój i wyśrubowane otwory, zdawała się wierzyć, że okaże się wystarczająco miękkie, żeby naprawdę ją przenieść.

Miałem zejść na dół i zabrać ją na górę, mieliśmy zjeść kolację, a potem ona spędziłaby pierwszą noc na górze i rano zobaczyłaby światło dzienne.

Czasami popadała w całkiem wesoły nastrój. Nie mogłem się wtedy nie śmiać. Mówię, że się śmiałem, ale kiedy nadszedł ten dzień, ja też byłem zdenerwowany.

Jak zszedłem na dół o szóstej, powiedziała przede wszystkim, że zaraziła się ode mnie zaziębieniem, którego nabawiłem się u fryzjera w Lewes.

Była pogodna i władcza, oczywiście naśmiewała się ze mnie w duchu. Tyle że to ja miałem się śmiać ostatni.

– To są moje rzeczy na dzisiejszy wieczór. Resztę możesz przynieść jutro. Pokój gotowy? – Pytała już o to przy obiedzie, a ja powiedziałem, że tak.

– Tak – powtórzyłem.

– To chodźmy. Czy muszę być związana?

– Jest tylko jedna rzecz – powiedziałem. – Jeden warunek.

– Warunek? – Mina jej zrzęda, od razu się domyśliła.

– Zastanawiałem się.

– Tak? – Oczy jej naprawdę płonęły.

– Chciałbym zrobić kilka zdjęć.

– Znowu? Przecież już tyle razy mnie fotografowałeś.

– Nie o takie zdjęcia mi chodzi.

– Nie rozumiem. – Widziałem jednak, że doskonale rozumiała.

– Chciałbym cię sfotografować w takich sytuacjach, jak tamtego wieczoru.

Usiadła na brzegu łóżka.

– Mów dalej.

– Musisz robić wrażenie, że pozowanie sprawia ci przyjemność. Musisz przyjąć każdą pozę, jaką ci polecę.

Dalej siedziała na łóżku, nie odzywając się ani słowem. Pomyślałem, że to ją co najmniej zezłości. Ale siedziała, wycierając nos.

- A jeśli się zgodzę?
- Dotrzymam mojej części umowy. Muszę mieć coś na swoją obronę. Potrzebne mi takie twoje zdjęcie, które wstydziłabyś się pokazać komukolwiek.
- Chcesz powiedzieć, że mam ci pozować do nieprzyzwoitych zdjęć, bo kiedy ucieknę, nie odważę się powiedzieć policji o tobie.
- O to właśnie chodzi. Nie nieprzyzwoite, po prostu takie, których wolałabyś nie publikować. Artystyczne fotografie.
- Nie.
- Proszę tylko o to, co zrobiłaś wtedy bez zachęty.
- Nie, nie, nie.
- Znam twoje gierki.
- To, co zrobiłam wtedy, było złe. Zrobiłam to z rozpaczy, ponieważ między nami nie ma nic prócz małostkowości, podejrzeń i nienawiści. Ale teraz to co innego. To jest brudne.
- Nie widzę różnicy. Wstała i podeszła do ściany.
- Zrobiłaś to raz. Możesz zrobić jeszcze raz.
- Boże, Boże, to przypomina szpital wariatów. – Rozejrzała się po pokoju, jakby mnie tam nie było, jakby słuchał jej ktoś inny, jakby miała zamiar rozwalić ściany.
- Albo to zrobisz, albo nie będziesz stąd wychodziła. Żadnych spacerów. Żadnych kąpiel. Nic. Przez chwilę dałem się nabrać – powiedziałem. – Ale ty masz tylko jedno w głowie. Uciec ode mnie. Zrobić ze mnie idiotę i napuścić na mnie policję. Nie jesteś lepsza od zwykłej ulicznicy. Darzyłem cię szacunkiem, bo myślałem, że wyższa jesteś ponad to, co zrobiłaś. Nie taka jak inne. Ale jesteś dokładnie taka sama. Zrobisz każdą najobrzydliwszą rzecz, byle osiągnąć to, co chcesz.
- Przestań, przestań – krzyczała.
- W Londynie mogę znaleźć lepsze od ciebie. W każdej chwili. I zrobić to, co będę chciał.
- Ty obrzydliwy, świński, głupi draniu!
- Nie krępuj się. Taki język najlepiej do ciebie pasuje.
- Łamiesz wszystkie ludzkie zasady przyzwoitości, wszystkie związki między ludźmi, urągasz każdej istotnej sprawie, jaka kiedykolwiek zdarzyła się pomiędzy przedstawicielami twojej i mojej płci.
- Przyganiał kocioł garnkowi – powiedziałem. – To ty się rozebrałaś do naga,

sama o to prosiłaś, to teraz masz.

– Wynoś się, wynoś się stąd! To był prawdziwy wrzask.

– Więc tak czy nie? – zapytałem.

Obróciła się, porwała ze stołu kałamarz z tuszem i cisnęła we mnie.

A więc to tak. Wyszedłem i zaryglowałem drzwi. Nie zaniósłem jej żadnej kolacji. Niech się marynuje we własnym sosie. Zjadłem kurczaka, którego kupiłem na wszelki wypadek, wypilem trochę szampana, a resztę wylałem do zlewu.

Czułem się szczęśliwy, nie umiem tego wyjaśnić, ale zorientowałem się, że przedtem okazałem słabość, a teraz odpłacałem jej za to wszystko, co mi mówiła i co o mnie myślała. Spacerowałem na górze, wszedłem do jej pokoju, śmiać mi się chciało, kiedy pomyślałem o niej tam na dole; jej przeznaczeniem były te doły w każdym znaczeniu, nawet jeśli na początku na to nie zasługiwała, to teraz zrobiła wszystko, żeby to jej się właśnie należało. Miałem autentyczne powody, żeby nauczyć ją, co jest co.

No i w końcu położyłem się spać, obejrzałem poprzednio zrobione zdjęcia i niektóre książki i to mi nasunęło pewne pomysły.

Jedna z książek miała tytuł Buty i były w niej bardzo interesujące zdjęcia dziewcząt, głównie ich nóg w rozmaitych typach obuwia, niektóre miały tylko buty i paski, były to naprawdę niezwykle zdjęcia, wyjątkowo artystyczne.

Kiedy jednak poszedłem rano na dół, zapukałem i jak zwykle poczekałem chwilę, zanim wszedłem. Zdumiało mnie to, że jeszcze leżała w łóżku, spała w ubraniu, przykryta jednym kocem i wydawało się, że przez chwilę nie miała pojęcia, gdzie jest ani kim ja jestem. Stałem czekając, że rzuci się na mnie, ale usiadła tylko na brzegu łóżka, oparła łokcie na kolanach, a głowę na rękach, jakby wszystko wokół było koszmarnym snem, a ona nie miała ochoty się obudzić.

Zakasłała. Kaszel zdawał się wydobywać z głębi płuc. Wyglądała naprawdę strasznie.

Postanowiłem więc nic nie mówić i poszedłem po śniadanie. Wypiła kawę i zjadła zupełną mleczną, więc nie było mowy o głodówce, i zaraz przybrała poprzednią pozycję, z głową opartą na rękach. Znałem jej sztuczki, chciała wzbudzić we mnie litość. Sprawiała wrażenie zupełnie przegranej, ale uznałem, że to tylko poza, która ma rzucić mnie na kolana i skłonić do błagania o przebaczenie albo o coś równie głupiego.

– Czy chcesz coldrex? – zapytałem. Wiedziałem, że jest naprawdę zaziębiona.

Skinęła głową, nie zmieniając pozycji, więc poszedłem po proszki, a kiedy wróciłem, nadal siedziała z głową opartą na rękach. Nie ulegało wątpliwości, że odgrywała wielką scenę. Obrażona. Więc pomyślałem sobie, dobrze, niech się dąsa. Ja mogę poczekać. Zapytałem, czy czegoś potrzebuje, pokręciła przecząco głową, więc wyszedłem.

Kiedy zszedłem na dół w porze obiadowej, leżała w łóżku. Spojrzała na mnie spod kołdry, powiedziała, że chce tylko trochę zupy i herbatę, więc spełniłem jej życzenie i wyszedłem. Mniej więcej to samo powtórzyło się przy kolacji. Chciała aspirynę. Prawie nic nie jadła. Ale już kiedyś odegrała podobne sceny. Przez cały dzień nie zamieniliśmy nawet dwudziestu słów.

Następnego dnia powtórzyło się to samo: kiedy wszedłem, leżała w łóżku. Tyle że nie spała, obserwowała mnie bacznie.

– No i co? – zapytałem. Nie odpowiedziała, dalej leżała nieruchomo.

– Jeśli myślisz, że nabiorę się na te numery z leżeniem w łóżku, to się mylisz.

To sprawiło, że otworzyła usta.

– Nie jesteś istotą ludzką. Jesteś nędzną, onanizującą się pluskwą.

Zachowywałem się tak, jakbym nic nie słyszał, po prostu przyniosłem jej śniadanie. Kiedy poszedłem po kawę, powiedziała: – Nie zbliżaj się do mnie. – Jej głos był przepojony jadem.

– A gdybym cię tak zostawił tutaj? – zapytałem żartem. – Co byś wtedy zrobiła?

– Gdybym miała dość siły, żeby cię zabić, zrobiłabym to. Jak skorpion. Zrobię to, kiedy poczuję się lepiej. Nigdy nie poszłabym na policję. Więzienie to o wiele za dobre dla ciebie. Wróciłabym tu, żeby cię zabić.

Wiedziałem, że się złościła, bo jej sztuczki nie skutkowały. Sam byłem zaziębiony, zdawałem sobie sprawę, że to nic poważnego.

– Za dużo mówisz – powiedziałem. – Zapominasz, kto tu rządzi. Mógłbym po prostu o tobie zapomnieć. Nikt by się nie dowiedział.

W odpowiedzi jedynie zamknęła oczy.

Wtedy wyszedłem. Pojechałem do Lewes i kupiłem jedzenie.

Kiedy powiedziałem, że obiad jest gotowy, wydawało się, że śpi, poruszyła się lekko, więc wyszedłem.

W porze kolacji dalej była w łóżku, ale już siedziała i czytała

Szekspira, którego jej kupiłem.

Zapytałem, czy czuje się lepiej. Oczywiście nie bez sarkazmu.

Nawet się nie pofatygowała, żeby odpowiedzieć, nie przestała czytać. O mało nie wyrwałem jej wtedy książki, żeby dać jej nauczkę, ale zapanowałem nad sobą. W pół godziny później, po zjedzeniu kolacji, znowu do niej poszedłem. Nic nie zjadła, a kiedy to skomentowałem, powiedziała: – Niedobrze mi. Chyba mam gripę.

Była jednak na tyle głupia, by następnie zapytać: – Co byś zrobił, gdybym potrzebowała lekarza?

– Poczekaj, a zobaczysz – powiedziałem.

– Kiedy kaszlę, bardzo mnie boli.

– To tylko zaziębienie.

– To nie jest zwykłe zaziębienie. – Naprawdę krzyknęła na mnie.

– Oczywiście, że zaziębienie. I przestań udawać. Znam twoje sztuczki.

– Nie udaję.

– Och, skądże! Nigdy w życiu nie udawałaś. Oczywiście, że nie.

– O Boże, ty jesteś nieludzki. Gdybyś przynajmniej był mężczyzną.

– Powtórz to jeszcze raz – powiedziałem. Do kolacji wypilem trochę szampana (znalazłem w Lewes sklep, w którym sprzedawano go w małych butelkach), więc nie byłem usposobiony do znoszenia jej głupot.

– Powiedziałam, że nie jesteś mężczyzną.

– Dobra. Wyłaż z łóżka. No, dalej, wstawaj. Od tej chwili ja wydaję rozkazy.

Miałem dosyć, większość mężczyzn już dawno doszłaby do tego wniosku. Podszedłem, ściągnąłem kołdrę, złapałem ją za rękę, zaczęła się wrywać i drapać mnie po twarzy.

– Dobrze. Teraz dam ci nauczkę.

Sznury miałem w kieszeni, więc po krótkich zmaganiach udało mi się ją związać i zakneblować, sama była sobie winna, jeśli dociągnąłem sznury zbyt ciasno. Krótkim postronkiem przywiązałem ją do łóżka, poszedłem na górę po aparat i flesz. Oczywiście, walczyła, kręciła głową, jej oczy rzucały gromy, jak to mówią, próbowała nawet miękkości, ale nie popuściłem. Zdjąłem z niej ubranie, na początku nie chciała wykonywać moich poleceń, ale w końcu kładła się i ustawiała tak, jak sobie życzyłem (odmawiałem wykonania zdjęcia, jeśli nie chciała ze mną współpracować). A więc miałem swoje fotografie. Fotografowałem ją tak długo, aż skończyły się żarówki.

To nie była moja wina. Skąd mogłem wiedzieć, że była bardziej chora, niż się

wydawało? Wyglądało na to, że jest po prostu zaziębiona.

Tej nocy wywołałem zdjęcia i zrobiłem odbitki. Najlepiej wyszły te, na których nie było twarzy. Oczywiście z kneblem i tak nie wyglądała nadzwyczajnie. Wyjątkowo dobre były te ujęcia, które pokazywały ją z tyłu w butach na wysokich obcasach. Ręce przywiązane do łóżka stanowiły to, co nazywają interesującym motywem. Mogę powiedzieć, że byłem zadowolony z własnych dokonań.

Kiedy poszedłem do niej następnego ranka, była już w podomce, jakby na mnie czekała. Postąpiła w sposób niezwykle zaskakujący: zrobiła krok do przodu i uklękła u moich stóp. Jakby była pijana. Widziałem, że twarz miała bardzo rozpaloną, spojrzała na mnie, rozplakała się, naprawdę doprowadziła mnie do strasznego stanu.

– Jestem bardzo chora. Mam zapalenie płuc. Albo zapalenie opłucnej. Musisz sprowadzić lekarza.

– Wstań i wracaj do łóżka. – I poszedłem przynieść jej kawę. Po powrocie powiedziałem: – Dobrze wiesz, że nie jesteś chora, gdybyś miała zapalenie płuc, nie mogłabyś nawet ustać na nogach.

– W nocy nie mogę oddychać. Tutaj mnie strasznie boli, muszę leżeć na lewym boku. Proszę, zmierz mi gorączkę. Zobacz sam.

Zrobiłem tak, termometr pokazywał powyżej czterdziestu stopni, wiedziałem jednak, że istnieją sposoby na sztuczne podniesienie gorączki.

– Tutaj jest tak duszno.

– Jest wystarczająco dużo powietrza – powiedziałem. To wszystko była jej wina, bo już wcześniej posłużyła się tą sztuczką. W każdym razie aptekarz w Lewes dał mi lekarstwo, które, jego zdaniem, doskonale robiło na drogi oddechowe, jakieś pigułki przeciw grypie i inhalator. Kiedy jej to dałem, przyjęła bez słowa sprzeciwu. Próbowala coś zjeść na kolację, ale nie mogło jej przejść przez gardło i wymiotowała; naprawdę wyglądała marnie. Mogę powiedzieć, że po raz pierwszy miałem podstawy przypuszczać, że coś jej dolega. Miała rozpaloną twarz, włosy zlepione potem, ale mogła to zrobić naumyślnie.

Posprzątałem wymioty, dałem jej lekarstwa i szykowałem się do wyjścia, kiedy poprosiła, żebym usiadł na łóżku, bo nie może zbyt głośno mówić.

– Czy myślisz, że odezwałabym się do ciebie, gdybym nie była bardzo chora? Po tym, co zrobiłeś?

– Sama to sprowokowałaś.

– Chyba widzisz, że jestem naprawdę chora?

– To grypa. W Lewes jest bardzo dużo przypadków.

– To nie grypa. Mam zapalenie płuc. Coś bardzo poważnego. Nie mogę oddychać.

– Nic ci nie będzie. Te żółte pigułki ci pomogą. Aptekarz powiedział, że są najlepsze.

– To, że nie wołasz lekarza, oznacza morderstwo. Zabijesz mnie.

– Powiedziałem ci, że nic ci nie jest. To tylko gorączka. – Kiedy wspomniała o lekarzu, nabrałem podejrzeń.

– Czy mógłbyś mi wytrzeć twarz ręcznikiem?

Dziwne, ale posłuchałem jej prośby, i po raz pierwszy od wielu dni zrobiło mi się jej troszkę żal. Tak naprawdę było to zajęcie dla kobiety. Chodzi mi o to, że przychodzą chwile, kiedy kobiecie potrzebna jest druga kobieta. Podziękowała mi.

– Teraz już pójdę.

– Nie odchodź. Ja umrę. – Rzeczywiście próbowała złapać mnie za rękę.

– Nie bądź głupia.

– Musisz mnie wysłuchać, musisz mnie wysłuchać. – Nagle znowu zaczęła płakać, widziałem, jak jej oczy napelniały się łzami, rzuciła głową na poduszce z boku na bok. W tym momencie naprawdę zrobiło mi się jej żal, jak już mówiłem, więc usiadłem na łóżku, podałem jej chusteczkę i powiedziałem, że w ogóle nie przysłoby mi do głowy nie wzywać lekarza, gdyby była naprawdę chora. Powiedziałem nawet, że dalej ją kocham, że mi przykro i jeszcze jakieś inne zdania. Ale łzy nie przestawały płynąć, zdawała się wcale mnie nie słuchać. Nawet kiedy powiedziałem, że wygląda dużo lepiej niż poprzedniego dnia, co nie było dokładnie zgodne z prawdą.

W końcu uspokoiła się, leżała przez chwilę z zamkniętymi oczami, a kiedy się poruszyłem, zapytała: – Czy zrobiłbyś coś dla mnie?

– Co?– zapytałem.

– Czy nie zostałbyś tu ze mną przy otwartych drzwiach, żeby wpadło trochę powietrza?

Zgodziłem się i zgasiliśmy lampę w jej pokoju, światło wpadało tylko z zewnątrz, wentylator się kręcił, a ja siedziałem tak przy niej przez dłuższy czas. Zaczęła dziwnie szybko oddychać, jakby dopiero co wbiegła po schodach, powiedziała, że się dusi, jeszcze wielokrotnie się odzywała, w pewnej chwili powiedziała „ach, nie, proszę”, a potem wydawało mi się, że wymówiła moje imię, ale bardzo niewyraźnie. Sądziłem, że usnęła, a kiedy zawołałem ją po imieniu i nie odpowiedziała, wyszedłem,

pozamykałem drzwi i nastawiłem budzik na wczesną godzinę następnego ranka. Pomyślałem, że skoro zasnęła tak łatwo, skąd mogłem wiedzieć, myślałem, że to dla niej dobre, myślałem też, że pigułki zadziałają i następnego ranka poczuje się lepiej, że najgorsze przeminie. Pomyślałem nawet, że to się dobrze złożyło z tą jej chorobą, bo gdyby to się nie stało, mielibyśmy mnóstwo problemów, tak jak dawniej.

Próbuję tu po prostu wyjaśnić, że to wszystko nadeszło niespodziewanie. Wiem, że to, co zrobiłem następnego dnia, było błędem, ale uważam, że aż do tego dnia działałem w jak najlepszej wierze i tak jak należało.

14 października?

To siódma noc.

Nie przestaję myśleć o tym samym. Gdyby tylko wiedzieli. Gdyby tylko oni wiedzieli.

Móc podzielić się zniewagą.

Więc teraz spróbuję opowiedzieć to notatnikowi, który kupił dla mnie dziś rano. Jego uprzejmość.

Spokojnie.

W głębi duszy jestem coraz bardziej przerażona. To tylko pozorny spokój. Żadnych brudów, żadnego seksu. Ale jego oczy są szalone. Szare z ginącym w nich szarym światłem. Na początku obserwowałam go przez cały czas. Byłam pewna, że chodzi o seks, odwracałam się do niego plecami jedynie wtedy, kiedy nie mógł na mnie skoczyć. I nasłuchiwałam. Musiałam wiedzieć dokładnie, w którym miejscu pokoju się znajduje.

Władza. To się stało takie realne.

Wiem, że bomba wodorowa to niedobra rzecz. Ale teraz to, że jestem taka słaba, również wydaje się niedobre. Chciałabym znać dzudo. Mogłabym go zmusić do błagania o litość.

Ten pokój-krypta jest taki duszny, ściany przytłaczają; pisząc, nasłuchuję jego kroków, moje myśli przypominają kiepskie rysunki. Należy je natychmiast podrzeć.

Próbować, próbować, próbować ucieczki.

Tylko o tym myślę.

Dziwne. On mnie fascynuje. Budzi we mnie największą pogardę i nienawiść, nie mogę znieść tego pomieszczenia, wszyscy będą szaleć z niepokoju. Niemal czuję ich szalony niepokój.

Jak on może mnie kochać? Jak można kochać kogoś, kogo się nie zna?

Rozpaczliwie chce mi się przypodobać. Ale tacy właśnie muszą być szaleńcy. Nie są świadomie szaleni i kiedy w końcu zrobią coś strasznego, muszą odczuwać taki sam szok jak wszyscy inni.

Dopiero przez ostatni dzień lub dwa mogę mówić o nim w ten sposób. Cała

droga tutaj furgonetką była prawdziwym koszmarem. Miałam mdłości, bałam się zakrztusić z zakneblowanymi ustami. A potem wymiotowałam. Myślałam, że wyciągnie mnie w jakimś zagajniku, zgwałci i zamorduje. Kiedy furgonetka się zatrzymała, byłam przekonana, że ta chwila nadeszła, pewnie dlatego wymiotowałam. Nie tylko przez ten straszliwy chloroform (ciągle przypominały mi się okropne wieczorne opowieści Penny Lester o tym, jak jej matkę zgwałcił Japończyk, i powtarzałam sobie: nie stawiaj oporu, nie stawiaj oporu. Ktoś w Ladymont powiedział kiedyś, że do skutecznego gwałtu potrzeba dwóch mężczyzn. Kobiety, które pozwalają się zgwałcić jednemu mężczyźnie, chcą być zgwałcone). Teraz już wiem, że nie wybrałyby takiego sposobu. Znowu posłużyłby się chloroformem albo czymś podobnym. Ale tej pierwszej nocy myślałam tylko: nie stawiaj oporu, nie stawiaj oporu.

Odczuwałam wdzięczność za to, że żyję. Jestem strasznym tchórzem, nie chcę umierać, tak namiętnie kocham życie, nigdy przedtem nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo chcę żyć. Jeżeli wydostanę się stąd, nigdy już nie będę taka sama.

Nie obchodzi mnie, co on zrobi. Jeżeli tylko będę żyła.

Może zrobić tyle ohydnych, niewyobrażalnych rzeczy.

Wszędzie szukałam jakiegoś oręża, ale nie ma tu nic, czym mogłabym się posłużyć, gdybym nawet miała dość siły i zręczności. Co noc przystawiam krzesło do żelaznych drzwi, żebym przynajmniej usłyszała, jak będzie próbował tu wejść.

Ohydna, prymitywna umywalnia. Ohydne pomieszczenie.

Wielkie gładkie drzwi. Ani dziurki od klucza, ani nic.

Cisza. Zaczynam się do niej trochę przyzwyczajać. Ale jest straszna. Najdrobniejszego nawet dźwięku. Przez to czuję się, jakbym ciągle wyczekiwała.

Żywa. Żywa w taki sposób, w jaki żywa jest śmierć.

Zbiór książek o sztuce. Wartości niemal pięćdziesięciu funtów, podsumowałam. Tej pierwszej nocy nagle uświadomiłam sobie, że te książki są dla mnie. Że jednak nie byłam przypadkową ofiarą.

I te szuflady pełne ubrań – bluzki, spódnice, sukienki, kolorowe pończochy, niezwykle zestaw bielizny typu weekend w Paryżu, koszule nocne. Prawie mój rozmiar. Trochę za duże, ale on twierdzi, że widywał mnie w takich kolorach.

Całe moje życie wydawało się tak wspaniale układać. G.P. Ale nawet tamto było niezwykle. Ekscytujące, ekscytujące.

I nagle to.

Przespałam się chwilę przy zapalonym świetle, na wierzchu łóżka. Bardzo mi się chciało pić, ale bałam się, że może być tam narkotyk.

Dalej właściwie spodziewam się narkotyków w pożywieniu. Siedem dni temu. Wydaje się, że upłynęło siedem tygodni. Wyglądał tak niewinnie, robił wrażenie tak zatroskanego, kiedy mnie zaczepił. Powiedział, że przejechał psa. Pomyślałam, że to mógł być Misty. Dokładnie taki typ faceta, który n i e wzbudza podejrzeń. Najmniej przypominający wilka.

Jakbym spadła ze skraju świata. Jakby nagle okazało się, że taki skraj istnieje.

Co noc robię coś, czego nie robiłam od lat. Leżę i modłę się. Nie klękam. Wiem, że Bóg ma w pogardzie klęczących. Leżę i błagam go o pociechę dla M. i T., dla Minny i Caroline, która musi mieć poczucie winy, i dla wszystkich innych, nawet dla tych, którym przydałoby się pocierpieć z mojego powodu (czy z czyjegoś innego). Jak Pierś i Antoinette. Proszę, żeby dopomógł temu nieszczęśnikowi, który ma mnie w swojej mocy. Proszę o pomoc dla siebie. Żeby nie pozwolił mnie zgwałcić, wykorzystać, zamordować. Proszę o światło.

Dosłownie. O światło dzienne.

Nie mogę znieść absolutnej ciemności. Kupił mi specjalne nocne lampki. Zasypiam z jedną z nich błyszczącą w ciemności tuż obok mnie. Przedtem po prostu nie gasiłam światła.

Najgorszy jest moment przebudzenia. Budzę się i przez chwilę mam wrażenie, że jestem w domu albo u Caroline. A potem dochodzi do mnie prawda.

Nie wiem, czy wierzę w Boga. Modliłam się wściekle w furgonetce, kiedy myślałam, że umrę (słyszę, jak G.P. mówi, że to właśnie dowód przeciwko). Ale modlitwa czyni wszystko łatwiejszym.

To tylko fragmenty i urywki. Nie mogę się skoncentrować. Myślałam o tylu rzeczach, a teraz nie mogę pomyśleć o niczym.

Ale przez to czuję się spokojniejsza. Tak czy inaczej, to tylko złudzenie. Tak jak obliczanie, ile się wydało pieniędzy. I ile jeszcze zostało.

15 października

On nigdy nie miał żadnych rodziców, wychowała go ciotka.

Mogę ją sobie wyobrazić. Szczupła kobieta o bladej twarzy i nieprzyjemnie zaciśniętych ustach, o nieprzyjaznych szarych oczach, w niemodnych beżowych

kapeluszach, przeczulona na kurz i brud. Bo brud i kurz były dla niej wszystkim, poza nędnym światkiem bocznej uliczki.

Powiedziałam mu, że poszukuje matki, której nigdy nie miał, ale oczywiście nie słuchał.

On nie wierzy w Boga. To wywołuje we mnie pragnienie wiary. Mówiłam o sobie. O T. i M., swobodnie i rzeczowo. Wiedział o M. Przypuszczam, że wie o tym całe miasto.

Moja teoria polega na tym, że muszę pozbawić go poczucia męczeństwa.

Czas w więzieniu. Nie kończący się czas.

Pierwszy ranek. Zapukał do drzwi i odczekał dziesięć minut (zawsze tak robi). Nie były to przyjemne minuty, wszystkie pocieszające myśli, jakie udało mi się uzbierać w nocy, opuściły mnie i zostałam sama. Stałam tak i mówiłam sobie: jeśli to zrobi, nie stawiaj oporu, nie stawiaj oporu. Miałam zamiar powiedzieć: może pan zrobić, co pan chce, ale niech mnie pan nie zabija. Niech mnie pan nie zabija, będzie pan mógł zrobić to znowu. Jakby dało się mnie wyprać. Trudno zniszczalną.

Wszystko potoczyło się inaczej. Wszedł i stał z gamoniowatą miną i wtedy od razu, widząc go bez kapelusza, wiedziałam, kim jest. Pewnie podświadomie zapamiętuję ludzkie twarze. Wiem, że był urzędnikiem z ratusza. Słynna wygrana w totka. Jego zdjęcie w gazecie. Wszyscy stwierdziliśmy, że znamy go z widzenia.

Usiłował zaprzeczyć, ale cały spurpurowiał. Rumieni się przy byle okazji.

Zepchnięcie go na pozycje obronne jest wyjątkowo łatwe. Jego twarz w sposób niemal naturalny wyraża „urazę”. Baran. A raczej żyrafa. Długa, gamoniowatą żyrafa. Zarzucałam go pytaniami, nie raczył odpowiadać, przybierał jedynie taką minę, jakbym nie miała prawa pytać. Jakby wcale nie o t o mu chodziło.

Nigdy nie miał do czynienia z dziewczynami. W każdym razie nie z takimi jak ja.

Chłopiec niewinny jak lilia.

Ma sześć stóp wzrostu. Osiem czy dziewięć cali wyższy ode mnie. Jest chudy, więc robi wrażenie wyższego niż w rzeczywistości. Niezdarny. Ręce zbyt duże, nieprzyjemnie białoróżowe kiełbaski. Niemęskie. Jabłko Adama zbyt duże, zbyt duże nadgarstki, o wiele za duża broda, dolna warga przygryziona, zaczerwienione nozdrza. Gruczołowaty. Mówi takim pośrednim głosem półinteligenta, który udaje wykształconego. I ten głos ciągle go zawodzi. Całą twarz ma zbyt wydłużoną. Ciemne włosy bez połysku. Układają się w sztywne fale. Zawsze na miejscu. Niezmiennie

ubrany w sportową marynarkę i flanelowe spodnie, w krawacie szpilka. Nawet spinki do mankietów.

Należy do typu określanego mianem „przyjemny młody człowiek”.

Absolutnie bezpłciowy (tak wygląda).

Staje zazwyczaj z rękami opuszczonymi lub założonymi z tyłu, jakby nie miał najmniejszego pojęcia, co z nimi zrobić. Oczekując z szacunkiem na moje rozkazy.

Rybie oczy. Tylko obserwują. Pozbawione wyrazu.

W jego obecności mam ochotę kapryścić. Jak niezadowolona bogata klientka (wobec ekspedienta w sklepie łokciowym).

To jego styl. Niby pokorny. Zawsze przepraszający.

Siedzę, jem posiłki, czytam, a on na mnie patrzy. Jeśli mówię, żeby sobie poszedł, wychodzi.

Obserwował mnie z ukrycia od niemal dwu lat. Kocha mnie rozpaczliwie, jest bardzo samotny, wiedział, że zawsze będę „wyżej” od niego. To było straszne, oznajmił to tak niezręcznie, zawsze wypowiada wszystko w sposób okrężny, a równocześnie zawsze musi się przy tym usprawiedliwiać. Siedziałam i słuchałam. Nie mogłam na niego spojrzeć.

Jego serce. Wyrzygane w całej okazałości na ohydny pomarańczowy dywan. Kiedy skończył, siedzieliśmy bez ruchu. Podniósł się do wyjścia i wtedy próbowałam mu powiedzieć, że rozumiem, że nic nie powiem, jeżeli zawiezie mnie do domu, ale wycofał się. Staralam się wyglądać na osobę bardzo wyrozumiałą, pełną współczucia, ale to go chyba wystraszyło.

Następnego ranka próbowałam znowu, dowiedziałam się, jak mu na imię (kiepski zbieg okoliczności). Zachowywałam się bardzo rozsądnie. Patrzyłam na niego błagalnie, ale znowu udało mi się jedynie go przestraszyć.

Przy obiedzie powiedziałam, że wiem, jak się wstydzi tego, co robi, i że jeszcze nie jest za późno. Trafia to do jego sumienia, które się poddaje, ale jego samego to w żaden sposób nie dotyka. Wstydzę się, powiada, wiem, że powinienem, powiada. Dodałam, że nie wygląda na złego człowieka. Odparł, że to jego pierwszy zły postępek.

Prawdopodobnie tak jest. Ale za to teraz z nawiązką odrabia zaległości.

Czasami wydaje mi się, że jest bardzo sprytny. Usiłuje zaskarbić sobie moje współczucie udając, że jest we władzy jakiejś trzeciej siły.

Tego wieczoru próbowałam nie być zbyt uprzejma, zachowywałam się opryskliwie i nieprzyjemnie. Zareagował na to bardziej niż zwykle urażoną miną.

Bardzo mu to dobrze wychodzi.

Obejmuje mnie mackami tej swojej urazy.

On nie należy do mojej „klasy”.

Wiem, czym jestem dla niego. Motylem, którego zawsze pragnął. Pamiętam, jak G.P. (podczas naszego pierwszego spotkania) powiedział, że kolekcjonerzy należą do najgorszych bestii. Oczywiście, miał na myśli kolekcjonerów dzieł sztuki. Wtedy tego nie rozumiałam, wydawało mi się, że po prostu usiłuje zaszokować Caroline i – mnie. Ale, naturalnie, ma rację. Oni są przeciwko sztuce, przeciwko życiu, przeciwko wszystkiemu.

Piszę w tej straszliwej niby-nocnej ciszy, jakbym czuła się zupełnie normalnie. A przecież to nieprawda. Jestem taka chora, taka przerażona, taka samotna. Samotność staje się nie do wytrzymania. Za każdym razem, kiedy otwierają się drzwi, mam ochotę wybiec na zewnątrz. Wiem jednak, że muszę oszczędnie gospodarować próbami ucieczki. Przechytryć go. Zaplanować.

Przeżyć.

16 października

Jest popołudnie. Powinnam być na lekcji rysowania z natury.

Czy świat dalej trwa? Czy słońce jeszcze świeci? Ostatniej nocy myślałam, że nie żyję. To jest śmierć. To jest piekło. W piekle nie będzie innych ludzi. Albo tylko jeden człowiek, jak on. Szatan nie będzie szatański i przystojny, ale taki jak on.

Dziś rano rysowałam go. Chciałam uchwycić jego twarz, żeby to zilustrować. Rysunek był do niczego, ale jemu się podobał.

Powiedział, że zapłaciłby za to DWIEŚCIE gwinei. On jest szalony.

To ja. Ja jestem jego szaleństwem.

Przez lata szukał czegoś, w czym mógłby zawrzeć swoje szaleństwo. I znalazł mnie.

Nie mogę pisać w takiej próżni. Do nikogo. Kiedy rysuję, zawsze myślę, że za moimi plecami stoi ktoś taki jak G.P. Wszyscy rodzice powinni być tacy jak nasi, bo wtedy siostry naprawdę stają się siostrami. Muszę być dla siebie tym, czym my z Minny jesteśmy dla siebie.

Kochana Minny, jestem tu już ponad tydzień i bardzo za tobą tęsknię, bardzo też tęsknię za świeżym powietrzem i za nieznanymi twarzami tych wszystkich ludzi,

których tak nienawidziłam w metrze, i za nowymi rzeczami, które przydarzały się o każdej godzinie każdego dnia, tylko nie potrafiłam ich dostrzegać, to znaczy dostrzegać, że są nowe i świeże. Najbardziej brakuje mi dziennego światła. Nie mogę żyć bez światła. Przy sztucznym oświetleniu wszystkie linie kłamią, ono sprawia, że niemal tęskni się za ciemnością.

Nie powiedziałam ci jeszcze, jak próbowałam uciec. Myślałam o tym przez całą noc, nie mogłam spać, było tak duszno, a mój żołądek jest rozregulowany (on stara się, jak może przy gotowaniu, ale to beznadziejne). Udawałam, że coś się popsło w łóżku, odwróciłam się i pobiegłam. Nie mogłam jednak poradzić sobie z drzwiami, żeby zamknąć go w środku, i dogonił mnie w drugiej piwnicy. Przez dziurkę od klucza widziałam światło dzienne.

Myśli o wszystkim. Otwarte drzwi przytrzymuje kłódka. Ale warto było. Dziurka od klucza pełna dziennego światła raz na tydzień. Przewidział, że będę próbowała się wydostać i zamknąć go w środku.

Potem przez trzy dni raczyłam go widokiem moich pleców i nadąsanej twarzy. Prowadziłam głodówkę. Spałam. Kiedy miałam pewność, że nie przyjdzie, wstawałam, trochę tańczyłam, czytałam książki o sztuce, piłam wodę. Ale nie tykałam jego jedzenia.

Skłoniłam go do przyjęcia warunków. Domagał się sześciu tygodni. Jeszcze tydzień temu sześć godzin wydawałoby się zbyt długo. Rozplakałam się. Ustąpił na cztery tygodnie. Wcale nie odczuwam mniejszego przerażenia w jego obecności. Znam już każdy cal tej potwornej małej krypty, zaczynam w nią wrastać jak robaki rzeczne w pokłady kamieni. Cztery tygodnie wydają się już mniej istotne.

Chyba nie mam już żadnej energii, żadnej woli, wyhamowanie na wszystkich frontach.

Minny, wczoraj wieczorem szłam z nim na górę. Najpierw powietrze na zewnątrz, przestrzeń większa niż dziesięć na dziesięć na dwadzieścia (wymierzyłam to dokładnie), pod gwiazdami wdychałam to wspaniałe, wspaniałe, mimo że było wilgotno i mglisto, wspaniałe powietrze.

Myślałam, że uda mi się uciec. Ale od razu chwycił mnie za rękę, byłam związana i zakneblowana. Było tak ciemno. Tak samotnie. Żadnych świateł. Po prostu ciemność. Nie wiedziałabym nawet, w którą stronę biec.

Dom jest bardzo stary. Może być z zewnątrz ryglowany, wewnątrz są liczne belki, wszystkie podłogi się uginają, a sufity są bardzo niskie. Jest to śliczny stary

dom, urządzony w najkoszmarniejszym „dobrym guście” rodem z. kobiecych czasopism. Najbardziej upiorne zderzenia kolorów, mieszanina stylów meblowych, podmiejski szyk, fałszywe antyki, straszne ozdoby mosiężne. A obrazy ! Nie uwierzyłabyś, gdybym ci opisała, jak straszne są te obrazy. Powiedział, że jakaś firma wybrała mu meble i całe urządzenie wewnątrz. Musieli się pozbyć wszystkich śmieci, jakie tylko mieli w magazynach.

Kąpiel była wspaniała. Wiedziałam, że on może w każdej chwili wpaść (żadnego zamka w drzwiach, nie mogłam ich w ogóle zamknąć z powodu przyśrubowanego drewnianka). Ale byłam pewna, że tego nie zrobi. Tak cudowny był widok wanny z gorącą wodą i normalnej łazienki, że było mi niemal wszystko jedno.

Kazałam mu czekać godzinami. Tuż pod drzwiami. Nie wydawał się mieć mi tego za złe. Był „dobry”.

Niczego nie ma za złe.

Wymyśliłam sposób przesłania wiadomości na zewnątrz. Mogłabym włożyć ją do małej buteleczki. Przewiązać kolorową wstążką i spuścić z wodą. Może ktoś kiedyś by ją znalazł. Zrobię to następnym razem.

Nasłuchiwałam odgłosów ruchu, ale nie było żadnego. Usłyszałam sowę. I samolot.

Gdyby tylko ludzie wiedzieli, nad czym przelatują.

Wszyscy znajdujemy się we wnętrzach samolotów.

Okno w łazience zabite deskami. Wielkie śruby. Wszędzie szukałam jakiejś broni. Pod wanną, za rurami. Ale nic nie znalazłam. Nawet gdybym znalazła, nie mam pojęcia, w jaki sposób bym się nią posłużyła. Ja obserwuję jego, a on obserwuje mnie. Nigdy nie dajemy sobie najmniejszej szansy. On nie sprawia wrażenia bardzo silnego, ale jest o wiele silniejszy ode mnie. Musiałabym działać przez zaskoczenie.

Wszystko zamknięte na podwójne zamki. Na drzwiach mojej celi jest nawet alarm antywłamaniowy.

Pomyślał o wszystkim. Chciałam włożyć kartkę w brudną bieliznę. Ale nie posyła nic do pralni. Kiedy zapytałam o bieliznę pościelową, oświadczył, że za każdym razem kupuje nową, mam powiedzieć, kiedy mi będzie potrzebna.

Jedyna szansa to muszla klozetowa.

Mimny, nie piszę do ciebie, rozmawiam sama z sobą.

Kiedy wyszłam w jednej z najmniej upiornych spódnic, które dla mnie kupił, podniósł się (przez cały czas siedział przy drzwiach). Czułam się jak dziewczyna na

balu schodząca po wielkich schodach. Zatkąło go. Pewnie dlatego że zobaczył mnie w „swojej” spódnicy. I z rozpuszczonymi włosami.

A może był to po prostu szok, kiedy zobaczył mnie bez knebla.

Uśmiechnęłam się, obróciłam się w koło i zgodził się nie zakładać mi knebla, pozwolił mi też rozejrzeć się po domu. Trzymał się bardzo blisko. Wiedziałam, że jeśli wykonani najmniejszy fałszywy krok, rzuci się na mnie.

Na górze sypialnie, pomieszczenia piękne same w sobie, ale pachnące stęchlizną, nie zamieszkane. Wszędzie dziwnie martwe powietrze. Na dole to, co on (jak można się było spodziewać) nazywa bawialnią: bardzo piękny pokój, znacznie większy od innych, taki niespodziewanie kwadratowy, jedna olbrzymia belka poprzeczna wsparta na trzech pionowych pośrodku pokoju, jeszcze inne belki i zakątki, zachwycające kąty, o których nie pomyślałby żaden architekt, nawet raz na tysiąclecie. Wszystko to naturalnie kompletnie zrujnowane przez meble. Dzikie kaczki z porcelany na cudownym starym kominku. Tego nie mogłam znieść, skłoniłam go, żeby związał mi ręce z przodu, wtedy zdjęłam te koszmarki i stłukłam w palenisku.

To go zraniło niemal tak samo jak policzek, który mu wymierzyłam, kiedy nie pozwolił mi uciec.

Przez niego się zmieniam: sprawia, że mam ochotę tańczyć wokół niego, oszołomić go, zaskoczyć, zadziwić. Jest taki powolny, pozbawiony wyobraźni, tak pozbawiony życia. Jak biel cynkowa. Widzę, że ma nade mną niemal władzę tyrana. Zmusza mnie do zmienności, do działania. Do popisywania się. Nienawistna tyrania ludzi słabych. Tak powiedział kiedyś G.P.

Zwykły człowiek jest przekleństwem cywilizacji.

A on jest tak zwykły, że aż niezwykle.

Robi zdjęcia. Chce zrobić mój „portret”.

A potem były te jego motyle, które chyba są piękne. Tak, pięknie poukładane, biedne skrzydełka porozciągane pod tym samym kątem. Jakże im współczułam, nieszczęsnym motylkom, moim współofiaram. Najbardziej dumny był z tych, które nazywał „aberracjami”.

Na dole pozwolił mi patrzeć, jak przygotowuje herbatę (w zewnętrznej piwnicy), rozśmieszyło mnie coś, co powiedział, czy raczej miałam ochotę się roześmiać.

Straszne.

Nagle zdałam sobie sprawę, że ja też popadam w szaleństwo, że on jest

diabelnie, diabelnie sprytny. Oczywiście nie ma mi za złe tego, co o nim mówię. Tego, że potłukłam jego nędzne porcelanowe kaczki. Ponieważ nagle ma mnie (on jest szalony, porwał mnie) u siebie, śmieję się z niego i nalewam mu herbatę niby najlepsza przyjaciółka.

Obrzuciłam go przekleństwami. Nieodrodna córka swojej matki.

Suka.

I tak to jest, Minny. Chciałabym, żebyś tu była, mogłybyśmy rozmawiać w ciemności. Gdybym tylko mogła przez kilka minut z kimś porozmawiać. Z kimś, kogo kocham. Opisuję to w znacznie, znacznie jaśniejszych barwach, niż jest w rzeczywistości.

Znowu będę płakać.

To takie niesprawiedliwe.

17 października

Nienawidzę tej zmiany w sobie.

Akceptuję zbyt wiele. Na początku zdawało mi się, że muszę być rzeczowa, nie mogę pozwolić, żeby jego nienormalność zapanowała nad sytuacją. Ale mógł to zaplanować. Doprowadza do tego, że zachowuję się dokładnie tak, jak on chce.

To nie jest po prostu fantastyczna sytuacja, to fantastyczna odmiana fantastycznej sytuacji. Chodzi mi o to, że teraz, kiedy ma mnie w swojej mocy, nie postępuje tak, jak można by oczekiwać. Więc budzi we mnie uczucie fałszywej wdzięczności. Jestem taka samotna. Musi sobie z tego zdawać sprawę. Może mnie od siebie uzależnić.

Jestem na krawędzi. Wcale nie tak spokojna, jak to przedstawiam (kiedy czytam to, co napisałam).

Jest tyle czasu, przez który trzeba przebrnąć. Nie kończący się, nie kończący, nie kończący się czas.

To, co piszę, nie jest naturalne. Jak dwoje ludzi usiłujących na siłę podtrzymać konwersację.

To całkowite przeciwieństwo rysowania. Rysuje się kreskę i od razu wiadomo, czy to jest dobra, czy zła kreska. A pisze się linijkę i wydaje się prawdziwa, a potem czyta się ją znowu później...

Wczoraj wieczorem chciał zrobić mi zdjęcie. Pozwoliłam mu zrobić kilkanaście.

Mam nadzieję, że może okazać się nieostrożny i ktoś zobaczy moją fotografię. Ale on pewnie mieszka zupełnie sam.

Musi. Chyba spędził całą noc na wywoływaniu zdjęć (jaka jestem głupia, przecież nie mógł zanieść ich do wywołania). Ja w świetle flesza na błyszczącym papierze. Nie podobał mi się ten flesz. Raził w oczy.

Nic się dzisiaj nie wydarzyło poza tym, że osiągnęliśmy rodzaj porozumienia w sprawie ruchu. Dalej nic ze światłem dziennym.

Ale mogę wychodzić do zewnętrznej piwnicy. Czuję się obrażona, więc się dąsam. Poprosiłam go, żeby wyszedł po obiedzie i to samo zaraz po kolacji; za każdym razem posłuchał. Robi wszystko, co mu się powie.

Kupił mi adapter i płyty, i wszystko inne z olbrzymiej listy, którą mu dałam. Chce kupować dla mnie rzeczy. Mogłabym poprosić o wszystko. Prócz wolności.

Podarował mi kosztowny szwajcarski zegarek. Powiedziałam, że będę go używać, dopóki jestem tutaj, a kiedy odejdę, oddam mu. Powiedziałam, że już nie mogę patrzeć na tę pomarańczową wykładzinę, więc kupił indyjskie i tureckie dywaniki. Trzy indyjskie maty i piękny turecki dywanik w kolorach ciemnofioletowym, różowym, pomarańczowym i sepii z białymi frędzlami (powiedział, że mieli tylko ten, więc nie świadczy to o jego guście).

Przez to cela staje się możliwsza do mieszkania. Podłoga jest bardzo miękka i sprężynująca. Potłukłam wszystkie paskudne popielniczki i wazon. Brzydkie ozdoby nie zasługują na istnienie.

Tak bardzo go przewyższam. Wiem, że brzmi to potwornie zarozumiale. Ale tak jest. Ale to samo dotyczy Ladymont i Boadycei, znowu noblesse oblige. Mam uczucie, że powinnam mu pokazać, jak żyją i zachowują się przyzwoite istoty ludzkie.

On jest samą brzydota. Ale ludzkiej brzydoty nie da się słuć.

Wieczór przed trzema dniami był taki dziwny. Podniecała mnie myśl o opuszczeniu tej krypty. Miałam uczucie, że niemal kompletnie panuję nad sytuacją. Nagle wydawało się to niezłą przygodą, o której niedługo będę wszystkim opowiadać. Rodzajem rozgrywki szachowej ze śmiercią, którą niespodziewanie wygrałam. Poczucie, że groziło mi ogromne niebezpieczeństwo, ale teraz już wszystko będzie dobrze. Nawet, że on mnie uwolni.

Szaleństwo.

Muszę nadać mu imię. Będę go nazywała Kalibanem.

Piero. Cały dzień spędziłam z Pierem, wszystko o nim przeczytałam, patrzyłam

na wszystkie obrazy w książce, przeżyłam je. Jak mogę kiedykolwiek zostać dobrą malarką, skoro tak niewiele wiem o geometrii i matematyce? Zmuszę Kalibana, żeby mi kupił książki. Stanę się geometrą. Wielkie wątpliwości na temat sztuki nowoczesnej. Wyobrażam sobie Piera stojącego przed Jacksonem Pollockiem, nie, choćby przed Picasssem czy Matisse'em. Jego oczy.

Widziałam tylko jego oczy.

To, co Piero wyraża za pomocą ręki. Załamania rękawa. Wiem o tym, mówiono nam to wielokrotnie, sama też o tym mówiłam. Ale dzisiaj naprawdę to odczułam. Odczułam, że cała nasza epoka to oszustwo, lipa. Ludzie bez przerwy mówią o tasyzmie i kubizmie, o takim czy innym izmie, i używają tych wszystkich skomplikowanych słów – wielkie, brudne skrzepy słów i zdań. Wszystko po to, by ukryć fakt, że albo potrafi się malować, albo nie.

Chcę malować tak jak Berthe Morisot, nie chodzi mi o jej kolory i formy czy jakiegokolwiek cechy fizyczne, ale o jej prostotę i światło. Nie chcę być dobra ani wielka, ani „znacząca”, nie chcę być poddawana tym niezręcznym męskim analizom. Chcę malować światło słoneczne na twarzach dzieci albo kwiaty w żywopłocie, albo ulicę po kwietniowym deszczu.

Esencję. Nie same rzeczy.

Pływanie światła po najdrobniejszym przedmiocie. A może jestem sentymentalna? Przygnębiona.

Jestem tak daleko od wszystkiego. Od normalności. Od światła. Od tego, czym chcę być.

18 października

G.P. Malujesz całą swoją istotę. Najpierw musisz się tego nauczyć. Reszta to szczęście.

Dobre postanowienie: nie mogę się poddać.

Tego ranka wykonałam całą serię szybkich szkiców miski z owocami. Skoro Kaliban pragnie dawać, nie obchodzi mnie, jak dużo papieru marnuję. „Powiesiłam” je i kazałam mu wybrać najlepszy. Oczywiście wybrał wszystkie te, które najbardziej przypominały cholerną miskę z owocami. Usiłowałam mu wytłumaczyć. Chwaliłam się jednym szkicem (tym, który mnie się najbardziej podobał). Zezłościł mnie, dla niego to nic nie znaczy, tym swoim nieszczęsnym tonem wierzę-ci-na-słowo dał do

zrozumienia, że naprawdę jest mu wszystko jedno. Dla niego byłam po prostu dzieckiem, które się bawi.

Ślepotą, ślepotą, zupełnie inny świat.

Moja wina. Popisywałam się. Jak mógł dostrzec czar i znaczenie sztuki (nie mojej, po prostu sztuki), kiedy demonstrowałam taką próżność?

Po obiedzie posprzeczaaliśmy się. Zawsze pyta, czy może zostać. Czasami czuję się tak samotna, tak udręczona własnymi myślami, że mu pozwalam. Chcę, by został. Tak właśnie oddziałuje więzienie. Ale jest jeszcze ucieczka, ucieczka, ucieczka.

Kłóciliśmy się o uzbrojenie nuklearne. Kiedyś miałam wątpliwości. Ale teraz już nie.

Dialog Mirandy i Kalibana:

M. (Siedziałam na łóżku i paliłam papierosa. Kaliban na swoim zwykłym krześle przy żelaznych drzwiach, na zewnątrz pracował wentylator.) Co myślisz o bombie wodorowej?

K. Nic specjalnego.

M. Ale musisz mieć jakieś zdanie.

K. Mam nadzieję, że nie spadnie na ciebie. Ani na mnie.

M. Zdaję sobie sprawę, że nigdy nie obracałeś się wśród ludzi, którzy traktują sprawy poważnie i poważnie dyskutują. (On robi swoją obrażoną minę.) Spróbujmy jeszcze raz. Co myślisz o bombie wodorowej?

K. Gdybym powiedział coś poważnego i tak nie wzięłabyś tego poważnie. (Nie przestawałam się w niego wpatrywać, dopóki nie zaczął mówić dalej.) To oczywiste. Nic nie można poradzić. Bomba już jest z nami, i będzie.

M. Nie obchodzi cię, co się stanie ze światem?

K. Jakie to ma znaczenie, czy mnie obchodzi?

M. O Boże!

K. Nie mamy tu nic do powiedzenia.

M. Słuchaj, jeżeli byłoby wystarczająco wielu ludzi, którzy uważają, że bomba jest diabelska i że przyzwoity naród nigdy nie powinien się starać wejść w jej posiadanie, bez względu na okoliczności, to rząd musiałby coś zrobić. Zgadzasz się?

K. To beznadziejne, moim zdaniem.

M. A w jaki sposób, twoim zdaniem, zaczęło się chrześcijaństwo? Czy cokolwiek innego? Dzięki małej grupce ludzi, którzy nie tracili nadziei.

K. No dobrze, a co by się zdarzyło, gdyby przyszli Rosjanie? (Uważa, że to

inteligentne posunięcie.)

M. Jeżeli mam wybierać między rzuceniem na nich bomby a ich pobytem tutaj w charakterze zwycięzców, to bez wahania wybieram tę drugą ewentualność.

K. (Szach i mat.) To jest pacyfizm.

M. Oczywiście, że tak, ty matołku. Czy wiesz, że przemaszerowałam całą drogę z Aldermaston do Londynu? Czy wiesz, że poświęciłam wiele godzin własnego czasu na roznoszenie ulotek, adresowanie kopert i dyskusowanie z takimi nieszczęśnikami jak ty, którzy w nic nie wierzą? Którzy naprawdę zasługują, żeby ta bomba w nich trafiła?

K. To niczego nie dowodzi.

M. Rozpacz ogarnia na myśl o braku (oszukuję, nie powiedziałam tego wszystkiego, ale będę pisać zarówno to, co naprawdę powiedziałam, jak i to, co chciałam powiedzieć) uczucia, braku miłości i rozsądku w świecie. To rozpaczliwe, że ktokolwiek może w ogóle rozważać możliwość zrzucenia bomby czy wydania rozkazu jej zrzucenia. To rozpaczliwe, że obchodzi to tylko tak niewielu z nas. To rozpaczliwe, że w świecie istnieje tyle brutalności i zubożenia. To rozpaczliwe, że zupełnie normalni młodzi mężczyźni mogą się stać źli i przewrotni, ponieważ wygrali dużo pieniędzy. I postąpić tak, jak ty postąpiłeś wobec mnie.

K. Przypuszczałem, że do tego dojdiesz.

M. Bo ty stanowisz część tego problemu. Wszystko, co wolne i przyzwoite w życiu, zamykane jest w brudnych małych celach przez okropnych ludzi, którym jest wszystko jedno.

K. Znam takich jak ty. Wam się wydaje, że cały cholerny świat istnieje tylko po to, żeby wam dogadzać.

M. Nie bądź głupi.

K. Byłem szeregowcem w wojsku. Nie wmówisz mi. Ludzie tacy jak ja po prostu wykonują polecenia (jak na niego, to był naprawdę podekscytowany), bo jeśli tego nie robią, może się to źle dla nich skończyć.

M. Nie przyzwyczyłeś się jeszcze do własnej sytuacji. Teraz jesteś bogaty. Nie ma już żadnego powodu, żebyś się czuł dotknięty.

K. Pieniądze nie mają takiego dużego znaczenia.

M. Nikt już nie może ci rozkazywać.

K. Ty mnie w ogóle nie rozumiesz.

M. Ależ jak najbardziej. Nie jesteś złotym młodzieńcem. Chociaż w głębi duszy

tak się czujesz. Nie znosisz pozycji niższości, nie znosisz tego, że nie potrafisz się należycie wyrazić. Oni rzucają się w działanie, często niszczą i rozbijają, ty siedzisz i się dąsas. Powiadasz: nie będę pomagał światu, nie oddam ludzkości nawet najmniejszej przysługi. Będę myślał tylko o sobie, a ludzkość może się wypchać (jakbym go bez przerwy policzkowała – niemal się cofa). Jaki sens, twoim zdaniem, mają pieniądze, jeżeli nie robi się z nich użytku? Rozumiesz, o czym mówię?

K. Tak.

M. No więc?

K. Och... masz rację. Jak zawsze.

M. Czy to kolejny przejaw sarkazmu?

K. Przypominasz ciocię Annie. Bez przerwy mówi o tym, jak się ludzie zachowują w dzisiejszych czasach. Nic ich nie obchodzi i tak dalej.

M. Zdajesz się uważać, że to dobrze nie mieć racji.

K. Czy chcesz herbaty?

M. (nadludzkim wysiłkiem) Słuchaj, przyjmijmy na potrzeby dyskusji, że choćbyś nie wiem co się starał zrobić dla społeczeństwa, i tak nic to nie pomoże. To śmieszne, ale nie szkodzi. Pozostajesz jeszcze ty sam. Nie sądzę, żeby Kampania na Rzecz Nuklearnego Rozbrojenia miała duże szansę oddziaływania na rząd. To jedna z pierwszych rzeczy, z którymi należy się pogodzić. Ale kontynuujemy działalność, żeby zachować szacunek dla siebie, żeby udowodnić sobie samym, że nam zależy. I pokazać innym ludziom, wszystkim leniwym, nadąsanym, beznadziejnym typom takim jak ty, że komuś jednak zależy. Staramy się zawstydzić was i zmusić do zastanowienia się, do działania. (Cisza. Krzyknęłam.) Powiedz coś!

K. Wiem, że to złe.

M. A więc, zrób coś! (Spojrzał na mnie tak gapiowato, jakbym mu poleciła przepłynąć Atlantyk.) Słuchaj, mój przyjaciel wziął udział w marszu do lotniczej bazy amerykańskiej w Essex. Słyszałeś o tym? Oczywiście, zatrzymano ich przed bramą, po jakimś czasie przyszedł dyżurny sierżant i zaczęli dyskusję, która bardzo się rozwinęła, ponieważ sierżant uważał, że Amerykanie odgrywają rolę dawnych rycerzy ratujących z opresji bezradną pannę. Twierdził, że bomba wodorowa jest absolutnie niezbędna i tak dalej. Stopniowo, w miarę trwania dyskusji, zaczęli sobie zdawać sprawę, że polubili tego Amerykanina, ponieważ miał bardzo zdecydowane i uczciwe poglądy. Nie było to tylko zdanie mojego przyjaciela. Potem wszyscy się zgodzili co do tego. Jedyna naprawdę istotna rzecz to odczucia i życie zgodnie z tym, w co się wierzy

– jeżeli jest to coś więcej niż troska o własną wygodę. Mój przyjaciel stwierdził, że ten amerykański sierżant był mu bliższy od wszystkich uśmiechniętych głupków, którzy po drodze obserwowali ich marsz. To jak piłka nożna. Każda ze stron pragnie zwyciężyć drugą, może nawet czasami czują nienawiść do przeciwnika, ale jeśli pojawi się ktoś i powie im, że piłka nożna jest idiotyczna i nie warto w nią grać ani się nią przejmować, wtedy obie strony połączy wspólne uczucie. Właśnie to uczucie się liczy. Czy tego nie widzisz?

K. Myślałem, że mówimy o bombie wodorowej.

M. Idź stąd. Męczysz mnie. Przypominasz wate.

K. (natychmiast wstał) Lubię słuchać, jak mówisz. Myślę o tym, co mówisz.

M. Nie, nie myślisz. Przyjmujesz to do swojego umysłu, pakujesz i znika gdzieś na zawsze.

K. Gdybym chciał... wysłać im czek, to jaki jest adres?

M. Chcesz kupić moje uznanie!

K. A co w tym złego?

M. Potrzebujemy pieniędzy. Ale jeszcze bardziej potrzebujemy uczuć. A nie wydaje mi się, żebyś miał do ofiarowania jakiegokolwiek uczucia. Tego nie można zdobyć, wypełniając kupon totka.

K. (po chwili niezręcznego milczenia) A więc do zobaczenia później.

(Kaliban wychodzi. Tak mocno walnęłam w poduszkę, że do tej pory wygląda, jakby czyniła mi wyrzuty.)

(Tego wieczoru – wiedziałam, że to potrafię – skłoniłam go pochlebstwem i zrzędnieniem do napisania czeku na sto funtów, który obiecał wysłać następnego dnia. Wiem, że to słuszne. Rok wcześniej trzymałabym się ścisłych rygorów moralnych. Jak major Barbara. Ale najważniejsze są dla nas pieniądze. A nie to, skąd pochodzą czy dlaczego je wysłano.)

19 października

Byłam na zewnątrz.

Przez całe popołudnie robiłam kopie (Piero) i byłam w takim nastroju, który normalnie zmusza mnie do wyjścia, do kina albo do kawiarni, gdziekolwiek. Byle wyjść.

Skłoniłam go, żeby mnie wyprowadził, ofiarowując mu się jak niewolnica.

Zwiąż mnie, powiedziałam, ale wyprowadź.

Związał mnie i zakneblował, trzymał za rękę i chodziliśmy po ogrodzie. Całkiem duży ogród. Było bardzo ciemno. Widziałam tylko ścieżkę i kilka drzew. Jest tu bardzo odludnie. Jakaś głucha wieś.

I nagle w tej ciemności zorientowałam się, że z nim coś jest nie w porządku. Nie mogłam go zobaczyć, ale nagle poczułam strach, wiedziałam, że chce mnie pocałować albo jeszcze gorzej. Usiłował powiedzieć coś o tym, jak bardzo jest szczęśliwy, w jego głosie czułam olbrzymie napięcie. Jakby się dławił. A potem mówił, że według mnie on jest niezdolny do głębokich uczuć, ale to nieprawda. To straszne, kiedy nie można mówić. Normalnie mój język stanowi obronę przed nim. Mój język i mój wygląd. Na chwilę zamilkł, ale wiedziałam, że gotów jest wybuchnąć.

Przez cały czas wdychałam cudowne, świeże powietrze. Wspaniałe, tak wspaniałe, że nie potrafię go opisać. Pełne życia, zapachów roślin, zapachów wsi i tysiąca tajemniczych wilgotnych zapachów nocy.

Wtedy przejechał samochód. A więc od frontu domu biegnie uczęszczana droga. Jak tylko usłyszeliśmy warkot silnika, zacieśnił się jego uchwyt na mojej ręce. Modliłam się, żeby samochód stanął, ale światła omiotły jedynie okolice domu.

Na szczęście wszystko przedtem przemyślałam. Jeśli kiedykolwiek podejmę próbę ucieczki i nie uda mi się, on już nigdy nie pozwoli mi wyjść. Nie wolno mi więc wykorzystywać pierwszej okazji. A tam, w ogrodzie, zdawałam sobie sprawę, że raczej by mnie zabił, niż pozwolił mi uciec. Gdybym spróbowała. (Nie mogłam zresztą, bo trzymał moją rękę jak w żelaznym uchwycie.)

Ale to było straszne. Świadomość, że ludzie są tak blisko. I nic nie wiedzą.

Zapytał, czy chciałabym zrobić jeszcze jedno okrążenie. Ale pokręciłam przecząco głową. Byłam zbyt przestraszona.

Na dole powiedziałam mu, że musimy wyjaśnić tę sprawę z seksem.

Powiedziałam, że gdyby nagle przyszła mu ochota mnie zgwałcić, nie będę się opierać, pozwolę mu zrobić, co będzie chciał, ale się już nigdy do niego nie odezwę. Powiedziałam, że wiem, że sam też wstydziłby się za siebie. Nieszczęsne stworzenie, i tak już robił wrażenie wystarczająco zawstydzonego. To była tylko „chwilowa słabość”. Zmusiłam go do uścisku dłoni, ale założę się, że odetchnął z ulgą, kiedy znowu znalazł się na zewnątrz.

Nikt by nie uwierzył w tę sytuację. Jestem jego więźniem. Ale poza tym to ja jestem panią. Zdaję sobie sprawę, że o to mu chodzi, w takim układzie mam mniej

powodów do niezadowolenia.

To samo się zdarzyło ubiegłej wiosny, kiedy matkowałam Donaldowi. Zaczęło mi się zdawać, że on należy do mnie, że wiem o nim wszystko. Byłam wściekła, kiedy tak znienacka wyjechał do Włoch, nie uprzedzając mnie. Nie dlatego, że byłam w nim zakochana, ale ponieważ w jakiś sposób należał do mnie i nie otrzymał mojego pozwolenia.

Trzyma mnie w kompletnej izolacji. Żadnych gazet. Ani radia. Ani TV. Bardzo mi brakuje wiadomości. Nigdy tego nie odczuwałam. Teraz jednak wydaje mi się, że świat przestał istnieć.

Codziennie proszę go o gazetę; ale to jedna z zasad, od których za nic nie odstąpi. Bez powodu. Śmieszne, ale wiem, że proszenie na nic się nie zda. Równie dobrze mogłabym poprosić, żeby zawiózł mnie na najbliższy dworzec.

Mimo wszystko jednak będę dalej prosić.

Przysięga na wszystko, że wysłał czek na rzecz ruchu przeciwko bombie wodorowej, ale nie jestem pewna. Poproszę, żeby pokazał pokwitowanie.

Incydent. Dziś przy śniadaniu poprosiłam o sos Worcester. Niezwykle rzadko zapomina przynieść coś, na co mogłabym mieć ochotę. Ale nie było sosu Worcester. Więc wstał, wyszedł, otworzył kłódkę, która przytrzymuje otwarte drzwi, zamknął drzwi, wziął sos z zewnętrznej piwnicy, otworzył drzwi, założył kłódkę i wrócił. Okazał zdziwienie, kiedy się roześmiałam.

Nigdy nie pomija całego tego rytuału z zamykaniem. Nawet jeśli wychodzę do zewnętrznej piwnicy nie związana, to co mogę zrobić? Nie mogę go zamknąć w środku, nie mogę wyjść na zewnątrz. Jedyłą szansę stanowi moment, kiedy on wchodzi z tacą. Czasami nie zabezpiecza przedtem drzwi kłódką. Więc gdybym w tym momencie zdołała go wyminąć, mogłabym zamknąć go w środku. Ale nie oddała się od drzwi, jeżeli ja nie jestem od nich wystarczająco daleko. Zwykle podchodzę do niego i sama biorę tacę.

Pewnego dnia nie chciałam tego zrobić. Po prostu stałam oparta o ścianę przy drzwiach. Powiedział: „Proszę odejść”. Wpatrywałam się w niego. Wyciągnął rękę z tacą. Zignorowałam to. Stał z niedecydowaną miną. Potem pochylił się bardzo ostrożnie, obserwując każdy mój ruch, i postawił tacę w progu. I wrócił do zewnętrznej piwnicy.

Byłam głodna. Wygrał.

Niedobrze. Nie mogę spać.

Dzień wydawał się dziwny. Nawet jak na tutejsze warunki. Rano zrobił mi jeszcze więcej zdjęć. Naprawdę sprawia mu to przyjemność. Lubi, kiedy uśmiecham się do obiektywu, więc dwa razy zrobiłam straszną minę. Nie rozbawiło go to. Potem podniosłam jedną ręką włosy do góry i udawałam modelkę.

„Powinnaś być modelką” – powiedział. Zupełnie poważnie. Nie zdawał sobie sprawy, że wyśmiewałam się z tego wszystkiego.

Wiem, dlaczego tak lubi fotografować. Uważa, że przez to odkrywam w nim talenty artystyczne. A on oczywiście nie ma o niczym najmniejszego pojęcia. Chodzi mi o to, że po prostu łapie mnie w obiektyw. I na tym koniec. Żadnej wyobraźni.

To niesamowite. Niezwykłe. Ale między nami istnieje jakiś rodzaj związku. Wyśmiewam się z niego, bez przerwy go atakuję, ale on wyczuwa, kiedy „mięknę”. Kiedy może się odegrać i nie rozzłościć mnie. Przechodzimy więc na wzajemne dokuczanie, które jest niemal przyjacielskie. Dzieje się tak częściowo dlatego, że jestem taka samotna, częściowo robię to świadomie (chcę, żeby się rozluźnił, zarówno dla jego własnego dobra, jak i dlatego, że pewnego dnia może popełnić błąd), a więc jest to po części słabość, po części spryt, a po części współczucie. Ale w grę wchodzi także tajemnicza czwarta część, której nie potrafię zdefiniować. To nie może być przyjaźń, bo ja go nienawidzę.

Może to po prostu wiedza. Po prostu fakt, że tyle o nim wiem. A jeśli się kogoś dobrze zna, automatycznie odczuwa się pewną bliskość. Nawet jeśli chciałoby się, żeby znalazł się na innej planecie.

Pierwsze dni. Nie mogłam nic robić, póki znajdował się w pokoju. Udawałam, że czytam, ale nie mogłam się skoncentrować. A teraz zapominam czasami o jego obecności. On siedzi przy drzwiach, a ja czytam na swoim krześle; przypominamy ludzi, którzy od lat są małżeństwem.

Nie chodzi o to, że zapomniałam, jacy są inni ludzie. Ale inni ludzie jakby przestali być realni. Jediną rzeczywistą osobą w moim świecie jest Kaliban.

Tego nie można zrozumieć. Tak po prostu jest.

20 października Jedenasta rano.

Właśnie próbowałam ucieczki.

Poczekalam, aż odrygluje drzwi, które otwierają się na zewnątrz. I pchnęłam je możliwie najbardziej gwałtownie. Są drewniane, obite metalem tylko z tej strony, ale

bardzo ciężkie. Myślałam, że trzasnę go tymi drzwiami i ogłuszę, jeśli uda mi się to zrobić w odpowiednim momencie.

Więc kiedy tylko drzwi zaczęły się poruszać, pchnęłam je tak mocno, jak tylko mogłam. Przewróciły go, a ja wybiegłam, ale oczywiście wszystko zależało od tego, czy został ogłuszony. A nic podobnego nie nastąpiło. Cała siła uderzenia musiała spaść na jego ramię, bo nie porusza nim zbyt sprawnie.

W każdym razie złapał mnie za sweter. Przez sekundę doszła do głosu ta strona jego natury, którą wyczuwam: brutalność, nienawiść, absolutna determinacja w chęci zatrzymania mnie. Więc powiedziałam: „W porządku”, wyrwałam mu się i wróciłam. Powiedział: – Mogłaś mi zrobić krzywdę, te drzwi są bardzo ciężkie.

– Ty robisz mi krzywdę w każdej sekundzie, dopóki mnie tu trzymasz – odparłam. Wzruszyłam ramionami i zapaliłam papierosa. Drżałam.

Wykonał cały poranny rytuał w kompletnym milczeniu. Raz potarł sobie ramię gestem nie budzącym wątpliwości. I tyle.

Teraz muszę starannie poszukać obłuzowanych kamieni. Pomysł tunelu. Oczywiście, szukałam ich już wcześniej, ale nie bardzo dokładnie, nie dosłownie kamień po kamieniu, od góry do dołu każdej ściany.

Jest wieczór. On poszedł. Przyniósł mi jedzenie. Ale się nie odzywał. Pełen dezaprobaty. Roześmiałam się głośno, kiedy wynosił naczynia po kolacji. Zachowuje się dokładnie tak, jakbym to ja powinna się wstydzić.

Nie da się już nabrać na sztuczkę z drzwiami. Nie ma żadnych obłuzowanych kamieni. Wszystkie solidnie zabetonowane. Pewnie i to brał pod uwagę, podobnie jak wszystko inne.

Większość dzisiejszego dnia spędziłam na rozmyślaniu. O sobie. Co się ze mną stanie? Nigdy tak silnie jak tutaj nie odczuwałam tajemnicy przyszłości. Co się stanie? Co się stanie?

Nie chodzi tylko o chwilę obecną, o tę sytuację. Ale o to, kiedy już się wydostanę. Co będę robić? Chcę wyjść za mąż, chcę mieć dzieci, chcę udowodnić sobie, że nie wszystkie małżeństwa muszą być takie jak M. i T. Dokładnie wiem, jakiego mężczyznę chciałabym poślubić: kogoś o takim umyśle jak G.P., tylko bliższego mi wiekiem, o takim wyglądzie, jaki lubię. I bez tej jego jedynej strasznej słabości. Ale chciałabym też wykorzystać swój sposób odczuwania świata. Nie chciałabym rozmieniać na drobne swoich umiejętności. Chiałabym tworzyć piękno. I z tego powodu przeraża mnie małżeństwo i macierzyństwo. To wessanie w dom i

sprawy domowe, w świat dziecięcy, kuchenny i zakupowy. Mam wrażenie, że krowio-
leniwa część mnie przyjęłaby to z zachwytem, zapominając o tym, czego kiedyś
pragnęłam, i przekształciłabym się w Wielką Żeńską Kapustę. Albo musiałabym
wykonywać nędzne prace typu ilustrowanie czy nawet reklamy, żeby utrzymać dom.
Albo popaść w jędzowato-dżinowe nieszczęście jak M. (nie, nie mogłabym być taka
jak ona). Albo, co najgorsze ze wszystkiego, stać się drugą Caroline w wiecznej, a
żałosnej pogoni za nowoczesną sztuką i nowoczesnymi ideałami, których nigdy nie
może uchwycić, ponieważ w głębi duszy jest zupełnie inna, ale nie potrafi tego sobie
uświadomić.

Myślę i myślę w tej piwnicy. Rozumiem rzeczy, nad którymi przedtem nigdy
naprawdę się nie zastanawiałam.

Dwie sprawy. M. Nigdy przedtem nie myślałam o M. obiektywnie, jak o innej
osobie. Zawsze była moją matką, której nienawidziłam albo której się wstydziłam. A
jednak ze wszystkich znanych mi brzydkich kaczątek to ona jest najbrzydszym. Nigdy
nie okazałam jej dość współczucia. Przez ostatni rok (odkąd się wyprowadziłam z
domu) nie okazałam jej nigdy tyle uwagi, ile poświęciłam tej nieszczęsnej kreaturze z
góry w ciągu ostatniego tygodnia. Myślę, że teraz potrafiłabym oszołomić ją miłością.
Ponieważ przez całe lata nie było mi jej tak bardzo żal. Zawsze znajdowałam dla siebie
usprawiedliwienie, mówiłam: jestem dobra i tolerancyjna dla wszystkich innych, to
jest jedyna osoba, wobec której nie mogę się tak zachowywać, musi być jakiś wyjątek
od ogólnej zasady. Więc nie ma to znaczenia. Ale to oczywiście niesłuszne. Ona jest
ostatnią osobą, która powinna stanowić wyjątek od ogólnej zasady.

Minny i ja tak często pogardzałyśmy T. za to, że z nią wytrzymuje. Powinnyśmy
przed nim uklęknąć.

Druza sprawa, o której myślę, to G.P.

Kiedy go poznałam, powiedziałam wszystkim, jaki jest wspaniały. Potem
nastąpiła reakcja, pomyślałam, że żywię wobec niego uwielbienie pensjonarki dla
bohatera, a potem zaczęły się zdarzać inne rzeczy. To wszystko było zbyt emocjonalne.

Ponieważ on sprawił, że się zmieniłam, bardziej niż ktokolwiek czy cokolwiek.
Bardziej niż Londyn, bardziej niż szkoła Slade'a.

Nie tylko dlatego, że znacznie więcej w życiu widział. Że ma znacznie więcej
artystycznego doświadczenia. I że jest znany. Ale on mówi dokładnie to, co myśli, i
zawsze zmusza mnie do myślenia. Zmusza mnie do zadawania sobie pytań. Ileż to
razy nie zgadzałam się z nim? A w tydzień później łapałam się na tym, że

dyskutowałam z kimś innym dokładnie tak samo jak on by to robił. Że oceniałam ludzi według jego standardów.

On wykorzenił całkowicie (no, prawie) moją głupotę, moje naiwne poglądy na życie i sztukę, także sztukę współczesną. Moje poczucie fatalizmu. Nigdy już nie byłam taka sama, odkąd powiedział mi, że nie znosi kobiet pełnych ponurych przeczuć i przesądów. Nawet słowa „fatalizm” nauczyłam się od niego.

Lista zmian, jakich we mnie dokonał. Albo bezpośrednio. Albo stwierdzając zmiany już się dokonujące.

1. Jeśli jesteś prawdziwym artystą, oddajesz swojej sztuce całe istnienie. Jeżeli oddajesz trochę mniej, nie jesteś artystą. W każdym razie nie tym, którego G.P. nazywa „stworcą”.

2. Nie tryskasz pomysłami. Nie masz zestawu obrazków czy idei, które wytryskują z ciebie, żeby zaimponować ludziom.

3. Musisz mieć lewicowe poglądy polityczne, ponieważ, mimo wszystkich swoich błędów, socjaliści są jedynymi zaangażowanymi ludźmi. Czują, chcieliby polepszyć świat.

4. Zawsze musisz coś robić. Musisz działać, jeśli w coś wierzysz. Mówienie o działaniu jest jak przechwalanie się obrazami, które zamierzasz namalować. Jest to najstraszniejsza ze złych form.

5. Jeśli odczuwasz coś głęboko, nie wstydzisz się okazać swoich uczuć.

6. Godzisz się z tym, że jesteś Anglikiem. Nie udajesz, że wolałbyś być Francuzem, Włochem czy jeszcze kimś. (Pierś mówiący zawsze o swojej babce Amerykance.)

7. Nie idziesz na kompromisy ze swoim środowiskiem. Odcinasz się od wszystkiego, co przeszkadza ci być stworcą. Jeżeli pochodzisz ze snobistycznego przedmieścia (jak M. i T.; uświadomiłam sobie, że ich kpiny z „podmiejskości” to tylko dymna zasłona), odrzucasz (wypalasz) to przedmieście. Jeżeli jesteś z klasy robotniczej, wypalasz w sobie tę klasę robotniczą. To samo dotyczy każdej innej klasy, ponieważ pojęcie klasy jest prymitywne i głupie.

(To nie dotyczy wyłącznie mnie. Pamiętam, jak chłopak Louise – syn górnika z Walii – poznał go i jak się kłócili i warczeli na siebie, a wszyscy oburzaliśmy się na G.P. z powodu jego pogardliwego stosunku do klasy robotniczej i robotniczego stylu życia. Nazywał ich zwierzętami, nie istotami ludzkimi. A David Evans, poblady i jękający się z wrażenia, wykrzykiwał: „Nie mów mi, że mam kopnąć z drogi mojego

ojca, bo jest przeklętym zwierzakiem”. Na to G.P. powiedział, że nigdy w życiu nie zrobił krzywdy zwierzęciu; można zawsze znaleźć sposób, żeby skrzywdzić istoty ludzkie, ale ludzkie zwierzęta zasługują na pełne współczucie. A w zeszłym miesiącu David Evans przyszedł do mnie i przyznał, że ten wieczór naprawdę go odmienił.)

8. Polityczny aspekt narodowości budzi nienawiść. Trzeba nienawidzić wszystkiego, w polityce, sztuce i wszędzie indziej, co nie jest autentyczne, głębokie i niezbędne. Nie należy tracić czasu na drobiazgi. Trzeba żyć poważnie. Nie chodzić na głupie filmy, nawet jeśli się ma ochotę; nie czytać brukowych gazet, nie słuchać żadnego chłamu w radiu czy telewizji, nie tracić czasu na rozmowy o niczym. Wykorzystywać swoje życie.

Pewno zawsze pragnęłam wierzyć w to wszystko, zanim go spotkałam; moja wiara nie była jednak zbyt sprecyzowana. Ale on sprawił, że uwierzyłam; to na myśl o nim czuję się winna, kiedy łamię zasady.

Jeżeli sprawił, że uwierzyłam, to znaczy, że w znacznej części stworzył nową mnie.

Gdyby moja matka chrzestna była czarodziejką, prosiłabym o to, żeby odmłodziła G.P. o dwadzieścia lat. I żeby stał się dla mnie fizycznie atrakcyjny.

Jak by on tym gardził.

To dziwne (i czuję się z tego powodu winna), ale dzisiaj jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek, odkąd się tu znalazłam. Mam uczucie, że wszystko się dobrze skończy. Głównie dlatego, że zrobiłam coś dziś rano. Usiłowałam uciec. A Kaliban to zaakceptował.

Chodzi mi o to, że gdyby zamierzał mnie zaatakować, z pewnością zrobiłby to wtedy, kiedy miałby powód do złości na mnie. Tak jak tego ranka. Pod pewnymi względami odznacza się niezwykłą samokontrolą.

Wiem także, że czuję się szczęśliwa, ponieważ większą część dnia nie spędziłam tutaj. Przeważnie myślałam o G.P. Przebywałam w jego świecie, nie w tym tutaj. Tak dużo sobie przypominałam. Chciałabym to wszystko zapisać. Napychałam się wspomnieniami.

Ten świat czyni tamten świat tak realnym, ożywionym, tak cudownym. Nawet jego ponure strony.

Ale częściowo mój stan wpływał także z faktu, że pofolgowałam ohydnej próżności. Wspominałam to, co powiedział mi G.P. i inni. Świadoma tego, że jestem kimś szczególnym. Świadoma własnej inteligencji i tego, że zaczynam rozumieć życie

znacznie lepiej niż większość moich rówieśników. Świadoma również, że nigdy nie będę na tyle głupia, by się tym pysznić, ale że będę wdzięczna, strasznie szczęśliwa (zwłaszcza po tym) że żyję, że jestem tym, kim jestem – a więc Mirandą, istotą niepowtarzalną.

Nigdy nikomu tego nie pokażę. Nawet jeśli to prawda, musi wyglądać na przejaw próżności.

Tak jak nigdy nie daję odczuć innym dziewczynom, że wiem o swojej urodzie, nikt się nie domyśla, jak bardzo się starałam, żeby nie wykorzystywać tej niezasłużonej przewagi. Odpychałam wędrujące spojrzenia mężczyzn, nawet te najmiłsze.

M inny: pewnego dnia, kiedy wybierała się na tańce, paplałam o jej sukni. Powiedziała: „Zamknij się. Jesteś taka ładna, że nawet nie musisz się starać”.

G.P. powiedział: „Masz wszystkie rodzaje twarzy”.

Niegodziwość.

21 października

Zmuszam go, żeby trochę lepiej gotował. Absolutny zakaz mrożonek. Muszę mieć owoce, świeże jarzyny. Jadam befsztyk. Łososia. Wczoraj kazałam mu kupić kawior. Irytuje mnie, że nie mogę sobie przypomnieć jeszcze innych wykwintnych dań, których nigdy nie jadłam, a chciałabym spróbować.

Świnia.

Kawior jest wspaniały.

Wzięłam następną kąpiel. Nie ośmiela się mi odmówić. On pewnie myśli, że „damy” padają trupem, jeśli nie wykapią się, kiedy mają na to ochotę.

Wrzuciłam wiadomość do muszli. W małej plastikowej butelce obwiązanej jardem czerwonej wstążki. Mam nadzieję, że wstążka się rozwinie i ktoś to zobaczy. Gdzieś. Kiedyś. Powinni bez trudu znaleźć dom. Zrobił głupstwo, mówiąc mi o dacie nad drzwiami. Musiałam zakończyć słowami TO NIE JEST KAWAŁ. Bardzo trudno napisać to tak, żeby nie wyglądało na głupi żart.

Powiedziałam, że ktokolwiek zadzwoni do T. i powie mu o tym, dostanie 25 funtów. Przy każdej kąpieli będę spuszczała butelkę w morze (powiedzmy).

Zdjął wszystkie mosiężne cacka z podestu i ze schodów. A także straszne zielono-pomarańczowo-fioletowe widoczki wiosek rybackich na Majorce. Nieszczęsny

dom oddycha z ulgą.

Lubię przebywać na górze. Blżej wolności. Wszystko zamknięte. Wszystkie okna od frontu mają wewnętrzne okiennice. Pozostałe zaryglowane na kłódkę. (Dziś wieczorem przejechały dwa samochody, to naprawdę jakaś boczna droga.)

Zacząłam go także doksztalcać. Dzisiaj w dużym pokoju (oczywiście, miałam związane ręce) przeglądaliśmy album z reprodukcjami. Nie ma własnego zdania. Chyba przez większą część czasu w ogóle mnie nie słucha. Myśli o tym, że siedzi blisko mnie, stara się być jak najbliżej bez dotykania. Nie wiem, czy powoduje nim seks, czy obawa, że mogę wyskoczyć z jakąś sztuczką.

Jeżeli w ogóle myśli o obrazach, przyjmuje wszystko, co powiem. Gdybym powiedziała, że Dawid Michała Anioła przedstawia patelnię, wydukałby „rozumiem”.

Co za ludzie. Musiałam ocierać się o nich w metrze, mijać ich na ulicy, oczywiście czasami udało mi się ich podsłuchać i wiedziałam o tym, że istnieją. Ale naprawdę nigdy nie wierzyłam w ich istnienie. Tak absolutnie ślepi. To nie wydawało się możliwe.

Dialog. Siedział, wpatrując się w album z miną sztuka-jest-cudowna (oczywiście, ze względu na mnie, nie dlatego, że sam tak uważa).

M. Wiesz, co jest naprawdę dziwne w tym domu? Nie ma tu w ogóle książek. Prócz tych, które kupiłeś dla mnie.

K. Jest trochę na górze.

M. O motylach.

K. I inne.

M. Kilka nędznych kryminałów. Czy nigdy nie czytasz prawdziwych, autentycznych książek? (Milczenie.) Książek o ważnych sprawach napisanych przez ludzi naprawdę zaangażowanych? Nie kieszonkowych wydań służących do zabicia czasu w podróży pociągiem. Książek, rozumiesz?

K. Lekkie powieści są bardziej w moim guście. (Przypomina boksera. Ma się ochotę, żeby pódl na ring i został wyliczony.)

M. Mógłbyś z powodzeniem przeczytać Buszującego w zbożu. Już to prawie skończyłam. Czy wiesz, że czytałam to dwa razy, a jestem od ciebie pięć lat młodsza?

K. Przeczytam to.

M. To nie jest kara.

K. Przeglądałem, zanim przyniosłem na dół.

M. I nie podobało ci się.

K. Spróbuję.

M. Przyprawiasz mnie o mdłości.

Następuje cisza. Miałam poczucie nierzeczywistości, jakbym występowała w sztuce i nie mogła sobie przypomnieć, kogo gram.

Dzisiaj zapytałam go też, dlaczego kolekcjonuje motyle.

K. Poznaje się inną klasę ludzi.

M. Ale to przecież nie może być powód, dla którego zbierasz motyle.

K. To przez takiego jednego nauczyciela. Kiedy byłem dzieckiem. On mi pokazał jak. Kolekcjonował. Nie wiedział o tym wiele. Według starej szkoły. (Chodzi tu o kął skrzydeł. Według nowoczesnej metody skrzydła powinny być pod kątem prostym.) I mój wuj. Interesował się przyrodą. Zawsze mi pomagał.

M. Wydaje się sympatyczny.

K. Ludzie interesujący się przyrodą zawsze są sympatyczni. Wystarczy przyrzeć się Sekcji Owadów. To jest Entomologiczna Sekcja Towarzystwa Historii Naturalnej u nas w mieście. Traktują człowieka tak, jak na to zasługuje. Nie patrzą na niego z góry. Nic podobnego.

M. Nie zawsze są sympatyczni. (Ale on tego nie chwycił.)

K. Są też i snoby. Ale większość jest taka, jak mówiłem. Inna klasa ludzi od tej... jaką spotykałem... z jaką normalnie można się zetknąć.

M. A czy twoi przyjaciele tobą nie pogardzali? Nie uważali cię za mięczaka?

K. Nie miałem żadnych przyjaciół. Po prostu ludzie, z którymi pracowałem. (Po chwili powiedział: „Robili głupie dowcipy”.)

M. Na przykład?

K. Po prostu głupie dowcipy.

Nie kontynuowałam. Czasami mam nieprzepartą ochotę dobrania się do samego dna, wyciągnięcia takich rzeczy o nim, o których nie chce mówić. Ale to niedobrze. Wygląda, jakby obchodził mnie on i jego nędzne, proste życie.

Posługiwanie się słowami. Luki. Sposób, w jaki Kaliban siada, taka pochylono-wyprostowana pozycja – dlaczego? Zażenowanie? Gotowość rzucenia się na mnie, gdybym zaczynała uciekać?

Potrafię to narysować. Potrafię narysować jego twarz, wyraz tej twarzy, ale wszystkie słowa są tak zużyte, używano ich w odniesieniu do tylu innych rzeczy i ludzi. Piszę „uśmiechnął się”.

Co to znaczy? Nie więcej niż dziecinny plakat z dynią uśmiechniętą

półksiężycem ust. A jednak jeśli narysuję uśmiech...

Słowa są tak surowe, tak strasznie prymitywne w porównaniu z rysunkiem, obrazem, rzeźbą. „Siedziałam na łóżku, on siedział przy drzwiach i rozmawialiśmy, usiłowałam go namówić, żeby wykorzystał swoje pieniądze na kształcenie się, a on powiedział, że tak zrobi, co mnie jednak nie przekonało”. Jak nieudolny kicz.

Jakby próbowało się rysować złamanym ołówkiem.

Wszystko to są moje własne myśli.

Czuję potrzebę spotkania z G.P. Podałby mi tytuły dziesięciu książek, w których to wszystko wyrażono znacznie lepiej.

Jakże nienawidzę ignorancji! Ignorancji Kalibana, mojej własnej, ignorancji świata! Mogłabym się uczyć, uczyć, uczyć, uczyć. Mam ochotę płakać, tak wiele chciałabym się nauczyć.

Zakneblowana i związana.

Odłożę to na noc na zwykłe miejsce pod materac. A potem pomodłę się do Boga o wiedzę.

22 października

Dzisiaj mijają dwa tygodnie. Zaznaczam dni na boku parawanu, jak Robinson Crusoe.

Jestem załamana. Nie mogę spać. Muszę, muszę, muszę uciec.

Robię się coraz bledsza. Cały czas czuję się chora, słaba.

Ta straszliwa cisza.

On jest taki bezlitosny. Taki niezrozumiały. Czego on chce? Co się dzieje?

Przecież musi widzieć, że tracę zdrowie.

Dziś wieczorem powiedziałam mu, że potrzebuję światła dziennego. Zmusiłam, żeby mi się przyjrzał i zobaczył, jaka jestem blada.

Jutro, jutro. Nigdy wprost nie mówi nie.

Dzisiaj myślałam o tym, że może mnie tu trzymać bez końca. Nie potrwa to długo, ponieważ ja nie przeżyję. To absurdalne, potworne – ale nie ma sposobu ucieczki. Znowu usiłowałam znaleźć obluźowane kamienie. Mogłabym wykopać tunel obok drzwi. Mogłabym wykopać tunel bezpośrednio prowadzący na zewnątrz. Ale musiałby mieć co najmniej dwadzieścia stóp długości. Cała ta ziemia. I ja w pułapce wewnątrz. Nigdy mi się to nie uda. Prędzej umrę. Więc musi to być tunel tylko przez

drzwi. Ale żeby to zrobić, potrzebuję czasu. Muszę mieć pewność, że on będzie poza domem co najmniej sześć godzin. Trzy godziny na tunel i dwie na uporanie się z zewnętrznymi drzwiami. Czuję, że to moja najlepsza szansa. Nie mogę jej zepsuć, zmarnować przez brak odpowiedniego przygotowania.

Nie mogę spać. Muszę coś zrobić.

Będę pisać o moim pierwszym spotkaniu z G.P.

Caroline powiedziała, och, to jest Miranda. Moja siostrzenica. I nie przestawała mówić na mój temat, co było straszne (pewnego sobotniego poranka podczas zakupów w Village). Nie wiedziałam, gdzie mam oczy podziać, chociaż dawno chciałam go poznać. Mówiła o nim przedtem.

Od razu spodobał mi się sposób, w jaki ją traktował, chłodno, nie starając się nawet ukryć, że jest znudzony. Nie ustępował jej, jak robią wszyscy inni. Mówiła o nim całą drogę do domu. Wiedziałam, że ją szokował, chociaż nie przyznałaby się do tego. Jego dwa nieudane małżeństwa i oczywisty fakt, że nie miał o niej najlepszego zdania. Toteż od samego początku miałam ochotę występować w jego obronie.

A potem spotkanie w parku Hampstead Heath. Chciałam go znowu spotkać i czułam się zawstydzona.

Jego sposób chodzenia. Bardzo opanowany, ale nie niedbały. Ładna stara kurtka lotnicza. Prawie się nie odzywał, wiedziałam, że wcale nie miał ochoty na przebywanie w naszym (Caroline) towarzystwie, ale dogonił nas, nie mógł nas przecież poznać od tyłu, najwyraźniej szedł w tę samą stronę. A może (jestem próżna) to było coś, co zdarzyło się, kiedy Caroline zachowywała się jak głupia kobieta o postępowych poglądach – po prostu spojrzenie, jakie wymieniliśmy. Wiedziałam, że on jest poirytowany, a on wiedział, że ja czuję się zażenowana. Więc obszedł z nami Kenwood, a Caroline się popisywała.

Dopóki nie powiedziała przed Rembrandtem: – Czy nie wydaje się wam, że on jakby troszeczkę się znudził w połowie malowania; chodzi mi o to, że nigdy nie odczuwam tego, co odczuwać powinnam. Rozumiecie? – I roześmiała się do niego tym swoim głupim śmiechem typu słuchaj-mnie-uważnie.

Patrzyłam na niego, twarz mu na sekundę skamieniała, jakby stracił panowanie nad sobą. Nie było to przeznaczone dla moich oczu, ta minimalna zmiana w ułożeniu ust. Obrzucił ją spojrzeniem. Niemal rozbawionym. Ale jego głos nie zdradzał rozbawienia, był lodowato chłodny.

– Już muszę iść. Do widzenia.

„Do widzenia” przeznaczone było dla mnie. Przekreślało mnie. A może mówiło: „Więc możesz z czymś takim wytrzymać!” Zdaje mi się (kiedy patrzę na to z perspektywy), że jakby dawał mi nauczkę. Miałam wybierać. Jego model albo model Caroline.

I już go nie było, nie zdążyliśmy nawet odpowiedzieć; Caroline patrzyła w ślad za nim, wzruszała ramionami, spoglądała na mnie i mówiła: „No, coś takiego”.

Obserwowałam, jak wychodził z rękami w kieszeniach. Zarumieniłam się. Caroline była wściekła, usiłowała się z tego wyplątać („On zawsze się tak zachowuje, robi to naumyślnie”). Całą drogę do domu wyśmiewała się z jego obrazów („taki podrzędny Paul Nash” – co było aż humorystycznie niesprawiedliwe). A ja czułam się równocześnie wściekła na nią i pełna współczucia. Nie mogłam rozmawiać. Nie mogłam jej powiedzieć, że przykro mi ze względu na nią, ale nie mogłam też otwarcie przyznać mu racji.

Caroline i M. na spółkę mają wszystkie te cechy, których nienawidzę u innych kobiet. Przez kilka następnych dni byłam niemal zdesperowana na myśl o tym, ile zgniłej, pretensjonalnej krwi musi płynąć w moich żyłach. Oczywiście, czasami lubię Caroline. Jej żywotność. Entuzjazm. Dobroć. A nawet całą tę pretensjonalność, która wydaje się tak straszliwa w zestawieniu z czymś autentycznym – ale jednak lepsza niż nic. Bardzo mi dawniej imponowała, kiedy zatrzymywała się u nas. Uwielbiałam przyjeżdżać do niej. Poparła mnie w czasie wielkiej wojny rodzinnej na temat mojej przyszłości. Wszystko to trwało, dopóki u niej nie zamieszkałam i nie przejrzałam jej na wylot. Zanim nie dorosłam. (Jestem teraz Dojrzałą Młodą Kobieta.)

Tydzień później wpadłam w ostatniej chwili do windy na stacji metra, w której on był jedynym pasażerem; trochę zbyt pogodnie powiedziałam „dzień dobry”. Znowu się zarumieniłam. On jedynie skinął głową, jakby nie chciał zaczynać rozmowy, a już na dole (powodowana próżnością nie mogłam znieść, by łączono mnie z Caroline) powiedziałam, że przykro mi z powodu tego, co moja ciotka mówiła w Kenwood.

– Ona mnie zawsze irytuje – oznajmił. Wiedziałam, że nie chciał o tym mówić. Kiedy szliśmy na peron, dorzuciłam: – Ona się boi sprawiać wrażenie kogoś, kto nie nadąża za współczesnością.

– A pani? – obdarzył mnie przy tym jednym ze swoich oziębłych uśmiezków. Pomyślałam, że nie życzy sobie, żebym rozgrywała „nas” przeciwko „niej”.

Minęliśmy plakat filmowy i powiedział: – To dobry film. Widziała go pani? Niech pani zobaczy.

Kiedy wyszliśmy na peron, powiedział: – Proszę do mnie przyjść któregoś dnia. Ale niech pani zostawi w domu swoją cholerną ciotkę. – I uśmiechnął się. Zaraźliwym, psotnym uśmieszkiem. Wcale nie licującym z jego wiekiem. I odszedł. Taki samowystarczalny. Taki obojętny.

Więc poszłam do niego. Pewnego sobotniego poranka. Był zaskoczony. Musiałam przez dwadzieścia minut w milczeniu słuchać dziwacznej indyjskiej muzyki. Wrócił prosto na tapczan i położył się z zamkniętymi oczami, jakbym w ogóle nie powinna była tu przyjść, a i ja czułam, że nigdy nie powinnam była tego zrobić (zwłaszcza nic nie mówiąc C.), uważałam też, że on lekko przesadza, że to poza. Nie potrafiłam się rozluźnić. Wreszcie zapytał o mnie, obcesowo, jakbym była natrętnym nudziarzem. A ja jak głupia usiłowałam mu zaimponować. Robiąc właśnie to, czego nie powinnam. Popisując się. Myślałam cały czas: on naprawdę wcale nie chciał, żebym go odwiedziła.

Niespodziewanie przerwał mi, oprowadził mnie po pokoju i kazał przyjrzeć się przedmiotom.

Jego pracownia. Najpiękniejsze pomieszczenie. Zawsze czuję się tu szczęśliwa. Wszystko harmonijne. Wszystko wyrażające tylko jego (to nie zamierzone, on nie znosi „dekoracji wnętrz” urządzeń i „Vogue’a”). Ale to wszystko on. Toinette, pełna głupich kobiecych przesądów i surowego dobrego smaku rodem z „House and Garden”, nazywa to „zatłoczeniem”. Miałam ochotę ją zwymyślać. Świadomość, że ktoś żyje tu przez całe życie, pracuje, myśli, jest tym.

I atmosfera się rozluźniła. Przestałam się wymądrzać.

Pokazał mi, jak osiąga swój efekt „mgiełki”. Gwasz chiński. Za pomocą tych wszystkich malutkich własnoręcznie wykonanych narzędzi.

Przyszli jacyś jego przyjaciele, Barber i Frances Cruikshank. Powiedział: „To jest Miranda Grey, nie znoszę jej ciotki”, wszystko jednym tchem, oni się śmiali, to jego starzy przyjaciele. Miałam zamiar wyjść. Ale szli na spacer, wstąpili po niego i chcieli, żebym z nimi poszła. Barber Cruikshank chciał, rzucał mi uwodzicielskie spojrzenia.

– A jeśli zobaczy nas ciotka? – spytał G.P. – Barber ma najgorszą reputację w całej Kornwalii.

– Ona jest moją ciotką – powiedziałam. – Nie moją dueną. Więc poszliśmy wszyscy do pubu w Yale of Health, a potem do

Kenwood. Frances opowiedziała mi o tym, jak żyje w Kornwalii, i po raz

pierwszy w życiu miałam wrażenie, że jestem w towarzystwie przedstawicieli starszego pokolenia, których rozumiem, w towarzystwie prawdziwych ludzi. A równocześnie nie mogłam nie zauważyć, że z Barbera jest lekki blagier. Te wszystkie złośliwie zabawne historyjki. G.P. sterował rozmową w stronę poważniejszych spraw. Nie chodzi mi o to, że nie był równie wesoły. Miał tylko ten dziwny dar trafiania od razu w sedno sprawy.

W pewnym momencie, kiedy poszedł przynieść drinki, Barber zapytał, od jak dawna znam G.P. A potem powiedział, że wiele dałby za to, żeby poznać kogoś takiego jak G.P. w czasach, kiedy był studentem. A cicha i spokojna Frances dodała: „Uważamy, że on jest najwspanialszym człowiekiem. Jednym z nielicznych”.

Nie sprecyzowała, o jakich nielicznych jej chodzi, ale doskonale zrozumiałam, co miała na myśli.

W Kenwood G.P. rozdzielił nas. Zaprowadził mnie prosto do Rembrandta i mówił o nim, nie ścisząc głosu, a ja byłam na tyle głupia, że czułam zażenowanie, ponieważ przypatrywali nam się inni ludzie. Myślałam, że musimy wyglądać jak ojciec i córka.

Opowiedział mi wszystko o powstaniu obrazu, o tym, co Rembrandt wtedy odczuwał, co usiłował powiedzieć i jak to powiedział. Jakbym nie miała najmniejszego pojęcia o sztuce. Jakby usiłował wykorzenić wszelkie fałszywe idee, które najprawdopodobniej żywiłam.

Wyszliśmy na zewnątrz, żeby poczekać na tamtych. Powiedział: – Ten obraz bardzo mnie porusza. – I popatrzył na mnie, jakby się spodziewał, że się roześmieję. Miał jeden z tych swoich napadów nieśmiałości.

– Teraz porusza także i mnie – odparłam.

Ale on tylko się uśmiechnął. – To niemożliwe. Jeszcze przez długie lata.

– Skąd pan wie?

– Przypuszczam, że są ludzie, których porusza po prostu wielka sztuka. Ale nigdy nie spotkałem takiego malarza. Sam nie jestem taki. Na widok tego obrazu myślę, że to najwyższe mistrzostwo, które starałem się osiągnąć przez całe życie. I nigdy mi się to nie uda. Pani jest młoda. Może pani zrozumieć. Ale nie może pani jeszcze tego odczuwać.

– Wydaje mi się, że mogę.

– A więc to niedobrze – powiedział. – Powinna pani być ślepa na niepowodzenie. W pani wieku. Proszę nie próbować być w naszym wieku, bo będę

panią pogardzał.

I dodał: – Jest pani jak dziecko, które usiłuje zajrzeć przez mur wysokości sześciu stóp.

To było pierwsze spotkanie. Nienawidził mnie za to, że go pociągałam. Oblicze profesora Higginsa.

Potem, kiedy już pokazali się idący w naszą stronę Cruikshankowie, powiedział: – Barber to kobieciarz. Jeśli panią poprosi o spotkanie, proszę mu odmówić.

Obrzuciłam go zdumionym spojrzeniem. Uśmiechając się do nich, dorzucił: – Nie chodzi mi o panią, nie mogę znieść myśli, że Frances spotka przykrość.

Kiedy wróciliśmy na Hampstead, rozstałam się z nimi i poszłam do domu. W drodze powrotnej uświadomiłam sobie, że G.P postarał się, abym ani na chwilę nie została sama z Barberem Cruikshankiem. Oni (Barber) poprosili, żebym ich odwiedziła, jeśli kiedykolwiek będę w Kornwalii.

G.P. powiedział: – Do zobaczenia któregoś dnia. – Jakby wcale mu na tym nie zależało.

Powiedziałam Caroline, że spotkałam go przypadkiem. Usprawiedliwił się (kłamstwo). Jeżeli wolałaby, żebym się z nim nie widywała, to nie będę. Ale uważam jego towarzystwo za inspirujące, był pełen pomysłów, potrzebne mi było widywanie takich ludzi. To brzydko z mojej strony, wiedziałam, że ona postąpi przyzwoicie, jeśli przedstawię to w taki sposób. Jestem panią swego losu i tak dalej.

Ona na to: – Kochanie, wiesz, że jestem ostatnią osobą, którą można posądzać o pruderię, ale jego reputacja... musi być ogień, skoro jest tyle dymu.

– Słyszałam o tym. Potrafię się pilnować.

To jej wina. Nie powinna się upierać, żeby nazywać ją Caroline i traktować pod wieloma względami jak małą dziewczynkę. Nie mogłam szanować jej jako ciotki. Jako doradcy.

Wszystko się zmienia. Nie przestaję o nim myśleć: o tym, co powiedział i co ja powiedziałam, i jak żadne z nas naprawdę nie rozumiało, o co chodziło temu drugiemu. Nie, on chyba rozumiał. Ocenia możliwości o tyle szybciej ode mnie. Tutaj dorastam tak szybko. Jak grzyb. A może straciłam wyczucie równowagi? Może to wszystko tylko sen? Nakłuwam własne ciało ołówkiem. Ale to może też jest sen.

Gdyby teraz stanął w drzwiach, padłabym mu w ramiona. Chciałabym, żeby przez całe tygodnie trzymał mnie za rękę.

Wydaje mi się, że teraz mogłabym kochać go także w inny sposób, w jego sposób.

23 października

Mam okres. Jestem straszna dla K. Żadnej litości. Na domiar wszystkiego jeszcze ten brak prywatności. Zmusiłam go, żeby dziś rano pozwolił mi pospacerować po zewnętrznej piwnicy. Zdawało mi się, że słyszę pracujący traktor. I wróbla. Wróble tak bardzo się kojarzą z dziennym światłem. Samolot. Rozpłakałam się.

Wszystkie moje emocje są tak pogmatwane jak u przestraszonych małych w klatce. Ostatniej nocy miałam wrażenie, że wariuję, więc pisałam, pisałam, pisałam, przenosząc się tym samym w inny świat. Żeby uciec chociaż duchem, jeśli nie w rzeczywistości. Żeby udowodnić, że tamten świat jeszcze istnieje.

Robiłam szkice do obrazu, który namaluję, kiedy będę wolna. Widok ogrodu przez drzwi. Wyrażone słowami to brzmi głupio. Ale ja widzę to jako coś specjalnego, czerń, umbra, ciemna szarość, tajemnicze geometryczne formy w cieniu prowadzące do odległego, miękko-biało-miodowego kwadratu wypełnionych światłem drzwi. Rodzaj horyzontalnego szybu.

Odesłałam go zaraz po kolacji i kończyłam Emmę. Ja jestem Emmą Woodhouse. Współczuję razem z nią, rozumiem ją, odczuwam jak ona. Odznaczam się innym rodzajem snobizmu, ale rozumiem jej snobizm. Jej pedanterię. Podziwiam ją. Wiem, że postępuje źle, usiłuje organizować życie innych, nie dostrzega, że pan Knightley to mężczyzna jeden na milion. Zachowuje się głupio, a jednak wiemy, że w zasadzie jest inteligentna, żywa. Twórcza, zdecydowanie nastawiona na najwyższe standardy. Prawdziwa istota ludzka. Jej błędy to moje błędy, muszę z jej cnót uczynić swoje cnoty.

Myślałam przez cały dzień – wieczorem napiszę jeszcze coś o G.P.

Tego dnia zabrałam niektóre swoje prace, żeby je obejrzał. Zabrałam to, co moim zdaniem powinno mu się podobać (nie takie zręczne-sprytne rzeczy, jak perspektywa Ladymont).

Przeglądając je, nie odezwał się ani słowem. Nawet kiedy patrzył na te (jak Carmen w Ivinghoe), które uważam za najlepsze (czy wtedy tak uważałam). W końcu powiedział: – Nie są szczególnie dobre. Moim zdaniem. Ale troszkę lepsze, niż się spodziewałem.

Czułam się tak, jakby uderzył mnie pięścią, i nie potrafiłam tego ukryć. A on ciągnął dalej: – To nie miałoby najmniejszego sensu, gdybym zwracał choćby najmniejszą uwagę na twoje uczucia. Widzę, że dobrze rysujesz, masz trochę czarodziejskie wyczucie koloru i tak dalej, wrażliwość. Takie rzeczy. Ale gdybyś tego nie miała, nie byłabyś w szkole Slade’a.

Chciałam, żeby przestał, ale on mówił dalej. – Nie ulega wątpliwości, że widziałas wiele dobrych obrazów. Starasz się nie naśladować zbyt wyraźnie. Ale ten portret twojej siostry, to na miłą jedzie Kokoszką. – Musiał zauważyć, że się zarumieniłam, bo zapytał: – Czy to rozwiewa twoje złudzenia? Bo o to chodziło.

O mało nie umarłam. Wiedziałam, że ma rację, byłoby śmieszne, gdyby nie powiedział mi dokładnie tego, co myśli. Gdyby zachował się jak dobry wujek. Ale to mnie zabolalo. Zabolalo mnie jak mocny policzek. Nie miałam wątpliwości, że spodobała mu się niektóre moje prace. Sytuację pogarszał jeszcze jego wyraźny chłód. Wydawał się tak zupełnie poważny, kliniczny niemal! Bez cienia humoru, czułości czy nawet sarkazmu. Nagle był znacznie, znacznie ode mnie starszy.

Powiedział: – Trzeba się nauczyć, że malować dobrze – w sensie akademickim i technicznym tego terminu – to sprawa najważniejsza. Tę zdolność posiadasz. Tak jak tysiące innych ludzi. Ale tego, czego szukałem, tutaj nie ma. Po prostu nie istnieje.

Potem dodał: – Wiem, że to boli. Prawdę mówiąc, o mało nie poprosiłem cię, żebyś w ogóle nie przynosiła swoich prac. Ale potem pomyślałem... masz w sobie pewien rodzaj zapału. Przetrzymasz.

– Wiedziałaś, że nie będą dobre – powiedziałam.

– Mniej więcej tego się spodziewałem. Może zapomnimy, że w ogóle je przyniosłaś. – Wiedziałam jednak, że rzuca mi wyzwanie.

Poprosiłam: – Powiedz mi dokładnie, co tu jest złe. – I podałam mu jedną ze scenek ulicznych.

Powiedział: – To graficznie dobrze skomponowane, nie mogę podać ci szczegółów. Ale to nie jest żywa sztuka. To nie jest część twojego ciała. Nie spodziewam się, że potrafisz to zrozumieć, bo jesteś zbyt młoda. Tego nie można się nauczyć. Pewnego dnia to albo się pojawi, albo nie. W szkole Slade’a uczą cię, jak wyrazić osobowość – osobowość w ogólności. Jednak bez względu na to, jak dobrze opanujesz przekładanie osobowości na kreskę lub kolor, nie ma to szans, jeśli twoja osobowość nie jest warta przełożenia. To sprawa szczęścia. Czysty przypadek.

Mówił w sposób urywany, potem zamilkł. Zapytałam: – Czy mam to podrzeć?

– a on powiedział: – Teraz zachowujesz się jak histeryczka.

– Muszę się tyle nauczyć – stwierdziłam.

Podniósł się i powiedział: – Myślę, że coś w tobie jest. Nie wiem. Kobiety mają to bardzo rzadko. Większość kobiet pragnie osiągnąć pewien stopień perfekcji, mają ten rodzaj umysłu, to ogranicza się do zręczności, wyczucia, dobrego smaku i tak dalej. Nie są w stanie zrozumieć, że jeśli pragniesz dotrzeć do najgłębszych granic siebie, to rzeczywista forma, jaką przybierze twoja sztuka, nie wydaje ci się ważna. Nie ma znaczenia, czy posługuje się słowami, farbą czy dźwiękiem. Wszystko jedno.

– Mów dalej – poprosiłam.

– To tak jak z głosem. Godzisz się na swój głos i posługujesz się nim, bo nie masz wyboru. Ale liczy się to, co mówisz. To właśnie odróżnia całą wielką sztukę od wszelkiej innej. Znakomitych technicznie bubków jest pełno w każdej epoce. Zwłaszcza w tej wielkiej erze powszechnej edukacji.

Siedział na swoim tapczanie i mówił do moich pleców. Musiałam wyglądać przez okno. Myślałam, że się rozpłaczę.

– Krytycy rozwodzą się nad osiągnięciami technicznymi – kontynuował. – Ten rodzaj żargonu absolutnie nic nie znaczy. Sztuka jest okrutna. Słowa pozwalają na wszystko. Ale obraz jest jak okno prowadzące wprost do najskrytszej tajni twojego serca. A tutaj wybudowałam jedynie mnóstwo małych okienek do serduszka pełnego obrazów innych modnych malarzy. – Podszedł do mnie i wziął jeden z abstrakcyjnych obrazów, który niedawno namalowałam w domu. – Tutaj mówisz coś o Nicholsonie albo Pasmorze. Nie o sobie. Posługujesz się aparatem fotograficznym. Malowanie czyimś stylem jest podobnie jak trompel 'oeil rodzajem fotografa na manowcach. Tutaj po prostu fotografujesz. To wszystko.

– Nigdy się nie nauczę – powiedziałam.

– Chodzi o to, żeby się oduczyć. Już prawie skończyłaś naukę. Reszta to szczęście. Nie, trochę więcej niż szczęście. Odwaga. Cierpliwość.

Rozmawialiśmy długie godziny. To znaczy, on mówił, a ja słuchałam.

Przypominało to wiatr i światło słoneczne. Rozwiał wszystkie pajęczyny. Na wszystko rzucił blask. Teraz, kiedy zapisuję to, co powiedział, wydaje się to tak oczywiste. Ale rzecz polega na sposobie, w jaki się wypowiada. Jest jedyną znaną mi osobą, która zawsze zdaje się mówić to, co naprawdę myśli, kiedy mówi o sztuce. Gdyby pewnego dnia okazało się, że tak nie jest, odczułabym to jako świętokradztwo.

Jest jeszcze sprawa tego, że on jest dobrym malarzem i wiem, że pewnego dnia

stanie się bardzo sławny, co wpływa na mnie bardziej niż powinno. Nie tylko to, czym jest, ale i to, czym będzie. Pamiętam, że później powiedział (znowu profesor Higgins): – Zresztą i tak nie masz najmniejszej szansy. Jesteś zbyt ładna. Twoim przeznaczeniem jest raczej sztuka miłości niż miłość sztuki.

– Idę do parku Hamstead Heath, żeby się utopić – powiedziałam.

– Nie powinnaś wychodzić za mąż. Już raczej mieć tragiczny romans. Wyciąć sobie jajniki. Coś takiego. – I tu obrzucił mnie jednym z tych swoich szatańskich spojrzeń z kącików oczu. Ale w spojrzeniu tym było także coś z przestraszonego małego chłopca. Jakby powiedział coś, czego, jak sądził, nie powinien był powiedzieć, tylko po to, żeby zobaczyć moją reakcję. I nagle wydał się dużo ode mnie młodszy.

Tak często wydaje się młody, nie potrafię tego wytłumaczyć. Może dlatego, że zmusił mnie do przyjrzenia się sobie i zobaczenia, że wierzę w to, co stare i sztywne. Ludzie, którzy nas uczą, wpychają w nas stare idee, stare poglądy, stare sposoby. Jakby zasypywali rośliny kolejnymi warstwami starej ziemi; nic dziwnego, że biedactwa tak rzadko przebijają się do góry świeże i zielone.

Ale G.P. to się udało. Przez długi czas nie rozpoznawałam tej jego cechy, świeżej zieloności pędu. Ale teraz rozpoznaję.

24 października

Kolejny zły dzień. Postarałam się, żeby był zły również dla Kalibana. Czasami irytuje mnie tak bardzo, że mam ochotę na niego wrzeszczeć. Zawsze taki godny szacunku, spodnie zawsze z kantem, koszule zawsze czyste. Naprawdę myślę, że czułby się znacznie lepiej w krochmalonych kołnierzykach. Tak absolutnie niewspółczesny. I ciągle stoi. Jest najbardziej zapalonym staczem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. I zawsze na twarzy ta mina typu bardzo-mi-przykro, co – zaczynam sobie zdawać sprawę – ma wyrażać zadowolenie. Czystą radość z powodu tego, że ma mnie w swojej mocy, że każdego dnia może mi się przyglądać. Nie obchodzi go, co mówię, co czuję – moje uczucia nie mają dla niego znaczenia – liczy się tylko fakt, że mnie ma.

Mogłabym przez cały długi dzień wykrzykiwać wyzwiska pod jego adresem, nie miałby nic przeciwko temu. Chodzi mu tylko o moją osobę, mój wygląd, moją powierzchowność, nie o moje emocje, mój umysł czy duszę, czy nawet o moje ciało. O nic ludzkiego.

Jest kolekcjonerem. To przyczyna jego wewnętrznej martwoty. Najbardziej irytuje mnie jego sposób mówienia. Posługuje się wyłącznie kliszami, i to tak staroświeckimi, jakby spędził calusieńkie życie w towarzystwie ludzi po pięćdziesiątce. Dzisiaj przy obiedzie powiedział: „Zasięgnąłem informacji w związku z tymi płytami, na które przyjęli zamówienie”. A ja na to: „Dlaczego nie powiesz po prostu: pytałem o te płyty, które zamówiłaś?” On na to: „Wiem, że moja angielszczyzna nie jest poprawna, ale staram się”. Nie protestowałam. To go najlepiej określa. Musi być poprawny, musi robić to, co uchodziło za „odpowiednie” czy „przyjemne”, zanim jeszcze oboje przyszliśmy na świat.

Wiem, że to żalosne, wiem, że jest ofiarą nieszczęsnego nonkonformistycznego świata przedmieścia i nieszczęsnej klasy społecznej, straszliwej, nieśmiałej, naśladowczej klasy z pogranicza. Zawsze myślałam, że najgorsza jest klasa, którą reprezentują M. i T. Golf, dżin, brydż, samochody, prawidłowy akcent, odpowiednie pieniądze, ukończenie odpowiedniej szkoły i nienawiść do sztuki (teatr to pantomima w Boże Narodzenie w miejskim teatrze, a Picasso i Bartok to nieprzyzwoite słowa, chyba że pragnie się rozbawić towarzystwo). Nie ulega wątpliwości, że to haniebne. Ale Anglia Kalibana jest jeszcze bardziej haniebna.

To naprawdę przyprawia mnie o mdłości, cała ta ślepotą, martwota, staroświeckość, sztywność i, co nie ulega wątpliwości, zwykła zawistna złośliwość wielkiej części Anglii.

G.P. mówi o paryskim szczurze. O niemożności dłuższego przebywania w Anglii. Doskonale go rozumiem. To uczucie, że Anglia tłamsi, gniecie, kruszy jak walec parowy wszystko, co świeże, zielone i oryginalne. I to jest przyczyną tragicznych niepowodzeń Matthew Smitha czy Augustusa Johna – zachowali się jak szczury paryskie i żyli już odtąd zawsze w cieniu Gauguina, Matisse’a lub kogoś innego – tak jak powiedział G.P., że żył kiedyś w cieniu Braque’a i ocknął się nagle pewnego ranka ze świadomością, że wszystko, co robił przez ostatnie pięć lat, było kłamstwem, ponieważ opierało się na spojrzeniu i wrażliwości Braque’a, nie jego własnej.

Fotografia.

To wszystko dlatego, że Anglia daje tak mało nadziei, że trzeba się zwrócić do Paryża czy gdziekolwiek indziej za granicą. Należy się jednak zmusić do zaakceptowania prawdy – że Paryż to zawsze ucieczka w dół (słowa G.P.) – co nie oznacza występowania przeciwko Paryżowi, ale trzeba zmierzyć się z Anglią: i z apatią środowiska (to wszystko określenia i pomysły G.P.), i z wielkim ciężarem kalibanizmu

Anglii.

Prawdziwi święci to ludzie tacy, jak Moore i Sutherland, którzy walczą o to, żeby być angielskimi artystami w Anglii. Jak Constable i Palmer, i Blake.

Któregoś dnia zapytałam Kalibana – słuchaliśmy wtedy jazzu – „a ty w ogóle coś z tego łapiesz?”, a on odpowiedział: „motyle”. „Jesteś tak tępy, że aż trudno w to uwierzyć”, powiedziałam.

„Och, o to ci chodzi”, odparł.

Jak deszcz, nie kończący się, równy deszcz. Zabijający kolory.

Zapomniałam zapisać zły sen, jaki miałam ostatniej nocy. Wydaje się, że zawsze mam złe sny nad ranem, to chyba wiąże się z duchotą pokoju, w którym jestem zamknięta przez całą noc. (Co za ulga, kiedy on przychodzi, drzwi są otwarte i wiatrak włączony. Prosiłam, żeby od razu pozwolił mi wyjść i odetchnąć powietrzem piwnicy, ale zawsze każe mi czekać, dopóki nie zjem śniadania. Nie nalegam, bo boję się, że kiedy wypuści mnie od razu, może nie pozwolić na zwykłe pół godzinki przed południem.)

Sen miałam następujący. Namalowałam obraz. Nie mogę sobie przypomnieć jaki, ale bardzo mnie usatysfakcjonował. To było w domu. Wyszłam, i nagle ogarnęła mnie świadomość, że coś jest nie tak. Musiałam wrócić. Kiedy wbiegłam do swojego pokoju, przy stoliku siedziała M. (Minny stała pod ścianą, miała wystraszoną minę, chyba był tam też G.P. i z jakichś dziwnych powodów także inni ludzie), a obraz leżał w strzępach. Wielkie, długie pasy płótna. M. dźgała powierzchnię stołu swoim sekatorem i widziałam, że jest sina z wściekłości. A ja czułam to samo. Najdzikszą wściekłość i nienawiść.

Wtedy się obudziłam. Nigdy nie byłam tak wściekła na M. – nawet wtedy, gdy była pijana i uderzyła mnie w twarz w obecności tego straszego Petera Catesby'ego. Pamiętam, jak stałam tam po tym policzku, który mi wymierzyła, jak czułam wstyd, odrazę, szok, wszystko... tylko nie litość dla niej. A potem poszłam i usiadłam przy jej łóżku, trzymałam ją za rękę, pozwoliłam jej się wypłakać, wybaczyłam i broniłam przed Tatą i Minny. Ale ten sen wydawał się tak rzeczywisty, tak przerażająco naturalny.

Pogodziłam się z faktem, że próbowała przeszkodzić, bym została artystką. Rodzice nigdy nie rozumieli swoich dzieci (nie, ja swoje zrozumieć). Wiem, że miałam być synem i chirurgiem, którym nigdy nie potrafił zostać biedny T. Teraz Carmen to zrealizuje. Wybaczyłam im to, że z powodu swoich ambicji zwalczali moje

ambicje. Zwyciężyłam, więc muszę wybaczyć.

Ale ta nienawiść w moim śnie. Była tak rzeczywista.

Nie wiem, jak ją odpędzić. Mogłabym opowiedzieć to G.P. Ale pozostaje mi jedynie skrobanie ołówkiem w tym notatniku.

Nikt, kto nie przebywał w lochu, nie potrafi zrozumieć, jak absolutna cisza panuje w podziemiu. Żadnego odgłosu poza tymi, które ja wywołuję. Czuję więc bliskość śmierci. Zakopana pod ziemią. Żadnych hałasów z zewnątrz, które pomogłyby mi czuć, że żyję. Często nastawiam płytę. Nie po to, żeby słuchać muzyki, ale żeby słyszeć cokolwiek.

Bardzo często nawiedzają mnie dziwne złudzenia. Mam wrażenie, że ogłuchłam. Żeby się przekonać, czy to prawda, muszę wydawać jakieś odgłosy. Chrząkam, żeby sobie udowodnić, że wszystko jest całkiem normalnie. Tak jak mała Japoneczka, którą znaleziono w ruinach Hiroszimy. Wokół śmierć, a ona śpiewała swojej lalce.

25 października

Muszę, muszę, muszę uciec.

Dzisiaj rozmyślałam nad tym wiele godzin. Szalone pomysły. On jest tak sprytny, że wprost nie do wiary. Niezawodny.

Wygląda to tak, jakbym nigdy nie próbowała ucieczki. Ale nie mogę podejmować próby codziennie, na tym polega problem. Muszę to rozłożyć w czasie. A każdy dzień tutaj to jak tydzień na wolności.

Przemocą nie da rady. To musi być spryt.

Nie potrafię zastosować przemocy twarzą w twarz. Sam ten pomysł sprawia, że uginają się pode mną kolana. Pamiętam, jak po wizycie w Whitechapel spacerowaliśmy z Donaldem gdzieś po East Endzie. Zobaczyliśmy grupkę cwaniaczków otaczających dwóch

Hindusów w średnim wieku. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, zrobiło mi się niedobrze. Tamci pokrzykiwali, grozili, zmusili Hindusów do zejścia z chodnika na jezdnię. Donald powiedział: „Cóż można na to poradzić”, i obydwójce udawaliśmy, że się tym nie przejmujemy, staraliśmy się jak najszybciej stamtąd odejść. Ale to było straszne, ta ich przemoc i nasz strach przed przemocą. Gdyby teraz przyszedł i na kolanach podawał mi pogrzebacz, nie potrafiłabym go uderzyć.

To nie ma sensu. Przez ostatnie pół godziny usiłowałam zasnąć, ale mi się nie udało. Pisanie tutaj to rodzaj narkotyku. To jedyna rzecz, na którą czekam z niecierpliwością. Dziś po południu przeczytałam to, co napisałam przedwczoraj o G.P. Wydawało się bardzo plastyczne. Wiem, że tak mi się wydaje, ponieważ wypełniam własną wyobraźnię to, czego ktoś inny by nie zrozumiał. To próżność. Ale to, że mogę przywołać swoją przeszłość, jest czymś w rodzaju działań magicznych: nie mogę żyć w tej teraźniejszości. To groziłoby szaleństwem.

Przypomniałam sobie dziś, jak zabrałam do niego Piersa i Antoinette. Jego czarna strona. Nie, to ja byłam głupia, głupia. Przyjechali na Hampstead, na kawę, i mieliśmy iść do kina Everyman, ale kolejka była zbyt długa. Więc pozwoliłam im się namówić, żeby ich tam zaprowadzić.

To była próżność z mojej strony. Zbyt dużo o nim opowiadałam. Więc zaczęli robić aluzje, że pewno nie jestem z nim tak zaprzyjaźniona, skoro boję się ich do niego zaprowadzić. I dałam się namówić.

Już przy drzwiach widziałam, że nie jest zadowolony, ale zaprosił nas na górę. Och, to było straszne. Straszne. Piers zachowywał się z najbardziej odrażającą nonszalancją, a Antoinette niemal parodiowała samą siebie jako seks-kociak. A ja usiłowałam wszystkich wytłumaczyć przed innymi. G.P. był w wyjątkowo dziwnym nastroju. Wiedziałam, że potrafi zamknąć się w sobie, ale tym razem robił wszystko, żeby zachować się niegrzecznie. Mógł się przecież zorientować, że Piers po prostu usiłował pokryć w ten sposób własne poczucie niepewności.

Starali się wciągnąć go w rozmowę o jego twórczości, ale się nie dał. Zachowywał się szokująco. Czteroliterowe wyrazy, najbardziej cyniczne uwagi o szkole im. Slade'a i o rozmaitych artystach. Wiedziałam, że tak nie myśli naprawdę. Bez wątplenia udało mu się zgorszyć mnie i Piersa, ale oczywiście Antoinette nie dała się prześcignąć. Cała w sztucznych uśmiechach, trzepotała rzęsami i używała jeszcze brzydszych słów. Więc zmienił taktykę. Przerzywał nam brutalnie za każdym razem, kiedy któreś z nas usiłowało się odezwać (mnie też).

I wtedy zrobiłam coś jeszcze głupszego niż sam pomysł, by do niego przyjść. Nastąpiła cisza i on najwyraźniej myślał, że sobie pójdziemy. Ale ja wpadłam na idiotyczny pomysł, wydało mi się, że dostrzegłam w oczach Piersa i Antoinette rozbawienie. Nie miałam wątpliwości, z czego wynikało: doszli do wniosku, że nie znałam go tak dobrze, jak twierdziłam. Musiałam więc im udowodnić, że potrafię sobie z nim poradzić.

Zapytałam G.P., czy możemy nastawić płytę.

Przez moment wydawało się, że odmówi, ale w końcu powiedział: „Dlaczego nie? Posłuchajmy, jak ktoś coś mówi. Dla odmiany”. Nie pozostawił nam żadnego wyboru, po prostu podszedł do adapteru i nastawił płytę.

Jak zwykle położył się na tapczanie i zamknął oczy, a Pierś i Antoinette najwyraźniej uznali to za pozę.

Ten dziwny, cienki, trylujący dźwięk w niezręcznej, ciężkiej atmosferze, do której zagęszczenia przyczyniała się także i owa muzyka. Pierś zaczął się głupkowato uśmiechać, a Antoinette dostała ataku nie tyle chichotu, bo ona nie chichocze, jest na to zbyt kocia, ile czegoś, co jest w jej wydaniu odpowiednikiem chichotu, ja się uśmiechnęłam. Przyznaję się do tego. Pierś podłubał sobie w uchu małym palcem, a potem oparł się na łokciu, wspierając czoło na rozłożonych palcach dłoni – przy każdej wibracji instrumentu (nie wiedziałam wówczas, jaki to instrument) potrząsał głową. Antoinette

o mało się nie zakrztusiła. To było straszne. Wiedziałam, że on to słyszy.

Słyszał. Zobaczył, jak Pierś ponownie przeczyszczają ucho. A Pierś zorientował się, że jest obserwowany, i przybrał minę typu proszę-na-nas-nie-zwracać-uwagi. G.P. poderwał się i wyłączył adapter. Zapytał: – Nie podoba się panu? – A Pierś powiedział: – A czy musi mi się podobać?

– Pierś, to nie było zabawne – powiedziałam.

Pierś na to: – Przecież nie hałasowałem. Czy to musiało nam się podobać?

– Wynoście się – zarządził G.P.

Antoinette powiedziała: – Obawiam się, że zawsze myślę o Beechamie. Wicie? Dwa szkielety kopulujące na blaszanym dachu.

G.P. oznajmił (jego twarz wyglądała przerażająco, czasami potrafi przybierać diaboliczny wygląd): – Po pierwsze, zachwycony jestem, że podziwia pani Beechama. Napuszony, kretyński grajek, który sprzeciwiał się wszelkim twórczym tendencjom w sztuce swojej epoki. A po drugie, jeśli nie odróżnia pani klawesynu, to niech Bóg ma panią w swojej opiece. Po trzecie (do Piersa) myślę, że jest pan najbardziej zadowolonym z siebie bęcwałem, jakiego spotkałem od lat, a ty (do mnie) – czy to są twoi przyjaciele?

Stałam tam i nie mogłam nic powiedzieć; rozwścieczył mnie, wszyscy mnie rozwścieczyli, zresztą byłam znacznie bardziej zażenowana niż wściekła.

Pierś wzruszył ramionami, ta kretynka Antoinette wydawała się zdumiona, ale

i lekko rozbawiona, a ja byłam purpurowa. Jeszcze teraz się rumienię, kiedy o tym myślę (a także o tym, co zdarzyło się później – jak on mógł?)

– Nie ma co robić problemu – powiedział Pierś. – To tylko płyta.

Pewnie był zły, musiał sobie zdawać sprawę, że to było głupie odezwanie.

– Myśli pan, że to tylko płyta – powiedział G.P. – Tak? To tylko płyta! Czy jest pan taki jak cioteczka tej małej idiotki, uważa

pan, że Rembrandt odrobineczkę się nudził, kiedy malował? Czy myśli pan, że Bach stroił miny i chichotał, kiedy to pisał? Tak pan myśli?

Pierś wyglądał, jakby uszło z niego powietrze, robił wrażenie niemal przestraszonego. – A więc, tak PAN MYŚLI? – krzyczał G. P.

Był niesamowity. Podwójnie. Był niesamowity, dlatego że sam to zaczął, postanowił zachowywać się w taki właśnie sposób. I był też wspaniale niesamowity, ponieważ namiętność to coś, czego się nigdy nie widzi. Był obnażony. Nagi. Drżący z wściekłości.

Pierś powiedział: – Nie jesteśmy tacy starzy jak pan. – To było żalosne, słabe. Pokazywało, kim naprawdę jest.

– Chryste – powiedział G.P. – Studenci sztuk pięknych. Studenci SZTUK PIĘKNYCH.

Nie mogę zapisać tego, co powiedział później. Nawet Antoinette wydawała się zszokowana. Odwróciliśmy się na pięcie i wyszliśmy. Kiedy byliśmy na schodach, zatrzasnęły się za nami drzwi pracowni. Na dole syknęłam na Piersa: „Niech cię diabli”, i wypchnęłam go na ulicę. „Kochanie, on cię zamorduje”, powiedziała Antoinette. Zamknęłam drzwi i poczekałam. Po chwili znowu usłyszałam muzykę. Weszłam po schodach i bardzo wolno otworzyłam drzwi. Nie wiem, może mnie usłyszał, ale nie podniósł wzroku, a ja usiadłam na stołku w pobliżu drzwi, dopóki płyta nie dobiegła końca.

Zapytał: – Czego chcesz, Mirando?

– Powiedzieć przepraszam, i usłyszeć, jak ty mówisz przepraszam.

Podszedł do okna i zaczął wyglądać.

– Wiem, że to było głupie. Mogę być mała, ale nie jestem idiotką.

– Starasz się – odparł (ale myślę, że nie chciał powiedzieć: „starasz się być idiotką”).

– Mogłeś nam powiedzieć, żebyśmy sobie poszli. Zrozumielibyśmy.

Nastąpiła cisza. Odwrócił się i spojrzał na mnie. Dodałam: – Bardzo mi

przykro.

– Idź do domu – powiedział. – Nie możemy pójść do łóżka. Kiedy wstałam, powiedział jeszcze: – Cieszę się, że wróciłaś. To przyzwicie z twojej strony. – A potem dorzucił: – Podobne do ciebie.

Zeszłam po schodach, a on zszedł za mną. – Nie chcę iść z tobą do łóżka. Mówię o sytuacji. Nie o nas. Rozumiesz?

– Oczywiście, rozumiem – odparłam.

I zeszłam na dół. Jak kobieta. Chciałam, żeby odczuł, że mnie zranił.

Kiedy otwierałam drzwi na dole, powiedział: – Daję sobie teraz. – Musiał się zorientować, że nie zrozumiałam, bo dodał: – Piję. Zadzwoń do ciebie.

I zadzwonił, zabrał mnie na koncert Rosjan grających Szostakowicza. I był słodki. Właśnie słodki. Mimo że nigdy nie przeprosił.

26 października

Nie wierzę mu. Kupił ten dom. Jeżeli pozwoli mi odejść, będzie musiał mi zaufać. Albo będzie musiał sprzedać dom i zniknąć, zanim pójde (będę mogła pójść) na policję. Obie sytuacje nie w jego stylu.

To zbyt przygnębiające. Muszę wierzyć, że dotrzyma słowa.

Wydaje na mnie mnóstwo pieniędzy. Już chyba dochodzi do dwustu funtów. Każda książka, każda płyta, każde ubranie. Ma wszystkie moje wymiary. Szkicuję to, co chcę, i mieszam kolory jako wskazówkę. Kupuje mi nawet całą bieliznę. Nie mogę nosić czarnych i brzoskwiniowych kreacji, które kupił poprzednio, więc powiedziałam, żeby kupił coś normalnego u Marksa i Spencera. Zapytał: „Czy mogę kupić wszystko od razu?” Oczywiście, robienie zakupów dla mnie musi być dla niego strasznie krępujące (jak sobie radzi w aptece?), więc pewno woli załatwić to za jednym podejściem. A swoją drogą, co oni sobie o nim myślą? Tuzin majtek, trzy koszulki, podkoszulki i staniki. Zapytałam go, co powiedzieli, kiedy to wszystko zamówił, a on się oblał rumieńcem.

„Oni chyba myślą, że jestem jakiś dziwny”, powiedział. Po raz pierwszy, odkąd tu jestem, naprawdę się uśmiełam.

Za każdym razem, kiedy coś mi kupuje, uważam to za dowód, że nie zamierza mnie zabić czy zrobić czegoś nieprzyjemnego.

Nie powinnam, ale lubię, kiedy w porze obiadu wraca stamtąd, gdzie zazwyczaj

jeździ. Zawsze przynosi paczki. Jakby permanentne Boże Narodzenie ze świętym Mikołajem, któremu nie trzeba dziękować. Czasami przynosi rzeczy, o które nie prosiłam. Zawsze przynosi kwiaty, co jest miłe. Czekoladki, ale sam zjada znacznie więcej ode mnie. I stale mnie pyta, co ma mi kupić.

Wiem, że jest jak Szatan pokazujący mi świat, który mógłby stać się moim udziałem. Więc mu się nie sprzedaję. Wydaje mnóstwo na drobiazgi, ale wiem, że chciałby usłyszeć prośbę o coś naprawdę dużego. Umiera z pragnienia, żeby zasłużyć na moją wdzięczność. Ale jej nie dostanie.

Dzisiaj przyszła mi do głowy straszna myśl: podejrzenia padną na G.P. Caroline z pewnością poda policji jego nazwisko. Biedny facet. Zachowa się sarkastycznie, co im się specjalnie nie spodoba.

Dzisiaj próbowałam go narysować. Dziwne. To całkiem beznadziejne. Rysunek wcale go nie przypominał.

Wiem, że jest niski, wyższy ode mnie tylko o cal lub dwa. (Zawsze marzyłam o wysokich mężczyznach. Głupota.) Łysieje i ma żydowski nos, choć nie jest Żydem (co nie znaczy, że robiłoby mi to jakąkolwiek różnicę). Ma zbyt szeroką twarz. Zniszczoną i zużytą, zniszczoną, zużytą i zbitą w rodzaj maski, toteż nigdy nie dowierzam jej aktualnemu wyrazowi. Dostrzegam rzeczy, które muszą chyba wydobywać się spod spodu, ale nigdy nie mam całkowitej pewności. Czasami przybiera na mój widok specjalnie oschły wyraz twarzy. Widzę, kiedy to się dzieje. Jednak nie wydaje się to nieuczciwe, po prostu pasuje do G.P. Życie to w pewnym sensie żart, głupotą jest traktowanie go zbyt serio. Bądź poważny w sprawach sztuki, ale żartuj trochę ze wszystkiego innego. Nie mów o dniu, w którym spadną bomby wodorowe, ale o dniu „wielkiego smażenia”. „Kiedy nastąpi wielki smażenie”. To jest chore, chore, jego sposób na zachowanie zdrowia.

Niski i krępy, z szeroką twarzą i haczykowatym nosem, trochę w typie Turka. Wcale nie wygląda na Anglika.

Mam to głupie pojęcie o angielskiej urodzie. Mężczyźni z reklam.

Mężczyźni z Ladymont.

27 października

Obejście drzwi tunelem to moja największa szansa. Czuję, że muszę wkrótce tego spróbować. Chyba wymyśliłam sposób, żeby go wysłać z domu. Dziś po południu

bardzo dokładnie obejrzałam drzwi. Są drewniane, oblicowane z tej strony blachą. Strasznie solidne. Nigdy nie uda mi się ich rozbić ani wyważyć. Zresztą on się postarał, żeby nie było ich ani czym rozbić, ani czym wyważyć.

Zaczęłam gromadzić trochę „narzędzi”. Szklanę, którą mogę stłuc. To będzie ostre. Widelec i dwie łyżeczki. Są aluminiowe, ale mogą się przydać. Najbardziej potrzebuję czegoś mocnego i ostrego do wyciągania cementu spomiędzy kamieni. Skoro uda mi się wydrążyć otwór, przejście do zewnętrznej piwnicy nie powinno przedstawiać większych trudności.

Dzięki temu czuję się osobą praktyczną. Rzeczową. Ale nic jeszcze nie zrobiłam.

Czuję przyływ nadziei. Nie wiem dlaczego. Ale tak jest.

28 października

G.P. jest artystą. „Drugorzędny Paul Nash”, jak mówi Caroline, to straszne, ale coś w tym jest. Nic z tego, co on nazwałby „fotografią”. Ale nie absolutnie indywidualne. Myślę, że on doszedł do identycznych wniosków. Albo to widzi (że jego pejzaże mają pewną Nashowską jakość), albo nie. Tak czy inaczej to jest uwaga krytyczna. Że on ani tego nie widzi, ani o tym nie mówi.

Jestem obiektywna. Jego błędy.

Jego nienawiść do abstrakcyjnego malarstwa, nawet do ludzi takich jak Jackson Pollock i Nicholson. Dlaczego? Jestem więcej niż w połowie przekonana intelektualnie o jego racji, ale dalej czuję, że niektóre obrazy, które uważa za złe, są piękne. Chodzi mi o to, że jest zbyt zazdrosny. Potępia zbyt wiele.

To mi nie przeszkadza. Usiłuję być uczciwa w ocenie jego i siebie samej. On nienawidzi ludzi, którzy „nie przemyślą spraw do końca”, tak jak on to robi. Za wiele. Ale on ma (nie dotyczy to kobiet) zasady. Na jego tle większość ludzi z tak zwanymi zasadami przypomina puste puszkę.

(Pamiętam, jak raz powiedział o Mondrianie: „Nie chodzi o to, czy ci się podoba, chodzi o to, czy powinno ci się podobać”. To znaczy, on nie lubi sztuki abstrakcyjnej z zasady. Ignoruje swoje odczucia.)

Najgorsze zostawiłam na koniec. Kobiety.

To musiało być chyba podczas mojej czwartej czy piątej wizyty u niego.

Zastałam tam tę Nielsen. Przypuszczam (teraz), że byli razem w łóżku.

Okazałam taką naiwność. Wydawało się, że moje przyście nie robiło im różnicy. Nie musieli przecież reagować na dzwonek. Ona była dla mnie bardzo miła, w tym swoim błyszcząco-domowym stylu. Musi mieć czterdziestkę, co on w niej widzi? A dłuższy czas potem, w maju, poszłam do niego wieczorem i go nie zastałam (a może był z kimś w łóżku), następnego wieczoru był sam w domu i rozmawialiśmy przez jakiś czas (mówił o Johnie Mintonie), a potem nastawił hinduską płytę i siedzieliśmy cicho. Tym razem jednak nie zamknął oczu, patrzył na mnie, a ja czułam się zażenowana. Kiedy skończyła się raga, nastąpiła cisza. Powiedziałam: – Czy mam nastawić drugą stronę? – ale nie chciał. Znajdował się w cieniu, nie widziałam go zbyt wyraźnie.

Nagle zapytał: – Czy chciałabyś pójść do łóżka?

Powiedziałam: – Nie, nie chciałabym. – Zaskoczył mnie kompletnie i mój głos brzmiał głupio. Było w nim przerażenie.

Nie odrywając oczu ode mnie, powiedział: – Dziesięć lat temu ożeniłbym się z tobą. Byłabyś częścią mojego drugiego katastrofального małżeństwa.

To mnie nie zaskoczyło. Zanosilo się na to od tygodni. Podeszedł i stanął przy mnie: – Jesteś pewna?

– Nie po to tutaj przyszłam. Zupełnie nie.

To wydawało się bardzo nie w jego stylu. Takie prymitywne. Teraz myślę, a raczej wiem, że starał się być dobry. Świadomie oczywisty i prymitywny. Tak jak czasami pozwala mi wygrywać w szachy.

Poszedł przygotować kawę po turecku i powiedział przez drzwi:

– Wprowadzasz w błąd. – Stałam w drzwiach kuchennych, podczas gdy on obserwował tygielek do kawy. Spojrzał na mnie. – Mógłbym przysiąc, że czasami tego chcesz.

– Ile masz lat? – zapytałam.

– Mógłbym być twoim ojcem. Czy o to ci chodzi?

– Nie znoszę rozwiązłości – powiedziałam. – Wcale nie o to mi chodziło.

Stał odwrócony do mnie plecami. Byłam na niego zła, wydawał się tak nieodpowiedzialny. – Zresztą – powiedziałam – pod tym względem nie pociągasz mnie w najmniejszym stopniu.

Ciągle odwrócony do mnie plecami zapytał: – Co rozumiesz przez rozwiązłość?

– Chodzenie do łóżka dla przyjemności. Seks i nic więcej. Bez miłości.

– Więc ja jestem bardzo rozwiązły – odparł. – Nigdy nie idę do łóżka z kimś, kogo kocham. Zrobiłem to raz.

– Ostrzegłeś mnie przed Barberem Cruikshankiem.

– Teraz ostrzegam cię przed sobą – powiedział. Obserwował tygielek do kawy.
– Czy znasz Uccella w Ashmolean Museum? Polowanie! Nie? Kompozycja uderza cię w momencie, kiedy dostrzegasz obraz. Poza wszystkimi innymi zaletami technicznymi. Wiesz, że to dzieło bezbłędne. Profesorowie o środkowoeuropejskich nazwiskach spędzają całe życie zastanawiając się, na czym polega wielki wewnętrzny sekret tego obrazu, to, co odczuwasz przy pierwszym spojrzeniu. Teraz widzę, że ty też masz wielki wewnętrzny sekret. Bóg wie, co to jest. A ja nie jestem środkowoeuropejskim profesorem, nie obchodzi mnie naprawdę, jak to jest. Ale ty to masz. Przypominasz solidną stolarkę. Nie rozlecisz się.

Mówił to wszystko bardzo rzeczowym tonem. Na dodatek.

– To oczywiście przypadek – powiedział. – Geny. Podniósł tygielek z palnika gazowego w ostatnim możliwym momencie. – Jedyne problem – dodał – polega na tym, że masz purpurowy punkcik w oku. Co to jest? Namietność? Ostrzeżenie? Stał, wpatrując się we mnie tym suchym, oschłym wzrokiem.

– W każdym razie nie łóżko – powiedziałam.

– Może dla kogoś innego?

– Dla nikogo.

Siedziałam na dywanie, a on na wysokim stołku przy roboczym stole.

– Zaszokowałem cię – stwierdził.

– Zostałam ostrzeżona.

– Przez ciotkę?

– Tak.

Odwrócił się i bardzo powoli, bardzo ostrożnie nalewał kawę do filiżanek.

– Przez całe życie musiałem mieć kobiety – powiedział. – Na ogół czyniły mnie nieszczęśliwym. Największe nieszczęście przynosiły związki, które miały być czyste i szlachetne. Tutaj – wskazał na zdjęcie swoich dwu synów – jest wspaniały owoc szlachetnego związku.

Podeszłam, wzięłam swoją filiżankę i oparłam się o stół, z dala od niego.

– Robert jest tylko o cztery lata młodszy od ciebie – powiedział. – Nie pij jeszcze, poczekaj, aż się ustoi.

Wydawało się, że nie zachowuje się swobodnie. Jakby nękała go potrzeba mówienia. Stosowania obrony. Rozwiania moich złudzeń i zdobycia mojego współczucia równocześnie.

– Pożądanie jest proste – ciągnął. – Od razu dochodzi się do porozumienia. Albo oboje chcemy iść do łóżka, albo jedno z nas nie chce. Co innego miłość. Kobiety, które kochałem, zawsze mówiły mi, że jestem egoistą. A przecież dlatego mnie pokochały. I potem nabierały do mnie obrzydzenia. Czy wiesz, co one biorą za egoizm?

– Zeskrobywał klej z pękniętej biało-niebieskiej chińskiej wazy, którą kupił na Portobello Road i zreperował; dwaj wojowniczo nastawieni jeźdźcy w pogoni za niewielkim przerażonym daniem. Jego dłonie o krótkich palcach, bardzo pewne. – Nie to, że żyję na swój własny sposób, maluję na swój własny sposób, wyrażam się na swój własny sposób – to im nie przeszkadza. To je nawet ekscytuje. Nie mogą jednak znieść tego, że ja czuję do nich nienawiść, kiedy same nie zachowują się na swój własny sposób. Jakbym była mężczyzną.

– Ludzie tacy jak twoja cholerna ciotka uważają, że jestem cynikiem, rozbijaczem rodzin. Rozpustnikiem. Nigdy w życiu nie uwiodłem kobiety. Lubię łóżko, lubię kobiece ciało. Lubię moment, w którym nawet najbardziej płytka kobieta staje się piękna, kiedy zdejmie ubranie i uważa, że za chwilę zrobi bardzo niebezpieczny i istotny krok. Zawsze tak jest, pierwszy raz. Czy wiesz, co już prawie zanikło u twojej płci?

Patrzył na mnie z ukosa, więc pokręciłam przecząco głową.

– Niewinność. Można ją zaobserwować tylko raz, kiedy kobieta zdejmuje ubranie i nie potrafi spojrzeć ci w oczy (tak jak ja wtedy nie mogłam). Tylko ten pierwszy Botticellowski moment, kiedy za pierwszym razem zdejmuje ubranie. Wkrótce to mija. Na scenę wkracza odwieczna Ewa. Ulicznica. Exit Anadyomene.

– Kto to jest? – zapytałam.

Wyjaśnił. Myślałam: nie mogę pozwolić, żeby tak mówił, zaciąga wokół mnie sieć. Nie myślałam tak, czułam to.

– Spotkałem dziesiątki kobiet i dziewczyn takich jak ty. Niektóre znałem dobrze, niektóre uwiodłem wbrew ich własnemu rozsądkowi, dwie z nich nawet poślubiłem. Niektórych prawie nie znałem, po prostu stałem koło nich na jakiejś wystawie, w metrze czy gdziekolwiek indziej.

Po chwili zapytał: – Czytałaś Junga?

– Nie – powiedziałam.

– Nadał nazwę przedstawicielkom twego gatunku. Chociaż niewiele to pomaga. Choroba jest równie nieprzyjemna.

– Podaj mi tę nazwę – poprosiłam.

– Nie mówi się chorobom ich nazw – powiedział. Nastąpiło dziwne milczenie, jakbyśmy dotarli do kropki, jakby spodziewał się, że ja zareaguję w jakiś inny sposób. Okażę większą złość albo szok. Byłam zła i zszokowana później (w bardzo szczególny sposób). Ale zadowolona jestem, że nie uciekłam. Był to jeden z tych wieczorów, podczas których się dorasta. Nagle uświadomiłam sobie, że muszę się zachować albo jak zgorszona dziewczynka, która w zeszłym roku o tej porze jeszcze chodziła do szkoły, albo jak osoba dorosła.

– Jesteś dziwnym dzieckiem – powiedział w końcu.

– Staroświeckim – dodałam.

– Gdybyś nie była taka ładna, byłabyś cholernie nudna.

– Dziękuję.

– Naprawdę nie oczekiwałem, że pójdziesz ze mną do łóżka – powiedział.

– Wiem.

Obrzucił mnie długim spojrzeniem. Potem zmienił nastrój, wy dostał szachownicę, graliśmy w szachy i pozwolił mi wygrać.

Nie przyznał się do tego, ale jestem pewna, że tak było. Prawie nic nie mówiliśmy, wydawało się, że porozumiewamy się za pomocą figur szachowych, moje zwycięstwo w jakiś sposób było bardzo symboliczne. Nie wiem dlaczego, ale on chciał, żebym to odczuła. Nie wiem, czy chciał, żebym zobaczyła, że moja „cnota” zwycięża jego „występek”, czy chodziło o coś bardziej subtelnego, jak to, że czasami przegrana może oznaczać zwycięstwo.

Kiedy przyszedłam następnym razem, podarował mi swój rysunek. Przedstawiał tygielk do kawy i dwie filiżanki na roboczym stole. Pięknie narysowane, absolutnie proste, wolne od jakiegokolwiek pedanterii czy niepewności, absolutnie pozbawione tej cechy prac dobrego studenta sztuk pięknych, którą odznaczają się wszystkie moje rysunki prostych obiektów.

Po prostu dwie filiżanki, niewielkie miedziane naczynie i jego ręka. Czy po prostu ręka. Spoczywająca obok jednej z filiżanek jak gipsowy odlew. Na odwrocie napisał Apres i datę. A niżej pour »une« princesse lointaine. Une było grubo podkreślone.

Chciałam dalej pisać o Toinette. Ale jestem zbyt zmęczona. Kiedy piszę, mam ochotę palić, a wtedy robi się tutaj bardzo duszno.

29 października

(Rano) On pojechał do Lewes(?)

Toinette.

Było to w miesiąc po wieczorze z płytą. Powinam była się domyślić, puszyła się przy mnie od wielu dni i obrzucała mnie łobuzerskimi spojrzeniami. Myślałam, że ma to jakiś związek z Piersem. I nagle jednego dnia zadzwoniłam do drzwi, zobaczyłam, że zamek nie zamknięty, więc pchnęłam drzwi i spojrzałam w górę schodów, w tym samym momencie Toinette spojrzała w dół spoza drzwi. I patrzyłyśmy na siebie. Po chwili wyszła na podest, ubierając się. Nic nie powiedziała, wskazała mi gestem, żebym weszła na górę i do pracowni, i co najgorsze, ja się zarumieniłam, a ona nie. Była po prostu ubawiona.

– Nie rób takiej zgorzzonej miny – powiedziała. – On zaraz wróci. Wyszedł tylko po... – ale nigdy nie usłyszałam, po co, ponieważ wybiegłam.

Nigdy naprawdę nie przeanalizowałam, dlaczego czułam się taka zła, taka zgorziona i taka urażona. Donald, Pierś, Dawid, wszyscy wiedzą, że ona prowadzi w Londynie dokładnie taki sam tryb życia jak w Sztokholmie – sama mi to powiedziała, oni też mi to mówili. A G.P. powiedział mi, jaki jest o n sam.

Nie chodziło tylko o zazdrość. Chodziło o to, że ktoś taki jak G.P. może być tak blisko kogoś takiego jak ona – ktoś tak autentyczny i ktoś tak płytki, sztuczny, nieorganizowany. Ale dlaczego miał w ogóle liczyć się ze mną? Nie ma po temu najmniejszego powodu.

Jest o dwadzieścia jeden lat starszy ode mnie. Dziewięć lat młodszy od T.

Jeszcze długo potem nie czułam niesmaku wobec G.P., ale wobec samej siebie. Z powodu swojej ciasnoty umysłowej. Zmusiłam się do spotkania z Antoinette i do słuchania jej. Wcale nie triumfowała. Musiało to być za przyczyną G.P. Tak jej kazał.

Wróciła do niego następnego dnia. Twierdziła, że chciała go przeprosić. I (jej własne słowa) „to się po prostu stało”.

Byłam taka zazdrosna. Sprawili, że poczułam się starsza od nich. Zachowywali się jak niegrzeczne dzieci. Uszczęśliwione posiadaniem tajemnicy. Potem myślałam, że jestem oziębła. Nie mogłam znieść widoku G.P. Wreszcie, musiało to być tydzień później, zadzwonił do mnie znowu, gdy byłam u Caroline. Nie robił wrażenia winnego. Powiedziałam, że nie mam czasu się z nim zobaczyć. Nie, nie przyjdę wieczorem. Gdyby nalegał, odmówiłabym. Ale już miał zamiar odłożyć słuchawkę, kiedy

powiedziałam, że przyjdę następnego wieczoru. Tak bardzo chciałam, żeby wiedział, że czuję się dotknięta. Nie można tego okazać przez telefon.

Caroline powiedziała: – Myślę, że za często się z nim widzisz.

– On ma romans ze Szwedką – uspokoiłam ją. Nawet porozmawialiśmy o tym. Byłam bardzo sprawiedliwa.

Broniłam go. Ale potem leżałam w łóżku i oskarżałam go przed sobą. Przez długie godziny.

Następnego dnia przede wszystkim zadał mi pytanie (nie próbując niczego ukryć): – Czy ona ci dokucza?

Powiedziałam, że nie. Wcale nie. A potem, jakby mnie to nic nie obchodziło: – A niby dlaczego miałyby to robić?

Uśmiechnął się. Zdawał się mówić: „Wiem, co czujesz”. Miałam ochotę go spoliczkować. Nie mogłam wyglądać tak, jakby mnie to nic nie obchodziło, co pogarszało sytuację.

– Mężczyźni są podli – oświadczył.

– Najpodlejsze w nich jest to, że mogą to powiedzieć z uśmiechem na twarzy – powiedziałam.

– To prawda – przyznał. I nastąpiła cisza. Żałowałam, że przyszłam, żałowałam, że nie wykreśliłam go ze swojego życia. Spojrzałam na drzwi sypialni. Były szeroko otwarte. Widziałam kraniec łóżka.

– Nie potrafię jeszcze podzielić życia na osobne przegródki. To wszystko – wyjaśniłam.

– Słuchaj, Mirando – powiedział – pomiędzy tobą a mną rozciąga się tych dwadzieścia długich lat. Mam większą wiedzę o życiu niż ty, żyłem dłużej, więcej zdradzałem i widziałem więcej zrad. W twoim wieku rozsadzają człowieka ideały. Uważasz, że ponieważ potrafię czasami odróżnić, co w sztuce jest trywialne, a co ważne, powinienem być bardziej cnotliwy. Ale ja nie chcę być cnotliwy. Mój urok w twoich oczach (jeśli w ogóle istnieje) sprowadza się do szczerości. I doświadczenia. Nie do dobroci. Nie jestem dobrym człowiekiem. Może moralnie jestem nawet młodszy od ciebie. Czy potrafisz to zrozumieć?

Mówił jedynie to, co czułam: Ja byłam sztywna, a on elastyczny, choć powinno być odwrotnie. Całkowicie moja wina. Ale nie przestawałam myśleć: zabrał mnie na koncert i wrócił tutaj do niej. Pamiętam takie sytuacje, kiedy dzwoniłam i nie było odpowiedzi. Teraz widzę, że była to jedynie zazdrość seksualna, ale wtedy wydawało

się to zdradą zasad. (Dalej nie wiem dobrze – w moim umyśle to wszystko jest pomieszane. Nie potrafię osądzić.)

Powiedziałam: – Chciałabym posłuchać Ravi Shankara. – Nie mogłam powiedzieć: „przebaczam ci”.

Więc słuchaliśmy płyty. Potem graliśmy w szachy. I on mnie pokonał. Żadnych wzmianek o Toinette, tylko potem, już na schodach, kiedy powiedział: – To skończone.

Nic nie odpowiedziałam.

– Ona zrobiła to tylko dla zabawy – wyjaśnił.

Ale nigdy już nie było tak samo. Nastąpiło coś w rodzaju zawieszenia broni. Widziałam go jeszcze kilkakrotnie, ale nigdy samego. Napisałam do niego dwa listy z Hiszpanii, a on w odpowiedzi przysłał kartkę. Widziałam go raz na początku tego miesiąca. Ale o tym napiszę innym razem. Napiszę też o dziwnej rozmowie z tą panią Nielsen.

Coś, co powiedziała Toinette. Powiedziała: – On mówił o swoich chłopcach, a mnie się go zrobiło tak bardzo żal. Jak prosili go, żeby nie zjawiał się w ich eleganckiej szkole, tylko spotykał się z nimi na mieście. Wstydzili się go. O tym, jak Robert (w Marlborough) traktuje go teraz z wyższością.

Ze mną nigdy o nich nie rozmawiał. Może w głębi ducha myśli, że należę do tego samego świata.

Mała przedstawicielka klasy średniej ze szkoły z internatem.

(Wieczorem) Dziś znowu próbowałam narysować G.P. z pamięci. Beznadziejne.

K. siedział i czytał po kolacji Buszującego w zbożu. Wiele razy przyłapałam go na tym, że sprawdza, ile jeszcze stron zostało do przeczytania.

Czyta tylko po to, żeby mi udowodnić, jak bardzo się stara.

Wieczorem przechodziłam obok frontowych drzwi (kąpiel) i powiedziałam: „Dziękuję za przemily wieczór, a teraz do widzenia”. I zrobiłam taki ruch, jakbym chciała otworzyć drzwi. Oczywiście były zamknięte. „Chyba się zacięły” – stwierdziłam. Nie uśmiechnął się, po prostu stał i obserwował mnie. Powiedziałam: „To tylko żart”. „Wiem” – odparł. To bardzo dziwne, on sprawia, że czuję się jak idiotka. Po prostu przez to, że się nie uśmiecha.

Oczywiście, G.P. zawsze próbował zwabić mnie do łóżka. Nie wiem dlaczego, ale teraz widzę to wyraźniej niż kiedykolwiek. Gorszył mnie, tyranizował, urągał –

nigdy w nieprzyjemny sposób. Okrężnie. Nawet w żaden sposób mnie nie zmuszał. Nie dotykał mnie. Szanował mnie w jakiś dziwaczny sposób. Nie sądzę, żeby sam zdawał sobie z tego sprawę. Chciał mnie zgorszyć, żeby mnie przyciągnąć czy odsunąć od siebie – sam nie wiedział. Pozostawiał to przypadkowi.

Dzisiaj więcej zdjęć. Niewiele. Powiedziałam, że flesz za bardzo razi mnie w oczy. Nie lubię, kiedy on wciąż wydaje mi polecenia. Jest przy tym straszliwie służalczy, czy mogłabym zrobić to, czy zechciałabym zrobić mu przyjemność... nie, on nie mówi „zrobić przyjemność”. Ale to dziwne, że tak nie mówi.

– Powinnaś startować w konkursach piękności – powiedział, kiedy przekreślał film.

– Dziękuję – odrzekłam. (Nasz sposób rozmowy jest szalony. Nie zauważam tego, dopóki nie zapiszę. On mówi tak, jakbym ja mogła w każdej chwili odejść bez przeszkód, a ja zachowuję się tak samo.)

– Założę się, że wyglądałabyś wspaniale w tym, jak to się nazywa...

Miałam zdziwioną minę. – W jednym z tych francuskich kostiumów do pływania – wyjaśnił.

– W bikini? – zapytałam.

Nie mogę dopuszczać do takich rozmów, więc popatrzyłam na niego zimno. – Czy to miałeś na myśli?

– Tylko do zdjęcia – powiedział rumieniąc się.

A najdziwniejsze, że nie mam wątpliwości, że dokładnie to miał na myśli. Nie miał zamiaru być nieprzyzwoity, nie robił żadnych aluzji, po prostu wyrażał się niezręcznie. Jak zwykle. Chodziło mu dosłownie o to, co powiedział. Interesujące byłoby sfotografować mnie w kostiumie bikini.

Myślałam przedtem, że musi o to chodzić. Może to jest głęboko ukryte, ale musi o to chodzić.

Ale już tak nie myślę. Nie myślę, że on coś tłumii. Nie ma nic do tłumienia.

30 października

Cudowny nocny spacer. Wielkie połacie czystego nieba, bez księżyca, wszędzie plamy ciepłych białych gwiazd jak młeczne diamenty i wspaniałe wiatr. Z zachodu. Kazałam mu prowadzić się w koło i w koło, z dziesięć czy dwanaście razy. Skrzypiały gałęzie, w lesie pohukiwała sowa. A niebo takie szalone, takie wolne, tylko wiatr i

powietrze, i przestrzeń, i gwiazdy.

Wiatr przesycony zapachami odległych miejsc. Nadzieją. Morzem. Jestem pewna, że czułam zapach morza. Później (oczywiście, na zewnątrz, w ogrodzie, byłam zakneblowana) zapytałam, czy jesteśmy blisko morza. „Dziesięć mil”. Powiedziałam: „Blisko Lewes”. On na to: „Nie mogę powiedzieć”. Jakby ktoś inny surowo zabronił mu mówić. (Często mam przy nim takie uczucie, jakby nad nieudaczną, pełzającą dobrocią jego natury zapanowały instynkty ciasne i złe.) Atmosfera wewnątrz różniła się zasadniczo. Znowu rozmawialiśmy o jego rodzinie. Piłam trochę. Robię to (czasami), żeby się przekonać, czy nie uda się go upić i uśpić jego czujności, ale dotychczas odmawia. Mówi, że nie jest abstynentem. A więc to część tego stania na straży. Nie da się przekupić.

M. Powiedz mi coś więcej o swojej rodzinie.

K. Nie ma nic więcej do powiedzenia. Co mogłoby ciebie zainteresować.

M. To nie jest odpowiedź.

K. Jużem powiedział.

M. Już mówiłem.

K. Zawsze słyszałem, że jestem dobry w angielskim. Ale to było, zanim ciebie poznałem.

M. To nie ma znaczenia.

K. Pewnie masz maturę i tak dalej.

M. Owszem, mam.

K. Ja zdałem małą maturę z matmy i biologii.

M. (liczyłam oczka – pulower – kosztowna francuska wełna) To dobrze, siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście...

K. Dostałem nagrodę za hobby.

M. Bardzo sprytnie. Opowiedz mi coś więcej o swoim ojcu.

K. Mówiłem ci już. Miał przedstawicielstwo. Artykuły piśmienne i towary luksusowe.

M. Komiwojażer.

K. Teraz to się nazywa przedstawicielstwo.

M. Zginął w wypadku samochodowym przed wojną. A twoja matka odeszła z innym mężczyzną.

K. Była nic niewarta. Jak ja. (Obrzuciłam go lodowatym spojrzeniem. Jakie to szczęście, że jego poczucie humoru tak rzadko dochodzi do głosu.)

M. Więc wzięła cię ciotka.

K. Tak.

M. Jak pani Joe Pipa.

K. Kto?

M. Nieważne.

K. Ona jest w porządku. Uchroniła mnie przed sierocińcem.

M. A twoja kuzynka Mabel? Nigdy nic o niej nie mówisz.

K. Jest starsza ode mnie. Ma trzydziestkę. Jest jeszcze jej starszy brat, po wojnie wyjechał do Australii do wuja Steve'a. Jest prawdziwym Australijczykiem. Mieszka tam od lat. Nigdy go nie widziałem.

M. Masz jeszcze jaką rodzinę?

K. Są krewni wujka Dicka. Ale oni nigdy nie zgadzali się z ciocią Annie.

M. Nie powiedziałaś mi, jaka jest Mabel.

K. Kaleka. Spastyczka. Bardzo wścibska. Zawsze chce o wszystkim wiedzieć.

M. Nie może chodzić?

K. Tylko po domu. Na dwór trzeba ją wozić w wózku inwalidzkim.

M. Może widziałam ją kiedyś.

K. Nic ciekawego.

M. Nie jest ci jej żal?

K. Trzeba się nad nią litować przez cały czas. To wina cioci Annie.

M. Mów dalej.

K. Ona kaleczy także wszystko dokoła. Nie potrafię wytłumaczyć. Jakby nikt nie miał prawa być normalny. To znaczy, nie skarży się wprost. Tylko patrzy takim wzrokiem, że trzeba naprawdę uważać. Na przykład, powiem wieczorem bez zastanowienia, że rano niemal uciekł mi autobus i musiałem biec jak szalony, a ciocia Annie na pewno wtrąci, ciesz się, że możesz biegać. Mabel nie odezwie się. Tylko popatrzy.

M. Jakie to podłe!

K. Trzeba bardzo zważać, co się powie.

M. Uważać.

K. To znaczy uważać.

M. Dlaczego nie uciekłeś? Nie wynająłeś sobie mieszkania?

K. Często o tym myślałem.

M. Ponieważ chodziło o dwie samotne kobiety. Zachowałeś się jak dżentelmen.

K. Raczej jak kaleka (jego próby cynizmu są naprawdę żałosne).

M. A teraz obie są w Australii i zatruwają życie twoim krewnym.

K. Prawdopodobnie.

M. Czy piszą do ciebie?

K. Tak. Mabel nie.

M. Czy przeczytasz mi kiedyś taki list?

K. Po co?

M. Bo mnie to interesuje.

K. (wielka walka wewnętrzna) Dostałem list dziś rano. Mam go przy sobie (długie poszukiwania, ale w końcu wyciąga list z kieszeni) One są głupie.

M. Nie szkodzi. Przeczytaj. W całości.

Usiadł przy drzwiach, a ja nie przestawałam robić na drutach. Nie pamiętam tego listu dosłownie, ale brzmiał mniej więcej tak: Kochany Fredzie (ona tak mnie nazywa, wyjaśnił, nie lubi Ferdynanda, cały czerwony ze wstydu). Bardzo się ucieszyłam twoim listem i jak pisałam w ostatnim to twoje pieniądze. Bóg był dla ciebie bardzo łaskawy i nie możesz odpłacać mu niewdzięcznością, ale wolałabym, żebyś nie podjął tego kroku, twój wuj Steve twierdzi, że nieruchomości przynoszą więcej kłopotu niż są warte. Zauważyłam, że nie odpowiadasz na moje pytanie o kobietę do sprzątnięcia. Wiem, jacy są mężczyźni, pamiętaj, jak to się mówi, że czystość to siostra przyzwoitości. Nie mam żadnego prawa, a ty okazałeś się bardzo hojny, Fred. Wujek Steve i chłopcy, i Gertie nie mogą zrozumieć, dlaczego nie przyjechałeś tu z nami, Gert nawet nie dalej jak dziś rano powiedziała, że powinieneś tu być, twoje miejsce jest z nami, ale nie myśl sobie, że jestem niewdzięczna. Mam nadzieję, że Bóg mi wybaczy, ale to było wielkie przeżycie, a Mabel byś nie poznał, opaliła się tu na słońcu, jest bardzo przyjemnie, ale ja nie lubię kurzu. Wszystko się brudzi, a oni tu żyją inaczej niż my w domu, mówią po angielsku bardziej jak Amerykanie (nawet wujek Steve) niż jak my. Chętnie wróciłabym do domu na Blackstone Rd, męczy mnie myśl o wilgoci i brudzie, mam nadzieję, że zrobiłeś tak jak mówiłam i przewietrzyłeś wszystkie pokoje i bieliznę, jak ci powiedziałam, i wzięłaś kobietę do sprzątnięcia, jak mówiłam, tak samo jak z tobą, mam nadzieję.

Fred, martwię się, żebyś przez te wszystkie pieniądze nie stracił głowy, jest tyle sprytnych, nieuczciwych ludzi (chodzi jej o kobiety, wyjaśnił) w dzisiejszych czasach, wychowałam cię najlepiej, jak mogłam, i jeżeli zrobisz coś złego to tak, jakbym sama zrobiła. Nie pokażę tego Mabel, bo mówi, że tego nie lubisz. Wiem, że jesteś w latach

(że mam już skończone 21 lat, wyjaśnił), ale martwię się o ciebie z powodu tego, co się stało (chodzi jej o to, że jestem sierotą, wytłumaczył).

Podobało nam się Melbourne, to duże miasto. W przyszłym tygodniu jedziemy do Brisbane, znowu z wizytą do Boba i jego żony. Napisała przyjemny list. Wyjdą po nas na stację. Wujek Steve, Gert i dzieci zasyłają pozdrowienia. Tak samo Mabel i twoja wiecznie kochająca.

A dalej pisze, żebym się nie martwił o pieniądze, bo jeszcze mają. A potem ma nadzieję, że dostanę pracowitą kobietę, twierdzi, że młode kobiety w dzisiejszych czasach nie sprzątaj porządnie.

(W tym momencie zapanowała długa cisza.)

M. Uważasz, że to przyjemny list?

K. Ona zawsze tak pisze.

M. Robi mi się od tego niedobrze.

K. Ona nigdy nie miała żadnego prawdziwego wykształcenia.

M. Nie chodzi mi o angielszczyznę. Tylko ojej ciasny, brudny umysł.

K. Wzięła mnie do siebie.

M. Co do tego nie ma wątpliwości. Wzięła cię do siebie i dalej nie przestaje tego robić. Zrobiła z ciebie kompletnego głupca.

K. Bardzo ci dziękuję.

M. No, taka jest prawda!

K. Och, masz rację. Jak zwykle.

M. Nie mów tak! (Odłożyłam robótkę i zamknęłam oczy.)

K. Nikt nawet w połowie tak mną nie dyrygował jak ty.

M. Ja tobą nie dyryguję. Staram się uczyć cię.

K. Uczysz mnie pogardzać nią i myśleć tak jak ty, a wkrótce mnie zostawisz i już nie będę miał nikogo.

M. Teraz litujesz się nad sobą.

K. To jest jedna rzecz, której nie rozumiesz. Wystarczy, że wejdiesz do pokoju, ludzie tacy jak ty, i możesz porozmawiać z każdym, wszystko rozumiesz, a kiedy...

M. Zamknij się! Jesteś wystarczająco brzydki, zanim zaczniesz jęczeć.

Wzięłam robótkę i odłożyłam. Kiedy podniosłam wzrok, stał z otwartymi ustami, usiłując coś powiedzieć. Wiedziała, że go dotknęłam. Wiem, że na to zasługuje, ale naprawdę zrobiłam mu przykrość. Wyglądał tak ponuro. I przypomniałam sobie, że pozwolił mi wyjść do ogrodu. Poczułam się strasznie mała.

Podeszłam do niego, powiedziałam „przepraszam” i wyciągnęłam rękę, ale jej nie przyjął. To dziwne, ale naprawdę miał jakiś rodzaj dostojeństwa. Więc wzięłam go za rękę, posadziłam na krześle i powiedziałam: – Opowiem ci bajkę.

– Dawno, dawno temu (zaczęłam, a on z goryczą wpatrywał się w podłogę) żył paskudny potwór, który porwał księżniczkę i zamknął ją w lochu swojego zamku. Co wieczór sadzał ją koło siebie i kazał jej mówić: „Jesteś bardzo przystojny, mój panie”. A ona co wieczór mówiła: „Jesteś strasznie brzydki, potworze”. I wtedy potwór czuł się dotknięty i smutny i wpatrywał się w podłogę. Więc pewnego wieczoru księżniczka powiedziała: „Gdybyś zrobił to i tamto, byłbyś przystojny”, a potwór na to: „Nie mogę, nie mogę”. Księżniczka nalegała: „Próbuj, próbuj”, a potwór swoje: „Nie mogę, nie mogę”. Co wieczór powtarzało się to samo. On kazał jej kłamać, a ona nie chciała. Więc księżniczka doszła do wniosku, że on naprawdę lubi rolę bardzo brzydkiego potwora. I pewnego dnia zauważyła, że się rozplakał, kiedy po raz pięćdziesiąty oświadczyła, że jest brzydki. Więc powiedziała: „Możesz stać się bardzo przystojny, jeśli zrobisz jedną rzecz. Czy posłuchasz mnie?” „Tak”, odparł w końcu, spróbuję to zrobić. A ona na to: „Więc uwolnij mnie”. I uwolnił ją. I nagle przestał być brzydki, okazał się księciem, który został zaklęty. Opuścił zamek i poszedł za księżniczką. Oboje żyli długo i szczęśliwie.

Już kiedy to mówiłam, wiedziałam, że to głupie. On się nie odzywał, dalej wpatrywał się w podłogę.

– Teraz twoja kolej, opowiedz bajkę.

A on po prostu powiedział: – Kocham cię.

I wtedy, muszę to przyznać, miał znacznie więcej godności niż ja i poczułam się mała, nędzna. Zawsze kpiąca z niego, atakująca, pełna nienawiści i nie ukrywająca tego. Zabawne, ale siedzieliśmy tak w milczeniu naprzeciwko siebie i ja miałam uczucie, którego doznałam już dwa czy trzy razy przedtem – dziwnej bliskości z nim, nie miłości, przyciągania czy współczucia, w żadnym razie. Ale powiązanych przeznaczeń. Jak rozbitkowie na wyspie, na tratwie, razem. W żadnym wypadku nie chcący być razem. Ale jednak razem.

W straszny sposób odczuwałam także smutek jego życia. I życia jego nieszczęsnej ciotki, i kuzynki, i ich krewnych w Australii. Jego wielki, ponury, beznadziejny ciężar. Jak rysunki Henry’ego Moore’a przedstawiające ludzi w metrze w czasie wojny. Ludzi, którzy nigdy nie będą widzieć, czuć, tańczyć, rysować, płakać przy muzyce, nie będą odczuwać świata, zachodniego wiatru. Nigdy nie b ę d ą w

żadnym autentycznym sensie tego słowa.

Tylko te dwa słowa powiedziane szczerze: „Kocham cię”.

Były całkiem beznadziejne. Wypowiedział je tak, jak mógłby oznajmić: „Mam raka”.

Jego wersja bajki.

31 października

Nic. Dziś wieczorem poddałam go psychoanalizie.

Siedział tak sztywno obok mnie.

Oglądaliśmy szkice Goi. Może to przez te szkice, ale siedział w takiej pozie, jakby w ogóle ich nie widział. I myślał tylko o tym, że jest tak blisko mnie.

Jego zahamowania. To absurdalne. Mówiłam do niego tak, jakby mógł być normalny. Jakby był maniakiem, który trzyma mnie tu uwięzioną. Jakby był miłym młodym człowiekiem, któremu potrzebne lekkie zmycie głowy ze strony wesołej przyjaciółki.

To dlatego, że nigdy nie widuję nikogo innego. On staje się normą. Zapominam porównywać.

Innym razem z G.P. Było to wkrótce po lodowatym prysznicu (to, co powiedział o moich pracach). Pewnego wieczoru czułam się niespokojna. Poszłam do jego mieszkania. Około dziesiątej.

Miał na sobie szlafrok.

– Właśnie kładłem się do łóżka – powiedział.

– Chciałam posłuchać trochę muzyki – wyjaśniłam. – Pójdę sobie. – Ale nie zrobiłam tego.

– Już późno.

Wy tłumaczyłam, że jestem przygnębiona. To był straszny dzień, a Caroline przy kolacji zachowywała się idiotycznie.

Pozwolił mi wejść na górę, posadził na tapczanie, nastawił płytę, zgasił światło, na zewnątrz świecił księżyc. Przez świetlik w dachu padało na moje kolana światło księżycy, cudowne, delikatne, srebrne światło księżycy. Żeglującego po niebie. A on usiadł w fotelu w drugim końcu pokoju, w cieniu.

To była ta muzyka.

Wariacje Goldbergowskie.

Przy końcu był taki fragment bardzo powolny, bardzo prosty, bardzo smutny, ale piękny ponad wszelkie słowa czy szkice, był samą muzyką, piękną, tam w świetle księżycy. Księżycowa muzyka, taka srebrzysta, taka odległa, tak szlachetna.

Nas dwoje w tamtym pokoju. Bez przeszłości, bez przyszłości. Intensywny, głęboki czas terazniejszy. Uczucie, że wszystko musi się skończyć, muzyka, my sami, księżyc, wszystko. Że jeżeli dociera się do sedna rzeczy, znajduje się smutek już na zawsze i na zawsze, wszędzie, ale smutek piękny, srebrzysty, jak twarz Chrystusa.

Zaakceptowanie tego smutku. Świadomość, że udawanie wesołości to zdrada. Zdrada całego smutku tamtej chwili, zdrada wszystkich, którzy kiedykolwiek odczuwali smutek, zdrada takiej muzyki, takiej prawdy.

W całym niepokoju, zamieszaniu, płytkości i interesach Londynu, w pogoni za karierą, wśród miłostek, sztuki, nauki, gorączkowego zdobywania doświadczeń nagle ten cichy srebrzysty pokój wypełniony muzyką.

Przypominało to leżenie na wznak, jak w Hiszpanii, kiedy sypialiśmy pod gołym niebem, patrząc poprzez gałęzie figowców w korytarze gwiazdne, wielkie morza i oceany gwiazd. Świadomość, co oznacza znajdowanie się w e wszechświecie.

Płakałam. W milczeniu.

W końcu zapytał: – Czy teraz mogę położyć się do łóżka? – Delikatnie, lekko się ze mnie naśmiewając, sprowadzając mnie z powrotem na ziemię. I wyszłam. Chyba nic nie mówiliśmy. Nie pamiętam. Uśmiechał się tym suchym uśmiechem, widział moje wzruszenie.

Jego absolutny takt.

Tamtej nocy poszłabym z nim do łóżka. Gdyby mnie poprosił. Gdyby podszedł i mnie pocałował.

Nie ze względu na niego, po prostu dlatego, że byliśmy żywi.

1 listopada

Nowy miesiąc, nowa szansa. Pomysł tunelu ciągle mnie dręczy, ale dotychczas podstawowym problemem było jakieś narzędzie do wydłubywania cementu. I nagle wczoraj podczas więziennego spaceru w zewnętrznej piwnicy zobaczyłam gwóźdź. Stary, duży gwóźdź pod ścianą w kącie. Upuściłam chusteczkę, żeby mu się bliżej przyjrzeć. Nie mogłam podnieść gwoźdźca, bo on mnie zbyt bacznie obserwuje. Poza tym trudno to zrobić ze związanymi rękami. A dzisiaj, kiedy znalazłam się w pobliżu

gwóździa (on zawsze siedzi na stopniach prowadzących do piwnicy), powiedziałam (celowo): – Przynies mi papierosy. Są na krześle przy drzwiach. – Oczywiście, nie chciał tego zrobić. – O co chodzi? – dopytywał się.

– Zostanę tutaj, nie poruszę się.

– Dlaczego sama nie przyniesiesz?

– Ponieważ czasami lubię sobie przypomnieć te chwile, kiedy mężczyźni okazywali mi uprzejmość. Po prostu.

Nie sądziłam, że to poskutkuje. Ale poskutkowało. Nagle uznał, że nie mogę niczego zrobić, niczego osiągnąć. (Zamyka wszystko w szufladzie, kiedy ja tu przychodzę.) Więc poszedł za drzwi. Trwało to tylko sekundę. Ale ja pochyliłam się z szybkością błyskawicy, podniosłam gwóźdź i schowałam do kieszeni spódnicy, którą specjalnie w tym celu włożyłam. Kiedy wpadł z powrotem, stałam dokładnie w tym samym miejscu, gdzie mnie zostawił. Miałam więc swój gwóźdź. I upewniłam go, że może mi ufać. Ubiłam dwa zające za jednym strzałem.

Nic wielkiego. Ale wydaje się olbrzymim zwycięstwem.

Zaczęłam realizować swój plan. Od wielu dni mówiłam Kalibanowi, że nie ma powodu, żeby T. i M., i wszyscy inni dalej nie wiedzieli, czy ja jeszcze żyję. Mógłby przynajmniej ich poinformować, że żyję i jestem zdrowa. Dziś po kolacji wyjaśniłam, że mógłby kupić papier z Woolworthsa, posłużyć się rękawiczkami i tak dalej. Jak zwykle usiłował się wykręcić. Ale nie popuszczałam. Kasowałam wszystkie jego zastrzeżenia. W końcu wydawało się, że gotów byłby to dla mnie zrobić.

Powiedziałam, że mógłby nadać list w Londynie dla zmylenia policji. I że chcę mnóstwo rzeczy z Londynu. Muszę go stąd oddalić na co najmniej trzy lub cztery godziny. Z powodu alarmu przeciwwłamaniowego. I wtedy zabiorę się do mojego tunelu. Przyszło mi do głowy, że skoro ściany tej piwnicy (i zewnętrznej) zbudowane są z kamieni – nie z głazów – to pod kamieniami musi być ziemia. Muszę tylko dostać się pod kamienie, tam już będzie miękka ziemia (tak sobie wyobrażałam).

Może to czyste szaleństwo. Ale nie mogę się doczekać, żeby podjąć próbę.

Ta pani Nielsen.

Spotkałam ją jeszcze dwukrotnie u G.P., ale w towarzystwie innych ludzi; jednym z nich był jej mąż, Duńczyk, jakiś importer. Posługiwał się doskonałym angielskim, tak doskonałym, że aż niedobrym. Nienaturalnym.

Spotkałam ją któregoś dnia, jak wychodziła od fryzjera, do którego szłam umówić wizytę dla Caroline. Miała ten specjalny wrażliwy – pogodny wyraz twarzy,

jaki przybierają kobiety jej pokroju w obecności dziewcząt w moim wieku. Minny nazywa to witaj-w-plemieniu-kobiet. To oznacza, że mają zamiar traktować cię jak dorosłą, chociaż w gruncie rzeczy nie uważają cię za dorosłą, a zresztą i tak są o ciebie zazdrosne.

Zaprosiła mnie na kawę. Głupio zrobiłam, bo powinnam była się wyłgać. Taka paplanina, o mnie, ojej córce, o sztuce. Zna mnóstwo ludzi i usiłowała oszołomić mnie nazwiskami. Ale ja szanuję to, co ludzie czują w związku ze sztuką. Nie to, co o niej wiedzą czy kogo znają.

Wiem, że nie może być lesbijką, a jednak w taki sposób lgnie do moich słów. W oczach ma błyski, których nie ośmiela się wypowiedzieć. Ale chciałaby, żeby ją o to poprosić.

„Nie wiesz, co było i co jest pomiędzy mną a G.P. – wydaje się mówić. – Wyzywam cię, żebyś o to zapytała”.

Nieustannie opowiadała o Charlotte Street w późnych latach trzydziestych i o wojnie. Dylan Thomas. G.P.

– On cię lubi – powiedziała.

– Wiem – odparłam.

Ale był to szok. Zarówno dlatego, że o tym wiedziała (czy on jej powiedział?), jak i dlatego, że chciała o tym dyskutować. Wiem, że chciała.

– Zawsze kochał się w naprawdę ładnych dziewczynach – powiedziała.

Straszliwie chciała o tym porozmawiać.

A potem jej córka.

– Ma teraz szesnaście lat – mówiła. – Nie potrafię się z nią porozumieć. Czasami, kiedy z nią rozmawiam, czuję się jak zwierz w ogrodzie zoologicznym. Ona stoi na zewnątrz i obserwuje mnie.

Wiedziałam, że mówiła to już wcześniej. Albo gdzieś przeczytała. To można zawsze poznać.

One są wszystkie takie same, kobiety jej typu. To nie nastolatki i córki są odmienne. My się nie zmieniłyśmy, my po prostu jesteśmy młode. To ci idiotyczni nowi ludzie w średnim wieku, którzy muszą być młodzi, to oni się zmienili. Te głupie, rozpaczliwe próby pozostania z nami. Nie mogą być z nami. Nie chcemy, żeby byli z nami. Nie chcemy, żeby ubierali się według naszej mody, posługiwali się naszym językiem, przejmowali nasze zainteresowania. Naśladują nas tak nędznie, że nie możemy ich szanować.

Ale dzięki spotkaniu z nią zrozumiałam, że G.P. mnie kocha (pragnie). Że istnieje między nami głęboka więź, jego specyficzna miłość do mnie, moja wielka dla niego sympatia (nawet miłość, ale nie seksualna) – przekonanie, że zmierzamy w stronę kompromisu. Rodzaj mgiełki nie spełnionego pożądanego i smutku między nami. Coś, czego inni ludzie (jak ta pani N.) nigdy nie potrafią zrozumieć.

Dwoje ludzi na pustyni, usiłujących odnaleźć zarówno siebie, jak i oazę, w której mogliby żyć razem.

Coraz częściej nawiedzały mnie takie myśli; to okrucieństwo ze strony losu, że umieścił między nami owe dwadzieścia lat. Dlaczego on nie może być w moim wieku albo ja w jego? Różnica wieku przestaje być najważniejszym czynnikiem, który wyklucza miłość, ale rodzajem okrutnego muru, który los wybudował między nami. Nie myślę, że ściana jest między nami, myślę, że ściana nas rozdziela.

2 listopada

Po kolacji wyciągnął papier i podyktował mi absurdalny list, który musiałam napisać.

I wtedy zaczęły się kłopoty. Przygotowałam karteczkę, wypisaną najmniejszymi literkami, i wsunęłam ją do koperty, kiedy na mnie patrzył. Była malusieńka i w najlepszych historiach szpiegowskich pozostałaby nie zauważona.

Ale on zauważył.

To go zdenerwowało. Ukazało mu sytuację w zimnym świetle rzeczywistości. Ale szczerze zdumiało go to, że jestem przestraszona. Nie wyobraża sobie, że mógłby mnie zabić czy zgwałcić, ale to już coś.

Pozwoliłam mu się podąsać, ale w końcu podeszłam i starałam się być dla niego miła (ponieważ wiedziałam, że muszę go skłonić do wysłania tego listu). To było trudne zadanie. Nigdy nie widziałam go tak obrażonego.

Czy nie dałby już temu spokoju i nie pozwolił mi wrócić do domu?

Nie.

Więc co chce ze mną zrobić? Przespać się?

Spojrzał na mnie tak, jakbym naprawdę była obrzydliwa.

Wpadłam na cudowny sposób. Odegrałam małą scenkę. Jego orientálną niewolnicę. Bardzo lubi, kiedy się wygłupiam. Najprymitywniejsze wygłupy określa jako dowcipne. Nawet nabrał zwyczaju przyłączania się i kuśtyka w ślad za mną z

wdziękiem żyrafy (co nie oznacza, że ja jestem olśniewająca).

Skłoniłam go, żeby pozwolił mi napisać następny list. Znowu zajrzał do koperty.

Potem namówiłam go na wyjazd do Londynu, jak tego wymaga mój plan. Dałam mu humorystyczną listę zakupów (większości tych rzeczy wcale nie chcę, ale to mu zajmie czas). Powiedziałam, że nie można pójść śladem listu nadanego w Londynie. Więc się wreszcie zgodził. Ten brutal lubi słyszeć moje błagalne prośby.

Jedna prośba – nie, ja go nie proszę o kupienie czegoś, ja to zamawiam. Poleciałam mu znaleźć i kupić jakąś pracę George’a Pastona. Dałam mu spis galerii, w których mógłby znaleźć rzeczy G.P. Usiłowałam go nawet przekonać, żeby poszedł do jego pracowni.

Ale jak tylko usłyszał, że to na Hampstead, zwęszył zasadzkę. Chciał wiedzieć, czy znam tego George’a Pastona. Powiedziałam: „Nie, tylko ze słyszenia”. Ale nie zabrzmiało to bardzo przekonująco i zlekkałam się, że nigdzie nie kupi żadnego z jego obrazów. Więc powiedziałam, że znam go przelotnie, jest stary ale, to bardzo dobry malarz i bardzo potrzebuje pieniędzy, a ja tak chciałabym mieć jakiś jego obraz. Moglibyśmy powiesić go na ścianie. „Gdybyś kupił prosto od niego, nie musielibyśmy płacić galerii, ale widzę, że boisz się tam pójść – powiedziałam – więc nie ma o czym mówić”. Oczywiście, nie dał się na to nabrać.

Chciał wiedzieć, czy G.P. to jeden z tych pacykarzy ulicznych. Spojrzałam na niego wymownie.

– Żartowałam.

– Więc nie rób tego.

– Zaraz chciałby wiedzieć, skąd jestem i tak dalej. Poradziłam mu, co powinien powiedzieć, a on obiecał, że się zastanowi. Co u Kalibana oznacza „nie”. Wymagałabym od niego zbyt wiele, a w żadnej galerii pewno niczego nie znajdzie.

Nie martwię się zresztą, bo jutro o tej porze już mnie tu nie będzie. Ucieknę.

On pojedzie po śniadaniu. Zostawi mi obiad. A więc będę miała cztery albo pięć godzin (chyba że mnie oszuka i nie pojedzie tam, gdzie go prosiłam, chociaż nigdy dotychczas mnie nie zawiódł).

Tego wieczoru żal mi było Kalibana. Kiedy odejdę, będzie cierpiał. Nic mu nie zostanie. Będzie sam ze swoją nerwicę seksualną i klasową, ze swoją bezużytecznością i pustką. Ale to jego wina. Nie jest mi go naprawdę żal. Ale nie mogę też powiedzieć, że nie żałuję go zupełnie.

4 listopada

Wczoraj nie mogłam pisać. Za bardzo miałam wszystkiego dosyć.

Byłam taka głupia. Oddaliłam go wczoraj na cały dzień. Miałam wiele godzin na ucieczkę. Ale nigdy naprawdę nie przemyślałam wszystkich problemów. Wyobrażałam sobie, że wydłubię garście miękkiej gliniastej ziemi. Gwóźdź okazał się nieprzydatny, nie dało się nim rozkruszyć cementu, który był strasznie twardy. Kilka godzin zajęło mi wyjęcie jednego kamienia. Pod spodem nie znalazłam ziemi, tylko kolejny kamień, większy, wapienny, i nie mogłam nawet odnaleźć jego brzegów. Wyjęłam jeszcze jeden kamień ze ściany, ale i to się na nic nie zdało. Pod spodem był znowu gigantyczny kamień. Zaczęłam popadać w depresję. Zrozumiałam, że tunel nie ma sensu. Gwałtownie tłukłam w drzwi. Usiłowałam wyważyć je za pomocą gwoździa i skaleczyłam się. To wszystko. Udało mi się tylko skaleczyć rękę i połamać paznokcie.

Bez narzędzi nie mam po prostu dosyć siły. Zresztą z narzędziami też.

Wreszcie włożyłam kamienie na miejsce, sproszkowałam cement (najlepiej jak mogłam), wymieszałam z wodą i talkiem, żeby zamaskować otwory. To jest typowe dla nastrojów, w jakie tutaj popadam, bo nagle powiedziałam sobie, że kopanie trzeba rozłożyć na wiele dni i głupotą było spodziewać się, że uda się to zrobić za jednym zamachem.

Spędziłam więc dużo czasu, starając się zamaskować robotę. Nie na wiele się to jednak zdało, kawałki cementu wypadały, poza tym zaczęłam kopanie w najbardziej widocznym miejscu, więc on musi to zauważyć.

Zrezygnowałam. Nagle uznałam, że to wszystko nędzne, głupie, beznadziejne. Jak kiepski rysunek. Nie do uratowania. Kiedy się wreszcie zjawił, zauważył to natychmiast. Zawsze jak tylko wchodzi, zaczyna węszyć. Więc sprawdził, jak daleko się posunęłam. Siedziałam na łóżku i obserwowałam go. W końcu rzuciłam w niego gwoździem.

Zacementował kamienie z powrotem. Powiedział, że pod spodem jest wszędzie solidny wapień.

Przez cały wieczór nie odzywałam się do niego, nie spojrzałam nawet na rzeczy, które kupił, mimo że zauważyłam wśród nich ramę od obrazu.

Wzięłam pigułkę i położyłam się do łóżka zaraz po kolacji.

Dziś rano (obudziłam się wcześniej) zanim on przyszedł, zdecydowałam

potraktować to jako nieważne wydarzenie. Zachowywać się normalnie.

Nie poddawać się.

Rozpakowałam wszystkie rzeczy, które kupił. Przede wszystkim obraz G.P. Rysunek dziewczyny (młodej kobiety), akt, który nie przypominał żadnej z jego prac, które znałam; musiał to wykonać bardzo dawno. Ale to jego dzieło. Odznacza się charakterystyczną prostotą kreski, niechęcią do nieporządku, do Topolskości. Dziewczyna jest na pół odwrócona, albo zawiesza sukienkę na haczyku, albo ją zdejmuje. Ładna twarz? Trudno powiedzieć. Ciało raczej ciężkie w typie Maillola. Niewarte tuzina rzeczy, które później wykonał.

Ale autentyczne.

Pocałowałam rysunek, rozpakowując go. Patrzyłam na niektóre kreski nie jak na kreski, ale na coś, czego dotykał. Przez cały ranek. I jeszcze teraz.

Nie miłość. Poczucie więzi.

Kiedy przyszedł Kaliban, był zdumiony, że jestem tak zdecydowanie pogodna. Podziękowałam mu za wszystko, co kupił. Powiedziałam: „Nie jest się prawdziwym więźniem, jeśli nie próbuje się ucieczki, więc nie mówmy już o tym, zgoda?”

Podobno dzwonił do wszystkich galerii, których nazwy mu podałam. Mieli tylko tę jedną rzecz.

„Bardzo ci dziękuję – powiedziałam. – Czy mogę to zatrzymać tutaj? A kiedy odejdę, podaruję ci to”. (Nie zrobię tego, zresztą powiedział, że wolałby raczej jakiś mój rysunek.)

Zapytałam, czy wysłał list. Powiedział, że tak, ale zauważyłam, że się rumieni. Oświadczyłam, że mu wierzę, bo niewysłanie listu byłoby postępkem niecznym, więc jestem pewna, że go wysłał.

Jestem prawie pewna, że obleciał go strach, tak samo jak przy czeku. Byłoby to do niego podobne. Ale żadne moje słowa nie zmuszą go do wysłania listu. Zdecydowałam więc udawać, że go wysłał.

Północ. Muszę przerwać. Przyszedł.

Słuchaliśmy płyt, które kupił.

Bartoka Muzyka na perkusję i czeleste.

Najładniejsza.

Przypomniało mi to Collioure zeszłego lata. Ten dzień, kiedy wszyscy czworo razem z francuskimi studentami poszliśmy wśród skalnych dębów w górę do wieży. Dęby skalne. Absolutnie nowy kolor, kasztanowy, rdzawy, płonący, krwawiący w

miejscach, gdzie wycięto korę. Cykady. Szalone lazuruje morze prześwitujące między gałęziami i upał, i zapach wszystkiego, co się w nim smażyło. Pierś i ja, i wszyscy prócz Minny byliśmy lekko podchmieleni. Zasnęliśmy w cieniu, obudziliśmy się patrząc poprzez liście na kobaltowe niebieskie niebo, myśląc o tym, że niemożliwe jest namalowanie pewnych rzeczy: w jaki sposób niebieski pigment może kiedykolwiek oznaczać żywe niebieskie światło nieba? Nagle poczułam, że nie chcę malować, malowanie to tylko popisywanie się, ważne było doświadczenie, ciągle nowe doświadczenie.

Cudowne czyste słońce na krwistoczerwonych gałęziach.

A w drodze powrotnej miałam długą rozmowę z miłym, nieśmiałym chłopcem Jean-Louisem. On mówił źle po angielsku, ja źle po francusku, ale rozumieliśmy się. Był strasznie nieśmiały. Bał się Piersa. Był o niego zazdrosny. Zazdrosny o to, że Pierś otacza mnie ramieniem, głupi błazen Pierś. Odkryłam, że Jean-Louis zamierza zostać księdzem.

Pierś później zachował się w sposób wyjątkowo nieokrzesany. Idiotyczne, prostackie okrucieństwo angielskiego samca, który boi się wydać miękki wobec prawdy. Nie mógł zrozumieć, że chociaż Jean-Louis mnie lubi i pociągam go seksualnie, to chodzi tu o coś jeszcze; nie tyle o nieśmiałość, ile postanowienie, że zostanie księdzem i będzie żył pomiędzy ludźmi. Po prostu niezwykle wysiłek dojścia do ładu z samym sobą. Jakby zniszczenie wszystkich dotychczas wykonanych obrazów i rozpoczęcie nowego życia. Tylko że on musiał to robić każdego dnia. Za każdym razem, kiedy spotkał dziewczynę, która mu się podobała. A Pierś potrafił jedynie powiedzieć: „Założę się, że ma świńskie sny na twój temat”.

Straszna jest ta arogancja, ten brak wrażliwości chłopców, którzy chodzili do prywatnych szkół. Pierś stale powtarza, jak nienawidził Stowe'a. Jakby to było rozwiązanie, jakby nienawiść do czegoś oznaczała, że to nie mogło wywrzeć na człowieka wpływu. Zawsze wiem, kiedy on czegoś nie rozumie. Robi się cyniczny, mówi coś szokującego.

Kiedy znacznie później opowiedziałam to G.P., powiedział: „Biedny żabojad, pewnie modlił się na klęczkach, żeby o tobie zapomnieć”.

Widzę Piersa rzucającego kamieniami w morze – gdzie to było?

– gdzieś w pobliżu Walencji. Piękny jak młody bóg, cały brązowo-złoty z ciemnymi włosami. Spodenki kąpielowe. Minny powiedziała (leżała obok mnie, och, widzę to tak wyraźnie): „Czy nie byłoby cudownie, gdyby Pierś był niemową?” A

potem zapytała: „Mogłabyś iść z nim do łóżka?” Powiedziałam, że nie. A potem: „Nie wiem”.

Akurat wtedy Pierś podszedł do nas i chciał wiedzieć, dlaczego ona się uśmiecha.

– Nanda właśnie powiedziała mi tajemnicę. O tobie.

Pierś próbował żartować i poszedł z Peterem po lunch do samochodu.

– Jaka to tajemnica? – chciałam wiedzieć.

– Ciała górują nad umysłami – powiedziała.

– Mądra Carmen Grey zawsze wie, co powiedzieć.

– Wiedziałam, że tak powiesz – oświadczyła. Gryzmoła coś na piasku, a ja obserwowałam ją, leżąc na brzuchu. – Chodzi mi o to, że on jest tak przystojny, że można zapomnieć, jaki jest głupi – powiedziała. – Myślisz sobie: mogłabym wyjść za niego i uczyć go. Mogłabyś? Wiesz, że byś nie mogła. Mogłabyś też pójść z nim do łóżka po prostu dla zabawy, ale pewnego dnia zrozumiałabyś, że jesteś zakochana w jego ciele i nie potrafisz już bez niego żyć,

1 byłabyś już na zawsze skazana na jego zgniły umysł.

A potem zapytała: – Czy to cię nie przeraża?

– Nie bardziej niż wiele innych rzeczy.

– Mówię poważnie. Jeśli wyjdiesz za niego, już nigdy się do ciebie nie odezwę.

I naprawdę mówiła poważnie. To ukradkowe, szare, nieśmiałe spojrzenie, które rzuca jak lancę. Wstałam, pocałowałam ją i wysłałam chłopcom na spotkanie. A ona pozostała na miejscu i dalej wpatrywała się w piasek.

Obie jesteśmy straszne z tym widzeniem ludzi na wylot. Nic na to nie możemy poradzić. Ale ona zawsze mówi: „Wierzę w to, postąpię tak. Musi to być ktoś, kogo uważasz co najmniej za równego sobie, kto potrafi przejrzeć cię na wylot równie dobrze jak ty. A sprawa ciała zawsze musi być na drugim miejscu”. A ja zawsze myślałam w duchu: Carmen zostanie jeszcze jedną starą panną. To zbyt skomplikowane, by mogło pasować do przyjętych poglądów.

Ale teraz myślę o G.P. i porównuję go z Piersem. I Pierś nie ma nic na swoją obronę. Tylko złote ciało rzucające bez celu kamyki do morza.

5 listopada

Dziś wieczorem urządziłam mu prawdziwe piekło.

Na górze zaczęłam rzucać przedmiotami. Najpierw poduszkami, potem talerzami. Marzyłam o tym, żeby je potłuc.

Ale naprawdę zachowywałam się strasznie. Jak rozpieszczone dziecko. On to wszystko zniósł. Jest taki słaby. Powinien był trzasnąć mnie w głowę.

Przytrzymał mnie, żeby przeszkodzić w stłuczeniu kolejnego z jego upiornych talerzy. Tak rzadko się dotykamy. Było mi to nienawistne. Jak lodowata woda.

Wygłosiłam kazanie. Powiedziałam wszystko o nim samym i o tym, co powinien robić w życiu. Ale on nie słucha. Lubi, kiedy mówię o nim. Nie ma znaczenia, co mówię.

Nie będę więcej pisać. Czytam Rozsądek i uczucie i muszę się dowiedzieć, co się stało z Marianną. Marianna to ja, a Eleanor to ja taka, jaka powinnam być.

A co się stanie, jeśli będzie miał wypadek? Albo wylew. Cokolwiek.

Ja umrę.

Nie będę mogła się stąd wydostać. Przedwczoraj miałam okazję się o tym przekonać.

6 listopada

Kolejna próba ucieczki. W pewnym momencie wydawała się bliska powodzenia. Ale nigdy naprawdę nie była. On jest istnym diabłem.

Spróbowałam sztuczki z zapaleniem ślepej kiszki. Wymyśliłam to wiele tygodni temu. Zawsze uważałam to za rodzaj ostatniej deski ratunku. Coś, czego nie mogę sknocić z powodu niedostatecznego przygotowania. Nie pisałam o tym na wypadek, gdyby znalazł ten notes.

Natarłam twarz talkiem. Kiedy rano zapukał do moich drzwi, szybko połknęłam zaoszczędzoną sól z wodą i przycisnęłam język. Doskonale to wyliczyłam, bo kiedy wszedł, akurat wymiotowałam. Odegrałam wielkie przedstawienie. Leżałam na łóżku z potarganymi włosami i trzymałam się za brzuch. Byłam w piżamie i w szlafroku. Trochę pojękiwałam, jakbym starała się zachowywać wyjątkowo dzielnie. Przez cały czas stał i powtarzał: „Co ci się stało, co się stało?” Odbyliśmy coś w rodzaju rozpaczliwej, urywanej konwersacji. Kaliban usiłował wyłgać się od zawiezienia mnie do szpitala, a ja nalegałam, że musi to zrobić. I nagle wydawało się, że ustąpił. Wymamrotał coś, że to już „koniec”, i wybiegł.

Usłyszałam, że zamknęły się żelazne drzwi (byłam ciągle odwrócona plecami),

ale nie słyszałam rygli. A potem drzwi zewnętrzne. I nastąpiła cisza. Bardzo dziwna. Cisza nagła i kompletna. Włożyłam szybko skarpetki i buty i podbiegłam do żelaznych drzwi. Były uchylone. Podejrzywałam, że może to być pułapka, więc dalej grałam swoją rolę, otworzyłam drzwi, zawołałam go i chwiejąc się przeszłam przez zewnętrzną piwnicę i na schody.

Widziałam światło, nie zamknął zewnętrznych drzwi. Przemknęło mi przez myśl, że tak by właśnie postąpił, nie poszedłby do lekarza, tylko by uciekł. Załamałby się kompletnie. Ale zabrałby furgonetkę.

A więc słyszałabym silnik. Ale nie słyszałam. Odczekałam chyba kilka minut; powinnam być mądrzejsza, ale nie mogłam wytrzymać napięcia. Otworzyłam drzwi i wybiegłam na zewnątrz. A on tam był. Tuż obok. W pełnym świetle dnia.

Czekał.

Nie mogłam udawać, że jestem chora. Miałam na nogach buty. Trzymał coś (młotek?) w ręku, miał dziwnie rozszerzone oczy, nie mogłam wątpić, że mnie zaatakuję. Przez chwilę staliśmy nieruchomo, żadne z nas nie wiedziało, co zrobić. Potem ja się odwróciłam i pobiegłam z powrotem do piwnicy. Nie wiem dlaczego, nawet się nie zatrzymałam, żeby pomyśleć. Pobiegł za mną, ale przystanął widząc, że wchodzę do środka (instykt podszeptał mi, że tak robi – jedyne miejsce, gdzie byłam przed nim bezpieczna). Słyszałam, jak zaryglował drzwi.

Wiedziałam, że tak należało zrobić. To mi uratowało życie. Gdybym krzyczała lub próbowała uciekać, zatłukłby mnie na śmierć.

Są chwile, kiedy jest nawiedzony, zupełnie traci nad sobą kontrolę.

To jego specjalność.

(Północ) Przyniósł mi kolację. Nie powiedział ani słowa. Spędziłam popołudnie, rysując komiks o nim. Straszliwa Opowieść o Niegroźnym Chłopcu. Absurdalna. Ale muszę jakoś się bronić przed rzeczywistością i grozą. Zaczyna jako miły urzędniczyna, a kończy jako toczący pianę potwór z horrorów.

Kiedy wychodził, pokazałam mu to. Nie roześmiał się, ale przyjrzał się rysunkom bardzo dokładnie.

„To całkiem naturalne” – powiedział. Chodziło mu o to, że będę go wyśmiewać w taki właśnie sposób.

Jestem jednym z okazów w rzedzie. Nienawidzi mnie wtedy, kiedy próbuję wymknąć się z szeregu. Mam być martwa; przyszpilona, zawsze piękna. On wie, że częścią mojego piękna jest życie, ale chce mnie martwą. Chce mnie żywą-ale-martwą.

Odczułam to dzisiaj wyjątkowo silnie. To, że żyję, zmieniam się, mam własne zdanie, nastroje i tak dalej zaczyna stawać się uciążliwe.

On jest solidny, nienaruszalny, ma żelazną wolę. Pewnego dnia pokazał mi to, co nazywa zatruwaczką. Jestem w niej uwięziona. Rozbijam się o szkło. Ponieważ widzę przez nie, wydaje mi się, że zdołam uciec. Mam nadzieję. Ale to złudzenie.

Gruby szklany mur wokół.

7 listopada

Jakże wlecze się czas. Szczególnie dzisiaj. Niemożliwie długo.

Jedyną moją pociechą jest rysunek G.P. Coraz bardziej się z nim zżywam. Każdy by się zżył. Jest to jedyna żywa, niepowtarzalna rzecz w tym pomieszczeniu, owoc twórczości. Patrzę na nią, kiedy się budzę i kiedy zasypiam. Staję przed tym rysunkiem i wpatruję się. Znam każdą kreskę. Sknocił jedną ze stóp. Cała kompozycja jest troszkę niezrównoważona i gdzieś brakuje maleńkiego fragmentu. Ale to żyje.

Po kolacji (nasze stosunki wróciły do normy) Kaliban wręczył mi Buszującego w zbożu z komentarzem: „Przeczytałem”. Z jego tonu od razu wywnioskowałam, że miał na myśli „i nie bardzo mi się podobało”.

Nie chce mi się spać. Powtórzę dialog.

M. No i?

K. Nie widzę w tym większego sensu.

M. Zdajesz sobie sprawę, że to jedno ze wspanialszych studiów okresu dojrzewania, jakie kiedykolwiek napisano?

K. Mnie się wydaje, że jemu brakuje piątej klepki.

M. Oczywiście, że tak. Ale zdaje sobie z tego sprawę, usiłuje wyrazić to, co czuje, mimo wszystkich swoich wad jest istotą ludzką. Czy nigdy nie było ci go żal?

K. Nie podoba mi się jego sposób mówienia.

M. Mnie się nie podoba twój sposób mówienia. Ale nie traktuję cię jak kogoś, kto nie zasługuje na moją uwagę czy współczucie.

K. To pewnie bardzo mądre. Żeby tak pisać i w ogóle.

M. Dałam ci do przeczytania tę książkę, ponieważ myślałam, że będziesz się z nim identyfikował. Ty jesteś Holden Caulfield. On nigdzie nie pasuje i ty też nie.

K. Nic w tym dziwnego, zważywszy, jak się zachowuje. Wcale nie próbuje pasować.

M. Usiłuje zbudować w swoim życiu jakiś rodzaj rzeczywistości, jakiś rodzaj przyzwoitości.

K. To nie jest realistyczne. Chodzi do eleganckiej szkoły, a jego rodzice mają forszę. Nie zachowywałby się tak. Według mnie.

M. Już wiem, kim ty jesteś. Jesteś Starcem z Morza.

K. Kto to jest?

M. Okropny starzec, którego Sindbad musiał nieść na plecach. Tym właśnie jesteś, wskazujesz na plecy wszystkiemu, co żywotne, wszystkiemu, co usiłuje być uczciwe i wolne, i przygniatasz do dołu.

Nie będę kontynuować. Sprzeczałeś się, nie, my się nie sprzecząmy, ja coś mówię, a on stara się z tego wymigać.

To prawda. On jest Starcem z Morza. Nie mogę znieść głupich ludzi typu Kalibana z ich małostkowością, egoizmem i wszelkiego rodzaju małością. Nieliczni muszą ten cały ciężar dźwigać na swoich barkach. Lekarze, nauczyciele, artyści – co nie znaczy, że nie ma wśród nich zdrajców, ale jeśli istnieje jakakolwiek nadzieja, wiąże się z nimi – z nami.

Ponieważ jestem jedną z nich.

Jestem jedną z nich. Czuję to i próbowałam to udowodnić. Czulałam to w ostatnim roku w Ladymont. Było nas kilka takich, zaangażowanych, a poza tym te wszystkie głupie snobki, przyszłe debiutantki, ulubienice tatusia, miłośniczki koni i seks-kociaki. Nigdy nie wrócę do Ladymont. Nie mogłam znieść duszącej atmosfery tego, co „wypada”, „odpowiednich” ludzi i „dobrego wychowania”. (Boadicea napisała na mojej karcie „mimo dziwnych poglądów politycznych” – jak śmiała?) Nie będę absolwentką takiej szkoły.

Dlaczego mamy tolerować ten straszliwy kalibanizm? Dlaczego każda żywotna, twórcza, interesująca osobowość ma być męczennikiem wielkiego powszechnego kretyna?

Jestem tego najlepszym przykładem.

Męczennica. Uwięziona, niezdolna do wzrostu. Na łasce rozgoryczenia, ohydnej zawiści Kalibanów tego świata. Ponieważ oni nienawidzą nas wszystkich, nienawidzą nas za to, że jesteśmy inni, że nie jesteśmy nimi, że oni nie są tacy jak my. Prześladowają nas, odpychają, skazują na odosobnienie, śmieją się z nas, ziewają, zawiązują sobie opaskę na oczy i zatykają uszy. Zrobiliby wszystko, żeby uniknąć konieczności zauważania nas i szanowania. Czołgają się wokół największych z nas,

kiedy tamci już nie żyją. Płacą grube tysiące za van Gogha i Modiglianiego, a w okresie kiedy namalowano te obrazy, opluwali je. Wyśmiewali. Robili na ich temat prymitywne żarty.

Nienawidzę ich.

Nienawidzę niewykształconych i ignorantów. Nienawidzę napuszonych i sztucznych. Nienawidzę zazdrosnych i zawistnych. Nienawidzę zgorzkniałych, małostkowych i skąpych. Nienawidzę zwykłych, nudnych i małych ludzi, którzy nie wstydzą się tego, że są mali i nudni. Nienawidzę tego, co G.P. określa mianem Nowych Ludzi, tej nowej klasy ludzi z ich samochodami, pieniędzmi, telewizorami, z ich wulgarnością i nędznym, prymitywnym naśladownictwem burżuazji.

Kocham uczciwość, wolność i szczodrość. Kocham tworzenie, konstruowanie. Kocham pełnię istnienia. Kocham wszystko, co nie ogranicza się do siedzenia i patrzenia, co nie kopiuje i nie ma martwego serca.

Kiedyś G.P. śmiał się, że popieram Labour Party (na początku naszej znajomości), która stworzyła Nowych Ludzi, czy zdają sobie z tego sprawę?

Powiedziałam (absolutnie zaszokowana, ponieważ z innych jego wypowiedzi wnioskowałam, że musi być laburzystą, wiedziałam zresztą, że kiedyś był komunistą), że wolałabym mieć raczej Nowych Ludzi niż ludzi biednych.

A on na to: – Nowi Ludzie to w dalszym ciągu ludzie biedni. To jest nowa forma biedy. Tamci nie mieli pieniędzy, a ci nie mają duszy.

I nagle zapytał: – Czy czytałaś Major Barbarę”? Jest tam dowód, że najpierw trzeba uratować ludzi finansowo, zanim można ratować ich dusze.

– Zapomnieli tylko o jednym – dodał. – Wprowadzili państwo opiekuńcze, ale zapomnieli o samej Barbarze. Zamożność, zamożność, ale ani śladu duszy.

Wiedziałam, że w tym, co mówi, tkwi jakiś błąd (przesadzał). Trzeba być na lewicy. Każdy znany mi przyzwoity człowiek jest przeciwko torysom. Ale rozumiem, o co mu chodziło, sama odczuwam to coraz bardziej, ten straszliwy ciężar tłustych, małych Nowych Ludzi kładący się na wszystko. Psujący wszystko. Wulgaryzujący. Gwałcący krajobraz, jak mawia T., kiedy wpada w szlachecki nastrój. Wszystko produkowane masowo. Wszystko masowe.

Wiem, że powinniśmy opanować stado, kontrolować panikę, jak w filmie z Dzikiego Zachodu. Pracować dla nich i tolerować ich. Nigdy nie schronię się w wieży z kości słoniowej, bo to najbardziej godna pogardy ucieczka od życia, które nam nie odpowiada. Ale czasami przeraża mnie myśl o tym, jaką walką jest życie, jeśli traktuje

się je poważnie.

To wszystko słowa. Prawdopodobnie spotkam kogoś, zakocham się, wyjdę za mąż, wszystko wyda się inne i przestanę się przejmować. Stanę się Małą Kobiетką. Jedną z obozu wroga.

Ale teraz tak właśnie czuję. Że należę do grupy ludzi, którzy muszą przeciwstawić się pozostałym. Nie wiem, kim oni są sławni ludzie, żywi i umarli, którzy walczyli o słuszne sprawy, tworzyli i malowali jak należy, i mniej sławni, których znam, którzy nie kłamią, starają się zwalczać lenistwo, usiłują być ludzcy i inteligentni. Tak, ludzie typu G.P. mimo wszystkich jego wad. Jego jedynej wady.

To nie są nawet dobrzy ludzie. Mają momenty słabości. Związane z seksem i alkoholem. Z tchórzostwem i chciwością. Spędzają wakacje w wieży z kości słoniowej. Ale jakąś częścią swojej osobowości przynależą do grupy.

Grupy Nielicznych.

9 listopada

Jestem próżna. Nie jestem jedną z nich. Chciałabym być, a to nie to samo.

Oczywiście, Kaliban nie jest typowym przedstawicielem Nowych Ludzi. Jest beznadziejnie staroświecki (adapter nazywa gramofonem). Nie ma pewności siebie. Oni nie wstydzą się siebie. Pamiętam, jak T. powiedział, że uważają się za równych najlepszym, kiedy tylko zdobędą telewizor i samochód. Ale w głębi duszy Kaliban do nich należy – jest w nim ta nienawiść do niezwykłości, pragnienie, żeby wszyscy byli tacy sami. I ta straszna nieumiejętność wykorzystania pieniędzy. Po co ludziom pieniądze, jeśli nie wiedzą, jaki z nich zrobić użytek?

Niedobrze mi się robi za każdym razem, kiedy pomyślę o tych wszystkich pieniądzach, które wygrał Kaliban, i o wszystkich jemu podobnych, którzy wygrywają pieniądze.

Tyle egoizmu, tyle podłości.

G.P. powiedział kiedyś, że uczciwi biedacy to wulgarni bogacze bez pieniędzy. Bieda zmusza ich do kultywowania dobrych cech i chlubienia się innymi wartościami, nie pieniędzmi. A kiedy zdobywają pieniądze, nie wiedzą, co z nimi zrobić. Zapominają o wszystkich dawnych cnotach, które zresztą i tak nie były prawdziwymi cnotami. Uważają, że jedyna cnota to dalsze mnożenie pieniędzy i wydawanie ich. Nie mogę sobie wyobrazić, że istnieją ludzie, dla których pieniądze nic nie znaczą. Że

większość rzeczy pięknych istnieje niezależnie od pieniędzy.

Nie jestem szczerą. Dalej chciałabym mieć pieniądze. Ale wiem, że to złe. Wierzę, że G.P. – nie muszę mu wierzyć, kiedy to mówi, bo widzę, że to prawda – prawie nie przejmuję się pieniędzmi. Ma akurat dosyć, żeby zakupić materiały, przeżyć, pojechać co roku w plener, akurat tyle, żeby sobie poradzić. I są dziesiątki jemu podobnych – Peter, Bili McDonald, Stefan. Nie żyją w świecie pieniędzy. Jeśli je mają, wydają. Jeśli nie, radzą sobie bez nich.

Osoby typu Kalibana nie mają głowy do pieniędzy. Wystarczy, żeby mieli trochę, jak Nowi Ludzie, a już stają się podli. Wszyscy ci straszni ludzie, którzy odmawiali mi pieniędzy, kiedy prowadziłam zbiórkę. Od razu wiedziałam, wystarczyło tylko spojrzeć na ich twarze. Burżuazja daje, zażenowana natarczywością. Inteligentni ludzie dają albo przynajmniej patrzą uczciwie w oczy i mówią „nie”. Nie wstydzą się, że nie dają. Ale Nowi Ludzie są zbyt skąpi, żeby dać, i zbyt mali, żeby się do tego przyznać. Jak ten straszny facet na Hampstead (jeden z nich), który powiedział: „Dam pani pół dolara, jeśli może pani udowodnić, że nie trafi do czyjejs kieszeni”. Uważał, że jest zabawny.

Odwróciłam się do niego plecami, co było niesłuszne, ponieważ moja duma była mniej ważna niż dzieci. Więc później włożyłam za niego pół korony.

Ale jeszcze teraz go nienawidzę.

Z Kalibanem sprawa wygląda tak, jakby ktoś zmusił go do wypicia butelki whisky. Nie może pić. Przedtem był porządny tylko dlatego, że był biedny. Przywiązany do jednego miejsca i jednej pracy.

Jakby posadzić niewidomego do sportowego samochodu i kazać mu jechać, gdzie chce i jak chce.

Miła rzecz na zakończenie. Dzisiaj przyszła płyta Bacha, grałam ją już dwa razy. Kaliban powiedział, że to „ładne”, ale że nie jest muzykalny. Siedział jednak z odpowiednim wyrazem twarzy. Jeszcze raz zagram ten fragment, który lubię, będę leżała w ciemnościach, słuchając muzyki i wyobrażając sobie, że jest przy mnie G.P., że leży z zamkniętymi oczami, wklęsłymi policzkami i żydowskim nosem, jak na własnym nagrobku. Tylko że w nim nie ma nic ze śmierci.

A jednak. Dziś wieczorem Kaliban spóźnił się. – Gdzie byłeś? – warknęłam na niego. To go zaskoczyło, ale nic nie powiedział. – Bardzo się spóźniłeś – powiedziałam. Śmieszne, chciałam, żeby przyszedł. Często chcę, żeby przyszedł. Tak bardzo jestem samotna.

10 listopada

Dziś wieczorem spieraliśmy się na temat jego pieniędzy. Powiedziałam, że powinien większość rozdać. Usiłowałam go zawstydzić i skłonić do tego. Ale on niczemu nie ufa. Na tym polega jego problem. Jak mój facet z Hampstead, nie ufa, że ludzie zbierający pieniądze użyją ich do takich celów, jakie podają. Uważa, że wszyscy są skorumpowani, wszyscy starają się położyć łapę na pieniądzach i zatrzymać je.

Na nic nie zdają się moje zapewnienia, że pieniądze używane są na odpowiednie cele. On pyta: „Skąd wiesz?” I oczywiście, tego nie mogę mu opowiedzieć. Mogę tylko powiedzieć, że mam pewność, że muszą być wydane tam, gdzie są potrzebne. Wtedy on się uśmiecha, jakbym była zbyt naiwna, żeby mieć rację.

Oskarżyłam go (niezbyt surowo) o niewysłanie czeku na rzecz ruchu przeciwko bombie wodorowej. Kazałam pokazać pokwitowanie. Powiedział, że to był anonimowy dar. Miałam na końcu języka: „Sprawdzę to, kiedy będę wolna”. Ale nic nie powiedziałam. Byłby to dla niego jeszcze jeden powód, żeby mnie nie uwolnić. Spurpurowiał, nie wątpię więc, że kłamał, tak jak kłamał w sprawie listu do M. i T.

Nie chodzi tu nawet o brak szczodrości, ale o zwykłą nieufność. Rzecz w tym, że on (zapominam tu o absurdalności sytuacji) jest bardzo szczodry wobec mnie. Wydaje na mnie setki funtów. Zamordowałby mnie hojnością. Czekoladkami, papierosami, jedzeniem i kwiatami. Któregoś wieczoru powiedziałam, że chciałabym mieć francuskie perfumy, był to zwykły kaprys, chociaż ten pokój cuchnie środkami dezynfekcyjnymi i Airwickiem. Kąpię się wystarczająco często, ale nie czuję się czysta. Powiedziałam, że chciałabym powąchać różne zapachy, żeby się przekonać, który lubię najbardziej. Przyszedł rano z czternastoma różnymi butelkami. Prawdziwy najazd na perfumeryę. To szaleństwo. Czterdzieści funtów. Jak baśnie z tysiąca i jednej nocy. Faworyta w haremie. Ale jedyny zapach, o który naprawdę chodzi, nazywa się wolność.

Gdybym postawiła przed nim głodujące dziecko, nakarmiła je i pozwoliła mu obserwować, jak dziecko się rozwija, wiem, że dałby pieniądze. Ale wszystko poza tym, za co zapłaci i zobaczy na własne oczy, wydaje mu się podejrzane. Nie wierzy w żaden inny świat prócz tego, w którym żyje i który ogląda. To on jest więźniem tego swojego nienawistnego, maleńkiego świata.

12 listopada

Przedostatnia noc. Nie mam odwagi myśleć o tym, że nie ucieknę. Ostatnio ciągle mu o tym przypominałam. Ale teraz mam uczucie, że powinnam go tym zaatakować mniej czy bardziej niespodziewanie. Dzisiaj postanowiłam, że jutro wieczorem zorganizuję niewielkie przyjęcie. Powiem, że zmieniłam swój stosunek do niego, że chcę zostać jego przyjaciółką i opiekować się nim w Londynie.

Nie będzie to zresztą kompletne kłamstwo, ponieważ czuję się w jakiś sposób za niego odpowiedzialna, chociaż absolutnie tego nie rozumiem. Tak często czuję do niego nienawiść, wydaje mi się, że powinnam zawsze go nienawidzić. A jednak nie. Zwycięża współczucie i chciałabym mu pomóc. Myślę o ludziach, z którymi mogłabym go poznać. Mógłby pójść do psychiatry, przyjaciela Caroline. Podobnie jak Emma zaaranżowałabym dla niego małżeństwo, tyle że z lepszymi wynikami. Z jakąś małą Harriet Smith, przy której mógłby pozostać nieśmiały, zdrowy i szczęśliwy.

Wiem, że muszę przygotować się na to, że mnie nie uwolni.

Powtarzam sobie, istnieje jedna szansa na sto, że on dotrzyma słowa.

Ale musi go dotrzymać.

G.P.

Nie widziałam go od dwóch miesięcy, nawet dłużej. Najpierw byłam we Francji, potem w Hiszpanii, a potem w domu. (Próbowałam się z nim zobaczyć dwukrotnie, ale przez cały wrzesień nie było go w Londynie.) Tylko pocztówka w odpowiedzi na moje listy. To wszystko.

Zadzwoiłam do niego i zapytałam, czy mogę przyjść pierwszego wieczoru po powrocie do Caroline. Powiedział, żeby przyjść nazajutrz, bo tego wieczoru miał u siebie jakichś ludzi.

Wydawał się zadowolony, że mnie widzi. Ja udawałam, że wcale się nie starałam wyglądać ładnie. Ale starałam się.

Opowiedziałam mu wszystko o Francji i Hiszpanii, o Goi, o Albie i o wszystkich innych. O Piersie. A on słuchał i nie chciał powiedzieć, co sam robił przez ten czas, ale później pokazał mi kilka rzeczy, które wykonał na Hebrydach. I poczułam się zawstydzona. Ponieważ żadne z nas nie zrobiło wiele, byliśmy zbyt zajęci wylegiwaniem się na słońcu (zbyt leniwi) i oglądaniem wielkich obrazów, żeby rysować.

Powiedziałam (co najmniej po godzinie paplania), że za dużo mówię.

– Nie szkodzi.

Zdejmował rdzę ze starego żelaznego koła za pomocą jakiegoś kwasu. Znalazł je w sklepiku z rupieciami w Edynburgu i przywiózł. Koło miało dziwaczne tępe zęby, sądził, że było częścią dawnego kościelnego zegara. Elegancko zwięzające się szprychy. Bardzo piękne.

Przez chwilę nic nie mówiliśmy, opierałam się o stół tuż obok niego i obserwowałam, jak czyści rdzę. Potem powiedział: – Tęskniłem za tobą.

– To niemożliwe.

– Poruszyłaś mną.

Spytałam (koń kryjący pionka): – Czy widziałeś Antoinette? – Nie. Chyba ci mówiłem, że z nią skończyłem. – Spojrzał z ukosa. Spojrzenie jaszczurki. – Ciągle zgorszona? – Pokręciłam głową.

– Uzyskałem przebaczenie?

– Nie było co przebaczać – powiedziałam.

– Myślałem o tobie na Hebrydach. Chciałem pokazać ci różne rzeczy.

– A ja chciałam, żebyś był z nami w Hiszpanii.

Czyścił papierem ściernym przestrzeń pomiędzy zębami koła. Powiedział: – To bardzo stare, popatrz na tę korozję. – A potem tym samym tonem: – Prawdę mówiąc, postanowiłem, że chcę się z tobą ożenić. – Nic nie powiedziałam, nie patrzyłam na niego.

Poprosiłem, żebyś tu przyszła, kiedy jestem sam, ponieważ bardzo intensywnie o tym myślałem. Jestem dwukrotnie starszy od ciebie, powinienem umieć sobie radzić w takich sytuacjach, a Bóg świadkiem, że nie zdarza się to pierwszy raz. Nie, pozwól mi skończyć. Doszedłem do wniosku, że muszę przestać cię widywać. Chciałem ci to powiedzieć, jak tylko przyszłaś. Nie mogę sobie pozwolić na to, żebyś dalej zakłócała mój spokój. A tak będzie, jeśli nie przestaniesz tu przychodzić. Jest to prośba, dość określną drogą, żebyś za mnie wyszła. Usiłuję stworzyć niemal niemożliwą sytuację. Wiesz, jaki jestem, wiesz, że z racji wieku mógłbym być twoim ojcem, jestem kompletnie nieodpowiedzialny. Zresztą, nie kochasz mnie.

Powiedziałam: – Nie potrafię tego wytłumaczyć. Nie ma odpowiedniego słowa.

– Właśnie – odparł. Mył ręce rozpuszczalnikiem. Bardzo kliniczny i rzeczowy.

– Muszę więc poprosić, żebyś odeszła, co pozwoli mi odnaleźć spokój.

Patrzyłam na jego ręce. Byłam wstrząśnięta.

– Pod pewnymi względami jesteś starsza ode mnie – ciągnął. – Nigdy nie byłaś

zakochana. Może nigdy nie będziesz. Miłość nie przestaje się przytrafiać. Mężczyznom. Znowu ma się dwadzieścia lat, cierpi się tak samo jak w wieku lat dwudziestu. Wszystkie głupstwa tego wieku. Mogę się wydawać bardzo rozsądny w tym momencie, ale bynajmniej tak się nie czuję. Kiedy zadzwoniłaś, niemal się posusiałem z wrażenia. Jestem zakochanym starcem. Typowa komediowa figura. Bardzo stara. Nawet niezabawna.

– Dlaczego uważasz, że nigdy się naprawdę nie zakocham? – zapytałam. Czyszczenie rąk zabierało mu strasznie dużo czasu.

– Powiedziałem „może”.

– Dopiero skończyłam dwadzieścia lat.

– Jesion na stopę wysoki jest jednak jesionem. Ale ja powiedziałem „być może”.

– A ty nie jesteś stary. To nie ma nic wspólnego z naszymi latami.

Obrzucił mnie lekko urażonym spojrzeniem, uśmiechnął się i powiedział: – Musisz mi zostawić jakąś furtkę.

Poszliśmy robić kawę do upiornej maleńkiej kuchenki i pomyślałam, że w żadnym razie nie mogę sobie wyobrazić zamieszkania z nim tutaj – ze względu na kłopoty domowe. Podły, nic nie znaczący przyływ burżuazyjnego tchórzostwa.

Odwrócony do mnie plecami, mówił: – Dopóki nie wyjechałaś, myślałem, że to zwykła sprawa. W każdym razie próbowałem tak myśleć. Dlatego tak źle się zachowałem z twoją szwedzką przyjaciółką. Rodzaj egzorcyzmu. Ale wróciłaś. W moich myślach. Ciągle wracałaś, tam na północy. Wychodziłem w nocy z farmy do ogrodu. Patrzyłem na południe. Rozumiesz?

– Tak – powiedziałam.

– Chodziło o ciebie. Nie o tamto.

Potem powiedział: – To ten twój nieoczekiwany wygląd. Kiedy już nie jesteś dzieckiem.

– Jaki wygląd?

– Kobiety, jaką się staniesz.

– Miłą kobietą?

– Znacznie więcej.

Nie ma odpowiedniego słowa, by oddać sposób, w jaki to powiedział. Ze smutkiem, niemal wbrew sobie. Czule, ale z odrobiną goryczy. I ucziwie. Bez naciągania, bez oschłości. Prosto z głębi prawdziwego ja. Przez cały czas naszej

rozmowy patrzyłam w dół, ale w tym momencie zmusił mnie do podniesienia wzroku, nasze oczy się spotkały i zrozumiałam, że coś przebiegło między nami. Odczułam to. Niemal jak fizyczny dotyk. Zmieniło nas. On wypowiedział coś, co naprawdę myślał, a ja to odczułam.

Dalej wpatrywał się we mnie, tak że poczułam się zażenowana. A on dalej patrzył. – Proszę, nie patrz tak na mnie – powiedziałam.

Podszedł, otoczył mnie ramionami i delikatnie poprowadził w stronę drzwi. – Jesteś bardzo ładna – powiedział – chwilami nawet piękna. Jesteś wrażliwa, pełna zapału, usiłujesz być uczciwa, udaje ci się zachowywać jak osoba młoda, nie tracąc przy tym naturalności, a równocześnie jesteś trochę staroświecka i nie pozbawiona pedanterii. Nawet w szachy grasz całkiem dobrze. Jesteś córką, którą chciałbym mieć. Prawdopodobnie dlatego tak bardzo cię pożądałem przez te ostatnie miesiące.

Pchnął mnie przez drzwi, twarzą do przodu, żebym nie mogła go widzieć.

– Nie mogę mówić ci takich rzeczy, nie zawracając ci w głowie. A ty powinnaś się strzec zawracania głowy w każdym sensie. Teraz idź.

Poczułam przez sekundę nacisk na ramionach. Pocałował mnie w tył głowy. Odepchnął. Zeszłam dwa czy trzy stopnie w dół, zanim przystanąłam i obejrzałam się. Uśmiechał się, ale był to smutny uśmiech.

– Proszę, nie pozwól, żeby to trwało zbyt długo – powiedziałam.

Tylko pokręcił głową. Nie wiedziałam, czy miało to znaczyć „nie, nie za długo”, czy „nie ma sensu się ludzić, to musi trwać bardzo długo”. Może on sam nie wiedział. Ale był smutny. Wyglądał jakby przepełniał go smutek.

Oczywiście ja też miałam smutną minę. Ale naprawdę nie czułam smutku. W każdym razie nie był to smutek, który sprawia ból, niedojmujący. Nawet sprawiał mi pewną przyjemność. To straszne, ale prawdziwe. Śpiewałam w drodze do domu. Romans, tajemniczość romansu. Życie.

Uważałam, że wiem, że go nie kocham. Wygrałam tę grę.

I co się wydarzyło od tamtej pory?

Przez dzień lub dwa myślałam, że zadzwoni, że to tylko rodzaj kaprysu. A potem myślałam: nie zobaczę go przez całe miesiące, może lata i to wydawało się śmieszne. Niepotrzebne. Wyjątkowo głupie. Nie cierpiałam tego, co wydawało się jego słabością. Myślałam: jeśli on jest taki, to niech go diabli.

To nie trwało długo. Doszłam do wniosku, że muszę to uznać, że tak jest lepiej. Miał rację. Najlepiej zerwać. Skoncentruję się na pracy. Będę praktyczna, będę działać

skutecznie, stanę się dokładnie taka, jaka nie jestem z natury.

Przez cały czas zastanawiałam się, czy go kocham. Ale oczywiście, skoro istniało tyle wątpliwości, to było niemożliwe.

A teraz muszę napisać, co odczuwam aktualnie. Ponieważ znowu się zmieniłam. Wiem o tym. Czuję to.

Powierzchnowość: wiem, że idiotyczne są z góry powzięte poglądy na ten temat. Podniecanie się, kiedy Piers mnie całuje. Konieczność obserwowania go czasami (kiedy tego nie widzi, ze względu na jego próżność), głębokie odczuwanie jego powierzchowności. Jak wspaniały rysunek czegoś brzydkiego. Zapomina się o brzydocie. Wiem, że moralnie i psychicznie Piers jest brzydki – zwyczajny, nudny i sztuczny.

Ale nawet pod tym względem się zmieniłam.

Myślę o tym, jak G.P. trzyma mnie w ramionach i pieści.

Istnieje we mnie rodzaj niedobrej, perwersyjnej ciekawości, chodzi mi o te wszystkie kobiety, które miał, i to wszystko, co musi wiedzieć o łóżku.

Potrafię sobie wyobrazić, jak się ze mną kocha, i nie napawa mnie to obrzydzeniem. Bardzo umiejętnie i delikatnie. Zabawnie. Wszystko, tylko nie to. Jeżeli ma być na całe życie.

Są jeszcze jego słabości. Świadomość, że prawdopodobnie zdradziłby mnie. Zawsze myślałam o małżeństwie jako o przygodzie młodości, w której dwoje ludzi w tym samym wieku zamieszkuje razem, razem dokonuje odkryć, razem dojrzewa. A ja nie miałabym mu nic do powiedzenia, nic do pokazania. Cała pomoc pochodziłaby od niego.

Widziałam tak niewiele świata. Wiem, że pod wieloma względami G.P. przedstawia teraz rodzaj ideału. Jego wyczucie tego, co się liczy, jego niezależność, odmowa postępowania tak jak inni. Jego odrębność. To musi być ktoś o takich cechach. A nikt ze znanych mi osób nie ma ich w takim stopniu jak on. Ludzie w szkole Slade'a wydają się mieć – ale są tacy młodzi. W naszym wieku łatwo jest być szczerym i nie przejmować się konwencjami.

Raz czy dwa zastanawiałam się, czy to wszystko nie była pułapka. Jak poświęcenie w szachach. A gdybym wtedy powiedziała na schodach: „Rób ze mną, co chcesz, tylko mnie nie wypędzaj?” Nie,

o to go nie posądzam.

Upływ czasu. Dwa lata temu nie śniłoby mi się, że zakocham się w starszym

mężczyźnie. W Ladymont zawsze optowałam za rówieśnikami. Pamiętam, że należałam do najbardziej zde gustowanych, kiedy Susan Grillet wyszła za baroneta, niemal trzykrotnie od niej starszego. Często rozmawiałyśmy z Minny o tym, żeby wystrzegać się poszukiwania „ojca” (z powodu M.) i nie wychodzić za męża-ojca. Już tak nie uważam. Myślę, że potrzebny mi jest mężczyzna starszy, ponieważ wydaje się, że wszystkich poznanych chłopców potrafię od razu przejrzeć na wylot. Nie mam zresztą wrażenia, że G.P. to ojciec-mąż.

To nie ma sensu. Mogłabym przez całą noc pisać argumenty za i przeciw.

Emma. Problem znalezienia się pomiędzy niedoświadczoną dziewczyną a doświadczoną kobietą i straszna sytuacja mężczyzny. Kaliban to pan Elton, Pierś – Frank Churchill. Ale czy G.P. to pan Knightley?

Oczywiście G.P. żyje tak i ma takie poglądy, które sprawiłyby, że pan Knightley przewróciłby się w grobie. Ale pan Knightley nigdy nie potrafiłby być fałszywy. Ponieważ nienawidził sztuczności, egoizmu, snobizmu.

I obaj mają jedyne męskie imię, którego nie mogę znieść. George. Może w tym kryje się jakiś morał.

18 listopada

Nic nie jadłam przez pięć dni. Wypiłam trochę wody. On przynosi mi jedzenie, ale nie tknęłam nawet okruszynki.

Jutro znowu zacznę jeść.

Mniej więcej przed półgodziną wstałam i zrobiło mi się słabo. Musiałam znowu usiąść. Do tej pory nie byłam chora. Zwykle bóle żołądka i ogólny brak sił. Ale to było czymś innym. Ostrzeżeniem.

Nie zamierzam umrzeć dla niego.

Nie potrzebowałam jedzenia. Wypełniona byłam nienawiścią do niego i jego podłości.

Jego nędznego tchórzostwa. Jego egoizmu. Jego kalibanizmu.

19 listopada

Przez cały ten czas nie miałam ochoty pisać. Tylko chwilami. Potem wydało mi się to słabością. Jakby akceptowaniem sytuacji. Wiedziałam, że jak tylko to zapiszę,

przestanę się wściekać. Ale teraz wydaje mi się, że to trzeba zapisać. Zarejestrować. On mi to zrobił.

Obelga.

Zniknęła ta odrobina przyjaźni, ludzkości, dobroduszości, jaka istniała między nami.

Od tej pory jesteśmy wrogami. Obydwoje. On powiedział rzeczy świadczące o tym, że t e ż mnie nienawidzi.

Czuje urazę z powodu mojego istnienia. Dokładnie tak.

Jeszcze sobie w pełni z tego nie zdaje sprawy, ponieważ aktualnie usiłuje być dla mnie miły. Ale to jest znacznie bliższe. Wkrótce obudzi się i powie sobie – nienawidzę jej.

Coś straszного.

Kiedy przyszłam do siebie po chloroformie, znajdowałam się w łóżku. Miałam na sobie bieliznę, ale z reszty musiał mnie rozebrać.

Tej pierwszej nocy byłam wściekła. Oszalała z obrzydzenia. Jego ohydne, zachłanne ręce dotykające mnie. Zdejmujące mi pończochy. Ohydne.

A potem pomyślałam o tym, co mógłby zrobić. I nie zrobił. Postanowiłam nie rzucać się na niego.

Jednak milczenie.

Krzyczenie na kogoś oznacza, że istnieje jeszcze jakiś kontakt.

Od tego czasu myślałam o dwu rzeczach.

Po pierwsze: wystarczająco dziwaczne jest bezmyślne rozebranie mnie, zgodne z jakimś szalonym poczuciem „odpowiedniego” postępowania. Czyżby sądził, że nie mogę leżeć w łóżku w ubraniu?

A może był to rodzaj przypomnienia. O tym wszystkim, co mógł zrobić, ale nie potrafił. O jego rycerskości. Przyjmuję to. Miałam szczęście. Ale nawet to, że nic nie zrobił, wydaje mi się przerażające. Kim on jest?

Teraz między nami powstała wielka szczelina. Nigdy nie da się jej przekroczyć.

Twierdzi, że uwolni mnie za następne cztery tygodnie. Zwykle gadanie. Nie wierzę mu. Więc go ostrzegłam, że będę próbowała go zabić. Zrobiłabym to. Bez zastanowienia.

Widzę teraz, jak bardzo się myliłam. Jak byłam ślepa.

Prostituowałam się wobec Kalibana. To znaczy, pozwoliłam mu wydawać na siebie te wszystkie pieniądze i chociaż mówiłam sobie, że to sprawiedliwe, nie była to

prawda. Ponieważ w jakimś sensie odczuwałam wdzięczność, byłam dla niego miła. Nawet nabijałam się z niego w przyjemny sposób, nawet opluwałam go i wykpiwałam dobrodusznie. Nawet wtedy, kiedy tłukłam przedmioty. Ponieważ oznaczało to zwracanie na niego uwagi. A powinnam przyjąć taką postawę, jaką zamierzam przyjąć od tej chwili – lodowaty chłód.

Zamrozić go na śmierć.

Pod każdym względem stoi niżej ode mnie. Jego jedyna wyższość polega na możliwości trzymania mnie tutaj. To jest jego jedyna siła. Nie potrafi zachować się, wyrażać, myśleć ani robić czegokolwiek lepiej ode mnie ani nawet niemal tak dobrze jak ja – będzie więc Starcem z Morza, dopóki go w jakiś sposób nie strząsnę.

Trzeba będzie użyć siły.

Siedzę tutaj i rozmyślam o Bogu. Nie wydaje mi się, żebym jeszcze wierzyła w Boga. Nie chodzi tylko o mnie, myślę o milionach, które musiały żyć w podobny sposób podczas wojny. Wszystkie Anny Frank. I wcześniej. Teraz chyba już w i e m, że Bóg nie interweniuje. Pozwala nam cierpieć. Jeśli modlisz się o wolność, możesz doznać ulgi, ponieważ się modlisz, albo w wyniku niezależnych wydarzeń, które i tak przyniosłyby ci wolność. Ale Bóg nie słyszy. Nie ma w Nim nic ludzkiego, jak słuchanie, patrzanie, odczuwanie litości czy udzielanie pomocy. Może Bóg stworzył świat i podstawowe prawa materii i ewolucji. Ale nie troszczy się o jednostki. Zaplanował to tak, że niektóre jednostki są szczęśliwe, inne smutne, niektórym się udaje, innym nie. On nie ma pojęcia, kto jest smutny, a kto nie jest, i wcale Go to nie obchodzi. Więc naprawdę On nie istnieje.

Przez tych ostatnich kilka dni czułam się jak osoba bez Boga. Bardziej czysta, mniej skolowana, mniej ślepa. Dalej wierzę w Boga. Ale jest tak odległy, tak zimny, tak matematyczny. Widzę, że musimy tak żyć, jakby Boga nie było. Modlitwa i nabożeństwa, i śpiewanie hymnów – to wszystko głupie i bezużyteczne.

Usiłuję wytłumaczyć, dlaczego zrywam ze swoimi zasadami (o nieużywaniu przemocy). Ciągłe wyznaję tę zasadę, ale widzę, że czasami trzeba odstępować od zasad, żeby przeżyć. Na nic się nie zda ufanie własnemu szczęściu, opatrności czy dobroci Boga, trzeba działać i walczyć o siebie.

Niebo jest absolutnie puste. Wspaniale czyste i puste.

Jakby architekci i budowniczowie mieszkali w tych wszystkich domach, które wybudowali. Czy choćby mogli mieszkać w nich wszystkich. To oczywiste, rzuca się w oczy. Bóg musi istnieć, ale nie może nic o nas wiedzieć.

(Tego samego wieczoru.) Przez cały dzień byłam bardzo nieprzyjemna dla niego. Wielokrotnie próbował rozmawiać, ale nie dopuszczałam do tego. Czy chcę, żeby mi coś przyniósł? Powiedziałam: „Nic nie chcę. Jestem twoim więźniem. Jeśli przyniesiesz mi pożywienie, zjem je, żeby nie umrzeć. Od tej pory stosunki między nami ograniczają się wyłącznie do relacji więzień-strażnik. A teraz proszę, zostaw mnie samą”.

Na szczęście mam mnóstwo do czytania. On będzie nadal przynosił mi papierosy (jeśli tego nie zrobi, nie poproszę) i jedzenie. To wszystko, czego chcę od niego.

On nie ma ludzkich cech, to nicość przebrana za człowieka.

20 listopada

Zachowuję się tak, żeby pożałował, że mnie w ogóle kiedykolwiek zobaczył. Na obiad przyniósł fasolkę. Czytałam w łóżku.

Stał przez chwilę, a potem zabrał się do wychodzenia. Podbiegłam do stołu, chwyciłam talerz i cisnęłam w niego. Wie, że nie lubię fasolki po bretońsku, pewnie nic mu się nie chciało zrobić. Nie byłam zła, udawałam. Stał tak, a po tym jego zawsze tak czyściutkim ubraniu spływał ohydny sos. Miał głupią minę. „Nie chcę żadnego obiadu” – warknęłam. I odwróciłam się.

Całe popołudnie jadłam czekoladki. Pojawił się dopiero w porze kolacji. Przyniósł kawior, wędzonego łososia i zimnego kurczaka (kupuje je gdzieś już upieczone) – wszystko to, co lubię – i jeszcze z tuzin innych rzeczy, które lubię, przebiegły brutal, bydlak. Przebiegłość nie polega na tym, że to kupuje, ale na tym, że ja nie mogę się powstrzymać od uczucia wdzięczności (nie powiedziałam wyraźnie, że jestem wdzięczna, ale nie byłam opryskliwa); chodzi o to, że on podaje to wszystko z taką usłużnością, z miną mówiącą proszę-mi-nie-dziękować, nie-zasluguję-na-to. Kiedy ustawiał kolację na stole, miałam przemożną ochotę zachichotać. Straszne. Chciałam rzucić się na łóżko i krzyżeć. Był tak doskonale sobą. A ja jestem taka zniewolona.

Tutaj na dole moje nastroje zmieniają się szybko. W jednej chwili jestem zdecydowana postępować tak, w następnej inaczej.

To bez sensu. Nienawiść nie leży w mojej naturze. Jakby gdzieś we mnie wytwarzała się codziennie pewna ilość dobrej woli i łagodności, która musi wydostać

się na zewnątrz. Jeśli trzymam to w ukryciu, wybucha.

Byłam dla niego miła, nie chcę być dla niego miła, nie będę dla niego miła. Ale trudno mi przychodzi nienormalne zachowanie wobec niego (chodzi mi o drobiazgi typu „to było dobre jedzenie”). Jednak nie powiedziałam nic. Kiedy zapytał: „Czy to wszystko” (jak kamerdyner), odpowiedziałam: „Tak, możesz już odejść” – i odwróciłam się tyłem. Gdyby mógł zobaczyć moją twarz, doznałby szoku. Uśmiechałam się, a kiedy zamknął drzwi, wybuchnęłam śmiechem. Nic nie mogłam na to poradzić. Histeria.

Ostatnie dni bardzo dużo przyglądałam się sobie w lustrze. Czasami nie wydaję się sobie rzeczywista, nagle nie mogę uwierzyć, że w odległości jednej czy dwóch stóp widzę swoje własne odbicie. Muszę spojrzeć w bok. Przyglądam się dokładnie swojej twarzy, oczom, próbuję odczytać, co wyraża mój wzrok. Kim jestem. Dlaczego jestem tutaj.

To wszystko przez tę samotność. Muszę popatrzeć na inteligentną twarz. Zrozumie to każdy, kto przebywał w podobnym zamknięciu. Człowiek staje się realny dla siebie samego w bardzo dziwny sposób. Jak nigdy przedtem. W normalnym życiu tak wiele daje się zwykłym ludziom, tak wiele się poskramia. Patrę na swoją twarz i na jej poruszenia, jakby należała do kogoś innego. Patrzeniem wypędzam siebie.

Siedzę razem z sobą.

Czasami przechodzi to w rodzaj transu i muszę wywalić język lub zmarszczyć nos, żeby się z tego wydobyć.

Siedzę tutaj z własnym odbiciem w absolutnej ciszy, w dziwnym rodzaju misterium.

W transie.

27 listopada

Jest środek nocy. Nie mogę spać. Nienawidzę siebie.

Dzisiaj o mało nie stałam się morderczynią. Już nigdy nie będę taka jak przedtem.

Trudno mi pisać. Mam związane ręce. Udało mi się wyjąć knebel.

Wszystko zaczęło się przy obiedzie. Uświadomiłam sobie, że muszę staczać wewnętrzną walkę, żeby nie być dla niego miła.

Ponieważ czuję, że muszę z kimś rozmawiać. Nawet z nim. Przynajmniej jest

ludzką istotą. Kiedy wyszedł po obiedzie, miałam ochotę zawołać, żeby wrócił porozmawiać. Czułam zupełnie co innego, niż postanowiłam przed dwoma dniami. Podjęłam więc nową decyzję. Nigdy nie uda mi się uderzyć go tutaj w piwnicy. Tak długo obserwowałam go z myślą o tym. Nigdy nie odwraca się do mnie plecami. Poza tym nie ma tu żadnego narzędzia. Pomyślałam więc, że muszę pójść na górę i coś znaleźć. Jakies narzędzie. Miałam kilka pomysłów.

W przeciwnym razie bowiem obawiałam się, że wpadnę w starą pułapkę i zacznę się nad nim litować.

Więc przy kolacji byłam trochę sympatyczniejsza i powiedziałam, że muszę się wykąpać (co było prawdą). On wyszedł, wrócił i poszliśmy na górę. A tam, to wydawało się jak znak specjalnie zostawiony dla mnie, leżała niewielka siekierka. Na parapecie kuchennego okna, które jest obok drzwi. Musiał rąbać drewno w ogrodzie i zapomniał ją schować. Ponieważ ja zawsze siedzę na dole.

Za szybko weszliśmy do wnętrza, żebym zdążyła cokolwiek zrobić.

Leżałam w wannie i rozmyślałam. Zdecydowałam, że muszę to zrobić. Muszę schwycić siekierę i trzasnąć go tępym końcem, żeby stracił przytomność. Nie miałam najmniejszego pojęcia, ani w jaką część głowy najlepiej uderzyć, ani jak mocno.

Potem poprosiłam, żebyśmy wracali prosto na dół. Kiedy przechodziliśmy przez drzwi z kuchni, upuściłam talk i inne drobiazgi i odsunęłam się w stronę kuchennego parapetu, obserwując jednocześnie jego ruchy. Zrobił dokładnie to, co chciałam, pochylił się, żeby wszystko pozbierać. Nie byłam zdenerwowana, spokojnie wzięłam siekierę, nie próbowałam ostrza, widziałam tępy brzeg.

I wtedy... jakbym obudziła się ze złego snu. Musiałam go uderzyć i nie mogłam – ale musiałam.

Zaczął się prostować (naprawdę wszystko to zdarzyło się w ułamku sekundy) i uderzyłam go. Ale właśnie się obracał i nie uderzyłam prosto. A może niezbyt mocno, chodzi o to, że w ostatniej chwili wycelowałam siekierę w kompletnej panice. Upadł na bok, ale wiedziałam, że nie stracił przytomności, ciągle mnie trzymał. Nagle zrozumiałam, że muszę go zabić, bo w przeciwnym razie on zabije mnie. Uderzyłam go jeszcze raz, ale zdążył podnieść rękę, w tym samym momencie kopnął mnie i przewrócił.

To było zbyt straszne. Dyszeliśmy, szarpiąc się jak zwierzęta. I nagle uświadomiłam sobie, że to – sama nie wiem – niegodne. To brzmi absurdalnie, ale tak było. Jak posąg leżący na boku. Jak otyła kobieta usiłująca się podnieść z

trawnika. Wstaliśmy, popchnął mnie brutalnie w stronę drzwi, trzymał mnie przy tym mocno. Ale to było wszystko. Miałam dziwne wrażenie, że w nim ta cała scena również wzbudziła niesmak.

Myślałam, że może ktoś mógł nas usłyszeć, chociaż nie mogłam krzyknąć. Ale było wietrznie. Mokro i zimno. Nikt nie spędzałby czasu na zewnątrz.

Leżałam na łóżku. Wkrótce przestałam płakać. Godzinami leżałam w ciemności i rozmyślałam.

22 listopada

Wstyd. Podle się zawiodłam na sobie.

Podjęłam wiele decyzji. Przemyśleń.

Przemoc i siła są złe. Jeśli posłużę się przemocą, niżę się do jego poziomu. To oznacza, że nie wierzę w siłę rozumu, współczucia i człowieczeństwa. Że robię z ludzi brzydkie kaczątka tylko dlatego, że mi to pochlebia, nie dlatego, że potrzebują mojego współczucia. Wróciłam myślami do Ladymont, do ludzi, którym wtedy patronowałam. Sally Margison. Opiekowałam się nią jak brzydkim kaczątkiem, żeby pokazać dziewczynom westalskim, że jestem od nich mądrzejsza. Że potrafię ją skłonić do tego, do czego one nigdy by jej nakłonić nie potrafiły. Donald i Pierś (ponieważ w pewnym sensie ich też tak traktowałam), ale oni obaj są przystojnymi młodymi mężczyznami. Były pewnie setki innych ludzi, którzy potrzebowali mojej opieki i współczucia znacznie bardziej niż ci dwaj. A zresztą większość dziewcząt z ochotą wykorzystalaby okazję do matkowania takim brzydkim kaczątkom.

Zbyt wcześnie zrezygnowałam w przypadku Kalibana. Muszę przyjąć wobec niego nową postawę. Pomysł więzień-strażnik był głupi. Nie będę już go opluwać. Kiedy mnie zirytuje, nie odezwę się. Będę go traktowała jak kogoś, kto potrzebuje całego mojego współczucia i zrozumienia. Postaram się w dalszym ciągu uczyć go różnych rzeczy o sztuce. I innych.

Jest tylko jeden sposób postępowania. Właściwy. Nie w tym sensie, w jakim używano tego słowa w Ladymont. Chodzi o sposób, który odczuwa się jako właściwy. Mój własny, właściwy sposób.

Jestem osobą moralną. Nie wstydzę się tego. Nie pozwolę, żeby Kaliban zrobił ze mnie osobę niemoralną, mimo że zasługuje na moją nienawiść i rozgoryczenie, a także na to, by wylądowała mu na głowie siekiera.

(Później.) Byłam dla niego miła. To znaczy, nie taka jędza jak ostatnio. Jak tylko przyszedł, zmusiłam go, żeby mi pozwolił obejrzeć skaleczenie, które przemyłam Dettolem. Był zdenerwowany. Moja bliskość go denerwuje. Nie ufa mi. Właśnie do takiego stanu nie powinnam była go doprowadzać.

Jednak nie jest to łatwe. Kiedy jestem dla niego okropna, przybiera minę takiego nieszczęśnika, że zaczynam czuć nienawiść do siebie. Ale jak tylko robię się dla niego miła, jego głos i maniery przepaja rodzaj samozadowolenia (zachowuje się bardzo dyskretnie, dziś przez cały dzień był uosobieniem pokory, oczywiście żadnych wyrzutów z powodu wczorajszego wieczoru), który budzi chęć, by zacząć go drażnić i znowu trzepnąć w łeb.

Balansowanie na linie.

Ale atmosfera się oczyściła.

(Noc.) Po kolacji usiłowałam go nauczyć, czego należy szukać w sztuce abstrakcyjnej. To beznadziejne. W jego nieszczęsnej makówce utwierdziło się przekonanie, że sztuka polega na dłubaniu (nie może zrozumieć, dlaczego ja „nie wycieram”), aż dojdzie się do uroczego fotograficznego podobieństwa, a tworzenie chłodnych, cudownych kompozycji (Ben Nicholson) uważa w jakiś sposób za nienormalne. Widzę, że to się układa w przyjemny wzór, powiada. Nie przyzna jednak, że sztuka polega na „układaniu przyjemnych wzorów”. U niego pewne słowa mają bardzo silne podteksty. Wszystko, co wiąże się ze sztuką, żenuje go (i prawdopodobnie fascynuje). Jest trochę niemoralne. Wie, że wielka sztuka jest wielka, ale „wielkość” oznacza, że jest zamknięta w muzeach i mówi się o niej tylko po to, żeby się popisać. Żywa sztuka, współczesna sztuka szokuje go. Nie można z nim o tym rozmawiać, ponieważ samo słowo „sztuka” wywołuje u niego cały ciąg skojarzeń gorszących i przepojonych poczuciem winy.

Chciałabym wiedzieć, czy istnieje wielu ludzi takich jak on. Wiem oczywiście, że znaczna większość – zwłaszcza Nowi Ludzie – nie dba w najmniejszym stopniu o żadną ze sztuk. Czy dzieje się tak dlatego, że są do niego podobni? Czy dlatego, że jest im wszystko jedno? Chodzi mi o to, czy to ich naprawdę nudzi (tak że wcale tego w życiu nie potrzebują), czy też w gruncie rzeczy szokuje ich i przestrasza, muszą więc udawać, że ich nudzi?

23 listopada

Skończyłam właśnie Z soboty na niedzielę. Zaszokowało mnie. Zaszokowało mnie samo w sobie, a także z powodu tego, gdzie się znajduje.

Zaszokowało mnie w ten sam sposób jak Miejsce na górze, kiedy przeczytałam tę książkę w zeszłym roku. Ja wiem, że to bardzo mądre, musi być cudownie umieć tak pisać jak Alan Sillitoe. Prawdziwie, bez udawania. Mówić, co się myśli. Jako malarz byłby wspaniały (jak John Bratby, ale o wiele lepszy), potrafiłby uchwycić Nottingham i na obrazie byłoby to wspaniałe. Ale nie wystarczy dobrze pisać (to znaczy dobierać właściwe słowa i w ogóle), żeby być dobrym pisarzem. Ponieważ Z soboty na niedzielę wydaje się napawać mnie niesmakiem. Uważam, że Arthur Seaton budzi niesmak.

A najbardziej niesmaczne w tym wszystkim wydaje mi się, że Alan Sillitoe nie pokazuje, że sam czuje niesmak do tego młodego człowieka. Jakby podobni młodzieńcy byli w istocie wspaniali.

Nienawidzę tego, że Arthur Seaton po prostu nie przejmuje się niczym poza swoim nędznym życiem. Jest mały, ograniczony, samolubny, brutalny. Ponieważ jest bezczelny, nienawidzi swojej pracy i ma powodzenie u kobiet, uchodzi za niesłychanie żywotnego.

Jedyna rzecz, jaka mi się w nim podoba, to przeświadczenie, że kryje się w nim coś, co można by obrócić na dobre, gdyby udało się do tego dotrzeć.

Oderwanie tego typu ludzi. Nie przywiązujących wagi do tego, co się dzieje gdziekolwiek indziej na świecie. W życiu.

Ich zamkniecie w pudełku.

Może Alan Sillitoe chciał zaatakować społeczeństwo, które produkuje podobnych ludzi. Ale nie stawia tego jasno. Wiem, co mu się przydarzyło: zakochał się w tym, co maluje. Zaczął malować to w całej naturalnej brzydocie i wtedy ta brzydota go zdobyła, i zaczął próby oszustwa. Upiększania.

Zaszokowało mnie to także ze względu na Kalibana. Widzę, że jest w nim coś z Arthura Seaton, tylko że wywrócone do góry nogami. Ma tę nienawiść do rzeczy i ludzi innych od siebie. Ma to samolubstwo – to nie jest nawet uczciwy egoizm, ponieważ obarcza winą życie, a potem ze spokojnym sumieniem rozkoszuje się swoim egoizmem. I też jest uparty.

Zaszokowało mnie to także dlatego, że uważam, że teraz wszyscy prócz nas (a i my jesteśmy narażeni) mają owo samolubstwo i brutalność, bez względu na to, czy są to cechy ukryte, szare i perwersyjne, czy oczywiste i prymitywne. Religia jest

właściwie martwa, nic nie może powstrzymać Nowych Ludzi, będą coraz bardziej rośli w siłę.

Nie, nie uda im się. Z powodu Davida. Z powodu takich ludzi jak Alan Sillitoe (na okładce napisano, że jest synem robotnika). Inteligentni Nowi Ludzie zawsze będą się buntować i przechodzić na naszą stronę. Nowi Ludzie sami się unicestwią, ponieważ są głupi. Nigdy nie potrafią zatrzymać przy sobie tych inteligentnych. Zwłaszcza młodych. Chcemy czegoś więcej niż pieniądze i dorównywanie sąsiadom.

Ale jest batalia. To jest przebywanie w oblężonym mieście. Oni są wszędzie. A my musimy stawiać opór.

Pomiędzy mną a Kalibanem toczy się bitwa. On należy do Nowych Ludzi, a ja do Nielicznych.

Muszę walczyć własną bronią. Nie jego. Nie za pomocą samolubstwa, brutalności, wstydu i niechęci.

On jest gorszy od Arthura Seatona.

Gdyby Arthur Seaton zobaczył współczesną rzeźbę, która mu się nie podoba, rozwaliby ją. A Kaliban zasłoniłby ją brezentem. Nie wiem, co jest gorsze. Chyba jednak metoda Kalibana.

24 listopada

Rozpaczliwie pragnę uciec. Nie mogę znaleźć żadnej ulgi w rysowaniu, słuchaniu płyt czy lekturze. Pałaca, pałaca potrzeba (muszą ją znać wszyscy więźniowie) znalezienia się w towarzystwie innych ludzi. W najlepszych momentach Kaliban jest tylko półczłowiekiem. Chciałabym zobaczyć tuziny nie znanych twarzy. Jak przy ogromnym pragnieniu wypijać kolejne szklanki wody. Dokładnie tak. Czytałam gdzieś, że nikt nie może wytrzymać więcej niż dziesięć lat w więzieniu czy więcej niż rok w odosobnieniu.

Z zewnątrz nie można sobie wyobrazić, jak to jest w więzieniu. Myśli się, że jest tam dużo czasu na myślenie i czytanie, wobec tego nie jest aż tak źle. Ale jest tak źle. Ten wolny przepływ czasu. Przysięgłabym, że wszystkie zegary na świecie chodzą o całe stulecia wolniej, odkąd się tu znalazłam.

Nie powinnam się skarżyć. To jest luksusowe więzienie.

I ten jego diabelski spryt, jeśli chodzi o gazety, radio i tak dalej, i tak dalej. Nigdy nie czytałam zbyt dokładnie gazet ani nie słuchałam wiadomości. Ale żeby być

tak całkowicie odcięta! To bardzo dziwne uczucie. Jakbym straciła orientację.

Spędzam całe godziny, leżąc na łóżku i obmyślając sposoby ucieczki. Bez końca.

25 listopada

(Popołudnie.) Dziś rano odbyłam z nim rozmowę. Kazałam mu pozować. I wtedy zapytałam, czego się naprawdę po mnie spodziewa. Czy mam zostać jego kochanką? Ale to go zgorszyło. Zaczerwienił się i powiedział, że to może sobie kupić w Londynie.

Powiedziałam, że jest jak chińskie pudełeczko. I to prawda.

Najmniejsze pudełeczko na dnie mówi, że powinnam go kochać. Ciałem i duszą. Szanować i miłować. To tak absolutnie niemożliwe; nawet gdyby udało mi się przełamać fizyczną odrazę, jak mogłabym kiedykolwiek patrzeć na niego inaczej niż tylko z góry?

Waląc jego głową o ścianę.

Nie chcę umrzeć. Czuję się bardzo wytrzymała. Zawsze będę chciała przeżyć. Przeżyję.

26 listopada

Jedyna niezwykła rzecz u niego – jak mnie kocha. Zwykli Nowi Ludzie nie potrafiliby kochać niczego tak, jak on mnie kocha. To znaczy ślepo. Absolutnie. Jak Dante Beatrycze.

Jemu sprawia przyjemność, że jest we mnie beznadziejnie zakochany. Myślę, że Dante był taki sam. Snujący się ze świadomością, że to wszystko zupełnie beznadziejne, i czerpiący z tego doświadczenia mnóstwo wspaniałego materiału twórczego.

Ale naturalnie Kaliban może zaczerpnąć jedynie swoją własną nędzną przyjemność.

Ludzie, którzy niczego nie stwarzają. Nienawidzę ich.

Jak bardzo bałam się śmierci przez te pierwsze dni. Nie chcę umierać, bo nie przestaję myśleć o przyszłości. Jestem rozpaczliwie ciekawa, co mi życie przyniesie. Co mi się przydarzy, jak się rozwinę, jaka będę za pięć lat, za dziesięć, za trzydzieści.

Jakiego mężczyznę poślubię, gdzie będę mieszkać, gdzie pojedę. To płynie nie tylko z egoistycznej ciekawości. To najgorszy możliwy moment w historii na umieranie. Podróże kosmiczne, nauka, cały świat się budzi i przeciąga. Zaczyna się nowa era. Wiem, że to niebezpieczne. Ale tak cudownie żyć w tym okresie. Kocham, uwielbiam mój wiek.

Nachodziły mnie dziś różne myśli. Oto jedna z nich: ludzie nietwórczy z natury plus szansa tworzenia równa się źli ludzie.

I inna: zabicie go byłoby zdradą tego, w co wierzę. Niektórzy powiedzieliby, jesteś tylko kroplą, złamanie twojego słowa jest tylko kroplą, nie ma znaczenia. Ale całe zło świata składa się z małych kropli. Głupio jest mówić, że nieważne są małe krople. Małe krople i ocean to to samo.

Śniłam na jawie (nie po raz pierwszy) o życiu z G.P. On mnie zdradza, porzuca, jest wobec mnie brutalny i cyniczny. Jestem w rozpacz. W tych marzeniach niewiele jest seksu, po prostu mieszkamy razem. W raczej romantycznym otoczeniu. Pomocne krajobrazy morza i wysp. Białe domki. Czasami nad Morzem Śródziemnym. Jesteśmy razem, bardzo bliscy duchem. Naprawdę przypomina to zdjęcia z idiotycznych magazynów, bardzo szczegółowe. Ale istnieje ta bliskość duchowa. To jest realne. I sytuacje, które sobie wyobraża (w których mnie porzuca), też są realne. Myślenie o nich mnie zabija.

Czasami niewiele mi brakuje do kompletnej rozpacz. Nikt nie wie, że ja jeszcze żyję. Teraz już uznano mnie za zmarłą, już się z tym pogodzono. To sytuacja realna. I są także przyszłe sytuacje, siedzę tutaj na łóżku i myślę o mojej najgłębszej miłości do pewnego mężczyzny, wiem, że nie potrafię sprawy takiej jak miłość potraktować połowicznie, wiem, że gromadzi się we mnie miłość, rzucę się, stracę serce i ciało, i umysł, i duszę dla jakiegoś łobuza typu G.P.

Który mnie zdradzi. Czuję to. W moich marzeniach o życiu z nim wszystko jest na początku czułe i rozumne, ale wiem, że nie taka byłaby rzeczywistość. Byłaby to namiętność i przemoc. Zazdrość. Rozpacz. Gorycz. Coś zostałoby we mnie zabite. On też zostałby skrzywdzony.

Gdyby mnie naprawdę kochał, nie mógłby mnie odesłać.

Gdyby mnie naprawdę kochał, odesłałby mnie.

27 listopada

Północ.

Nigdy nie ucieknę. To mnie doprowadza do szaleństwa. Muszę, muszę, muszę coś zrobić. Czuję się tak, jakbym się znajdowała w sercu ziemi. Ciężar całej ziemi naciska na tę małą skrzynkę. Robi się coraz mniejsza, mniejsza, mniejsza. Czuję, jak się kurczy.

Czasami mam ochotę krzyknąć. Aż rozboli mnie gardło. Aż umrę.

Nie mogę tego opisać. Nie ma takich słów.

Kompletna rozpacz.

Czułam się tak przez cały dzień. Rodzaj nie kończącej się paniki w zwolnionym tempie.

Co on mógł myśleć, kiedy mnie tu sprowadził?

Coś się pokrzyżowało w jego planach. Nie zachowuję się jak dziewczyna z jego marzeń. Jestem jego kotem w worku.

Czy dlatego mnie przetrzymuje? Spodziewa się, że pojawi się ta wymarzona Miranda?

Może powinnam się stać jego wymarzoną dziewczyną. Otoczyć go ramionami i pocałować. Chwalić go, poklepywać i głaskać. Całować.

Nie to miałam na myśli. Ale to mnie skłoniło do myślenia. Może rzeczywiście powinnam go pocałować. Więcej niż pocałować. Wyzwolić Uroczego Księcia.

Myślę długie godziny przed napisaniem każdego zdania.

Muszę go przekonać, że w końcu wzruszyła mnie jego rycerskość i tak dalej, i tak dalej.

To jest niezwykle...

Będzie musiał działać.

Jestem pewna, że mogę to zrobić. Przynajmniej jest maniakalnie czysty. Zawsze pachnie tylko mydłem.

Muszę się przespać z tym pomysłem.

28 listopada

Dzisiaj powzięłam niezwyklej wagi decyzję.

Wyobraziłam sobie, że idę z nim do łóżka.

Nie ma sensu tylko go całować. Muszę wywołać u niego tak straszliwy szok, że gotów będzie mnie wypuścić. Ponieważ dość trudno jest więzić kogoś, kto oddał się z

własnej woli.

Znajdę się w jego mocy. Nawet nie będę mogła pójść na policję. Będę jedynie chciała to zatuszować.

To takie oczywiste. Rzuca się w oczy.

Jak prawdziwe poświęcenie w szachach.

Jak rysowanie. Nie można drzeć nad kreską. Kreska to śmiałość.

Przemyślałam wszystkie fakty związane z seksem. Żałuję, że nie wiem troszkę więcej o mężczyznach. Chciałabym mieć absolutną pewność, nie opierać się na rzeczach zasłyszanych, przeczytanych, na pół zrozumianych. Ale pozwolę mu zrobić to, co Piers chciał zrobić w Hiszpanii, a co nazywają szkocką miłością. Jeśli zechce, może się ze mną położyć do łóżka. Może mnie pieścić, jeśli chce. Ale nie to ostateczne. Powiem mu, że to mój czas w miesiącu, gdyby próbował posunąć się za daleko. Ale myślę, że będzie tak zaszokowany, że potrafię skłonić go, by zrobił to, co będę chciała. To znaczy, ja będę stroną uwodzącą. Wiem, że przy dziewięćdziesięciu dziewięciu mężczyznach na sto byłoby to straszliwe ryzyko, ale myślę, że on jest tym setnym. Zatrzyma się, kiedy mu powiem.

Nawet gdyby doszło do tego. Gdyby się nie zatrzymał. Gotowa jestem zaryzykować.

Są dwa problemy. Jeden to konieczność skłonienia go, żeby mnie wypuścił. A drugi to ja. Coś, co napisałam 7 listopada: „Kocham pełnię istnienia. Kocham wszystko, co nie ogranicza się do siedzenia i patrzenia”. Ale wcale nie istnieję w pełni. Właśnie siedzę i obserwuję. Nie tylko tutaj. Także z G.P.

Całe to gadanie westalskiej dziewicy o „oszczędzaniu siebie” dla odpowiedniego mężczyzny. Zawsze tym gardziłam. A jednak zawsze się wycofywałam.

Jestem skąpa, jeśli chodzi o moje ciało.

Muszę się pozbyć tego skąpstwa.

Pograżyłam się w jakiejś rozpacz. Mówię sobie, coś się stanie. Ale nic się nie stanie, jeśli ja tego nie sprowokuję.

Muszę działać.

Napisałam jeszcze (pisze się coś i wyskakują z tego implikacje – jakby nagle uświadomić sobie własną głuchotę): „Muszę walczyć własną bronią. Nie jego. Nie egoizmem i brutalnością, wstydem i niechęcią”.

A więc szczodrością (daję siebie) i łagodnością (całuję bestię), i brakiem wstydu (robię to, co robię, z własnej woli), i wybaczeniem (on nic nie może na to poradzić, to

silniejsze od niego).

Nawet dziecko. Jego dziecko. Wszystko. Za wolność.

Im więcej o tym myślę, tym większej pewności nabieram, że to jest sposób.

On ma jakąś tajemnicę. Musi mnie pożądać fizycznie.

A może nie jest „dobry”.

Cokolwiek to jest, – wyjdzie na jaw.

Będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

Ostatnio niewiele pisałam o G.P. Ale dużo o nim myślę. Pierwsza i ostatnia rzecz, na jaką patrzę codziennie, to jego obraz. Zaczynam nienawidzić tej nieznajomej dziewczyny, która służyła mu za modelkę. Musiał pójść z nią do łóżka. Może to była jego pierwsza żona. Zapytam go o to, kiedy stąd wyjdę.

Ponieważ pierwsza rzecz, jaką zrobię, pierwsza pozytywna rzecz, po spotkaniu z rodziną, to będzie wizyta u niego. Żeby mu powiedzieć, że zawsze pozostawał w moich myślach. Że jest najważniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Najbardziej realną. Że jestem zazdrosna o każdą kobietę, z którą kiedykolwiek spał. Dalej nie mogę powiedzieć, że go kocham. Ale teraz zaczynam rozumieć, z czego to wynika: po prostu nie wiem, czym jest miłość. Jestem Emmą z jej głupiutko-sprytnymi teoryjkami o miłości i małżeństwie, a miłość jest czymś, co pojawia się w odmiennym stroju, w odmienny sposób i z odmienną twarzą, i może dużo trzeba czasu, żeby ją zaakceptować, żeby móc nazwać ją miłością. Może on będzie oschły i oziębły, kiedy do tego dojdzie. Powie, że jestem za młoda, że nigdy nie traktował mnie naprawdę poważnie i – tysiąc innych rzeczy. Ale nie boję się. Zaryzykuje.

A może jest w połowie romansu z kimś innym.

Powiem: „Wróciłam, bo nie mam już pewności, że nie jestem w tobie zakochana”.

Powiem: „Stałam naga przed mężczyzną, którego nienawidzę. Dosięgłam dna”.

Pozwolę mu mnie mieć.

Ale dalej nie mogę znieść myśli, że wymyka się z kimś innym. Sprowadzając wszystko tylko do seksu. Gdyby tak zrobił, coś by we mnie zwiędło i umarło.

Wiem, że nie jestem bardzo wyemancypowana.

Ale tak czuję.

Seks nie ma znaczenia. Miłość ma.

Tego popołudnia chciałam poprosić Kalibana, żeby wysłał ode mnie list do G.P. Czyste szaleństwo. Oczywiście nie zrobiłby tego. Byłby zazdrosny. Tak bardzo tęsknię

za tymi schodami i drzwiami do pracowni, tak bardzo potrzebuję ujrzeć go znów przy stole, jak patrzy na mnie przez ramię, jakby w najmniejszym stopniu nie interesowało go, kto przyszedł. Stojącego tak z niedostrzegalnym prawie uśmiechem i rozumiejącego wszystko tak błyskawicznie.

To nie ma sensu. Myślę o cenie wcześniej niż o obrazie.

Jutro. Teraz muszę działać.

Dzisiaj naprawdę zaczęłam. Nazwałam go trzykrotnie Ferdynandem (nie Kalibanem) i pochwaliłam koszmarny nowy krawat. Uśmiechnęłam się do niego, starałam się robić taką minę, jakby wszystko mi się w nim podobało. Nie dał po sobie poznać, że w ogóle to zauważył.

Ale nawet się nie zorientuje, jaki go jutro trafi cios.

Nie mogę spać. Znowu wstałam i nastawiłam płytę z klawesynem G.P. Może on też jej słucha i myśli o mnie. Najbardziej lubię inwencję następującą po jego ulubionej, on lubi piątą, a ja szóstą. Więc jesteśmy obok siebie w nutach Bacha. Zawsze uważałam Bacha za nudziarza. Teraz mnie przytłacza, jest tak ludzki, tak pełen nastrojów, tak łagodny, tyle w nim pięknych melodii i rzeczy tak po prostu głębokich, że gram go ciągle od nowa, tak jak kiedyś kopiowałam rysunki, które mi się podobały.

Myślę, że może spróbuję go objąć i pocałować. Nic więcej. Ale jemu może się to spodobać. I tak się będzie ciągnęło. A to musi być szok.

Cała ta sprawa wiąże się z moją aktywną postawą wobec życia. Zawsze wiedziałam, dokąd idę, jaki rozwój wydarzeń by mi odpowiadał. I rozwijały się tak, jak chciałam, a ja uważałam to za normalne, ponieważ wiedziałam, dokąd zmierzam. Tymczasem w tyłu sprawach miałam po prostu szczęście.

Zawsze sama starałam się zapanować nad życiem, ale tym razem pozwoliłam życiu zapanować nade mną.

30 listopada

O Boże.

Zrobiłam coś strasznego.

Muszę to zapisać. Spojrzeć na to.

To zadziwiające. Że to zrobiłam. Że stało się, to, co się stało. Że on jest tym, kim jest. Że ja jestem tym, kim jestem. Że doszło do takiej sytuacji.

Gorzej niż kiedykolwiek przedtem.

Dziś rano postanowiłam, że to zrobię. Wiedziałam, że muszę zrobić coś niezwykłego. I sobie, i jemu dostarczyć szoku.

Ustaliłam, że wezmę kąpiel. Przez cały dzień byłam dla niego miła.

Wypiękniałam się po kąpieli. Litry Mitsuoko. Stałam przed kominkiem, wymachując na jego cześć bosymi stopami. Byłam zdenerwowana. Nie miałam pewności, czy potrafię przez to przejść. Ze związanymi rękami. Ale szybko wypiałam trzy kieliszki sherry.

Zamknęłam oczy i zabrałam się do roboty.

Skłoniłam go, żeby usiadł, i usiadłam mu na kolanach. Był tak sztywny, tak zaszokowany, że musiałam kontynuować. Gdyby mnie przycisnął, prawdopodobnie wycofałabym się. Zostawiłam mocno rozchyłony szlafrok, ale on dalej siedział sztywno ze mną na kolanach. Jakbyśmy nigdy przedtem się nie spotkali i brali udział w jakiejś idiotycznej zabawie na przyjęciu. Dwoje nieznajomych, którzy w dodatku nie czują do siebie sympatii.

W jakiś plugawy, perwersyjny sposób było to nawet ekscytujące. Tkwiąca we mnie kobieta próbowała dosięgnąć ukrytego w nim mężczyznę. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale miałam również wrażenie, że on nie wie, co robić. Że jest absolutnym prawiczkiem. Starsza dama z Cork, która zabrała na spacer młodego księdza. Musiałam być pijana.

Zmusiłam go, żeby mnie pocałował. Niezbyt przekonująco udawał, że obawia się stracić głowę. „Nie szkodzi”, powiedziałam. I znowu go pocałowałam. Wtedy oddał mi pocałunek, jakby chciał wepchnąć te swoje cholerne, wąskie, zaciśnięte usta prosto do mojego mózgu. Jego usta były słodkie. Pachniał czystością, zamknęłam oczy. Nie było najgorzej.

I wtedy niespodziewanie podszedł do okna i za nic nie chciał wrócić. Chciał uciec, ale nie mógł, więc stał przy biurku, na pół odwrócony, podczas gdy ja na wpół naga klęczałam przed kominkiem z rozpuszczonymi włosami, żeby moje intencje nie budziły wątpliwości. W końcu musiałam do niego podejść i przyprowadzić go do kominka. Skłoniłam go, żeby mi rozwiązał ręce, zachowywał się jak w transie, a potem rozebrałam go i sama się rozebrałam.

Powiedziałam: „Nie denerwuj się, ja tego chcę. Bądź naturalny”.

Ale nic z tego, nic z tego. Zrobiłam wszystko, co mogłam.

Ale nic się nie wydarzyło. On nie mógł odtajać. Raz przycisnął mnie mocno. Ale

nie było to naturalne. Rozpaczliwe naśladownictwo tego, co musiał uważać za prawdziwe. Żałośnie nieprzekonywujące.

On nie może tego zrobić.

Nie jest mężczyzną.

Wstałam z kanapy, na której leżeliśmy, uklękłam przy nim i powiedziałam, żeby się nie martwił. Jak matka. Z powrotem włożyliśmy ubrania.

I stopniowo wszystko wyszło na jaw. Prawda o nim. A potem jego prawdziwe ja.

Psychiatra powiedział mu, że nigdy nie będzie mógł tego zrobić.

On wyznał, że wyobrażał sobie nas leżących razem w łóżku. Po prostu leżących. Nic więcej. Zaproponowałam, żebyśmy to właśnie zrobili. Ale nie chciał. Gdzieś głęboko w nim obok bestii i rozgoryczenia tkwią olbrzymie pokłady niewinności. To nim kieruje. On musi tego strzec.

Powiedział, że mimo wszystko mnie kocha.

– To, co kochasz, to twoja własna miłość. To nie jest miłość, to egoizm. Nie myślisz o mnie, tylko o tym, co do mnie czujesz.

– Nie wiem, co to jest – powiedział.

I wtedy popełniłam błąd. Poczułam, że to wszystko okazało się daremnym poświęceniem, czułam, że muszę go skłonić, żeby docenił to, co zrobiłam, że powinien pozwolić mi odejść. I próbowałam mu to powiedzieć. Wtedy wyszło na jaw jego prawdziwe ja.

Zrobił się straszny. Nie chciał mi odpowiedzieć.

Byliśmy dalej od siebie niż kiedykolwiek. Powiedziałam, że mi go żal, a on się na mnie rzucił. To było straszne. Rozpłakałam się.

Ten straszliwy chłód, jego nieludzkość.

Być jego więźniem. Muszę tu zostać. W dalszym ciągu.

I wreszcie zdałam sobie sprawę, kim on jest.

Nie można tego zrozumieć. Czym on jest? Czego chce? Dlaczego jestem tutaj? Jeśli on nie może tego zrobić?

Tak jakbym próbowała rozpaścić w ciemności ogień, żeby nas ogrzać. I osiągnęłam tylko tyle, że w świetle ognia zobaczyłam jego prawdziwe oblicze.

Na końcu powiedziałam: – Trudno, żeby dzieliło nas więcej. Chociaż staliśmy naprzeciwko siebie nago.

A jednak dzieli nas odległość większa niż kiedykolwiek.

Teraz czuję się lepiej.

Cieszę się, że nie wydarzyło się nic gorszego. Byłam szalona, podejmując takie ryzyko.

Wystarczy, że udało się przeżyć.

1 grudnia

Był na dole, spacerowałam w zewnętrznej piwnicy i wszystko stało się jasne. Jest na mnie zły. Nigdy przedtem nie był zły w ten sposób. To nie jest chwilowe. To głęboki, powstrzymywany gniew. Jestem wściekła. Nikt nie potrafi zrozumieć, ile mnie kosztował wczorajszy dzień. Wysilek dawania, ryzykowania, zrozumienia. Stłumienia wszystkich naturalnych instynktów.

To on. I ta dziwaczna męska sprawa. Teraz już nie jestem miła. Dąsają się, kiedy się nie daje, a nienawidzą, kiedy się daje. Inteligentni mężczyźni muszą sobą pogardzać za taką postawę. Za jej nielogiczność.

Zgorzkniali mężczyźni i zranione kobiety. Oczywiście odkryłam jego tajemnicę. Nienawidzi tego. Bez przerwy o tym myślałam.

Od początku musiał wiedzieć, że nie będzie w stanie nic ze mną zrobić. A jednak ciągle mówił, że mnie kocha. To musi coś znaczyć.

Myślę, że to chyba jest tak. Nie może doznać ode mnie żadnej normalnej przyjemności. Jego przyjemność płynie z tego, że trzyma mnie uwięzioną. Myśli o wszystkich mężczyznach, którzy zazdrościliby mu, gdyby wiedzieli. Że mnie ma.

Więc śmieszne jest, że jestem dla niego miła. Chcę być tak nieprzyjemna, żeby nie mógł czerpać żadnej przyjemności z faktu trzymania mnie tutaj. Znowu zacznę głodówkę. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Dziwne pomysły.

Że po raz pierwszy w życiu zrobiłam coś oryginalnego. Coś, co mało kto zrobił. Zahartowałam się, kiedy byliśmy nadzy. Nauczyłam się, co oznacza „zahartować się”.

To już koniec z Ladymont. Tamto już umarło.

Pamiętam, jak prowadziłam samochód Piersa gdzieś w pobliżu Carcassonne. Wszyscy chcieli, żebym się zatrzymała. Ale ja chciałam jechać osiemdziesiątką. I tak długo naciskałam pedał, aż to osiągnęłam. Pozostali byli przestraszeni. Ja też.

Ale udowodniłam, że mogę to zrobić.

(Późne popołudnie.) Przez całe popołudnie znowu czytałam Burzę. Teraz już

nie wydaje się taka sama, po tym, co się stało. Litość, jaką Szekspir odczuwa dla swojego Kalibana (pod nienawiścią i niesmakiem), ja odczuwam dla mojego. Półstworzenia.

Prospero:

Nikczemny kłamco, podły niewolniku Głuchy na dobroć, a na chłostę czuły Z ludzką dobrocią mimo twej szkarady, Najprzód do mojej groty cię przyjąłem Pókiś zuchwale targnąć się nie ważył Na czysty honor mojego dziecięcia.

Kaliban:

Ha, co za szkoda, że to się nie stało!

Bez twoich przeszkód zaludniłbym wyspę

Kalibanami.

Pogarda Prospera dla niego. Wiedza, że łagodność jest bezużyteczna.

Stefano i Trynkulo to piłkarski totok. Ich wino to pieniądze, które wygrał.

Akt III scena 2 „Zbudzony marzyć znów pragnąłem”. Biedny Kaliban. Ale tylko dlatego, że on nigdy nie wygrał w totka.

„A mądry na przyszłość”

„Jak jest szczęśliwy świat nowy”*

Chory świat nowy.

Właśnie wyszedł. Zapowiedziałam głodówkę, jeśli nie pozwoli mi pójść na górę. Codziennie świeże powietrze i światło dzienne. Wykręcał się. Był niesympatyczny. Sarkastyczny. Powiedział nawet, że „zapominam, kto tu jest szefem”.

Zmienił się. Teraz mnie przeraża.

Dałam mu termin do jutra rana na podjęcie decyzji.

2 grudnia

Mam się przenieść na górę. Musi przerobić pokój. Oświadczył, że zajmie mu to tydzień. Powiedziałam: „Zgoda, ale jeśli nastąpi znowu przesunięcie terminu...”

Zobaczmy.

Ostatniej nocy leżałam w łóżku i myślałam o G.P. Myślałam o tym, że jestem z nim w łóżku. Chciałam być z nim w łóżku. Tęskniłam za tą jego wspaniałą, fantastyczną zwyczajnością.

Jego rozwiążność jest twórcza. Witalna. Nawet jeśli rani. On tworzy wokół siebie miłość, życie i podniecenie, jest żywy, ludzie, których kocha, pamiętają go.

Od dawna miewałam czasami na to ochotę. Rozwiążność. Patrząc na jakiegoś chłopca w metrze, na jakiegoś mężczyznę, zastanawiałam się, jaki byłby w łóżku. Patrzyłam na ich usta i dłonie, robiłam niewinną minę i wyobrażałam sobie, że mają mnie w łóżku. Taka Toinette, która idzie do łóżka z każdym. Uważałam, że to paskudne. Ale miłość jest piękna, każda miłość. Nawet sam seks. Jedyna brzydka rzecz to ten lodowaty, martwy, totalny brak miłości między mną a Kalibanem.

Dziś rano wyobrażałam sobie, że uciekłam, a Kaliban stanął przed sądem. Występowałam w jego obronie. Powiedziałam, że jego przypadek jest tragiczny, że potrzebuje współczucia i psychiatry. Wybaczenia.

Nie znaczy to, że jestem szlachetna. Zbyt nim pogardzam, żebym mogła go nienawidzić.

To zabawne. Prawdopodobnie powinnam występować w jego obronie.

Wiem, że nie będziemy mogli się spotykać.

Nie mogłabym go wyleczyć. Bo jestem jego chorobą.

3 grudnia

Powinnam mieć romans z G.P.

Wyjdę za niego, jeśli będzie chciał.

Pragnę tej przygody, ryzyka poślubienia go.

Mam kompletnie dosyć młodości. Braku doświadczenia.

Mądra wiedzą, ale nie przeżyciami.

Pragnę jego dzieci w moim wnętrzu.

Moje ciało już się nie liczy. Jeśli chce, może je mieć.

Nigdy nie mogłabym stać się Toinette. Kolekcjonerką mężczyzn.

Byłam mądrzejsza (jak mi się zdawało) od większości mężczyzn i od wszystkich znanych mi dziewczyn. Zawsze uważałam, że wiem więcej, więcej odczuwam, więcej rozumiem.

Ale nie wiem nawet tyle, żeby sobie poradzić z Kalibanem.

Tyle pozostałości z czasów Ladymont. Z czasów, kiedy byłam miłą panią z klasy średniej, córką lekarza. To już minęło. Kiedy byłam w Ladymont, wydawało mi się, że doskonale potrafię posługiwać się ołówkiem. A kiedy pojechałam do Londynu, zaczęłam się przekonywać, że to nie takie proste. Otaczali mnie ludzie, którzy mieli takie same zdolności. Większe. Nie zaczęłam nawet zdobywać wiedzy, jak radzić sobie

z własnym życiem czy życiem innych.

To mnie powinno się traktować jak brzydkie kaczątko.

Przypomina to dzień, w którym dziecko zdaje sobie sprawę, że lalki to lalki. Podnoszę swoje dawne ja i widzę, że jest głupie. Zabawka, którą bawiłam się zbyt często. To trochę smutne, jak stary pajac na dnie szafy.

Niewinność i zużycie, i duma, i głupota.

G.P.

Będę się czuła dotknięta, zagubiona, sponiewierana i pobita. Ale będzie to jak znalezienie się w promieniu światła po tej czarnej dziurze.

Po prostu o to chodzi. On ma w sobie to tajemne życie. Na kształt sprężyny. Nic niemoralnego.

Jakbym do tej pory widywała go tylko o zmierzchu i teraz nagle zobaczyła go o świcie. On jest taki sam, ale wszystko inne się zmieniło.

Dzisiaj spojrzalam do lustra i zauważyłam to w swoich oczach. Wyglądają dużo starzej i dużo młodziej. Nie można tego wyrazić słowami. Ale tak właśnie jest. Jestem starsza i młodszą. Jestem starsza, ponieważ się nauczyłam. Jestem młodszą, ponieważ dotychczas składałam się w znacznej części z tego, czego nauczyli mnie starsi. Całe błoto ich stęchłych idei na tym bucie, który jest mną.

Nowy but, który jest mną.

Władza kobiet! Nigdy nie czułam się tak pełna tajemniczej mocy. Mężczyźni to żart.

Jesteśmy tak słabe fizycznie, tak bezradne wobec przedmiotów. A jednak, na wet dzisiaj... Ale jesteśmy silniejsze od nich. Potrafimy znieść ich okrucieństwo. Oni nie potrafią znieść naszego.

Myślę, że oddam się G.P. Może mnie mieć. I cokolwiek ze mną zrobi, zawsze będę miała tę swoją kobiecość, której nie zdoła osiągnąć.

To wszystko szalone gadanie. Ale wypełniają mnie pragnienia. Nowa niezależność.

Nie myślę o terażniejszości. Dniu dzisiejszym. Wiem, że ucieknę. Czuję to. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Kaliban nigdy nie zdoła mnie pokonać.

Myślę o obrazach, które namaluję.

Ostatniej nocy myślałam o jednym, był maślano-żółty (wiejsko-maślano-żółty), pole wznoszące się do białego, świetlistego nieba i wschodzącego właśnie słońca. Dziwna różana różowość, widziałam ją dokładnie, pełna utajonej ciszy, początek

rzeczy, śpiew skowronka bez skowronków.

Dziwne, sprzeczne sny.

Pierwszy był bardzo prosty. Szłam przez pola, nie wiem z kim, ale był to ktoś, kogo bardzo lubiłam, jakiś mężczyzna. Może G.P. Słońce oświetlało młodą kukurydzą. I nagle zobaczyliśmy jaskółki latające nisko nad kukurydzą. Widziałam ich błyszczące grzbiety jak ciemnoniebieski jedwab. Leciały bardzo nisko, krążyły wokół nas, wszystkie leciały w jednym kierunku, niskim i radosnym lotem. Poczulałam się wypełniona szczęściem, powiedziałam: „Jakie to niezwykle, spójrz na jaskółki”. To było bardzo proste, te nieoczekiwane jaskółki, słońce i zielona kukurydza. Wypełniało mnie szczęście. Najczystsze odczucie wiosny. I wtedy się obudziłam.

Później miałam inny sen. Byłam przy oknie na pierwszym piętrze dużego domu (Ladymont?), a na dole znajdował się czarny koń. Był zły, ale ja czułam się bezpieczna, ponieważ koń był na dole i na zewnątrz. Ale nagle odwrócił się i pogalopował na dom. Ku mojemu przerażeniu wykonał gigantyczny skok i leciał wprost na mnie z obnażonymi zębami. Wpadł przez okno. Nawet wtedy myślałam, że on się zabije, a mnie nic nie grozi. Ale koń rozprzestrzenił się w małym pokoju i nagle zdałam sobie sprawę, że zaraz mnie zaatakuje. Nie było gdzie uciekać. Znowu się obudziłam, musiałam zapalić światło.

To była przemoc. Wszystko, czego nienawidzę i czego się obawiam.

4 grudnia

Nie będę prowadziła dziennika, kiedy stąd wyjdę. To niezdrowo. Tutaj pozwala mi zachować normalność, pozwala mi z kimś porozmawiać. Ale to próżność. Piszę się to, co się chce usłyszeć.

Zabawne, ale nie robi się tak, rysując siebie. Nie ma pokusy, żeby oszukiwać.

To jest chore, chore, całe to myślenie o sobie. Chorobliwe. Ponure.

Tęsknię do malowania, do malowania innych rzeczy. Pól, południowych domów, pejzaży, rozległych, otwartych przestrzeni w jasnym, rozległym świetle.

To właśnie robiłam dzisiaj. Różne światła zapamiętane z Hiszpanii. Ściany w kolorze ochry wypalone słońcem na białe. Mury Avili. Dziedzińce Kordoby. Nie staram się odtworzyć miejsca, ale światło.

Fiat lux.

Grałam bez przerwy płyty Modern Jazz Quartet. W ich muzyce nie ma nocy,

nie ma zadymionych głębi. Błyski i iskry bąbelków światła, światło gwiazd, a czasami światło południa, wszechobecne wspaniałe światło jak diamentowe kandelabry unoszące się na niebiosach.

5 grudnia

G.P.

Gwałt na Inteligencji. Przez wzbogacone masy, Nowych Ludzi.

To, co on mówi. To szokuje, ale nie da się zapomnieć. Przywiera. Twarde prawdy, które mają trwać.

Przez cały dzień robiłam widoki nieba. Rysuję linię o cal od dołu. To ziemia. A potem myślę jedynie o niebie. Niebie czerwcowym, grudniowym, sierpniowym, o wiosennym deszczu, grzmotach, o brzasku i o zmierzchu. Zrobiłam dziesiątki pejzaży niebieskich. Czyste niebo, nic więcej. Tylko zwykła linia i niebo powyżej.

Dziwna myśl: nie chciałabym, żeby to mi się nie przydarzyło. Ponieważ jeśli ucieknę, będę kimś zupełnie innym i chyba lepszym. Ponieważ jeśli nie ucieknę, jeśli wydarzy się coś strasznego, będę i tak wiedziała, że ktoś, kim byłam i kim bym pozostała, gdyby nie to, nie był tym, kim teraz chciałabym być.

To jak wypalanie garnka. Trzeba zaryzykować, że pęknie albo się wykrzywi.

Kaliban bardzo spokojny. Rodzaj zawieszenia broni. Jutro poproszę o przeniesienie na górę. Chcę się przekonać, czy rzeczywiście coś przygotowuje.

Dzisiaj poprosiłam, żeby mnie związał, zakneblował i pozwolił posiedzieć na dole schodów w zewnętrznej piwnicy przy otwartych drzwiach do ogrodu. W końcu się zgodził. Mogłam więc spojrzeć do góry i zobaczyć niebo. Bładoszare niebo. Widziałam przelatujące ptaki, chyba gołębie. Słyszałam jakieś odgłosy z zewnątrz. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy widziałam prawdziwe światło dzienne. Było żywe. Rozpłakałam się.

6 grudnia

Byłam na górze w kąpieli i oglądałam pokój, który mam zająć. Coś tam porobił. Ma poszukać antycznego krzesła typu windsor. Narysowałam mu, jak zwykle.

Poczułam się szczęśliwa.

Jestem niespokojna. Tutaj nie mogę pisać. Czuję, jakbym już na pół uciekła.

Ten fragment dialogu nasunął mi przypuszczenie, że on staje się normalniejszy.

M. (staliśmy w pokoju) Dlaczego nie pozwolisz mi mieszkać tutaj, jakbym była twoim gościem? Jeśli dam ci słowo honoru?

K. Gdyby przyszło do mnie pięćdziesięciu ludzi, naprawdę uczciwych i szanowanych, i gdyby wszyscy przysięgali, że nie uciekniesz, nie zaufałbym im. Nie zaufałbym nikomu.

M. Nie możesz przeżyć całego życia, nie ufając nikomu.

K. Nie wiesz, co znaczy samotność.

M. A jak ci się zdaje, co ja odczuwam przez ostatnie dwa miesiące?

K. Założę się, że wielu ludzi o tobie myśli. Tęskni za tobą. Ja mógłbym nie żyć, a nikogo by to nie obeszło.

M. A twoja ciotka?

I. Ona!

(Nastąpiło milczenie.)

K. (nagle wybucha) Nie zdajesz sobie sprawy, czym jesteś. Jesteś wszystkim. Jeśli odejdziesz, nic mi nie pozostanie.

(Tu nastąpiła długa cisza.)

7 grudnia

Kupił krzesło. Przyniósł je na dół. Jest ładne. Nie chciałam mieć go tutaj. Nie chcę niczego stąd. Całkowita zmiana.

Jutro przenoszę się na górę. Wczoraj wieczorem zapytałam o to. I zgodził się. Nie muszę czekać cały tydzień.

Pojechał do Lewes, żeby kupić więcej sprzętów do pokoju. Zjemy uroczystą kolację.

Przez ostatnie dwa dni jest znacznie miłszy.

Nie zamierzam stracić głowy i rzucać się do ucieczki przy pierwszej okazji. Wiem, że będzie mnie obserwował. Nie mogę sobie wyobrazić, co zrobi. Okno będzie zabite deskami, a drzwi zamknięte. Ale jakoś uda mi się dostrzec światło dzienne. Wcześniej czy później nadarzy się okazja do ucieczki (jeśli nie wypuści mnie wcześniej z własnej woli).

Ale wiem, że nadarzy się tylko jedna okazja. Jeśli mnie złapie, znowu mnie

tutaj przeniesie.

Więc musi to być naprawdę dobra okazja. Pewna.

Powtarzam sobie, że muszę się przygotować na najgorsze.

Ale coś w jego zachowaniu każe mi przypuszczać, że tym razem postąpi tak, jak obiecał.

Zaraziłam się od niego zaziębieniem. To nie ma znaczenia.

O mój Boże, o mój Boże. Mogłabym się zabić.

On mnie zabije przez tę rozpacz.

Dalej jestem na dole. Nigdy nie zamierzał mnie przenieść.

Chce robić zdjęcia. To jego tajemnica. Chce mnie rozebrać i... o Boże, do tej pory nie miałam pojęcia, na czym polega nienawiść.

Powiedział mi rzeczy nie do powtórzenia. Jestem ulicznicą, sama chciałam tego, co zasugerował.

Oszalałam z wściekłości. Cisnęłam w niego butelkę z tuszem.

Powiedział, że jeśli się nie zgodzę, nie będzie już kąpeli ani wychodzenia do zewnętrznej piwnicy. Przez cały czas pozostanę tutaj.

Ta nienawiść między nami. W stanie wrzenia.

Zaraziłam się tym jego przeklętym przeziębieniem. Trudno mi myśleć.

Nie mogłabym się zabić, zbyt jestem na niego wściekła.

Zawsze mnie wykorzystywał. Od samego początku. Ta historia z psem. Wykorzystuje moje serce. A potem odwraca się i depcze po nim.

Nienawidził mnie, chce mnie splugawić, złamać i zniszczyć. Chce, żebym się znienawidziła aż do samozniszczenia.

Ta ostateczna małostkowość. Nie przyniósł mi żadnej kolacji. Na domiar wszystkiego jeszcze mam głodować. Może zostawi mnie, żebym umarła z głodu. Jest do tego zdolny.

Minął mi szok. Nie pobije mnie. Nie poddam się. Nie dam mu się złamać.

Mam gorączkę. Czuję się chora.

Wszystko przeciwko mnie. Ale się nie poddam.

Leżałam w łóżku z obrazem G.P. Trzymałam jedną ręką ramę. Jak krucyfiks.

Przeżyję. Ucieknę. Nie poddam się.

Nie poddam się.

Nienawidzę Boga. Nienawidzę tego, co stworzyło ten świat, nienawidzę stwórcy ludzkiej rasy, kimkolwiek jest, stworzył ludzi takich jak Kaliban i

umożliwił takie sytuacje.

Jeżeli Bóg istnieje, jest olbrzymim, ohydny pająkiem w ciemności.

Nie może być dobry.

Ten ból, to straszliwe widzenie na wylot, które mi teraz towarzyszą. To nie było konieczne. Wszystko jest bólem i nic z tego nie wynika. Rodzi się wielkie nic.

Wszystko na próżno. Wszystko zmarnowane.

Im starszy staje się świat, tym większej oczywistości to nabiera. Bomby i tortury w Algierii i głodujące dzieci w Kongo. To się staje coraz większe, coraz ciemniejsze.

Coraz więcej cierpień dla coraz większej liczby. I coraz bardziej na próżno.

Jakby nastąpiło krótkie spięcie. I jestem tu w ciemnej prawdzie.

Bóg jest bezsilny. Nie może nas kochać. Nienawidzi nas, ponieważ nie może nas kochać.

Cała ta małość i egoizm, i kłamstwa.

Ludzie tego nie przyznają, zbyt są zajęci rozchwytywaniem dóbr, żeby zauważyć, że światło zgasło. Nie widzą ciemności i oblicza pająka poza nią, i wielkiej pajęczyny tego wszystkiego. Że to istnieje zawsze, jeśli tylko poskrobać powierzchnię szczęścia i dobroci.

Ciemność, ciemność, ciemność.

Nie tylko nigdy przedtem tego nie czułam, ale nigdy sobie nie wyobrażałam, że to możliwe. Więcej niż nienawiść, więcej niż rozpacz. Nie można nienawidzić tego, czego nie da się dotknąć, nie mogę nawet odczuwać tego, co większość ludzi uważa za rozpacz. To jest poza rozpaczą. Jakbym nie potrafiła już nic więcej odczuwać. Widzę, ale nie czuję.

O Boże, jeżeli w ogóle jest Bóg.

Moja nienawiść sięga poza nienawiść.

Właśnie zszedł na dół. Spałam w łóżku. Gorączka.

Jest tak duszno. To musi być grypa.

Czuję się tak strasznie, że nic nie powiedziałam. Nie mam energii, by wypowiedzieć swoją nienawiść.

Łóżko jest wilgotne. Boli mnie w piersiach.

Nie powiedziałam do niego ani słowa. To już jest poza zasięgiem słów. Chciałabym być Goyą. Żeby móc narysować absolutną nienawiść, jaką czuję do niego.

Taka jestem przestraszona. Nie wiem, co się stanie, jeśli się okaże, że jestem

naprawdę chora. Nie rozumiem, dlaczego czuję ból w piersiach. Jakbym od wielu dni miała bronchit.

Będzie musiał zawołać lekarza. Mógłby mnie zabić, ale nie może mi pozwolić umrzeć.

O Boże, to straszne.

(Wieczór.) Przyniósł termometr. Miałam 39 w porze obiadu, teraz 40. Czuję się strasznie. Przez cały dzień leżałam w łóżku. On jest nieludzki.

O Boże, jestem taka samotna, tak zupełnie Nie mogę pisać. sama.

(Rano.) Naprawdę ciężkie zaziębienie z bronchitem. Mam dreszcze.

Nie spałam dobrze. Straszne sny. Dziwny, bardzo wyraźny sen. W jednym G.P. Rozpłakałam się. Tak się boję.

Nie mogę jeść. Kiedy oddycham, czuję ból w piersiach, ciągle myślę o zapaleniu płuc. Ale to niemożliwe.

Nie umrę. Nie umrę. Nie dla Kalibana.

Sen. Niezwykły.

Szłam po Ask Grove w L. Patrzyłam do góry poprzez drzewa. Zobaczyłam samolot na błękitnym niebie. Wiedziałam, że się rozbije. Potem zobaczyłam, gdzie się rozbił. Bałam się iść dalej. Dziewczyna zmierza w moją stronę. Minny? Nie widzę. Ma na sobie grecki strój – tunikę. Białą. W słońcu przez nieruchome drzewa. Wydaje się, że mnie zna, ale ja jej nie znam (nie jest to Minny). Nigdy blisko. Chcę być blisko. Z nią. Budzę się.

Jeżeli umrę, nikt się o tym nie dowie.

Przez to rośnie mi gorączka. Nie mogę pisać.

(Noc.) Nie ma litości. Nie ma Boga.

Krzyczałam na niego i wściekł się. Byłam zbyt słaba, żeby go powstrzymać. Związał mnie i zakneblował i robił te swoje świńskie zdjęcia.

Nie chodzi mi o ból. Tylko o upokorzenie.

Zrobiłam, co chciał. Żeby z tym skończyć.

Nie przejmuję się już więcej sobą.

Ale, Boże mój, okropność tego wszystkiego.

Płaczę, płaczę, nie mogę pisać.

Nie poddam się. Nie poddam się.

Grudzień

Nie mogę spać. Zaczynam popadać w szaleństwo. Muszę mieć zapalone światło. Szalone sny. Mam wrażenie, że są tu ludzie.

T., Minny.

To zapalenie płuc.

Musi wezwać lekarza.

To morderstwo.

Nie mogę tego zapisać. Słowa są bezużyteczne.

(Przyszędł.) Nie chce słuchać. Błagałam go. Powiedziałam, że to morderstwo.

Taka słaba. Gorączka ponad czterdzieści. Wymiotowałam.

Nic na temat wczorajszej nocy, ani on, ani ja.

Czy to się zdarzyło? Gorączka. Zaczynam bredzić.

Gdybym tylko wiedziała, co zrobiłam.

Bez sensu, bez sensu.

Nie umrę, nie umrę.

Kochany, kochany G.P., to...

O Boże, o Boże, nie pozwól mi umrzeć. Boże, nie pozwól mi umrzeć. Nie pozwól mi umrzeć.

Próbuję tylko wyjaśnić, że to wszystko zdarzyło się niespodziewanie.

Zaczęło się źle, bo kiedy zszedłem na dół o wpół do ósmej, zobaczyłem, że leży koło parawanu, przewracając się pociągnęła go za sobą, ukląknęłam przy niej, ręce miała lodowate, ale oddychała, krótkim, świszczącym oddechem; kiedy podniosłem ją na łóżko, odzyskała przytomność, musiała zemdleć w nocy, jak poszła za parawan. Była cała zimna, zaczęła strasznie drżeć, a potem się pocić i musiała chyba bredzić, bo powtarzała „zawołaj lekarza, zawołaj lekarza” (czasami podkreślała, że chodzi jej o doktora z generalną, czyli ogólną praktyką, bo wciąż na nowo jak wiersz powtarzała „G.P., G.P.”), nie mówiła swoim normalnym głosem, tak jakby śpiewała, i wydawało się, że nie może skoncentrować na mnie wzroku. Przez chwilę milczała, a potem zaczęła „Yankee Doodle Dandy”, tylko że słowa były niewyraźne, jakby była pijana, i przerwała w połowie. Dwa razy zawołała „Minny, Minny”, jakby myślała, że tamta jest w sąsiednim pokoju (to jej siostra), a potem zaczęła mamrotać różne imiona i słowa, wszystko poplątane z kawałkami zdań. A potem chciała wstać i musiałem ją powstrzymać. Naprawdę się broniła. Nie przestawałem do niej mówić, uspokajała się na chwilę, ale jak tylko odchodziłem, żeby zrobić herbatę, znowu się podnosiła. No więc, przytrzymałem ją, żeby jej pomóc napić się herbaty, ale to wywołało kaszel, odwróciła głowę, nie chciała pić. Zapomniałem powiedzieć, że miała paskudne żółte krosty w kącie ust. I wcale nie pachniała świeżo i czysto jak przedtem.

W końcu udało mi się dać jej podwójną porcję pastylek, na opakowaniu pisało, żeby nie przekraczać przepisanej dawki, ale słyszałem kiedyś, że trzeba brać dwa razy tyle, ile oni zalecają, bo oni się boją, żeby nie było za mocne z powodów prawnych.

Tego ranka schodziłem na dół chyba ze cztery czy pięć razy, bo taki byłem niespokojny. Nie spała, ale powiedziała, że nic nie chce, wiedziała, o co jej chodzi, w każdym razie pokręciła głowę. Na obiad wypiła trochę herbaty, a potem zasnęła, ja siedziałem w zewnętrznym pokoju. No, następnym razem to zapaliłem u niej światło, była piąta i ona nie spała. Wyglądała na osłabioną, była bardzo rozpalona, ale zdawała się wiedzieć, gdzie jest i kim ja jestem, całkiem normalnie wodziła za mną oczami i myślałem, że najgorsze już minęło, czyli, jak to mówią, kryzys.

Wypiła jeszcze trochę herbaty, kazała sobie pomóc pójść za parawan, ledwo mogła chodzić, więc zostawiłem ją na parę minut i wróciłem, pomogłem jej wejść do

łóżka. Przez chwilę leżała z otwartymi oczami, patrząc w sufit, jak zwykle miała trudności z oddychaniem i już zabierałem się do wyjścia, ale mnie zatrzymała.

Zaczęła mówić niskim, ochryplym głosem, ale umysłowo zupełnie normalnie. Powiedziała: – Mam zapalenie płuc. Musisz wezwać lekarza.

Powiedziałem: – Przeszłaś już najgorsze, wyglądasz już dużo lepiej.

– Muszę dostać penicylinę albo coś. – I zaczęła płakać, nie mogła oddychać i naprawdę strasznie się pociła.

A potem chciała wiedzieć, co się wydarzyło w nocy i rano, więc jej powiedziałem.

– Koszmarne sny – powiedziała. Dobrze, obiecałem, że zostanę z nią przez całą noc, i że już wygląda lepiej. Zapytała, czy naprawdę wygląda lepiej, i powiedziałem, że tak. Chciałem wtedy, żeby jej się poprawiło, więc pewnie nie widziałem dokładnie.

Obiecałem, że jeśli do następnego dnia jej się nie poprawi, to zaniosę ją na górę i sprowadzę doktora. No to chciała od razu iść na górę, chciała nawet wiedzieć, która godzina, a kiedy nie zastanawiając się powiedziałem, która, zauważyła, że jest noc i nikt jej nie zobaczy. Ale jej powiedziałem, że ani łóżka, ani pokoje nie są przewietrzone.

Wtedy nagle się zmieniła. – Tak się boję. Na pewno umrę. – Nie mówiła szybko, robiła długie przerwy.

– Próbowałam ci pomóc. Teraz ty musisz się postarać pomóc mi

– powiedziała. Oczywiście obiecałem, że to zrobię, znowu wytarłem jej twarz gąbką, wydawało się, że zasypia, o co mi chodziło, ale znowu się odezwała.

Powiedziała głośno: – Tato? Tato?

– Śpij – powiedziałem. – Jutro będziesz zdrowa.

Znowu zaczęła płakać. Nie był to zwykły płacz, leżała spokojnie, a wokół jej oczu gromadziły się łzy, jakby w ogóle nie wiedziała, że płacze. I nagle zapytała: – Co zrobisz, jeżeli umrę?

Powiedziałem: – Nie umrzesz, nie bądź głupia.

– Czy powiesz komuś?

– Nie będę o tym rozmawiał.

– Nie chcę umierać. – I znowu powtórzyła: – Nie chcę umierać. – I jeszcze po raz trzeci, a ja za każdym razem uspokajałem ją: – Nie mów o tym – ale wydawało się, że nie słyszy.

– Wyjedziesz stąd? Jeżeli umrę?

– Powiedziałem, jesteś głupia.

– Co zrobisz ze swoimi pieniędzmi?

– Proszę, mówmy o czym innym – powiedziałem, ale ona nalegała, mówiła normalnie, tylko z takimi dziwnymi przerwami, milkła i potem nagle znowu się odzywała.

Powiedziałem więc, że nie wiem, nie myślałem o tym. Chciałem tylko ją uspokoić.

– Zostaw je dzieciom.

Zapytałem, jakim dzieciom, a ona powiedziała: – Zbieraliśmy dla nich pieniądze w poprzednim semestrze, one jedzą ziemię – i po chwili dodała: – Wszyscy jesteśmy świnie, zasługujemy na śmierć – więc doszedłem do wniosku, że pewnie zwędzili te pieniądze, które mieli rozdać. No, potem chyba musiała zasnąć, bo odezwała się dopiero po dziesięciu minutach. Nie poruszałem się, myślałem, że dalej śpi, aż nagle się odezwała: – Zrobisz to? – jakbyśmy w ogóle nie przestali rozmawiać. A potem: – Jesteś tu? – i nawet próbowała usiąść, żeby mnie zobaczyć. Oczywiście uspokoiłem ją, ale znowu się rozbudziła i dalej mówiła o tym funduszu, na który zbierała.

Już nawet nie próbowałem jej mówić, że to głupie, że nie umrze, więc powiedziałem: – Tak, oddam pieniądze – ale ona nie przestawała.

– Obiecujesz?

– Tak.

Wtedy powiedziała: – Obietnice. – I po chwili: – One jedzą ziemię. – Powtórzyła to dwa czy trzy razy, a ja próbowałem uspokoić ją poklepywaniem, ale to zdawało się ją przygnębiać.

Ostatnia rzecz, jaką powiedziała, to: – Wybaczam ci.

Oczywiście bredziła, ale znowu powtórzyłem, że mi przykro.

Można powiedzieć, że od tej chwili wszystko się zmieniło. Zapomniałem o tym, co zrobiła w przeszłości, i było mi jej żal, było mi naprawdę przykro z powodu tego, co zrobiłem tamtego wieczoru, ale skąd mogłem wiedzieć, że była naprawdę chora. Mleko już się rozlało, jak to mówią, już się stało i tyle.

Chociaż to naprawdę zabawne, że w momencie kiedy myślałem, że mam jej naprawdę dosyć, wróciły wszystkie dawne uczucia. Ciągle myślałem o przyjemnych chwilach, o tym, jak dobrze się zgadzaliśmy czasami, i o tym, co znaczyła dla mnie jeszcze wtedy w domu, kiedy nie miałem nic innego. Wszystko, od momentu kiedy się

rozebrała i przestałem ją szanować, wydawało się nierealne, jakbyśmy obydwójce stracili wtedy głowę. Jej choroba i pielęgnowanie zdawały się już bardziej realne.

Zostałem w zewnętrznym pomieszczeniu, jak poprzedniej nocy. Przez jakieś pół godziny była spokojna, a potem zaczęła mówić do siebie, zapytałem, czy dobrze się czuje, i zamilkła, ale później znowu zaczęła mówić czy raczej mamrotać, a potem naprawdę głośno zawołała mnie po imieniu, powiedziała, że nie może oddychać, i splunęła masą flegmy. Dziwnie ciemnobrązowej, wcale mi się to nie podobało, ale pomyślałem, że ten kolor to może od pigułek.

Potem musiała chyba drzemać przez godzinę lub dłużej, i nagle zaczęła wrzeszczeć, nie bardzo mogła, ale próbowała, a kiedy wpadłem do pokoju, była częściowo poza łóżkiem. Nie wiem, co chciała zrobić, ale wydawało się, że mnie nie poznaje, i walczyła jak tygrysica, mimo wielkiego osłabienia. Naprawdę musiałem się namęczyć, żeby ją powrotem położyć.

Potem strasznie się spociła, miała zupełnie mokrą piżamę, ale kiedy chciałem zdjąć górę i włożyć jej świeżą, zaczęła się bronić, tarzała się jak szalona i jeszcze gorzej się pociła. Nigdy nie spędziłem gorszej nocy, to było tak straszne, że nawet nie potrafię opisać. Nie mogła spać, dałem jej tyle proszków nasennych, na ile starczyło mi odwagi, ale chyba nie odniosły żadnego skutku, zasypiała na chwilę, a potem znowu była w strasznym stanie, próbowała wstać (raz udało jej się to zrobić, zanim wszedłem, i upadła na podłogę). Chwilami miała delirium, wzywała G.P. i mówiła, pewnie do jakichś swoich znajomych. To mi tak bardzo nie przeszkadzało, dopóki leżała spokojnie. Zmierzyłem jej gorączkę, powyżej 42°C, wiedziałem, że jest bardzo ciężko chora.

Gdzieś koło piątej następnego rana wyszedłem na górę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, to się wydawał zupełnie inny świat, i zdecydowałem, że będę musiał przenieść ją na górę i sprowadzić doktora, nie mogłem już tego dłużej odkładać. Stałem tak w otwartych drzwiach koło dziesięciu minut i usłyszałem, że znowu woła, wypłuła trochę czerwonej flegmy i wymiotowała, więc zdjąłem ją z łóżka i przesłałem ją, kiedy zwisała na krześle. Najgorsze było jej oddychanie, szybkie i urywane, jakby przez cały czas sapała.

Tego ranka (wydawała się spokojniejsza) rozumiała wszystko, co mówiłem. Powiedziałem, że idę po doktora, skinęła głową, więc uznałem, że zrozumiała, chociaż się nie odezwała. Wydawało się, że ostatnia noc wyciągnęła z niej wszystkie siły, leżała bez ruchu.

Wiem, że powinienem pójść do wioski i stamtąd zadzwonić albo znaleźć tam doktora, ale ze zrozumiałych powodów nigdy tam nie bywałem, mając na uwadze wiejskie plotkarstwo.

Zresztą tak mi brakowało snu, że przez większą część czasu nie bardzo wiedziałem, co robię. Jak zawsze, byłem zdany tylko na siebie. Nie miałem się do kogo zwrócić.

No więc pojechałem do Lewes (było po dziewiątej), wszedłem do pierwszej otwartej apteki i zapytałem o najbliższego doktora, ekspedientka podała mi adres z listy, którą miała. Dom stał przy ulicy, na której nigdy nie byłem. Zobaczyłem na drzwiach napis: przyjęcia od 8.30, i powinienem był się domyślić, że będzie mnóstwo ludzi, ale z jakiegoś powodu wyobraziłem sobie, że od razu wejdę i zobaczę się z lekarzem. Musiałem idiotycznie wyglądać w tej poczekalni, wszyscy mi się przyglądali, wszystkie miejsca były zajęte, stał tylko jeszcze jeden młody człowiek. No więc, wydawało się, że oni wszyscy mi się przyglądają. Nie miałem odwagi pójść prosto do gabinetu, więc stałem pod ścianą. Gdybym tylko mógł od razu wejść do środka, wszystko byłoby w porządku, ale ta konieczność przebywania w poczekalni z tymi wszystkimi ludźmi. Od bardzo dawna nie byłem w żadnym pomieszczeniu z innymi ludźmi, tylko przez chwilę w sklepach, to się wydawało bardzo dziwne, jak mówię, wydawało się, że wszyscy na mnie patrzą, zwłaszcza jedna stara kobieta nie odrywała ode mnie wzroku, sądziłem, że muszę jakoś dziwnie wyglądać. Wziąłem ze stołu pismo, ale oczywiście nie czytałem.

No więc zacząłem myśleć o tym, co się stanie, przez dzień lub dwa wszystko będzie dobrze, może doktor i M. nie zaczną mówić, ale potem... wiem, co powiedzą, ona musi iść do szpitala, ja nie mogę jej zapewnić odpowiedniej opieki. A potem pomyślałem, że mogę zaangażować pielęgniarkę, ale niewiele czasu jej zajmie odkrycie tego, co się wydarzyło – ciocia Annie zawsze mówiła, że pielęgniarki są najbardziej wścibskie, podobnie jak ja nigdy nie mogła znieść ludzi wścibskich. W tym momencie wyszedł doktor, żeby zawołać następnego pacjenta, był wysokim mężczyzną z wąsami i powiedział „następny” takim tonem, jakby niedobrze mu się robiło na widok tych wszystkich ludzi. Robił wrażenie poirytowanego, nie była to tylko moja wyobraźnia, widziałem, jak jedna z kobiet wykrzywiła się do swojej sąsiadki, kiedy wszedł z powrotem do gabinetu.

Znowu wyszedł, zauważyłem, że był typem oficera z wojska, tacy nie okazują współczucia, tylko wydają rozkazy, nie należysz do ich klasy, traktują wszystkich jak

śmieci.

Jeszcze w dodatku ta stara kobieta zaczęła mi się znowu przyglądać i poczułem gorąco pod kołnierzykiem. Nie spałem całą noc i pewnie byłem wyczerpany. W każdym razie wiedziałem, że mam tego dosyć. Odwróciłem się, wyszedłem i usiadłem w furgonetce.

To przez to, że zobaczyłem tych wszystkich ludzi. Zrozumiałem, że Miranda jest jedyną osobą na świecie, z którą chciałbym żyć. Niedobrze mi się zrobiło na myśl o tym wszystkim.

Poszedłem wtedy do apteki i powiedziałem, że potrzebuję czegoś na bardzo ciężką gripę. Nie byłem przedtem w tej aptece, na szczęście nie było też żadnego innego klienta, więc mogłem opowiedzieć swoją historyjkę. Powiedziałem, że mam przyjaciela, który należy do sekty Szczególnych Osób (oni nie wierzą w lekarzy), że dostał ciężkiej grypy, może zapalenia płuc, i musimy bez jego wiedzy dać mu jakieś lekarstwa. No więc dziewczyna zaproponowała mi to samo, co kupiłem przedtem, a ja powiedziałem, że chciałbym penicylinę i tak dalej, ale ona powiedziała, że na to musi być recepta. Na szczęście w tym momencie wyszedł szef i wszystko mu powtórzyła, a on oświadczył, że muszę pójść do lekarza i wyjaśnić mu cały przypadek. Oznajmiłem, że gotów jestem zapłacić każdą sumę, ale on tylko pokręcił głową i powiedział, że to wbrew przepisom. A potem chciał wiedzieć, czy mój przyjaciel mieszka w okolicy, więc wyszedłem, zanim zdążył dalej wściubiać swój nos. Próbowałem jeszcze w dwu innych aptekach, ale wszędzie mówili to samo, bałem się zadawać więcej pytań, więc wziąłem jakieś lekarstwa, które mogli mi sprzedać, inne od poprzednich.

I wróciłem. Byłem tak zmęczony, że z trudem prowadziłem samochód.

Oczywiście zaraz po przyjeździe zszedłem na dół, ona leżała, ciężko oddychając. Na mój widok zaczęła mówić, chyba brała mnie za kogoś innego, bo pytała, czy widziałem Louise (nigdy przedtem nie słyszałem, żeby o niej mówiła) – na szczęście nie czekała na odpowiedź, zaczęła mówić o jakimś współczesnym malarzu, a potem powiedziała, że chce jej się pić. To nie miało sensu, myśli wpadały jej do głowy i wypadały. Więc dałem jej pić i przez chwilę leżała nieruchomo, a potem nagle zrobiła się prawie normalna (to znaczy umysłowo), ponieważ zapytała: „Kiedy przyjdzie tata, byłeś?”

Skłamałem, to było bezczelne kłamstwo, powiedziałem, że niedługo przyjdzie. Poprosiła: „Umyj mi twarz”, a kiedy to zrobiłem, powiedziała, że musi zobaczyć, co przyniosłem. Tak, powiedziała, ale był to raczej szept.

Powiedziała, że chciałaby zasnąć.

„To gorączka” – wyjaśniłem, a ona skinęła głową, przez jakiś czas rozumiała wszystko, co mówiłem, nikt by nie uwierzył, ale postanowiłem pojechać z powrotem do Lewes i sprowadzić lekarza. Pomogłem jej pójść za parawan, wiedziałem, że jest zbyt słaba, by uciec, postanowiłem więc, że spróbuję się przespać ze dwie godzinki, a potem przeniosę ją na górę, pojadę do Lewes i sprowadzę innego doktora.

Nie wiem, jak to się stało, zawsze wstaję w tej samej chwili, kiedy zadzwoni budzik, musiałem chyba przez sen sięgnąć ręką i go wyłączyć, nie pamiętam, żebym się chociaż raz obudził. W każdym razie obudziłem się o czwartej, zamiast o wpół do pierwszej. Oczywiście pobiegłem na dół, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ściągnęła z siebie wszystkie przykrycia, ale na szczęście było dość ciepło, nie sędzę zresztą, żeby to miało jakieś znaczenie, miała straszną gorączkę i nie poznała mnie, ale kiedy ją podniosłem, żeby zanieść na górę, zaczęła się wyrywać i wrzeszczeć, ale była na to zbyt słaba. Co więcej, kaszel przerywał krzyki i zdawał się uświadamiać jej, gdzie jesteśmy. Ciężko się napracowałem, wnosząc ją na górę, ale udało mi się, i położyłem ją na łóżku w pokoju gościnnym (ogrzałem je wcześniej), wydawało się, że czuje się tu szczęśliwsza. Nic nie powiedziała, pod wpływem zimnego powietrza zaczęła kasłać i splotać, a jej twarz miała dziwny fioletowy kolor. Wydawało mi się, że zrozumiała, kiedy powiedziałem, że przyjdzie doktor.

Zostałem przez chwilę, żeby się zorientować, czy wszystko będzie w porządku, bo trochę się obawiałem, że może mieć dość siły, by podejść do okna i zwrócić uwagę jakiegoś przechodnia. Wiedziałem, że naprawdę nie mogłaby tego zrobić, ale szukałem pretekstów, żeby nie wychodzić. Wiele razy podchodziłem do otwartych drzwi, leżała w ciemnościach, słyszałem, jak oddycha, chwilami coś mamrotała, raz zawołała mnie, wszedłem i stanąłem koło niej, jedno, co zdolna była wypowiedzieć, to „doktor, doktor”, więc powiedziałem: „Nie martw się, przyjdzie”, i wytarłem jej twarz, bo nie przestawała się pocić. Nie wiem, dlaczego wtedy nie poszedłem, próbowałem, ale nie mogłem, nie mogłem znieść myśli, że nie będę wiedział, jak ona się czuje, że nie będę mógł jej zobaczyć, kiedy będę chciał. Jakbym raz jeszcze był w niej zakochany. Poza tym przez te wszystkie dni myślałem, no dobrze, będzie przychodziła do siebie przez dłuższy czas, wtedy będzie mnie potrzebowała, będzie bardzo przyjemnie, kiedy już minie ten niebezpieczny zakręt.

Nie wiem dlaczego, ale myślałem także, że nowy pokój jej pomoże. Będzie to jakaś zmiana.

Przypominały mi się sytuacje, kiedy musiałem zabierać Mabel na spacer w wózku. Zawsze potrafiłem znaleźć tysiące powodów, żeby to odłożyć. „Powinieneś być szczęśliwy, że masz nogi, które pozwalają ci pchać wózek” mawiała ciocia Annie (wiedzieli, że nie lubię pokazywać się z wózkiem). Ale taki już mam charakter. Tak zostałem stworzony. Nic nie mogę na to poradzić.

Czas mijał, była już chyba północ albo później, kiedy poszedłem na górę, żeby sprawdzić, jak się czuje, zapytać, czy napiłaby się herbaty, ale nie mogłem wydobyć z niej żadnej odpowiedzi, oddychała szybciej niż kiedykolwiek, to jej sapanie było przerażające, zdawała się łapać powietrze, jakby nigdy nie mogła zdążyć. Potrząsnąłem nią, ale wydawała się spać, chociaż oczy miała otwarte, a twarz siną, wydawało się, że wpatruje się w coś na suficie. No więc, poczułem się naprawdę przerażony, pomyślałem, że dam jej jeszcze pół godziny, a potem będę musiał iść. Siedziałem przy niej, wygląd jej twarzy i straszne poty wskazywały na zdecydowane pogorszenie. Wtedy nabrała też zwyczaju skubania pościeli.

Na wargach i w obu kącikach ust miała pryszcze.

No to na wszelki wypadek zamknąłem drzwi na klucz i znowu wyruszyłem do Lewes, pamiętam, że dojechałem tam po wpół do drugiej, wszystko oczywiście było zamknięte. Pojechałem prosto na tę ulicę, gdzie mieszkał doktor, i zatrzymałem się nie opodal jego domu. Siedziałem w ciemności, przygotowując się do tego, żeby wysiąść i zadzwonić, układając całą historię i tak dalej, kiedy ktoś zapukał w szybę. Był to policjant.

Bardzo nieprzyjemny szok. Otworzyłem okno.

– Zastanawiałem się, co pan tu robi – powiedział.

– Proszę mi nie mówić, że tu nie wolno parkować.

– Zależy od tego, w jakim celu – powiedział. Spojrzał na moje prawo jazdy, zapisał numery, bardzo powoli. Był to stary człowiek, nie musiał być bardzo dobry, skoro jeszcze ciągle miał stopień konstabla.

– Czy pan tu mieszka?

– Nie – powiedziałem.

– Wiem, że nie. Dlatego właśnie pytam, co pan tu robi.

– Nic nie zrobiłem – powiedziałem. – Niech pan zajrzy na tył – i ten stary dureń tak zrobił. W każdym razie to dało mi czas na wymyślenie historii. Powiedziałem mu, że nie mogłem spać i wyjechałem na przejażdżkę, ale zabłądziłem, więc zatrzymałem się, żeby popatrzeć na mapę. Nie uwierzył mi chyba, w każdym

razie takie robił wrażenie, powiedział, że powinienem pojechać do domu.

No i w rezultacie odjechałem, nie mogłem wysiadać, kiedy mnie obserwował, i podejść do drzwi doktora, od razu by coś wywęszył. Pomyślałem, że pojedę do domu, sprawdzę, czy jej się pogorszyło, i jeżeli tak, to zawiozę ją do szpitala, podam fałszywe nazwisko i odjadę, a potem będę musiał uciekać, wyjechać z kraju albo coś – ale nie byłem w stanie myśleć o niczym, co wykraczało poza wydanie jej.

No i znowu była na podłodze, usiłowała wyjść z łóżka, pewnie do łazienki, a może próbowała uciekać. W każdym razie położyłem ją powrotem na łóżku, wydawała się półprzytomna, wypowiedziała jakieś słowa, ale nie mogłem ich zrozumieć, a ona nie rozumiała wcale tego, co mówiłem.

Siedziałem przy niej prawie całą noc, chwilami przysypiałem. Dwa razy znowu usiłowała wstać, ale nie miała nawet tyle siły co pchła. Powtórzyłem znowu wszystko to samo, że doktor jest w drodze, i zdawało się, że ją to uspokoiło. W pewnej chwili zapytała, jaki jest dzień tygodnia, skłamałem, że poniedziałek (była środa), i to także jakby trochę ją uspokoiło. Powtórzyła „poniedziałek”, ale jasne było, że to nic nie znaczy. Tak jakby jej umysł także został zaatakowany.

Wtedy już wiedziałem, że umiera, wiedziałem przez tę całą noc, mógłbym to każdemu powiedzieć.

Siedziałem tak, wsłuchując się w jej oddech i mamrotanie (chyba ani przez chwilę naprawdę nie spała) i rozmyślałem o tym, jak się sprawy potoczyły. O moim przeklętym życiu, o jej życiu i o wszystkim innym.

Każdy mógłby się zorientować, jaka była sytuacja. Byłem naprawdę w głębokiej rozpacz, i taka jest prawda, mimo że sam to stwierdzam. Nic nie mogłem poradzić, tak bardzo pragnąłem, żeby żyła, a nie mogłem zaryzykować sprowadzenia pomocy, przegrałem, dla każdego byłoby to jasne. Przez cały ten czas wiedziałem, że nigdy żadnej innej tak nie pokocham. Na zawsze istniała dla mnie tylko Miranda. Wtedy to sobie uświadomiłem.

Poza tym ona była jedyną osobą, która wiedziała o mojej miłości. Wiedziała, kim naprawdę jestem. Nikt inny nie potrafiłby tego zrozumieć.

No i zaczęło świtać, nadszedł ostatni dzień. Dziwne, ale był piękny. Na niebie nie było chyba ani jednej chmurki, przez cały czas, jeden z tych zimnych zimowych dni, kiedy nie ma wiatru, a niebo jest bardzo niebieskie. Jakby specjalnie to zaaranżowano, bardzo odpowiednia pogoda, zważywszy, jak spokojnie odeszła.

Ostatnie słowa wypowiedziała koło dziesiątej, było to chyba „słońce” (świeciło

akurat przez okno) i próbowała usiąść, ale nie dała rady.

Nie powiedziała już żadnego zrozumiałego słowa, trzymała się życia jeszcze przez cały ranek i popołudnie i odeszła razem ze słońcem. Zaczęła oddychać coraz słabiej, a ja (to pokazuje, w jakim byłem stanie) przypuszczałem nawet, że nareszcie zasnęła.

Nie wiem dokładnie, kiedy umarła, wiem, że koło wpół do czwartej jeszcze oddychała, kiedy zszedłem na dół, żeby trochę odkurzyć i tak dalej, żeby oderwać myśli od tego wszystkiego. Kiedy wróciłem koło czwartej, już nie żyła.

Leżała z głową odwróconą na bok, wyglądała strasznie, usta miała otwarte, a białka oczu wpatrzone w górę, jakby po raz ostatni chciała wyjrzeć przez okno. Dotknąłem jej, była zimna, chociaż ciało zachowało jeszcze ciepło. Pobiegnę po lustro. Wiem, że to jest sposób, więc przytknąłem lustro do jej ust, ale nie pojawiła się para. Nie żyła.

No więc, zamknąłem jej usta i opuściłem powieki. I nie wiedziałem, co robić dalej, poszedłem i zrobiłem sobie filiżankę herbaty.

Kiedy się ściemniło, wziąłem jej martwe ciało i zniosłem do piwnicy. Wiem, że powinno się umyć ciało nieboszczyka, ale nie miałem ochoty, to nie wydawało się odpowiednie, więc położyłem ją na łóżku, uczesałem włosy i obciąłem kosmyk. Usiłowałem tak ułożyć twarz, żeby się uśmiechała, ale nie udało mi się. W każdym razie wyglądała bardzo spokojnie. Wtedy ukląknę i zmówiłem modlitwę, znałem tylko „Ojcze nasz”, więc odmówiłem to i „Wieczny odpoczynek”, nie dlatego, że wierzę w religię, ale jakoś się to wydawało odpowiednie. I potem poszedłem na górę.

Nie wiem dlaczego, ale spowodowała to jedna mała rzecz, pomyślelibyście, że powinien to sprawić widok zmarłej i zniesienie jej na dół po raz ostatni, ale nie, dopiero kiedy zobaczyłem jej kapturę w pokoju na górze. Podniosłem je i nagle uświadomiłem sobie; że ona już nigdy ich nie włoży. Ja już nie zejść na dół i nie zasunę rygli (zabawne, bo jednak znowu je zarygłowałem), i nic z tego już się więcej nie zdarzy, dobre czy złe. Nagle uświadomiłem sobie, że ona nie żyje, a to oznacza, że odeszła na zawsze, na zawsze, na zawsze.

Przez te ostatnie dni nie mogłem się oprzeć uczuciu żalu (jak tylko wiedziałem, że nie udaje) i musiałem wybaczyć jej tamte sprawy. Nie wtedy, kiedy żyła, ale kiedy wiedziałem, że już nie żyje, dopiero wtedy naprawdę jej wybaczyłem. Przypomniały mi się wszystkie przyjemne rzeczy. Pamiętałem sam początek, dni w ratuszu, kiedy widy wałem, jak wychodziła ze swoich frontowych drzwi, albo widziałem ją po drugiej

stronie ulicy. I nie mogłem zrozumieć, jak do tego doszło, że teraz leży tam na dole, nieżywa.

Przypominało to tak śmieszny pułapkę na myszy, którą kiedyś widziałem: mysz wchodziła, wszystko się poruszało, nie było odwrotu i mysz posuwała się do przodu przez coraz bardziej i bardziej skomplikowane pułapki aż do końca.

Myślałem o tym, jaki byłem szczęśliwy, że dane mi były te wszystkie tygodnie, jakich nie miałem nigdy przedtem i nigdy już nie będę miał.

Im więcej o niej myślałem, tym gorsza wydawała się sytuacja.

Dobiegła północ, a ja nie mogłem zasnąć, musiałem zapalić wszystkie światła, nie wierzę w duchy, ale jakoś ze światłami było mi lepiej.

Nie przestawałem myśleć o niej, zastanawiałem się, że może mimo wszystko to moja wina, że ona zrobiła to, co zrobiła, i straciła mój szacunek, a potem myślałem, że to jednak jej wina, że zasłużyła na wszystko, co ją spotkało. A potem już sam nie wiedziałem, co myśleć, głowę mi rozsadzało, i zdałem sobie sprawę, że nie potrafię już mieszkać w Fosters. Chciałem odjechać i nigdy nie wrócić.

Pomyślałem, mogę sprzedać dom i wyjechać do Australii. Ale najpierw trzeba było pozacierać wszystkie ślady. To przekraczało moje siły. Następnie przyszła mi na myśl policja. Uznałem, że najlepiej będzie pójść na policję i wszystko im opowiedzieć. Nawet już włożyłem płaszcz, żeby do nich pojechać.

Pomyślałem, że zaczynam wariować, przeglądałem się w lustrze, żeby zobaczyć to na swojej twarzy. Wpadłem na ten straszny pomysł, jestem szalony, każdy to widzi, tylko nie ja. Ciągłe przypominało mi się, w jaki sposób patrzyli na mnie czasami ludzie w Lewes, tak jak ci w poczekalni doktora. Oni wszyscy wiedzieli, że jestem szalony.

Dobiegła druga. Nie wiem, dlaczego przyszło mi do głowy, że z tą jej śmiercią to pomyłka, może po prostu zasnęła. Więc musiałem zejść na dół, żeby się upewnić. To było straszne. Kiedy tylko znalazłem się w zewnętrznej piwnicy, zacząłem sobie wyobrażać różne rzeczy. Na przykład, że ona może wyjść z kąta z siekierą. Albo że jej nie będzie, że mimo zaryglowanych drzwi zniknęła. Jak w filmie grozy.

Ale była tam. Leżała w kompletnej ciszy. Dotknąłem jej. Była tak zimna, tak zimna, że doznałem szoku. Dalej nie mogłem uwierzyć, że to prawda, że ona żyła jeszcze przed kilkoma godzinami, a kilka dni wcześniej spacerowała, rysowała, robiła na drutach. I teraz coś takiego.

Nagle przy drzwiach w drugim końcu piwnicy coś się poruszyło. Musiał to być przeciąg. Coś we mnie pękło, straciłem głowę, wbiegłem po schodach w zewnętrznej

piwnicy i wypadłem na dwór. Błyskawicznie zamknąłem drzwi, wszedłem do domu i zarygłowałem wszystkie zamki.

Po chwili przestałem się trząść, uspokoiłem się. Ale mogłem myśleć jedynie o tym, że to koniec. Nie mógłbym żyć z nią tam na dole, w tym stanie.

Wtedy przyszedł mi do głowy pomysł. Ciągłe wracało do mnie przeświadczenie, że ona miała szczęście, że już z tym wszystkim skończyła, koniec kłopotów, koniec ukrywania się, żadnych więcej problemów z tym, kim chcesz być i kim nigdy nie będziesz. Wszystko skończone.

Wystarczyło tylko, żebym się zabił, a potem inni mogą sobie myśleć, co im się podoba. Ludzie w poczekalni, ludzie z ratusza, ciocia Annie i Mabel, wszyscy. Ja będę już poza tym.

Zacząłem przemyśliwać, jak mogę to zrobić, mogę pojechać do Lewes, jak tylko otworzą sklepy, kupić mnóstwo pigułek aspro i trochę kwiatów, chryzantemy to były jej ulubione kwiaty. A potem łyknąć aspro, wziąć kwiaty i położyć się obok niej. Ale najpierw wysłać list do policji. Żeby znaleźli nas tam razem. Razem w Wielkich Zaświatach.

Zostalibyśmy pochowani razem. Jak Romeo i Julia.

Byłaby to prawdziwa tragedia. Nic ponurego.

Gdybym to zrobił, zyskałbym prawdziwy szacunek. Gdybym zniszczył fotografie, bo tylko to pozostało, ludzie wiedzieliby, że nigdy nie zrobiłem z nią nic zdrożnego, to byłoby naprawdę tragiczne.

Przemyślałem wszystko, wziąłem zdjęcia i negatywy, i przygotowałem je do spalania z samego rana.

Jakbym musiał mieć jakieś zdecydowane plany. Wszystko jedno jakie, byle określone.

Były jeszcze pieniądze, ale już mnie to nie obchodziło. Dostanie je ciocia Annie i Mabel. Miranda mówiła coś o dobroczynności, ale już wtedy była trochę nienormalna.

Nie chciałem tego, co można kupić za pieniądze. Gdybym miał naprawdę brzydkie zamiary, nigdy nie zadałbym sobie tyle trudu, po prostu odwiedzałbym kobiety, których adresy znaleźć można na słupach w Paddington i w Soho, i robiłbym to z nimi. Nie można kupić szczęścia. Musiałem to słyszeć od cioci Annie chyba ze sto razy. Ha, ha, myślałem zawsze, lepiej byłoby jednak najpierw spróbować. No i miałem moją próbę.

Ponieważ to jest po prostu szczęście. Tak jak totek, a nawet gorzej, bo nie ma ani dobrych drużyn, ani złych drużyn, ani możliwych remisów. Nie można nawet przewidzieć, jak to się rozwinie.

Po prostu A przeciwko B, C przeciwko D, a nikt nie wie, kim są

A, B, C i D. Dlatego właśnie nigdy nie wierzyłem w Boga. Myślę, że jesteśmy po prostu owadami, żyjemy przez chwilę, potem umieramy i to wszystko. Nie ma litości. Nie ma nawet Wielkich Zaświatów. Nie ma nic.

I około trzeciej zdrzemnąłem się, więc poszedłem na górę, żeby się przespać po raz ostatni, leżałem w łóżku i wyobrażałem sobie to wszystko, jak po obudzeniu jadę do Lewes, wracam, rozpalam ognisko, zamykam wszystko (po raz ostatni rzucam okiem na moją kolekcję) i schodzę na dół. Ona tam na mnie czeka. W liście do policji napiszę, że byliśmy zakochani. Pakt samobójczy. To będzie „koniec”.

Tak się jednak zdarzyło, że sprawy potoczyły się zupełnie inaczej.

Obudziłem się dopiero po dziesiątej, znowu był ładny dzień. Zjadłem śniadanie, pojechałem do Lewes, kupiłem aspro i kwiaty, wróciłem do domu, zszedłem na dół i pomyślałem sobie, że przejrzę szybko jej rzeczy. Dobrze, że to zrobiłem. Znalazłem jej dziennik, z którego wynika, że nigdy mnie nie kochała, przez cały czas myślała o sobie i o innym mężczyźnie.

Zresztą, jak tylko się obudziłem, zaczęły mi przychodzić do głowy bardziej sensowne pomysły, to takie do mnie podobne, że w nocy przed zaśnięciem widzę same czarne strony, a budzę się z innym nastawieniem.

Te pomysły naszły mnie przy śniadaniu, nie było to wcale zamierzone, ot, po prostu przyszły mi do głowy. W jaki sposób pozbyć się ciała. Pomyślałem sobie: jeżeli nie mam umrzeć w ciągu najbliższych godzin, to mogę zrobić to czy tamto. Miałem mnóstwo pomysłów. Pomyślałem sobie, że chciałbym udowodnić, że można to zrobić. Że nikt się nie dowie.

Był piękny ranek. Okolice Lewes są bardzo ładne.

Przyszło mi też do głowy, że zachowuję się tak, jakbym ją zabił, a przecież ona po prostu umarła. Doktor pewnie niewiele by pomógł, moim zdaniem. To już za daleko poszło.

I jeszcze jedno, tego ranka w Lewes, to prawdziwy zbieg okoliczności. Jechałem właśnie do kwaciarni i zatrzymałem się na przejściu, żeby przepuścić pieszych, kiedy przeszła ta dziewczyna w dresie. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę ducha, miała takie same włosy, tylko nie tak długie, chodzi o to, że była tego samego wzrostu i miała taki sam sposób poruszania się jak Miranda. Nie mogłem oderwać od niej wzroku, musiałem zaparkować samochód i wrócić tam, gdzie ją zobaczyłem, i miałem szczęście zauważyć, że wchodzi do Woolworthsa. Poszedłem za nią i przekonałem się, że pracuje w dziale słodczy.

No więc wróciłem ze wszystkimi zakupami i zszedłem na dół, żeby zobaczyć Mirandę, a naprawdę po to, żeby ułożyć kwiaty, zdawałem sobie sprawę, że nie jestem w nastroju na tamto i uznałem, że lepiej to najpierw jeszcze przemyśleć, a wtedy znalazłem dziennik.

Dni mijają, teraz są już trzy tygodnie od tego wszystkiego. Oczywiście nigdy już

nie będę miał tutaj gościa, chociaż teraz, kiedy ciocia Annie i Mabel zdecydowały się zostać na antypodach, nie będzie to trudne.

Jednak z czystego zainteresowania rozważałem problemy, jakie mogą wynikać z tą dziewczyną od Woolworthsa. Mieszka w miasteczku położonym po przeciwnej stronie Lewes, w domu oddalonym od przystanku autobusowego mniej więcej o ćwierć mili. Żeby tam dojść, trzeba iść wiejską drogą. Jak powiedziałem, byłoby to możliwe (gdybym nie dostał już nauzki). Oczywiście nie jest tak ładna jak Miranda, w istocie jest tylko zwykłą, pospolitą ekspedientką, ale poprzednio mój błąd polegał na tym, że mierzyłem zbyt wysoko. Powinienem być wiedzieć, że nigdy nie dostanę tego, co chcę, od dziewczyny takiej jak Miranda, z tymi jej pretensjonalnymi pomysłami i sprytnymi sztuczkami. Powinienem mieć kogoś, kto czułby dla mnie więcej szacunku. Kogoś zwyczajnego, kogo mógłbym nauczyć.

Ona leży w skrzyni, którą zrobiłem, pod jabłonią. Trzy dni zajęło mi wykopanie dołu. Myślałem, że oszaleję tej nocy, kiedy już skończyłem (zszedłem na dół, włożyłem ją do skrzyni, którą sam zrobiłem, i wyniosłem na zewnątrz). Nie sądzę, żeby wiele osób potrafiło to zrobić. Ja zrobiłem to naukowo. Zaplanowałem, co trzeba zrobić, i zignorowałem swoje naturalne odczucia. Nie mogłem znieść myśli o tym, że znowu będę musiał na nią spojrzeć, słyszałem kiedyś, że oni dostają zielonych i fioletowych plam, więc poszedłem tam z tanim kocem, trzymałem ten koc przed sobą, aż doszedłem do łóżka i zarzuciłem go na ciało. Zwinąłem ją razem z całą pościelą do skrzyni i wkrótce zabiłem wieko. Smrodu pozbyłem się za pomocą wentylatora i okadzania.

Pokój jest teraz czysty i wygląda jak nowy.

To, co napisała, a także pukiel jej włosów schowam w specjalnej szkatułce na strychu, która może być otwarta dopiero po mojej śmierci, a nie spodziewam się jej wcześniej jak za czterdzieści czy pięćdziesiąt lat. Nie podjąłem jeszcze decyzji w sprawie Marian (znowu M!, słyszałem, jak szef wołał ją po imieniu), tym razem nie będzie to miłość, po prostu ciekawość, żeby móc je obie porównać, a także z powodu tej innej rzeczy, którą, jak już powiedziałem, chciałbym się zająć bardziej szczegółowo i mógłbym ją nauczyć, jak. A ubrania będą pasowały. Oczywiście od początku postawię jasno sprawę, kto tu rządzi i czego od niej oczekuję.

Ale na razie to tylko pomysł. Dopiero dzisiaj wstawiłem tam piec, ponieważ i tak pokój wymaga wysuszenia.